

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

UMSCHLAGPLATZ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1988

UMSCHLAGPLATZ

VERLAG DER BUNDESANSTALT FÜR
ARBEITSMARKTFORSCHUNG

WIEN, 1974

VERLAG DER BUNDESANSTALT FÜR
ARBEITSMARKTFORSCHUNG
WIEN, 1974

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 435

ISBN 2-7168-0102-9

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

UMSCHLAGPLATZ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

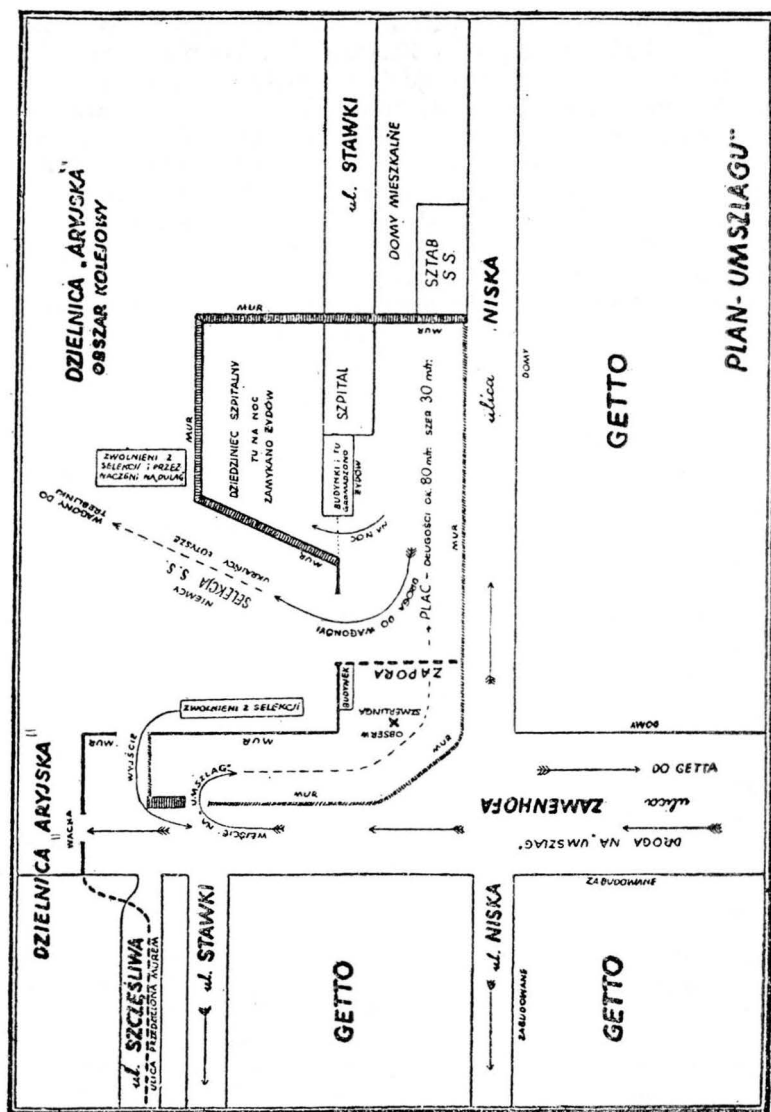
1988

Cytaty ze Starego Testamentu zaczerpnięte są z przekładu, który nazywany jest Biblią Tysiąclecia. Korzystałem z wydania Pallotinum, Poznań 1965. Cytaty z przypowieści cadyków pochodzą z polskiego wydania książki Martina Bubera „Opowieści chasydów”, Poznań 1986. Przekład Pawła Hertza. Kilka zdań w rozmowie Jureczka Wasiutyńskiego z Icykiem Mandelbaumem jest swobodną przeróbką fragmentów książki Włodzimierza Żabotyńskiego „Ideologia Bejtaru. Zarys bejtarowego światopoglądu”, Lwów 1934. Fragment rozmowy Benjamina Fondane z Lwem Szestowem cytuję za polskim wydaniem „Apoteozy nieoczywistości”, Londyn 1983. Dziękuję wszystkim, którzy służyli mi radą w trakcie pisania tej książki i trudzili się nad odtwarzeniem dla mnie realiów tamtego czasu. Szczególne podziękowanie składam pracownikom Biblioteki i Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie: bez ich pomocy książka ta nie zostałaby napisana.

Bardzo długo szukałem planu Umschlagplatzu. Na mapach warszawskiego getta — tych jest wiele — Umschlagplatz przedstawiany jest pod postacią niewielkiego prostokąta. Jeśli mapa jest nieco dokładniejsza, wtedy w prostokąt wpisany jest drugi, mniejszy prostokąt — to budynki — oraz cztery lub pięć kresek. Te kreski to bocznicą kolejowa. Z prostokątów i kresek niewiele wynika, bowiem na tej podstawie nie sposób sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce, które czterdzieści pięć lat temu nazywano Umschlagplatzem. Nie znam hebrajskiego ani żydowskiego, ale przejrzałem wiele hebrajskich i żydowskich książek opowiadających o tym, co działo się w warszawskim getcie: również i w nich nie było tego planu, którego szukałem. Byłem jednak — i nadal jestem — niemal pewien, że któryś z żydowskich historyków zajmujących się dziejami getta plan taki musiał sporządzić. Na Umschlagplatzu skończyła się historia polskich Żydów. Lub — bo może lepiej tak to będzie ująć — jest to takie miejsce, w którym ta historia zatrzymała się i mogło się wydawać, że właśnie się kończy. Kiedy znów zaczęła się dziać, działa się — bo jednak przez pewien czas jeszcze się działa — inaczej: jej kierunek był inny i całkiem niepodobny do poprzedniego. Miejsca, w których coś takiego się wydarza, są zwykle przez historyków bardzo szczegółowo opisywane: stąd właśnie mój domysł, nawet moja pewność, że gdzieś — w Tel Awiwie albo w Nowym Jorku — plan Umschlagplatzu został dawno temu sporządzony, a potem opublikowany w jakimś dziele mówiącym o historii polskich Żydów. W Warszawie — tego też jestem niemal pewien — to dzieło jest nieznanie i niedostępne: nie ma go w żadnej z bibliotek. Co wydaje mi się dość dziwne zważywszy, że jest to miasto, w którym znajdował się Umschlagplatz.

Po długich i bezowocnych poszukiwaniach — mniej więcej połowa tej książki była wtedy już napisana — zwróciłem się z prośbą o pomoc do pana Michała. Wiedziałem, że wśród jego przyjaciół są tacy, którzy byli na Umschlagplatzu: może więc któryś z tych przyjaciół zechciałby taki plan dla mnie narysować? Pan Michał obiecał mi, że się postara, ale potem powiedział, że nie może spełnić mojej prośby: jakoś tak się złożyło, że nic z tego nie wyszło. Przyjaciółom pana Michała moja prośba musiała się zapewne wydać dość dziwna. Domyślam się, że pytali: — Po co mu to jest właściwie potrzebne? — Albo: — Dlaczego on się tym zajmuje? — Tę nieufność — jeśli była w tym nieufność, bo może tylko tak się złożyło, że pan Michał nie mógł spełnić mojej prośby — uważam za uzasadnioną. Przez czterdzieści pięć lat Polacy, mieszkający wokół Umschlagplatzu, nie wykazywali szczególnego zainteresowania tym miejscem. Nawet jeśli — przechodząc przez Umschlagplatz lub mijając Umschlagplatz — myśleli o tym, co tam się wydarzyło, z przerażeniem. Nawet jeśli myśleli o tych, którzy tam się znaleźli, ze współczuciem. Nawet jeśli myśleli, że to jest miejsce, w którym odbyło się coś, co należy nie tylko do żydowskiej, ale także do polskiej historii. Nawet jeśli tak myśleli, to miejsce nie stało się — nie ma na to dowodów — ważnym miejscem polskiej duchowości, polskiej myśli. Nie wiem, czy stało się ważnym miejscem żydowskiej myśli, żydowskiej duchowości. Obchodzi mnie polska myśl i polska duchowość. Podlewano kwiaty w zielonych doniczkach przymocowanych do muru z białych cegieł. Myślano z przerażeniem. Pewnie tylko tyle. Więc nieufność przyjaciół pana Michała — jeśli to była nieufność — ma, może mieć pewne podstawy. Dlaczego po czterdziestu pięciu latach jakiś Polak — jakiś goj — nagle zaczyna się tym miejscem interesować? Dlaczego chciałby mieć plan tego miejsca?

Zaraz powiem, dlaczego. Wprzód jeszcze kilka zdań o planie Umschlagplatzu. Udało mi się go wreszcie odnaleźć. W roku 1946 — może wcześniej — sporządził taki plan Henryk Rudnicki, autor książki „Martyrologia i zagłada Żydów warszawskich”, Łódź 1946. W tej właśnie książce — trudno dziś dostępnej — plan został zamieszczony. Książka Rudnickiego nie jest — to trzeba od razu powiedzieć — dziełem wiarygodnym: jest w niej wiele dziwnych błędów, o których będzie jeszcze mowa później. Jeśli chodzi o plan, to nie wiadomo, czy jest — i na ile — dokładny, bowiem nie ma go z czym porównać. Nawet jeśli są w nim jakieś błędy, jest to niewątpliwie dokument, który nie powinien zostać zapomniany. Oto więc ten plan. Może jedyny istniejący plan warszawskiego Umschlagplatzu.



Kilka zdań komentarza. Są na tym planie pewne elementy, które — już na pierwszy rzut oka — budzą wątpliwości. W żadnej ze znanych mi relacji z Umschlagplatzu nie ma mowy o jakimś sztabie SS, który mieści się przy ulicy Niskiej. Befehlsstelle SS

— czyli dowództwo Aktion Reinhard — znajdowało się gdzie indziej: w budynku przy ulicy Żelaznej 103. Na planie, powyżej wejścia na Umschlagplatz, znajduje się wyjście: również i o tym wyjściu nie ma żadnej wzmianki w relacjach. Także podwójny mur na Zamenhofa i Dzikiej — jak wynika z planu, kolumny wchodzące na Umschlagplatz szły między dwoma murami — nie jest nigdzie wzmiankowany. Wątpliwości budzi też ustawienie — w stosunku do ulicy Stawki — budynku określonego na planie jako szpital: wydaje się mało prawdopodobne, żeby budynek szpitala stał na środku ulicy — jakby ją przecinając — i żeby na Stawki wychodziła jego szczytowa ściana. Brak też na tym planie budynków, które powinny się na nim — wedle mojej wiedzy — znaleźć. Tuż przy Umschlagplatzu znajdował się dom, w którym — w czasie wielkiej likwidacji w lipcu 1942 roku — mieściła się placówka Werterfassungstelle: była to instytucja — niezbyt stosowne słowo, ale jak to nazwać: przedsiębiorstwo? jednostka? — zajmująca się sortowaniem rzeczy zwożonych z żydowskich — a wtedy już pożydowskich — mieszkań. Tego budynku nie ma na planie Rudnickiego. Nie ma też na nim składów — były to chyba baraki — Transferstelle: instytucji, która zajmowała się zaopatrywaniem szopów i wywożeniem z getta tego, co w szopach wyprodukowano. To wszystko nie znaczy, że Rudnicki się mylił. Może się mylił, a może nie. Pewne fragmenty Umschlagplatzu — na przykład baraki Transferstelle — mógł uważać za nieistotne i nie warte tego, by je zaznaczać na planie. Mógł też dostrzec na Umschlagplatzu — był tam trzy razy — takie rzeczy, których nie dostrzegli lub nie zanotowali inni. Relacje tych, którzy byli na Umschlagplatzu i jakoś się stamtąd wydostali, są przeważnie gorączkowe i chaotyczne.

W albumie „Polish Jews: the Final Chapter”, wydanym w Nowym Jorku w roku 1977, autor tekstu — tekst jest w języku angielskim — napisał, że Umschlagplatz jest *infamous*. Dosłownie tak: *infamous* Umschlagplatz. *Infamous* to znaczy niesławny, haniebny. Rozumiem intencje tego, kto to napisał: chodziło mu o to, że na Umschlagplatzu dokonywano czynów haniebnych. To oczywiście prawda. Ale ten ktoś nie zwrócił uwagi na to, że epitet jest wieloznaczny. *Infamous* Umschlagplatz. Można rozumieć to również i tak, że było to miejsce haniebnej śmierci. Lub że jest to miejsce zhańbione przez haniebną śmierć. Kiedy pisze się o Umschlagplatzu, należy unikać słów wieloznacznych. Miejsce, na którym 310.000 ludzi czekało na śmierć, nie jest *infamous*. Na tej planecie jest niewiele takich miejsc. Można nawet powiedzieć, że to jest jedyne takie miejsce. Mieszkamy wokół niego — miejsce w środku Warszawy — więc powinniśmy

przemyśleć, co to dla nas znaczy. Nie myślę w tej chwili o przeszłości, to znaczy o tym, jak reagowaliśmy na to, co tam się wydarzyło. Choć to też jest ważne, bo to — jak każda przeszłość — czyni nas takimi, jakimi teraz jesteśmy. Ktoś, kto mieszkał w czasie wielkiej likwidacji na Grzybowskiej, pomiędzy Wronią a Żelazną — z okien widać było małe getto, żydowskie dzieci przekradające się pod drutami, bo tam były druty, na stronę aryjską, Łotyszy w czarnych mundurach chodzących wzdłuż drutów i polujących na te dzieci — więc ten ktoś, dziś już po sześćdziesiątce, powiedział mi, że to co wtedy widział i przeżył, zmieniło całe jego życie: jest teraz taki, jaki jest, ponieważ widział wtedy to, co widział. Ale myślę o przyszłości. Co to znaczy dla życia polskiego, dla duchowości polskiej. Jakie to ma, może mieć znaczenie dla naszej przyszłości. Że my mieszkamy wokół miejsca ich śmierci. To jako wyjaśnienie, dlaczego szukałem planu tego miejsca.

Jakub Wurzel zdejmuje binokle i przeciera je chustką do nosa — chustka w kolorze zielonym, a szlaczek chustki w kolorze fioletowym — a potem trzymając te binokle za łączący szkła złoty drucik przygląda się im pod światło, jakby sprawdzał, czy takimi binoklami można się posłużyć jako czymś w rodzaju lunety i czy to, co widzi się przez takie binokle, kiedy odsunie się je od oczu na długość wyciągniętej ręki, jest powiększone czy raczej pomniejszone.

— Niech pan to przeczyta — mówi i przesuwając leżącą na wyplatany, trzcinowym stoliku gazetę — jest to „Tygodnik Ilustrowany” — w kierunku Icyka Mandelbauma, który siedzi po drugiej stronie tego stolika, w wyplatany, trzcinowym fotelu, akurat takim samym, w jakim siedzi Jakub Wurzel. — To jest bardzo śmieszne.

— Nie chce mi się czytać — mówi Icyk i rozkłada „Tygodnik Ilustrowany”, którego trzecia strona, o tam, gdzie to wspólne zdjęcie pułkownika Adama Koca i marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, poplamiona jest herbatą lub może rosołem, w czym nie ma nic dziwnego, ponieważ ten numer leży na werandzie pewnie już dwa albo trzy miesiące. — A co mam przeczytać?

— Ten felieton — mówi Jakub Wurzel — który jest na piątej stronie. Autor nie podpisał się, a szkoda. To jest coś w rodzaju przyszłościowej powieści Herberta Wellsa albo naszego Antoniego Słonimskiego, tyle że ograniczonej do rozmiarów felietonu — to ostatnie słowo Jakub Wurzel wymawia jakby

z francuska i nie brzmi to wobec tego: felieton, lecz raczej: felietą, fejetą — ograniczonej do rozmiarów fejetą. W Moskwie, w roku 1941, odbywa się wielki proces Józefa Stalina, który w ogniu krzyżowych pytań prokuratora Wyszyńskiego przyznaje się do tego, że jest szpiegiem angielskim i że obiecał odsprzedać Anglikom Archangielsk oraz połowę Syberii. Po czym towarzysz Stalin zostaje rozstrzelany i władzę obejmuje towarzysz Budionnyj. Bardzo śmieszne.

— Może i śmieszne — mówi Icyk przesuwając się z trzinnowym fotelem tak, aby słońce, które o tej porze dnia — a jest już prawie południe i niebawem pani Sara Fliegeltaub zjawi się na werandzie, żeby oznajmić nam, co poda na obiad — jest wszędzie, na werandzie, w jadalni, w kuchni, w pokojach na górze, nie oslepiało go, kiedy patrzy na długie, doprawdy śliczne nogi pani Lilki, która położywszy sobie na powieki dwa listki jaśminu leżakuje pod krzakiem, z którego zerwała te dwa listki. — Może i śmieszne, ale raczej mało prawdopodobne. Przypuszczam, że Stalin, który wie, co robi, każe rozstrzelać tych wszystkich, którzy jego, Stalina, mogliby rozstrzelać.

— Czy myśli pan — pyta Jakub Wurzel — że nasz Radek został rozstrzelany?

— Tego nie wiem — odpowiada Icyk dochodząc do wniosku, że jeśli pani Lilka jeszcze raz poruszy się na leżaku, to jej zapinana z przodu sukienka, rodzaj krótkiego szlafroka w kwiaty, jeszcze bardziej się rozsunie i wtedy on, Icyk, będzie mógł obejrzeć nie tylko jej śliczne nogi, ale także jej niewątpliwie równie śliczne uda: — No porusz się — myśli Icyk. — Ja cię bardzo proszę, żebyś się poruszyła, ja ci każę się poruszyć i to natychmiast, ponieważ nie może być tak, żeby tylko ten twój Szymon miał prawo oglądać twoje uda, bowiem jeśli Bóg stworzył już coś takiego, takie nogi i takie uda, to chyba z myślą o tym, żeby to jego niezwykle udane dzieło mogli podziwiać wszyscy, dla których to dzieło zostało stworzone, chyba że Bóg, czego nie da się wykluczyć, stworzył te uda wyłącznie po to, żeby samemu je podziwiać, no ruszcie się wreszcie — i jakby posłuszna temu potężnemu, choć niememu wezwaniu Icyka pani Lilka porusza się na leżaku i wyciąga ręce ponad głowę i chwytając dłońmi obciążoną szarym płótnem poprzeczkę leżaka, a wtedy szlafrok w kwiaty rozchyła się, jak miał się rozchylić i ukazują się jej naprawdę śliczne uda oraz, kiedy rękaw szlafroka zsuwa się z wyciągniętej w górę ręki, jasny krzak włosów, zlepionych potem, pod pachą. Ale temu wszystkiemu, jasnemu krzakowi i udom, Icyk może przyglądać się tylko przez chwilę, bowiem pani Lilka

zaraz poprawia swój kwaciasty szlafrok, zakłada nogę na nogę, zasłania rąbkiem szlafrocka kolana i jej uda oraz krzak włosów pod pachą są już nam, i może na zawsze, odjęte.

— Nie jest wykluczone — mówi Jakub Wurzel — że Stalin trzyma Radka w więzieniu, żeby go potem użyć do jakichś swoich, nieznanym nam celów.

— Wcześniej czy później — mówi Icyk i znów przesuwają się razem z trzcinowym fotelem nie chcąc, żeby Szymon Warszawski, który leżakuje obok pani Lilki, dostrzegł, że on, Icyk, zbyt już natrętnie przygląda się Lilce, bowiem gdyby Szymon to dostrzegł, to oczywiście siedziałby potem przy obiedzie niemiło obrażony, odęty i patrzyłby wrogo na Icyka, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie ma prawa przyglądać się tak nachalnie kobiecie, która do niego, Szymona, należy — wcześniej czy później, niech się pan nie łudzi, każe go zastrzelić.

— Żal mi tego Radka — mówi Jakub Wurzel. — To był jednak bardzo inteligentny człowiek.

— Gdyby on był inteligentny, to nie mieszałby się do czegoś takiego — mówi Icyk zastanawiając się, czy pani Lilka jeszcze raz i w jaki sposób poruszy się na leżaku, ale zaraz porzuca tę myśl, bowiem przychodzi mu do głowy inna, znacznie ważniejsza, taka oto: — Czy Bóg, kiedy stwarzał takie śliczne nogi takiej ślicznej gojki, zadecydował jednocześnie o przyszłym przeznaczeniu tych nóg, to znaczy o tym, kto — Żyd czy chrześcijanin — będzie w przyszłości te nogi oglądał i do kogo te nogi będą po pewnym czasie należały czyli, ujmując to inaczej, czy w akcie stworzenia zawarte są dalsze losy tego, co stworzone i czy mając pomysł stworzenia czegoś, tak a nie inaczej, Bóg ma też pomysł dotyczący istnienia, tak a nie inaczej, tego czegoś, czy — przeciwnie — akt stworzenia jest oddzielony od aktu istnienia i dalsze dzieje tego, co stworzone, są ewentualnie przedmiotem późniejszych zabiegów, późniejszych aktów stwórczych Boga, jeśli Bóg w ogóle interesuje się tym, co już stworzył, gdyż nie można wykluczyć, że dalsze losy tego, co stworzone, są mu obojętne. — Więc ja wątpię w inteligencję tego pańskiego Radka. Inteligentny Żyd powinien przewidzieć, czym to się dla niego skończy.

— A jeśli on naprawdę — mówi Jakub Wurzel — był niemieckim szpiegiem? Kto to może wiedzieć? Niemcy mogli go przekupić, a potem, wie pan, donieść Stalinowi, że go przekupili. Oczywiście po to, żeby osłabić Sowiety, na czym niewątpliwie musi im zależeć.

— Nie wydaje mi się — mówi Icyk — żeby osłabienie Sowietałów leżało w interesie Niemców. Niemcom potrzebna jest

mocna Rosja, z którą mogliby się sprzymierzyć, kiedy uderzą na Anglię.

— Gdyby Niemcy wypowiedzieli wojnę Anglii — mówi Jakub Wurzel — to byliby szaleńcami. Anglicy i Francuzi pierwszego dnia wojny zajęliby Zagłębie Ruhry, a po tygodniu byliby w Berlinie. Ale wracając do Radka, to wie pan, nie jest wykluczone — i Jakub Wurzel znów przeciera binokle i podnosząc rękę, w której trzyma te binokle, patrzy przez nie na krzak jaśminu i leżakującą panią Lilkę, jakby chciał sprawdzić, czy binokle mogą zostać użyte jako luneta, przez którą dałoby się dostrzec, w powiększeniu lub w pomniejszeniu, to co wydarzy się w przyszłości, czyli niejasne dla nas cele Stalina, Hitlera, Mussoliniego oraz innych dyktatorów — nie jest wykluczone, że celem Stalina jest po prostu pozbycie się wszystkich Żydów. Co nie znaczy, że ja go uważam za antysemitę. Taki wybitny polityk, a to jest niewątpliwie wybitny polityk, nie może przecież kierować się jakimiś osobistymi uprzedzeniami. Ale może on doszedł do wniosku, że odsunięcie od władzy tych wszystkich Żydów, którzy tam potąd rządzą i którzy zrobili im tę ich rewolucję, jest konieczne ze względu na interesy Rosji Sowieckiej. Niech pan zauważy, kogo oni tam skazują w tych niemiłych procesach. Większość tych skazanych to są właśnie Żydzi.

— Ale właściwie po co ten pański Stalin — pyta Icyk usiłując odnaleźć tę zagubioną, oczywiście z winy Stalina, Radka oraz innych Żydów rządzących w Sowietach, choć nadal krążącą gdzieś w jego głowie myśl, w której akt stworzenia został oddzielony od aktu istnienia — po co ten pański Stalin miałby pozbywać się Żydów? Jeśli nie jest, jak pan twierdzi, antysemitą, to jaki on może mieć w tym interes?

— Żydokomuna — mówi Jakub Wurzel. — Chodzi mi tu o problem żydokomuny. A raczej nie mnie, lecz jemu, Stalino-wi. On z pewnością czyta angielskie i francuskie gazety. Lub jego sekretarze czytają mu te gazety. A w tych gazetach wciąż pisze się o tym, że Rosja Sowiecka to jest państwo rządzone przez żydokomunę. Europa boi się żydokomuny. Jeśli Stalin pragnie dogadać się z Niemcami czy z Francuzami, co mnie wydaje się bardzo prawdopodobne, to musi ich przede wszystkim przekonać, że w Sowietach rządzą Rosjanie, a nie Żydzi. Czyli że on nie jest żydowskim pachołkiem. Bo oni z kimś, kogo uważają za żydowskiego pachołka, nie będą rozmawiać. Otóż to, proszę pana. Żeby dogadać się z Hitlerem, Stalin musi pozbyć się Żydów. Pamiętaj pan tę jego sekretarkę, pannę Kaganowicz?

— Nie pamiętam — mówi Icyk zastanawiając się, czy istnieje

możliwość pozasłownego porozumienia się z panią Lilką, to znaczy czy jego dotyczące pani Lilki myśli mogą być znane pani Lilce, która chyba zasnęła na leżaku i czy — gdyby on te swoje o niej myśli jakoś szczególnie ukierunkował — te myśli miałyby jakąś szansę przeniknięcia, co niewątpliwie byłoby bardzo miłe, w ten jej sen, który ona właśnie śni pod dwoma listkami jaśminu. — To jest córka tego Kaganowicza, który tym razem rządzi ze Stalinem?

— Należałoby raczej powiedzieć — mówi Jakub Wurzel — że ona była córką Kaganowicza. Bo mnie się zdaje, że ona już nie żyje. O ile pamiętam, Stalin zdymisjonował ją gdzieś w kwietniu czy w maju. Przynajmniej wtedy o tym u nas pisano. Przedtem ta panna Kaganowicz była jego sekretarką i to była wszechwładna w Sowietach osoba. Uważano ją nawet za jego żonę. Jak on ją usunął, to w naszych gazetach pisano, że to jest początek i że w Sowietach zaczyna się kurs antysemitki. Ale ja myślę, że Stalin mógł dać jej dymisję, a nawet mógł ją zabić z całkiem innego powodu. Czy wyobraża pan sobie Hitlera witającego się na dworcu w Berlinie z żydowską sekretarką albo z żydowską żoną Stalina? Hitler nigdy by się na to nie zgodził, żeby Stalin składając mu wizytę przywiózł ze sobą żydowską sekretarkę, taką niby żonę. Więc może Stalin zdymisjonował pannę Kaganowicz, żeby otworzyć sobie drogę do rozmów z Hitlerem?

— Ale może panna Kaganowicz — mówi Icyk zamykając oczy i wyobrażając sobie swoje myśli przenikające w sen, który pani Lilka śni pod listkami jaśminu i dotykające w tym śnie — barwa jego, z powodu dwóch listków jaśminu, zielonkawa — sennych, sennie otwierających się we śnie myśli pani Lilki — ale może ona przestała się Stalinowi podobać i właśnie dlatego on ją zdymisjonował lub nawet, jak pan twierdzi, zabił? To też byłoby jakieś wytłumaczenie smutnego losu tej biednej panny Kaganowicz. Albo może panna Kaganowicz była bardzo brzydka? Taka brzydka, że Stalin nie mógł już na nią dłużej patrzeć?

— Choć ja — mówi Jakub Wurzel chyba zlekceważwszy tę niewątpliwie dość głupią myśl Icyka — nie wykluczam jeszcze jednej możliwości. Takiej: że Stalin zabija swoich przeciwników, ponieważ zamierza wprowadzić w Rosji ustrój parlamentarny i demokratyczny, a po to, żeby to uczynić, musi się ich uprzednio pozbyć. Taki Trocki, niewątpliwie urodzony dyktator, nigdy by się przecież na coś podobnego nie zgodził.

— Jeśli akt stworzenia — myśli Icyk, odnalazłszy nagle tę myśl, którą zgubił uprzednio z winy Stalina, Radka, Trockiego oraz panny Kaganowicz — jeśli akt stworzenia jest oddzielony

od aktu istnienia i jeśli w akcie stworzenia nie ma żadnych gwarancji dotyczących dalszego istnienia tego, co stworzone, to dalsze losy moje, a także Jakuba Wurzla, a także pani Lilki i jej kochanka, Szymona Warszawskiego, są absolutnie niewyobrażalne i można jedynie przewidywać, że to, co się nam przydarzy, będzie czymś nieoczekiwanym oraz niebywałym — na przykład pani Lilka pewnego dnia zostanie moją kochanką — ale już niczego więcej nie da się przewidzieć. Dotyczy to także dalszych losów pani Sary Fliegeltaub, która jest właścicielką tego otwockiego pensjonatu i która właśnie wychodzi na werandę i mówi:

— Na obiad dostaną państwo chłodnik i mielone kotlety z kartofelkami i marchewką. Będzie także deser, ale co będzie na deser, to jest moją słodką tajemnicą. To będzie dla moich przemyłych gości wielka niespodzianka.

Pytanie, czy gdyby pani Sara Fliegeltaub wiedziała, że jej deser się nie uda i że będzie się nadawał tylko do wyrzucenia — na deser było tego dnia ciasto z jabłkami i z pianą, która miała zakrzepnąć i ściąć się w piecu, ale czy dlatego, że piana wsiąkała w ciasto, czy dlatego, że jabłka puściły zbyt wiele soku, ciasto częściowo rozpułyło się, a częściowo zmieniło w zakalec — więc pytanie, czy gdyby pani Sara знаła przyszły los deseru, to w ogóle wzięłaby się za wyrabianie ciasta, obieranie jabłek, tłuczenie jaj oraz bicie piany. A z pewnością powstrzymałaby się od tej zapowiedzi, w której była mowa o słodkiej tajemnicy i wielkiej niespodziance dla przemyłych gości. Deser został zjedzony przez dwa półdzikie, żółto-rude koty — jeden z nich był ślepy — mieszkające w piwnicy pensjonatu.

— Akt stworzenia — myśli Icyk — nie łączący się z aktem istnienia. I żadnych gwarancji dla tego, co stworzone: ma czekać dygocząc ze strachu na następny dotyczący go akt stwórczy, po którym, być może, częściowo się rozpułynie, jak to ciasto, a częściowo zamieni w zakalec.

— Myślę tak samo jak Icyk Mandelbaum, choć raczej powinienem powiedzieć, że to on, Icyk, myśli tak samo jak ja, gdyż nie mogąc wiedzieć — co oczywiście — o czym myślał Icyk pięćdziesiąt lat temu, w lipcu 1937 roku, w Otwocku, na werandzie drewnianej willi Sary Fliegeltaub, kiedy dyskutował z Jakubem Wurzlem o losie Radka — Radek był z Tarnowa — i przyglądał się nogom pani Lilki, wkładam mu do głowy, trochę się zresztą tego wstydząc, moje własne myśli. Ponieważ jednak nie wydaje się prawdopodobne, żeby Icyk Mandelbaum, żydowski poeta i prozaik, autor, wówczas trzydziestoletni, gdyż urodził się w roku 1907 na ulicy Krochmalnej, jednego tomu wierszy, jednej powieści i kilkunastu opowiadań — Icyk uważał się za spadkobiercę

Icchaka Lejbusza Pereca, choć uważał, że będzie niebawem, i tak się rzeczywiście stało, pisarzem znacznie lepszym niż Perec — a zatem ponieważ jest całkiem nieprawdopodobne, żeby ktoś taki w lipcu roku 1937 myślał akurat tak samo jak ja, to samo co ja, polski prozaik i poeta, autor iluś tam tomów wierszy oraz jednej powieści, myślę w lipcu roku 1987, więc ja te moje myśli, które wkładam w głowę Icyka, muszę nieco modyfikować, tak żeby one pasowały do tego, co Icyk wtedy myślał, żeby zmieściły się w głowie Icyka. Gdybyśmy zresztą w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych — teraz jest to już niemożliwe — zapytali Icyka, o czym myślał w lipcu 1937 roku w Otwocku, z pewnością nie umiałby odpowiedzieć nam na to pytanie i co najwyżej powiedziałby coś w tym rodzaju: — Myślałem, że mam już tego wszystkiego dość. I nawet powiedziałem to przy obiedzie Szymonowi Warszawskiemu: — Panie Szymonie, ja mam tego wszystkiego dość i mnie to po prostu podchodzi do gardła. — Na co Szymon, który nie miał tego wszystkiego dość, ponieważ było mu niezwykle miło sypiać z panią Lilką, nic nie odpowiedział i tylko popatrzył na mnie z wielkim obrzydzeniem. — Więc nie ma innej rady i jeśli nawet sam Icyk nie pamiętał, o czym wtedy myślał, to muszę wpychać mu pod czaszkę moje własne myśli. Zwracam jednak uwagę moich miłych — a używając ulubionego zwrotu pani Sary Fliegeltaub: moich przemiłych — czytelników na to, że te moje myśli, gdy już je nieco zmodyfikuję i wepchnę pod czaszkę Icyka, stają się nieco innymi myślami i zmieniają się tym samym we wspólną własność. Icyka i moją. Mógłbym to jeszcze i tak ująć: są to moje myśli, ale oglądane, odczytywane jakby z oddali, jakby z całkiem innej — i dość dla mnie nieoczekiwanej — perspektywy, jakby przez użyte w charakterze lunety binokle Jakuba Wurzla lub Icyka Mandelbauma. Bowiem Icyk także nosił wtedy, latem 1937 roku, binokle. Potem, w latach pięćdziesiątych, nosił okulary w grubej, rogowej oprawie, a potem, w latach siedemdziesiątych, okulary w oprawie z cienkiego, srebrnego lub złotego drutu. Akurat takiego samego jak ten drut, który łączył szkła jego binokli, pięćdziesiąt lat temu. Tyle o okularach oraz o myślach Icyka. Teraz o deserze.

— Pani wybaczy, pani Saro — powiedział niesłychanie grzecznie Icyk, kiedy po mielonych kotletach z marchewką na stole pojawiło się, wniesione przez Feję — dziewiętnastoletnia Fejga nazywana także przez gości Fecią: — Feci, ja idę na spacer, więc ty możesz teraz u mnie w pokoju posprzątać — usługiwała w willi Ustronie, ale pani Sara nie była zadowolona z tych usług i uważała, że powołaniem Fejgi jest całkiem inny zawód, no

wiadomo jaki — więc kiedy Fejga postawiła na stole ciasto z jabłkami i pianą, która nie była już pianą, lecz jakąś taką wstrętną zawiesiną, Icyk skosztowawszy tego ciasta powiedział: — Pani wybacz, ale ten pani deser to się raczej pani nie udał. No po prostu to jest absolutnie niejadalne — i odsunął od siebie, co już nie było takie grzeczne, talerzyk z kawałkiem zakalca, w którym wprzód wydfubał widelczykiem całkiem dużą dziurę.

— Pan Icyk — powiedziała na to pani Sara, nie tyle do Icyka, ile do wszystkich, czyli do Chai Gelechter, Jakuba Wurzla, Szymona Warszawskiego, pani Lilki, rozpustnej Fejgi i żydowskiego Boga, który przyglądał się z wysokości temu ciastu oraz dłubiącemu w nim widelczykiem Icykowi — pan Icyk to jest bardzo wybredny.

A Chaja Gelechter powiedziała: — Nie grymas, grymasniku — i do pani Sary: — Zapewniam panią, że on zje to ciasto.

— Nie — powiedział Icyk. — Nie zjem.

— A to miła niespodzianka — powiedział Jakub Wurzel i też zaczął dłubać widelczykiem w swoim kawałku ciasta, jakby chciał sprawdzić, czy Icyk ma rację twierdząc, że ciasto jest absolutnie niejadalne. Albo jakby chciał się tam czegoś — nie wiadomo, czego — dodłubać. — A wracając do Stalina, to wie pan, należałoby rozważyć jeszcze jedną ewentualność.

— Jaką? — spytał Icyk.

— Taką — powiedział Jakub Wurzel — że Stalinowi wcale nie chodzi o wprowadzenie ustroju parlamentarnego, lecz o coś wręcz przeciwnego. Bardzo być może, że on rozstrzeliwuje wszystkich, którzy mogliby mu się przeciwstawić, ponieważ jest opętany ideą caryzmu. Rodzaj Iwana Groźnego, pojmuje pan? Kiedy nie będzie już nikogo, kto mógłby mu się sprzeciwić, zwoła święty synod i każe się koronować w Petersburgu czyli Lenigradzie. Na co Radek i Kamieniew, którzy są Żydami, nigdy by się nie zgodzili. I to tłumaczyłoby także sprawę panny Kaganowicz. Car Wszechrosji nie może być przecież żonaty z Żydówką. Panna Kaganowicz jako caryca. To raczej trudno sobie wyobrazić.

— Ja myślę — powiedział Icyk — że ten pański Stalin to ma jakieś inne plany. Ale nie wiem, jakie.

— I co ja teraz podam — powiedziała pani Sara — moim miłym gościom. Ja przecież nie mam innego deseru. Ale jeśli państwo sobie życzą, to do herbaty mogą być konfitury. Fejga, idź do piwnicy i przynieś słoik konfitur z truskawek.

— A to miła niespodzianka — powiedział ponownie Jakub Wurzel, co oczywiście dotyczyło tym razem konfitur, a nie absolutnie niejadalnego ciasta lub niejasnych planów Józefa Stalina.

— Jeśli w akcie stworzenia — pomyślał Icyk — to co stworzone nie otrzymuje żadnej ale to żadnej gwarancji, to wszystko jest możliwe. Każda niespodzianka — i odsunął się z krzesłem od stołu, żeby przyjrzeć się naprawdę bardzo ładnym nogom Fejgi idącej w kierunku sionki, gdzie były, pod klapą z metalowym kółkiem, schody do piwnicy.

— Miałam wtedy — mówi moja siostra — jedenaście i dwanaście lat, więc nie sądzę, żebym mogła ci pomóc. Mało co pamiętam, a to co pamiętam, to są jakieś pojedyncze obrazy, które się ze sobą nie łączą. Pamiętam kawiarnię Latona i białą kurtkę kelnera, który przyniósł mi lody. Kawiarnia Latona była kilka kroków stąd, mniej więcej tam gdzie to podwórko, na którym stoi teraz metalowy jeleń. Ale w którym to było roku, w 1941 czy w 1942, tego nie jestem w stanie odtworzyć.

— Ale jesteś — mówię — starsza ode mnie o trzy lata. Więc jeśli któreś z nas dwojga coś pamięta, to jednak raczej ty niż ja, bo ja to już w ogóle nic nie mogę pamiętać.

Siedzimy w tym pokoju, którego okno wychodzi na mały placzyk, gdzie ulica Górskiego łączy się z ulicą Juliana Tuwima, a przed nami, na biurku mojej siostry, leżą trzy albumy z fotografiami. Drzewa na ulicy Juliana Tuwima okryły się już drobnymi liśćmi — jest maj roku 1987 — i w oślepiającym świetle tej nowej zieleni, w oślepiającym świetle błękitnego nieba, które krąży nad ulicą Górskiego i nad Placem Powstańców Warszawy, akurat tak samo jak kiedyś krążyło nad ulicą Hortensja i nad Placem Napoleona, oglądamy, moja siostra i ja, rodzinne fotografie sprzed pół wieku. Kiedy w styczniu — lub może w lutym — roku 1945 moja matka przyszła z Piaseczna do Warszawy i zeszła do piwnicy wypalonego domu na Koszykowej, aby odkopać to, co zostało tam zakopane w pierwszych dniach powstania — nie wiem, co moja matka, kiedy wybuchło powstanie, zniosła do piwnicy, ale przypuszczam, że były to stołowe srebra oraz jakieś cenniejsze przedmioty z naszego mieszkania na trzecim piętrze, ponieważ dolary i świnki rodzice wychodząc z Warszawy niewątpliwie mieli przy sobie, a tym, którzy urodzili się po wojnie i nie mogą pamiętać nawet tego, co ja pamiętam, wyjaśniam, że świnki to były złote rosyjskie dwudziestorublówki — więc kiedy na początku roku 1945 matka zeszła do piwnicy, tych jej posagowych sreber już tam oczywiście nie było i trudno — zważywszy na to, co się wtedy działo — uznać to za dotkliwą stratę, choć jednak chciałbym wiedzieć, gdzie, w jakim niemieckim domu, w Hamburgu czy w Breme, używane są dzisiaj noże i widelce

z panińskim monogramem mojej matki: H.B. Ten esesman lub szaulis, który wykopał i ukradł nasze srebrne noże i widelce, był jednak na tyle miły — na tyle dobrze wychowany? — że pozostawił w piwnicy trzy albumy z fotografiami. Nie były mu na nic potrzebne, ale mógł je bezinteresownie zniszczyć: dlatego napisałem, że tego człowieka, który skądinąd był zapewne mordercą, uważam jednak za kogoś miłego oraz dobrze wychowanego. Te trzy albumy to jedyna rzecz, jaka ocalała z mieszkania na Koszykowej i widzę w tym coś w rodzaju znaku, który został dany mojej matce, mnie, a może nawet następnym pokoleniom: oto co ocaleje, na więcej nie liczcie. Zapewniam dzieci tego esesmana, który ukradł nasze widelce, że to mi wystarczy i na więcej nigdy nie liczyłem. Albumy są teraz u mojej siostry. W dwóch są zdjęcia z dwudziestolecia międzywojennego. Pułtusk, rok 1929 i Warszawa, rok 1936 i 1937. W trzecim są zdjęcia z lat wojny: Warszawa, Otwock, Świder i Józefów, rok 1941 i 1942.

— Patrz — mówi moja siostra — to zdjęcie to było zrobione gdzieś na Marszałkowskiej. Byłeś wtedy — i moja siostra patrzy przy tym na moją łysinę — naprawdę bardzo ładnym chłopczykiem.

Na tym zdjęciu, które zostało zrobione wiosną 1941 roku, dwoje naprawdę bardzo ładnych dzieci, chłopczyk i nieco większa od niego dziewczynka, idzie obok naprawdę bardzo eleganckiego pana. Dzieci są dobrze ubrane — chłopczyk jest w marynarskiej bluzie z krawatką i w białych skarpetkach, a dziewczynka, trzymająca chłopczyka za rękę, ma na głowie kapelusz z małym rondem i dwie wielkie białe kokardy na końcach warkoczy — i gdyby to zdjęcie odkleić od tej karty, na której pisze: Wiosna w Warszawie, 1941 roku, i nakleić w innym albumie na karcie, gdzie byłoby napisane: Wiosna w Warszawie, 1939 roku, albo: Wiosna w Warszawie, 1937 roku, to nikt nie domyśliłby się, że dokonano takiej zamiany i dopuszczono się czegoś w rodzaju fałszerstwa. Elegancki pan — kapelusz, binokle, laska i biała chusteczka w kieszonce marynarki — który w ten wiosenny dzień wyszedł z dziećmi na spacer i spotkał ulicznego fotografa, to mój ojciec, Władysław. Matka mówiła do niego: Władziu lub Władeczku.

— Coś mi się tak zdaje — mówię — że w tym strasznym roku 1941 to jednak zupełnie nieźle nam się powodziło i że ta straszna okupacyjna Warszawa to wcale nie była taka straszna. Nie jest wykluczone, że ci nasi specjaliści od martyrologii trochę nas oszukują twierdząc, że okupacja była czymś potwornym. A jeśli nawet nas nie oszukują, to przemilczają, że w Warszawie,

mimo różnych potworności, które się tu działy, można było wtedy żyć całkiem przyjemnie. A takie przemilczenie też jest oczywiście rodzajem oszustwa. Czy nie uważasz, że to zdjęcie można by również wkleić do albumu jakiejś francuskiej lub włoskiej rodziny, na kartę z napisem: *Printemps à Paris, 1941*, lub: *Primavera a Roma, 1942*.

— Gadasz głupstwa — mówi moja siostra. — Na takim zdjęciu jest przecież tylko kawałek, kawałeczek prawdy. Tu my, dwoje szczęśliwych dzieci, idziemy sobie z ojcem na spacer, ale dwie ulice dalej jest łapanka albo Niemcy postawili kogoś pod murem i zaraz go rozstrzelają. Na tym zdjęciu tego nie widać, z czego jednak nie wynika, że tego nie było.

— Ja nie twierdzę, że wtedy nie było łapanek i rozstrzeliwań. Twierdzę tylko, że nasza mama siedzi sobie z przyjaciółkami, o tu, przy stoliku w kawiarni Latona i pijąc kawę robi wrażenie osoby bardzo zadowolonej z życia i że to też jest jakaś prawda o tamtej epoce.

— A za chwilę, co nie daj Boże — mówi moja siostra — mama znajdzie się w budzie, ponieważ Niemcy obstawili Nowy Świat. Ale popatrz. Tutaj widać, że to była wojna, bo tu za mamą, a ta druga osoba, to jest chyba ciotka Helenka, idzie jakiś Niemiec.

— Nawet trzech Niemców — mówię. — Tam w głębi jest jeszcze dwóch. Ciekawe, co to za formacja. Chyba esesmani, ale nie wiem, czy esesmani nosili takie czapki z miękkimi daszkami. A tu, popatrz, idziesz w białej sukience do pierwszej komunii. Pod tym szyldem w kształcie zegara, na którym — ale musisz włożyć okulary, żeby to przeczytać — jest napis: *Ubrmacher* — Zegarmistrz.

— Tę pierwszą komunię oczywiście pamiętam — mówi moja siostra. — To było w maju 1941. I ten dwujęzyczny szyld też pamiętam.

— Nie wiedziałem — mówię — że w Warszawie były wtedy dwujęzyczne szyldy. A ten dom po drugiej stronie — o ten, taki neogotyck — chyba jeszcze stoi i to jest róg Marszałkowskiej i księdza Skorupki czyli Sadowej. Wiesz, jak się nazywała w czasie okupacji ulica księdza Skorupki?

— Nie wiem — mówi moja siostra. — Pewnie jeszcze jakoś inaczej.

— Tylko że ja — mówię — to nie o te zdjęcia chciałem cię zapytać, ale o te, które są o tutaj. Patrz. To jest Świder, lato 1942 roku. To ty, koło domu, na huśtawce. Tutaj stoimy oboje na plaży, nad rzeką. A tutaj ja, na peronie w Otwocku.

Krawat i czapeczka. I znowu te białe skarpetki. Ale tego domu, w którym spędzaliśmy wtedy wakacje, to ja w ogóle nie pamiętam.

— Ja też nie — mówi moja siostra i czyta to, co nasza matka napisała na tej karcie, na której przyklejona jest fotografia przedstawiająca mój krawat, czapeczkę i białe skarpetki na wysokim peronie w Otwocku. — Odpust w Otwocku, 19 lipca 1942.

— Czy ty wiesz — mówię — że latem 42 w Otwocku było jeszcze getto?

— Chyba się mylisz — mówi moja siostra. — Mnie się zdaje, że ich wszystkich znacznie wcześniej przesiedlili do Warszawy.

— Już nie pamiętam — mówię — gdzie o tym czytałem. Albo w tej książce o dziejach warszawskiego getta albo we wspomnieniach Szpilmana. Potem próbowałem dotrzeć do jakichś informacji na temat otwockiego getta, ale te moje poszukiwania nie dały żadnego efektu. Przypuszczam, że getto w Otwocku nie zostało przez nikogo opisane, a jeśli potąd nie zostało opisane, to prawdopodobnie już nikt nigdy go nie opisze i nikt nigdy nie dowie się, co tam się działo. Teraz mnie posłuchaj. Wielka likwidacja getta w Warszawie rozpoczęła się 22 lipca. Jeśli getto w Otwocku istniało jeszcze latem 42 roku, to zlikwidowano je zapewne nieco wcześniej. Ta likwidacja mogła się zacząć kilka dni wcześniej, niż likwidacja getta warszawskiego. A ten odpust w Otwocku, w czasie którego ojciec albo matka robili nam zdjęcia, odbył się 19 lipca. Czy ty nie uważasz, że w tym jest coś nieprzyzwoitego?

— W czym — pyta moja siostra — jest coś nieprzyzwoitego? W tym, że ten odpust czy jarmark właśnie wtedy się odbywał?

— Nie — mówię. — Nie o to mi chodzi. Coś nieprzyzwoitego jest w tym, że my, takie ładne, takie dobrze ubrane, takie uśmiechnięte i takie zadowolone z życia chrześcijańskie dzieci stoimy sobie na peronie, na plaży, między sosenkami, ty na huśtawce, a ja z ogromną piłką, a tuż obok, w odległości nie większej niż trzy czy cztery kilometry, odbywa się, no wiesz, co się wtedy odbywało. Nie muszę ci przecież opowiadać, co oni robili z żydowskimi dziećmi. No więc ja to odczuwam jako coś wysoce nieprzyzwoitego, że nam, chrześcijańskim dzieciom, dane było wtedy bawić się, śmiać i cieszyć życiem. Ojciec uśmiecha się do ciebie i mówi: — Stań o tam, Alinko, tam pod tą sosenką — a potem przyklęka na jedno kolano i przykłada do oka Leicę albo jakiś inny aparat i znów uśmiechacie się do siebie, ojciec do ciebie, ty do ojca, ponieważ naprawdę bardzo się kochacie i

ojciec jest po prostu zachwycony, że może zrobić ci jeszcze jedno zdjęcie, a ty jesteś zachwycona tym, że on ci je robi. Jak miło, jak słodko jest tak stać między sosenkami Świdra czy Otwocka patrząc w tajemniczą, tajemniczo połyskującą czerń soczewki, w tajemniczą głębię aparatu fotograficznego, w której za chwilę odbije się i już na zawsze utrwali to, co jest takie niepokojące, takie cudowne, takie pełne niepokojących, cudownych tajemnic: życie. Słodczy tego życia. Słodczy tego lipca, tego lata. Kiedy w odległości nie większej niż cztery kilometry odbywa się to, co się odbywa.

— Kiedy myśli się o tym — mówi moja siostra — to jest tak, jakby się dotykało, nie wiem, jak to powiedzieć, no chyba samej istoty życia. Taki słodki dzień. Ale pełen grozy. Tylko że ja to teraz tak odczuwam, a wtedy coś takiego raczej nie mogło mi przyjść do głowy.

— Ale mnie — mówię — nie tylko to wydaje się nieprzyzwoite, że nam, chrześcijańskim dzieciom, dane było wtedy to cudowne poczucie słodczy, a może zarazem i grozy istnienia. Nieprzyzwoite jest to, że myśmy w ogóle przeżyli, a te inne dzieci, żydowskie, poszły do gazu, do pieca. To był wysoce nieprzyzwoity pomysł polskiego albo żydowskiego Boga.

— Nie powinienes mieszać do tego Boga — mówi moja siostra. — To była sprawa między Niemcami a Żydami. Czyli między ludźmi.

— Co mnie obchodzą Niemcy — mówię. — Niemcy za to, co zrobili, to będą pokutować do końca świata, ale to są ich, nie moje rachunki. Dla mnie to jest sprawa między Polakami a Żydami. A co do Boga, to do pewnego stopnia masz rację, bowiem mieszając Go do tego zachowujemy się tak, jakbyśmy chcieli uniknąć odpowiedzialności: ponieważ On tak to wymyślił, ponieważ podjął taką a nie inną decyzję, no to my nic na to nie mogliśmy poradzić i to nie nasza wina, że to się zdarzyło. Co nie znaczy, żebym zamierzał zrezygnować z pytania Go, o co Mu właściwie w tej sprawie chodziło. Choć może stawianie pytań dotyczących Bożych intencji jest z teologicznego punktu widzenia niedozwolone. Tyle że ja pytam Go nie z jakiegoś teologicznego punktu widzenia, ale z punktu widzenia tego chłopca, który stoi w czapeczce i w białych skarpetkach na wysokim peronie w Otwocku. I nie pytam nawet, bo może nie jestem do tego uprawniony: dlaczego to im uczyniłeś? Pytam tylko: dlaczego uczyniłeś to mnie, temu chłopcu na peronie? Ale chciałbym ci pokazać, Alinko, jeszcze jedno zdjęcie, bo ono mnie bardzo ciekawi, o to. I chciałbym, żebyś mi powiedziała, co ty o tym myślisz.

— To jestem ja — mówi moja siostra.

— Ja wiem, że to ty — mówię. — A to dziecko, ta dziewczynka obok ciebie, czy wiesz, kto to jest?

Na tym zdjęciu moja siostra — warkocz ułożony w koronę wokół głowy i krótkka, letnia sukienka w paski — stoi na ścieżce, pomiędzy karłowatymi sosnami, a plamy słońca, które świeci przez gałęzie sosen, kładą się na jej twarzy, ramionach, sukience. Jest rok 1942, lipiec albo sierpień. Zdjęcie zrobiono w Świdrze, prawdopodobnie gdzieś w pobliżu tej drewnianej willi, w której spędzaliśmy wtedy wakacje. Obok mojej siostry stoi małe, znacznie mniejsze od niej dziecko, które ubrane jest w długą, sięgającą niemal do ziemi sukienkę, więc chyba jest to dziewczynka, choć nie można mieć co do tego pewności, ponieważ włosy tego dziecka, tej dziewczynki są krótko, tuż przy skórze, ostrzyżone. Jedno jest pewne: te włosy są czarne, bardzo czarne, niepokojąco czarne. Moja siostra patrząc na kogoś, kto robi to zdjęcie, ładnie się uśmiecha, a dziecko — jego głowa mniej więcej na wysokości łokci mojej siostry — tak jakoś dziwnie przekrzywiło, niemal położyło na ramieniu tę ostrzyżoną głowę i patrzy w obiektyw jakby z nieufnością, jakby trochę lub może nawet bardzo przestraszone.

— Nie wiem — mówi moja siostra — kto to jest. Może jakaś biedna dziewczynka z tamtej okolicy, z sąsiedztwa. Popatrz, ona ma taką dziwnie wykręconą rączkę.

— Gdyby to była — mówię — jakaś dziewczynka z sąsiedztwa, to z takim wyglądem też musiałaby się ukrywać, bo mogliby ją zastrzelić na ulicy, w ogóle nie pytając, kim jest i czy jej rodzice są Polakami czy Żydami. Ale czy to możliwe, żeby nasz ojciec albo nasza matka sfotografowali cię w 1942 roku, w Świdrze, z taką żydowską dziewczynką? Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Takie dziewczynki to chowało się przecież za szafą. A ona stoi na ścieżce, w jasnych plamach słońca.

— Mama to tak lubiła — mówi moja siostra — a i nadal przecież lubi robić zdjęcia, choć nie ma do tego najmniejszego talentu, że mogła wpaść na taki głupi, no po prostu szaleńczy pomysł.

— Jeśli to jest żydowska dziewczynka — mówię — to za takie zdjęcie mogli nas wszystkich rozstrzelać pod tymi sosenkami. W tych jasnych plamach lipcowego słońca.

— Ale ja nie pamiętam — mówi moja siostra — kto to jest.

— I nie pamiętasz — pytam — czy ona się tam ukrywała? A jeśli się ukrywała, to kto ją ukrywał?

— Nie pamiętam.

— Ale czy to możliwe — pytam — żebyś ty tego nie pamiętała?

— Jeśli nie pamiętam — mówi Alinka — to znaczy, że to jest możliwe. Ty przecież też niemal niczego nie pamiętasz.

— No tak — mówię. — Niemal niczego. Nie pamiętam nawet tych sosen, nawet tych plam słońca. Nawet tych moich białych skarpetek na peronie. — Ale mówiąc to, okłamuję moją siostrę, ponieważ jest coś, co pamiętam i to bardzo dobrze. Mogę nawet ustalić dokładną — ale zarazem tylko prawdopodobną, bowiem nie mam i nie mogę mieć w tej kwestii całkowitej pewności — datę tego, co się wydarzyło, choć mówiąc, że coś się wydarzyło, dokonuję jednak nadużycia, ponieważ nie chodzi tu o żadne wydarzenie i nic się wtedy właściwie nie wydarzyło, a to co pamiętam było raczej czymś w rodzaju odczucia czy przeczucia. To odczucie wiązało się zapewne z tym, że tego dnia wszyscy byli dla mnie, chłopca w białych skarpetkach, szczególnie mili i dobrzy lub może z tym, że dostałem tego dnia jakieś wspaniałe prezenty. Mogło to się więc zdarzyć — dokładnie — w dniu moich urodzin: 13 lipca 1942 roku. Bardzo, tak to chyba muszę nazwać, intymne odczucie czy przeczucie, bardzo intymne wspomnienie i nigdy nikomu potąd o nim nie opowiadałem, a jeśli zwierzam się z niego tutaj, dzisiaj, to dlatego, że nieopodal, w odległości nie większej niż trzy do czterech kilometrów, odbywało się równocześnie to, co się odbywało i że to moje odczucie jakoś się łączyło — lub raczej: łączy się mi dzisiaj — z tym, co się nieopodal odbywało. Biegiem — siedmioletni chłopiec — ścieżką między sosnami, a potem wzdłuż ogrodzenia, a potem piaszczystą leśną drogą, która gdzieś tam, ale było mi wszystko jedno gdzie, prowadziła i wydobywałem z siebie jakieś nieartykułowane, szaleńcze okrzyki. No po prostu zachłystywałem się tym moim szaleńczym biegiem i tymi moimi szaleńczymi okrzykami. Ten bieg i te okrzyki — nie pamiętam, co krzyczałem, ale prawdopodobnie było to właśnie coś nieartykułowanego, jakieś uhuu i ohoho, jakieś ooo to ja — bieg i okrzyki miały taką przyczynę: dane mi zostało — po raz pierwszy w życiu — poczucie, że jestem, że istnieję, że uczestniczę w tym niebywałym cudzie naszego tutaj ziemskiego istnienia i to poczucie napełniło mnie szczęściem, którego nie potrafiłem inaczej wyrazić, wyartykułować niż tymi okrzykami i tym biegiem do utraty tchu. Potem upadłem gdzieś między sosnami, przy drodze i leżałem tam, chyba bardzo długo, czując zapach igliwia i szorstkość mchu, sosnowe igły tuż przy moich wargach: istniałem. Co mam

ci jeszcze powiedzieć, Alinko. Prawdopodobnie właśnie wtedy w odległości nie większej niż cztery kilometry odbywało się to, co tam się odbywało.

Spróbuję teraz opisać willę Sary Fliegeltaub. W związku z tym zadaniem pojawia się natychmiast pytanie — natura jego, używając terminologii, którą posługiwali się niegdyś autorzy wstępów do historii filozofii, zarazem epistemologiczna i ontologiczna — co ja właściwie spróbuję opisać. Tej willi już nie ma, ale pamiętam i to całkiem nieźle, jak wyglądała, ponieważ wyburzono ją dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. Mogę więc opisać tylko to, co pamiętam czyli to, co jest w mojej głowie. Przedmiotem opisu mogą więc być tylko fale, które wysłał mój mózg i już nic więcej: willa Sary Fliegeltaub nie ma — jakby nie miała — innego istnienia. Może należałoby to ująć inaczej i mówić raczej o czymś, co jest chemią mojego mózgu i o jakichś procesach chemicznych, które w tym mózgu zachodzą. Ale trzymajmy się tego pierwszego terminu: fale. Te fale — myślę o tych, które dotyczą willi lub są willą — mój mózg wysłał tylko od czasu do czasu. Zdarza to się dość rzadko, nawet bardzo rzadko: moja pamięć, jak każda inna pamięć, musi pamiętać o tysiącach, a może nawet milionach, a może nawet bilionach przedmiotów i nie często ma okazję lub nie często może sobie pozwolić na zajmowanie się tą willą. Status ontologiczny willi jest więc dość niepewny: to jest, to jej nie ma. Częściej jej nie ma. A kiedy już jest — kiedy pojawia się i zaczyna istnieć pod postacią fal — to jest, istnieje tylko kilka sekund lub co najwyżej tylko kilka minut. Potem znika i wtedy jej status ontologiczny jest czymś, czego nie potrafię wyjaśnić: jak istnieje w pamięci willa, o której pamięć na jakiś czas zapomniała? I czy w ogóle wolno nazwać to istnieniem?

Użyłem wyżej słowa, które bardzo lubię i które bardzo często pojawia się w zapisywanych przeze mnie zdaniach: jakby. Willa Sary Fliegeltaub jakby nie miała innego istnienia. Tyle mówi mi moja pamięć lub raczej moja wiedza o mojej pamięci. Użyłem tego słowa — jakby — ponieważ to, co mówi mi moja pamięć kłóci się czy pozostaje w sprzeczności z tym, co mówi mi — i tu jestem w kłopotcie, gdyż nie wiem, jak mam to określić — moje przecucie, moja intuicja, moja nie wiem skąd i przez kogo mi dana wiedza o istnieniu tego, co nie istnieje, a istniało niegdyś. Ten status ontologiczny willi, który wyżej opisałem — może tak to ująć — nie wyczerpuje jej obecnego istnienia. Lub ten niepewny status — może jeszcze tak dałoby się to ująć —

— nie jest jedynym ontologicznym statusem, który jest jej dany. Wyburzona w latach sześćdziesiątych — rok 1968 lub 1969 — willa Sary Fliegeltaub istnieje nie tylko w mojej głowie, nie tylko w mojej pamięci, nie tylko pod postacią fal, które od czasu do czasu — dość rzadko — wysyła ta pamięć. Istnieje inaczej. Jak? Istnieje naprawdę i tu powinienem oczywiście poprosić, żeby nie pytano mnie, co znaczy to moje: naprawdę. Naprawdę to znaczy naprawdę. Chciałbym żeby mnie dobrze zrozumiano: nie jest tak — moja wiedza o istnieniu tego, co nie istnieje, nic mi o tym nie mówi — więc nie jest tak, że ta willa została z Najwyższego Rozkazu czy za Najwyższym Przyzwoleniem przeniesiona w jakąś inną sferę, którą można by nazwać sferą metafizyczną i że w tej innej sferze przyznano jej jakieś inne istnienie, o którym my, żyjący tutaj, w naszej ziemskiej sferze, nic jeszcze nie wiemy. Nie o to mi chodzi. Prawda tamtej sfery — jeśli w ogóle istnieje jakaś tamta sfera — jest dla nas niedocieczona i na pewno inna niż nasza prawda, ta tutejsza, ziemską. Willa istnieje naprawdę: w tutejszym, a nie w tamtejszym Otwocku.

Ten, kto wysiądzie na stacji w Otwocku, powinien pójść ulicą Warszawską — to dość długi spacer — a potem przejść przez tory i skręciwszy w prawo dojść do tego placyku, który znajduje się przy ulicy 11 Listopada. Na tym placyku trzeba skręcić w lewo i pójść w kierunku ulicy Andriollego. Można też wysiąść na stacji w Śródborowie — nieco krótszy spacer — i ulicą Narutowicza dojść do tego budynku, w którym mieści się szkoła podstawowa, a stamtąd ulicą 11 Listopada albo jakąś inną skierować się ku ulicy Andriollego. W tym miejscu — w pobliżu ulicy Andriollego — wyłania się taka trudność. Jak przypuszczam, willa Sary Fliegeltaub istnieje — mam teraz na myśli ten jej niepewny i zmienny status ontologiczny: to jest, to jej nie ma — nie tylko dla mnie czyli w mojej głowie. Nie tylko ja wysyłam te fale, którymi jest — raczej: bywa od czasu do czasu — ta willa. Ktoś, kto również wysyła takie same lub nieco podobne do tych moich fale — w grę wchodzi zapewne kilkadziesiąt lub kilkaset osób — mógłby znalazłszy się wraz ze mną nieopodal willi zapytać: — Czy nie widzi pan tych płyt chodnikowych, tego asfaltu, tego czerwonego Fiata 125 parkującego akurat tam, gdzie była weranda? Więc co pan właściwie ma na myśli, mówiąc, że willa Sary Fliegeltaub istnieje naprawdę? — Albo mógłby zapytać tak: — Gdzie jest ta willa, która według pana istnieje naprawdę? Bo ja tu widzę zjazd do garażu, taras, kryty czerwoną czeską terrakotą, przeszkloną klatkę schodową oraz kraty w oknach czyli jakąś całkiem inną willę. — Na te pytania mam taką odpowiedź: — Nie wiem, co mam na myśli mówiąc, że willa Sary Fliegeltaub istnieje napraw-

dę. Prawdopodobnie nie mam nic na myśli, ponieważ nie ma to nic wspólnego z myśleniem. Ta willa jest tam gdzie ten zjazd do garażu, taras kryty terrakotą oraz czerwony Fiat 125. Gdyby było inaczej — gdyby ta willa istniała tylko pod postacią fał, które od czasu do czasu emituje pamięć — moje życie tutaj utraciłoby wszelki sens: zostałbym wyrzucony ze sfery istnienia i znalazłbym się w sferze nieistnienia, niebytu, nicości. Ale ta sfera — będąc sferą nieistnienia — nie istnieje. Tyle mówi mi moja intuicja i moja wiedza nie wiem skąd i przez kogo mi dana.

Spróbuję teraz opisać willę Sary Fliegeltaub. Po wojnie mieszkali w niej, jak się domyślam, lokatorzy z przydziałami kwaterekowymi, którzy liczyli na to, że wcześniej czy później dostaną mieszkania w Warszawie. Przeciekający dach i grzyb w piwnicy oraz w mieszkaniach na parterze raczej więc im nie przeszkadzały, gdyż uważali — i słusznie — że im szybciej willa się zawali, tym szybciej wyprowadzą się do nowych bloków na Rakowcu lub na Wawrzyszewie. Ciekawe, co by powiedzieli ci kwaterekowi lokatorzy, którzy mieszkali w zagrzybionej willi, gdyby zapytać ich o Sarę Fliegeltaub: — Ja to Żydków, wie pan, zawsze uważałem, bo oni mają kiepełe, ale oni nam bardzo dokuczali, więc dzięki Bogu, że się stąd wynieśli. — Pewnie coś w tym rodzaju. Kiedy ostatnia rodzina tych z kwaterek wyprowadziła się na Rakowiec czy na Wawrzyszew, willa pani Sary była już w bardzo nędznym stanie i nadawała się tylko do rozbiórki, bowiem lewa, patrząc od strony furtki, połać pokrytego papą dachu zapadła się i wisiała nad tym pokojem, w którym latem 1937 roku mieszkała Chaja Gelechter, a balkon nad werandą, ten nad którym był niegdyś dwuspadowy daszek, w ogóle już nie istniał: nie było ani daszku, ani podłogi, ani drewnianych, wycinanych w jakieś takie niby zakopiańskie wzory balustrad. Byłem tam w październiku roku 1968 — ostatni polscy Żydzi stali wtedy na peronach Dworca Gdańskiego, skąd odjeżdżały pociągi do Wiednia — i tyle właśnie zapamiętałem: zapadającą się połać dachu, balkon, którego już nie było i na werandzie — boczne balustrady też były wyłamane albo porąbane — tekturowe pudła po makaronie. Ktoś pakując się zgromadził zapewne zbyt wiele tych pudeł i kilka z nich zostawił na werandzie. Opisanie willi, w której Sara Fliegeltaub prowadziła swój pensjonat, to znaczy opisanie tego, jak widać, przejściowego stanu, w jakim ta willa znalazła się latem roku 1937, wydaje się więc — zważywszy na ten dziejowy wir, który porwał i uniósł i wyrzucił z jednej przestrzeni historycznej i cisnął w zupełnie inną przestrzeń historyczną dach kryty papą, werandę, balkon, okiennice, balustrady, skrzynki na kwiaty, schody oraz schodki — wydaje się więc niemal niemoż-

liwe. Jednak spróbuję, a binokle Jakuba Wurzla lub Icyka Mandelbauma niech mi posłużą jako coś w rodzaju lunety, przez którą można oglądać — w stosownym pomniejszeniu albo powiększeniu — przeszłość albo przyszłość. Albo jako coś w rodzaju lunety, przez którą można oglądać to, co jest dane w intuicji.

Willa była piętrowa. Przed willą — patrząc od furtki — był klomb otoczony ostrymi odłamkami dachówek. Nim dojdę do klombu, zatrzymam się jeszcze na chwilę przy furtce. Furtka była z deseczek — deseczki ustawione pionowo i połączone na górze i na dole dwoma metalowymi płaskownikami — które, tak te deseczki jak i te płaskowniki, pomalowane były na zielono. Również na zielono pomalowana była krótka i mocna sprężyna, łącząca furtkę ze słupkiem: kto otwierał furtkę, musiał ją przytrzymać, bowiem furtka, kiedy została puszczona, zamykała się natychmiast, właśnie dzięki tej sprężynie. Wtedy — mówię o tej chwili, gdy ktoś otwierał furtkę — wtedy coś dzwoniło. Z czego wynika, że był tam jakiś dzwonek. Ale tego dzwonka — gdzie on był — nie pamiętam. W pobliżu furtki coś pnącego, co pięło się po słupku oraz po deseczkach: jakieś drobne, białe lub białoróżowe kwiatki, zapewne powój, tak, na pewno powój. Jeszcze o tym dzwonieniu: słyszę je do dzisiaj. Co pewien czas coś dzwoni i to jest ten dzwonek. Zważywszy na to, co napisałem o statusie ontologicznym willi, mogę tu użyć formy bezokolicznikowej: dzwonienie słychać do dzisiaj. Status furtki ten sam, co status willi: i niech istnieje nadal to, co zaistniało. Teraz o klombie. Klomb był zaniedbany i zarastał chwastami. Ale chyba nie zawsze, bo pamiętam bratki, żółte i fioletowe. Oraz Chaję Gelechter, która unosi się ponad bratkami i ponad czerwonymi odłamkami dachówek. Dlaczego Chaja weszła na klomb i dlaczego lewitowała nad bratkami? Czy czegoś tam szukała? Nie wiem, ale pamiętam jej pantofelki — szare — tuż ponad bratkami.

Za klombem — nieco po prawej — rosły dwa duże drzewa, zapewne liściaste: rzecz rzadka w Otwocku. Teraz tych drzew nie ma, są tylko dwa pniaki. Ktoś, kto zna się na tym, na podstawie dwóch pniaków mógłby pewnie rozpoznać gatunek tych drzew. Ale ja się nie znam. Wysoka podmurówka — wzdłuż podmurówki biegła drewniana listwa, rodzaj gzymsu, z którego, kiedy padał deszcz, kapały, wsiąkając zaraz w piasek, krople wody — wysoka podmurówka sięgała mi mniej więcej do łokcia: miała więc metr, może nawet więcej, wysokości. Z przodu nie ma wejścia — są tylko okna — i trzeba skrócić w lewo, tam w bocznej ścianie jest wejście — pod daszkiem — do kuchni. Przed wejściem trzy schodki, ale bez poręczy. Jeszcze raz w lewo i wi-

dać werandę. Nad werandą jest balkon, nad balkonem daszek. Willa jest drewniana, ale można w niej chyba mieszkać również w zimie, bowiem pomiędzy deski wysypano igliwie, które jest bardzo dobrą izolacją. Po prawej — ale patrząc od strony ogrodu, to znaczy stojąc twarzą do werandy — rośnie dzikie wino oplatające drewniane kolumny. Po prawej stronie weranda jest więc zacieniona, gdyż wino tworzy coś w rodzaju bocznej ściany. Na balustradzie werandy można usiąść i wtedy wino ma się za plecami, a kto przechyli głowę cokolwiek do tyłu, będzie miał z wina wieńczący go wieniec. Leżaki stojące przed werandą są w dość lichym stanie i należy uważać, gdy się na nich siada. Leżak może się złożyć i przyciąć palce temu, kto chciał leżakować. Jeszcze o winie: wspina się na pierwsze piętro i jedno z okien jest zasłonięte liściastą kotarą. Okno można jednak otworzyć i wtedy plamy światła i cienia kładą się na twarzy tego, kto otworzył okno. Jeśli okno się otworzy, to ukaze się w nim — za liściastą kurtyną — Chaja Gelechter, w której ja, Icyk, kocham się mniej więcej od roku czyli bardzo długo: ale Chaja nie bierze tego — to znaczy mojej wytrwałości — pod uwagę. Między tym oknem a werandą jest rynna, także zarośnięta dzikim winem: kiedy pada deszcz i w rynnie bulgocze, wydaje się, że to bulgotanie dobywa się nie tyle z rynny, ile z dzikiego wina, że to bulgocze coś w liściastej głębi, w roślinnym mroku: że to jest bulgotanie tego mrocznego, liściastego, roślinnego. Deszcz szybko wsiąka w piasek, bo w Otwocku jest kilkumetrowa warstwa piasku i kałuże nie stoją tu dłużej niż godzinę, dwie. A razem z deszczem wsiąka w piasek to mroczne, trochę mniej niepokojące bulgotanie. Tak wyglądała willa Sary Fliegeltaub. Niejasny mój opis, licha moja wyobraźnia, kruszy się i rozpada co wyobrażone. Co miało konsystencję desek, papy, blachy ma konsystencję fal, które mój mózg wysyła nie wiadomo dokąd. Ktoś w kosmosie może odbiera te sygnały. Pytanie, czy ten kto odbiera, widzi to, co ja: willę w sosnowym lesie, werandę, leżaki. Bo podejrzewam, że te sygnały, które wysyła mój mózg, mogą się układać w jakiś inny obraz. Pytanie, czy my się w ogóle rozumiemy, czy my się w ogóle możemy zrozumieć: mój Bóg i ja.

— Zbyszka Bujaka też wydali — mówi Hania. — I Grota Roweckiego, czterdzieści lat wcześniej, też. A z Szymonem Konarskim to jak było? Dobrze tego nie pamiętam, ale chyba również ktoś go wydał. Sto pięćdziesiąt lat wcześniej. Więc to nie jest tak, że wydawali tylko Żydów. Wydawali i wydają swoich, Polacy Polaków, i zawsze będą wydawać, Polacy Polaków, Niemcy

Niemców, Francuzi Francuzów. Bo chyba nie sądzisz, że to jest jakaś polska, tutejsza specjalność. Czytałem gdzieś, już nie przypominam sobie gdzie, taką relację i to była relacja kogoś, kto uciekł z getta w czasie wielkiej likwidacji i ukrywał się w aryjskiej Warszawie, że jednemu ze szmalcowników, który działał w okolicach Placu Unii i Puławskiej, koledzy szmalcownicy nadali imię Judasz. Pomyśl, o czym to świadczy. Jaką oni mieli, jeśli tak to można nazwać, świadomość zawodową. Wiedzą, jaki zawód uprawiają. Wiedzą, że to jest jakaś wieczna sprawa, która dzieje się zawsze i wszędzie, że realizują wieczny imperatyw natury ludzkiej: zarabiaj pieniądze donosząc na bliźnich.

— Ale mnie nie obchodzi teraz — mówię — wieczny aspekt czy wieczna istota tej sprawy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego Polacy szantażowali i wydawali Żydów. Właśnie Polacy i właśnie Żydów. Właśnie wtedy. Bo że wydawali swoich, w tym, zgadzam się z tobą, nie ma nic dziwnego. Zawsze są tacy, którzy wydają i tacy, którzy są wydawani. Ale tego, że wydawali wtedy Żydów, nie da się wytłumaczyć wyłącznie wiecznymi cechami natury ludzkiej, tym, że ta natura jest taka a nie inna, że Bóg stworzył nas tak a nie inaczej, czyli dosyć marnie. To znaczy, jest to jakies wytłumaczenie, ale takie, które wydaje mi się jednak niewystarczające. Była, ja to czuję, jakaś szczególna przyczyna, dla której w Warszawie było wtedy tylu szmalcowników. Chciałbym wiedzieć, co taki szmalcownik miał w głowie, co on sobie myślał, kiedy w 41 czy w 42 prowadził w Aleje Ujazdowskie, tam było chyba Kripo, jakiegoś Żyda czy jakąś Żydówkę i kiedy się z tym Żydem czy z tą Żydówką targował: — Dwadzieścia dolarów to jest mało, dołoż jeszcze dziesięć albo srebrną papierosnicę, to wtedy cię puszcza.

— Wstrętny temat — mówi Hania. — Co ci z tego przyjdzie, że zajrzysz w duszę takiego szmalcownika? Jeśli taki szmalcownik w ogóle miał duszę. Czy ty naprawdę musisz się tym zajmować?

— Muszę — mówię. — Gdybym miał żonę Polkę, to może bym się tym nie zajmował. Ale ponieważ jesteś Żydówką, to powinienem wiedzieć, czego ci Polacy, bo jak ich inaczej nazwać, to byli Polacy, więc czego oni chcieli od ciebie wtedy, czterdzieści kilka lat temu. Co oni wtedy o tobie myśleli. Co to dla nich znaczyło: twoje rude włosy.

— Nosилам wtedy — mówi Hania i trochę się dziwię, że to mówi, ponieważ wiem, że Hania nie lubi wspominać tego, czego powodem były jej wspaniałe rude włosy — nosилам wtedy taką czarną chustkę w żółte i czerwone kwiaty. Byłam chłopskim dziec-

kiem, dziewczynką z jakiejś spalonej wsi. Nawet pamiętam nazwę tej wsi: Podbory. Więc nikt nigdy nie widział moich rudych włosów. Poza tymi paniami, które wcierały mi we włosy sabadillę. To był taki płyn, wiesz, co zabijał wszy.

— Wiem — mówię. — Też mi to wcierano we włosy. Chyba po powstaniu. Ale dlaczego ja miałem wszy we włosach? Skąd się te wszy wzięły? Tego nie pamiętam.

— To było później — mówi Hania.

— Co?

— Te panie i ta sabadilla. Chyba w 1944. A zaraz po wielkiej likwidacji byłam u Gieni. To była nasza przedwojenna służąca, ale taka lepsza służąca i nazywano ją u nas w domu moją boną. Pamiętam jej biały koronkowy czepek, ściśle przylegający do głowy, z białą kokardą z tyłu, który to czepek musiała nosić, ponieważ mama uważała, że bona powinna nosić biały czepek. Mieszkała na Grochowie i po likwidacji wzięła mnie do siebie. Taka była dzielna. Przychodzili do niej Niemcy, chyba esesmani.

— Szukali Żydów?

— Nic nie rozumiesz — mówi Hania. — Przyjmowała Niemców. Piła z nimi wódkę, a ja siedziałam wtedy pod stołem, ponieważ tam nie było drugiego pokoju. Pamiętam ich buty. Białe obrusy i czarne buty wystające spod obrusa.

— Któryś z nich — mówię — mógł się schylić i zajrzeć pod stół.

— To nie jest dla mnie jasne — mówi Hania. — Być może ci Niemcy wiedzieli, że ja siedzę pod stołem. Gienia mogła ich poinformować, że jest matką dziecka, z którym nie ma co zrobić, kiedy oni przychodzą, a które nie powinno być świadkiem jakichś niestosownych scen. To znaczy tego, co ona robiła z tymi Niemcami. Myślę, że jeśli tak było, to ci Niemcy nie mogli mieć nic przeciwko temu, żebym ja siedziała pod stołem, kiedy oni bawili się z Gienią. Gdybym wyszła spod stołu, pewnie czuliby się trochę skrępowani.

— To trwało długo?

— To siedzenie pod stołem? — pyta Hania. — Jak kiedy. Zwykle kilka godzin. Ale zdarzało się, że Gienia o mnie zapomniała i wtedy siedziałam do rana. Tylko nie żądaj ode mnie, żebym opowiadała ci o moich przeżyciach pod stołem. Zresztą ja mało co pamiętam. Tylko te buty. I wesołe popiskiwanie Gieni, pewnie wtedy, kiedy się do niej dobierali. Wiesz, po co ci to opowiadam?

— Wiem — mówię. — Chodzi ci o dwoistość Gieni.

— Przyjmowała Niemców — mówi Hania — co, biorąc pod

uwagę te jej piski, chyba nie było dla niej niemiłe. I ukrywała żydowską dziewczynkę. Moje rude włosy. Któryś z kochanków Gieni, niezadowolony z jej usług, mógł jednak zajrzeć pod stół, a potem spacerować się ze mną i z nią na posterunek żandarmerii.

— Mogę podziwiać dwoistość Gieni — mówię — ponieważ Gienia cię uratowała. Ale co innego Gienia, a co innego jakiś szmalcownik. Dwoistość szmalcowników, jeśli zdarzali się jacyś dwoiści szmalcownicy, którzy szantażowali Żydów, a przy innej okazji zachowywali się jakoś tam przyzwoicie, raczej mnie nie interesuje. To, co chciałbym wiedzieć, dotyczy wyłącznie ich szmalcowniczej natury czy szmalcowniczej strony ich natury. Przecież wiesz, o co mi chodzi: czy oni to robili dla pieniędzy i tylko dla pieniędzy, czy mieli jeszcze ten dodatkowy powód. Czy robili to także dlatego, że — nie wiem, jak to powiedzieć — w powietrzu, w atmosferze było tutaj już wtedy coś, co pozwalało im to robić. Co skłaniało ich do tego, żeby to robili. Coś wisiało w powietrzu. Jakiś smród. I oni to czuli.

— Ten smród — mówi Hania — unosił się wtedy nad całą Europą. Pierwsza połowa tego wieku okropnie cuchnie. To jest coś w rodzaju wielkiej kupy cuchnącego mięsa. Choć nie wiem, czy wolno mi tak mówić, bo może takie zdanie będą mieli prawo wypowiedzieć dopiero ci, co będą żyli za sto czy za pięćset lat.

— Ja jestem stąd — mówię — i mój nos wyczulony jest na tutejsze zapachy. Więc jak myślisz: co miał w głowie taki szmalcownik? Chciał zarobić pięć czy dziesięć tysięcy złotych? Czy chodziło mu jeszcze o coś innego?

— Przestań — mówi Hania. — Po co to chcesz wiedzieć? Co to za różnica, z jakiego powodu oni to robili? Już ci powiedziałam: to jest wstrętne, to jest naprawdę obrzydliwy temat.

— Pamiętasz — pytam — tę historię, którą opowiadała nam Danka? O tej kobiecie na rogu Grzybowskiej i Żelaznej?

— Myśmy wtedy mieszkali — to jest właśnie ta historia, którą opowiadała nam Danka — na Grzybowskiej, pomiędzy Wronią a Żelazną. Z okien naszego mieszkania był widok na małe getto i na druty. Bo tam nie było muru, tylko druty. Przechodziłam wzdłuż tych drutów kilka razy dziennie, ponieważ to była jedyna droga do śródmieścia. Szło się po drugiej stronie ulicy. Pod tymi drutami, widziałam to wiele razy, przeczołgiwały się na aryjską stronę żydowskie dzieci, takie pięcio- czy siedmiolatki w łachmanach. Małe szkielety w łachmanach. Te dzieci, jak już przedostały się przez druty, żebrały na ulicy albo chodziły po domach i stukwały do drzwi. Niemcy, a właściwie w tym wypadku nie Niemcy, bo to byli tacy w czarnych mundurach, chyba Łotysze

albo Ukraińcy, oczywiście strzelali do tych wykradających się z getta dzieci. Do nas na Grzybowską przychodził kilka razy taki chłopczyk, który miał chyba z osiem lat. Nazywał się Gecelek. Nie wiem, co to za imię, ale tak się do niego mówiło: — Gecełku, my znamy takie panie, które mogłyby cię schować. — Ale ja muszę tam wrócić, proszę pani, bo mój tatuś jest chory, a ja mam jeszcze młodszego braciszka i nie mogę zostawić ich samych. Ktoś musi pracować. — Ośmioletni Gecelek, który pracował po aryjskiej stronie, stukając do drzwi chrześcijańskich mieszkań. Ostatni raz przyszedł do nas chyba w maju i wtedy powiedział nam, że tatuś już umarł, ale braciszek jeszcze żyje, więc on, Gecelek, musi wrócić do getta, żeby opiekować się braciszkiem. Ale chcę wam opowiedzieć o tej kobiecie. Ja miałam wtedy dziewiętnaście lat i to, co się wydarzyło — nie myślę o tej kobiecie, myślę o tym wszystkim, co się wydarzyło, to znaczy o tym, co z nimi zrobiono — więc to wszystko, nie wiem jak to powiedzieć, przez to wszystko ja jestem taka, jaka jestem. Ja na to patrzyłam i już nie mogłam być inna, bo to było to najważniejsze, co wydarzyło się w moim życiu: że ja to widziałam. Ta kobieta. Szła Grzybowską i ja też szłam Grzybowską. Była o kilkanaście kroków ode mnie. I nagle zaczęła krzyczeć. Nie pamiętam dokładnie, jak to było, to znaczy nie pamiętam, czy ja pierwsza zobaczyłam to dziecko przekradające się pod drutami czy ona. Chyba ona. Ale nie pamiętam tego dziecka, pamiętam tylko ją, krzyczącą. Krzyczała: — Jude! Jude! — wzywając Niemców czy Ukraińców czy Łotyszy, żeby spełnili swój obowiązek i zastrzelili to żydowskie dziecko. Posłuchaj, Jarek. Ja ci przysięgam, że to nie był jedyny taki wypadek. Nikt nie wie, ile razy to się zdarzyło. Ale nie tylko ja to słyszałam. To się powtarzało. Ten krzyk: — Jude! Jude!

— Ta kobieta — spytałem. — Pamiętasz, jak ona wyglądała?

— Zwykła kobieta — powiedziała Danka. — Gdzieś między trzydziestką a czterdziestką. Nie powiodło się jej zresztą i jej prośba nie została wysłuchana. Prawdopodobnie w pobliżu nie było żadnego Niemca czy Łotysza. Więc jeśli można w takim wypadku mówić o szczęśliwym zakończeniu, akurat wtedy zakończyło to się szczęśliwie. Przede mną szedł jakiś mężczyzna. Podszedł do tej kobiety i uderzył ją w twarz. A potem wciągnął ją do bramy i tam nastąpił jakiś ciąg dalszy, o którym nic nie wiem. Zapewne ciąg dalszy bicia po twarzy. To zresztą nieważne. Ważna jest ta kobieta. Bo w tym było, w tym jest coś, czego ja nie rozumiem. Wtedy nie rozumiałam i dziś nie rozumiem. Dlaczego szmalcownicy robili to, co robili, to jest łatwe do zrozumienia: chodziło im o pieniądze. Dlaczego Niemcy robili to, co

robili, to ja też rozumiem: chodziło im o wymordowanie wszystkich Żydów. Ale dlaczego tej kobiecie zależało na tym, żeby Niemcy złapali i zabili to żydowskie dziecko? Chciała sobie popatrzeć, jak takie małe umiera? O to jej chodziło?

— Co do tej opowieści Danki — mówi Hania — to wynika z niej właściwie tylko tyle, że pewni ludzie mają w sobie coś takiego, co czyni ich całkowicie niezrozumiałymi dla innych. Jakby wszczepiono im jakiś mechanizm, którego działania nie sposób wytłumaczyć. A jeśli to jest niezrozumiałe i niewytłumaczalne, to z tego wynika, że nie da się tego opisać. Może zresztą ktoś potrafi. Ale to nie jest temat dla ciebie. Nie ma żadnego powodu, żebyś właśnie ty miał się tym zajmować. Co ty zresztą możesz o tym wiedzieć. Przecież miałeś dziesięć lat, kiedy skończyła się wojna. Chłopiec z Nowogrodzkiej, z Koszykowej. Kiedy ty zobaczyłeś pierwszego Żyda w życiu? Pewnie w 1945.

— A dla kogo to jest temat — mówię — jeśli nie dla mnie? Widzisz kogoś takiego, kto miałby ochotę w to się wdąć? I nie mówię tylko o tym, co tu się wydarzyło między Polakami i Żydami, bo to wreszcie może i nie najważniejsza dzisiaj sprawa. Tym to niech się historycy zajmują. To jest robota dla nich. Niech oni opiszą i rozważą, jak myśmy wtedy potraktowali naród żydowski i jakie są nasze winy i zasługi wobec tego narodu. Ile tam się nam tych drzewek należy na Har Hazikaron. Ile tu w czasie wojny wykonano wyroków śmierci na tych, którzy szmalcowali. Mnie chodzi o coś innego. W tym, co wydarzyło się tu Żydom — i co, w związku z tym, wydarzyło się tu chrześcijanom — więc w tym jest coś takiego, co nie zostało do końca przemyślane. Może tak ci powiem: my nie wiemy, dlaczego ta kobieta na Grzybowskiej krzyczała: — Jude! Jude! — I tego nie załatwi się słowami: łajdacy, kanalie, męty, antysemita. Bo to niczego nie tłumaczy. Choć może się mylę, mówiąc, że to nie zostało przemyślane. Zapewne wielu uczciwych, pobożnych chrześcijan i wielu uczciwych, pobożnych Żydów ma to przemyślane, tylko nie chcą, boją się lub wstydzą na ten temat mówić.

— Ale to nie jest temat dla ciebie — powtarza Hania, a w jej rudych włosach zapalają się i gasną i znów zapalają małe iskry i jest w tym coś niezwykle tajemniczego, ponieważ nie wiadomo, czy bierze się to stąd, że rude włosy chwytają i odbijają światło, że światło przelatując ponad nimi wplątuje się w nie i chce w nich zamieszkać, czy raczej stąd, że między puklami, lokami rudych włosów wytwarza się sekretne napięcie i włosy są źródłem światła, świecą własnym światłem, a zapalające się i gasnące iskry są czymś w rodzaju wyładowań, malutkich blys-

kawic przelatujących w skłębionych chmurach, w burzy rudych włosów. — To jest temat dla Żydów i niech Żydzi tym się zajmują. A ty daj sobie z tym spokój.

— Nawet jeśli Żydzi — mówię — nie powiedzieli na ten temat wszystkiego, co mogli powiedzieć, to i tak to, co jeszcze mają do powiedzenia, nie może zastąpić tego, co w tej kwestii mogą i powinni powiedzieć chrześcijanie. Ja z Żydami, z ich dziejami w czasie tamtej wojny i z ich współczesnymi dziejami współ-czuję, a pomiędzy współ i czuję stawiam tutaj myślnik, ponieważ nie chodzi mi tu o współczucie będące rodzajem litości, lecz o współ-odczuwanie właśnie, o wspólne odczucie. Ale nie będąc Żydem, czuję jak chrześcijanin, współ-czuję po chrześcijańsku i tylko jako chrześcijanin mogę coś w tej sprawie powiedzieć. A właśnie takie świadectwo — chrześcijańskie — wydaje mi się bardzo potrzebne.

— Ty tego nie potrafisz napisać — mówi Hania. — To w ogóle wydaje mi się nie do napisania. A jeśli napiszesz, to tak ci przyłożą, że się nie pobierasz.

— Kto mi przyłoży?

— Żydzi — mówi Hania. — I Polacy też. I będą mieli, ci i tamci, rację.

— To niech mi przyłożą — mówię. — Ja tym, co mam do napisania, nie mam zamiaru sprawić przyjemności ani moim Polakom, ani moim Żydom. To wszystko było bardzo nieprzyjemne i chyba nawet Bóg nie miał z tego żadnej przyjemności. Więc nie ma powodu, żeby ktoś teraz miał z tego przyjemność.

— Ale pamiętaj — mówi jeszcze Hania — że ja cię ostrzegałam. Jako Żydówka oraz jako Polka.

— Ale wiesz co — mówię i obracam, popycham, a nawet trochę tarmoszę, choć niezbyt brutalnie, Hanię, która nieco się opiera — obróć mi się o tak, profilem do okna i do światła. Bo chcę zobaczyć te malutkie błyskawice, które latają w twoich rudych włosach.

— Ja cię kocham — mówi Hania obrócona profilem do światła — i właśnie dlatego wolałabym, żebyś zajął się czymś, co byłoby dla ciebie i dla innych trochę przyjemniejsze.

— Ja też cię kocham — mówię — choć jesteś Żydówką.

Na co Hania powinna odpowiedzieć: — Ty antysemito — albo: — Ty antysemito z Koszykowej — dając mi w ten sposób do zrozumienia, że to moje: — Choć jesteś Żydówką — jest czymś absolutnie niedopuszczalnym. Ale Hania stojąc profilem do światła nic nie odpowiada i tylko patrzy na mnie jakby trochę zdziwiona — jakby chciała powiedzieć: — Ty mnie dziwisz —

albo: — Ty mnie martwisz — albo: — Ty mnie śmieszysz — a rude iskierki zapalają się, gasną, przelatują między wzburzonymi chmurami jej włosów.

Próba opisanie Umschlagplatzu. Nazwy tej, jak przypuszczam, zaczęto używać dopiero w latach wojny. Przed wojną Plac przy ulicy Stawki 4-8, do którego z drugiej strony dochodziła boczna kolejowa ułożona wzdłuż ulic Błońskiej i Dzikiej, nazywano Placem Przeładunkowym. Napisałem: jak przypuszczam, ponieważ nie jestem tego całkiem pewien. W gazetach z tamtych lat i w powieściach, których akcja rozgrywa się w Dzielnicy Północnej, nie udało mi się znaleźć polskiej nazwy Placu. Ta nazwa — Przeładunkowy — dobrze jednak określa ówczesny charakter Placu, który był ważnym centrum żydowskiego handlu hurtowego i stąd moje przypuszczenie, że to właśnie jej używano przed wojną. Trudno powiedzieć, kto wprowadził nazwę Umschlagplatz. Pewnie Niemcy. Weszła ona w użycie już w pierwszych latach wojny, a w każdym razie przed wielką likwidacją w lipcu 1942 roku. W „Dzienniku” Adama Czerniakowa jest taka notatka dotycząca kwietnia 1942 roku: „Rano 5-ta na Umschlagplatzu. O 8-mej nadjechało 1.025 wysiedlonych z Berlina”. Plac był więc wtedy także Placem Wyładunkowym: wyładowywano na nim Żydów przesiedlanych do warszawskiego getta z Europy Zachodniej. A także żywność przeznaczoną dla mieszkańców getta. Tuż po wojnie, w roku 1945 i 1946, w relacjach tych, którzy wydostali się z Umschlagplatzu, dość często pojawiała się jeszcze nazwa polska. Potem została ona wyparta przez nazwę niemiecką, którą niekiedy spotyka się w formie skróconej: — Przeżyłem Umschlag, wyszedłem z Umschlagu. — Dziś nikt już nie mówi w Warszawie: Plac Przeładunkowy. Można to wytłumaczyć tym, że teren — a więc i oznaczające go słowo — uzyskały z czasem pewną wartość symboliczną. Umschlagplatz to nie tylko nazwa konkretnego miejsca przy ulicy Stawki w Warszawie. To także nazwa pewnego terytorium duchowego lub — może tak będzie lepiej powiedzieć — nazwa losu: Umschlag czyli limbo, przedśonek śmierci, wejście do podziemi. Umschlag czyli to, co stało się z tymi, którzy tam się znaleźli. Tę wartość symboliczną — mówię o języku polskim — lepiej oddaje czy lepiej chwyta słowo obce. Można nie rozumieć, co znaczy niemiecki rzeczownik der Umschlagplatz, a wiedzieć, o czym jest mowa: niejasność nazwy sprzyja tu symbolizacji. Ten proces przemiany, któremu podlegała nazwa Umschlagplatz — to znaczy: proces symbolizacji — rozpoczął się zresztą już w czasie wielkiej likwidacji. W „Dzienniku

z warszawskiego getta” Abrahama Lewina — spisywanym właśnie w trakcie likwidacji — znalazłem bowiem takie zdania: „Śmierć pod postacią Umschlagplatzu powoli zbliża się do nas”. Oraz: „odprawili ich do piekła (na Umschlagplatz)”. W relacji spisanej prawdopodobnie przez powieściopisarkę Gustawę Jarecką — „Ostatnim etapem przesiedlenia jest śmierć”, listopad 1942 — jest zdanie podobne: „Tak maszerowali sami na dno piekła, które nosiło tutaj dziwną, niewiele mówiącą nazwę Umschlagplatzu”.

Moim celem jest jednak opisanie konkretnego miejsca. Zaraz wytłumaczę, dlaczego postawiłem sobie taki cel. Nie wiem, ile jest relacji zdających sprawę z tego, co działo się na Umschlagplatzu między 22 lipca a 12 września 1942 roku. A także później, w styczniu, kwietniu, maju roku 1943. Nie wiem także, czy istnieje bibliografia tych relacji. Przypuszczam, że ktoś z Yad Vashem wykonał już taką pracę. Jak już wspominałem, nie znam ani języka hebrajskiego, ani języka żydowskiego. Dostępne mi są więc tylko relacje spisane w języku polskim lub na język polski przetłumaczone. Przeczytałem kilkadziesiąt takich relacji. Jest ich pewnie więcej. Z tymi po żydowsku i po hebrajsku będzie ich chyba kilka setek. Te, które są mi znane, mają pewną wspólną cechę: nie mówią niemal nic — lub mówią bardzo mało — o wyglądzie budynków, bram, murów, budek strażniczych. Konkretnie miejsce nie jest konkretyzowane: jakby wygląd tego miejsca nie był czymś ważnym dla tych, którzy tam byli. Jest to zrozumiałe: kto stamtąd wyszedł, pamiętał i pragnął opisać przede wszystkim to, co najważniejsze czyli to, co mu się tam przydarzyło. A także to, co przydarzyło się innym, tym których tam spotkał. Relacje mówią więc o ofiarach i o mordercach. Miejsce spotkania ofiar i morderców jest natomiast najczęściej tylko wzmiankowane. Jeden przykład. W dość szczegółowej, kilkunastostronicowej relacji Henryka Nowogródzkiego „3 dni na Umschlagplatzu” — opublikowanej przez Józefa Kermisza w drugim tomie „Dokumentów i materiałów do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce”, Warszawa 1946 — znalazłem sześć wzmianek mówiących o tym konkretnym miejscu. „Wielkie sale”. „Szare ściany”. „Nie ma żadnych sprzętów”. Reszta wypełniona jest opowieścią o tym, w jaki sposób autor relacji dostał się na Umschlagplatz, co tam przeżył i jak się stamtąd uratował. Z kilku wzmianek nie da się odtworzyć miejsca, gdzie to się działo. To znaczy: nie da się go zobaczyć.

Teraz: dlaczego chciałbym to zobaczyć, czyli dlaczego postanowiłem opisać Umschlagplatz. Każdy, kto zajmuje się dziejami Żydów polskich w latach tamtej wojny, wie, jakie są skutki psy-

chiczne takiej pracy. Po kilku tygodniach czy kilku miesiącach czytania relacji popada się w coś, co da się określić jako rodzaj psychozy będącej efektem poruszania się po terytoriach śmierci. Ciekawość, czyli chęć dowiedzenia się czegoś — a więc to, co animuje każdego historyka — rychło ustępuje miejsca chęci porzucenia tego tematu, którego jednak, z niejasnych przyczyn, nie da się już porzucić. Można to porównać do uczucia kogoś, kto znajduje się w środku koszmaru sennego: chciałby się obudzić i robi jakieś wysiłki, żeby się obudzić, ale nie może się obudzić i nie wiadomo dlaczego. Koszmar ma to do siebie, że jest powtarzalny, co powoduje — to właśnie nazwałem rodzajem psychozy — bardzo nieprzyjemne i zawstydzające tego, kto temu podlega, zubożenie: jeszcze kilkaset, jeszcze kilka tysięcy, jeszcze kilkadziesiąt tysięcy trupów. Jeszcze w ten sposób zabijali i jeszcze w ten sposób. Więc choć nie mogę zaprzeczyć, że kiedy czytałem relacje z Umschlagplatzu, popychało mnie do tej lektury coś w rodzaju ciekawości — zobaczyć, jak to wyglądało i jak to widzieli ci, którzy tam byli — teraz wolałbym z tego, co przeczytałem, nie zdawać tu sprawy. Ale jestem w środku i nie uda mi się obudzić. To po pierwsze. A po drugie, uważam, że mogę się na coś przydać, a jeśli mogę się przydać, to oczywiście nie wolno mi uchylić się od tej pracy. Na co mogę się przydać? Moja wiedza o tym, co Niemcy zrobili w moim kraju z Żydami, jest — zacząłem pisać tę książkę cztery miesiące temu — w porównaniu z wiedzą innych Polaków niewątpliwie ogromna. W porównaniu z wiedzą historyków żydowskich — czy z wiedzą historyków polskich, którzy zajmują się tym tematem, na przykład Władysława Bartoszewskiego — jest to wiedza mizerna, żeby nie powiedzieć: żadna. Nie wiem nawet, czy taka praca — opisanie Umschlagplatzu — nie została już przez kogoś z Yad Vashem wykonana. To bardzo prawdopodobne. Mam jednak nad innymi historykami, którzy zajmowali się lub będą się zajmowali Umschlagplatzem, pewną przewagę, która jakby predestynowała mnie do tej właśnie pracy. Jestem z wykształcenia historykiem literatury i przez wiele lat zajmowałem się interpretowaniem tekstów literackich. Czyli wydfubywaniem z nich poszczególnych słów i oglądaniem tego, co wydfubałem, z różnych stron. Akurat to może być w tym wypadku bardzo przydatne. Umschlagplatz nie istnieje i pozostały tylko opisujące go słowa. Przyszłe pokolenia będą pytały, co one znaczyły. Będę szczęśliwy, jeśli na coś się przydam. Ten wielki dług, który mamy do spłacenia, trzeba podzielić na małe części. Każdy niech zrobi coś, co potrafi. Tak żeby każdy mógł spłacić choć częśćkę.

Szła się Lesznem do Karmelickiej, a potem przez Nowolipki

i Zamenhofa na Stawki, „gdzie mieścił się Umschlagplatz”. Tak opisuje drogę na Plac Leokadia Schmidt w książce „Cudem przeżyliśmy czas zagłady”, Kraków 1983. Można było iść na Umschlagplatz inną drogą i były grupy, które pędzono Muranowską lub Miłą lub Niską. Droga przez Zamenhofa pojawia się w relacjach najczęściej. Na Stawkach była brama, o której — opowiadając o wejściu na Plac — Leokadia Schmidt nie wspomina. Według Marka Edelmana — „Getto walczy”, Warszawa 1945 — na Umschlagplatz prowadziła tylko jedna brama: „Otaczające go wysokie mury, pilnie strzeżone przez żandarmów, przerywają się w jednym tylko wąskim miejscu. Tym wejściem właśnie wprowadza się grupy bezradnych, bezsilnych ludzi”. Przy tym wejściu — jak wynika z książki Edelmana — odbywała się selekcja przeprowadzana przez żandarmów. Do tej sprawy jeszcze powrócę. W książce Hanny Krall „Zdążyć przed Panem Bogiem”, wydanej po raz pierwszy w latach siedemdziesiątych, Marek Edelman mówi, że ta jedyna brama prowadząca na Umschlagplatz była drewniana. Wspomina też znajdujący się przy bramie betonowy słupek, który i dziś — dziś to znaczy wtedy, kiedy Hanna Krall rozmawiała z Edelmanem — jeszcze tam stoi: „Słupek betonowy był ten sam”. Marek Edelman był gościem w szpitalu, który znajdował się na Umschlagplatzu. Stał przy bramie i z kolumn przychodzących na Plac wyprowadzał chorych lub raczej tych, których należało uratować i których — jako chorych — wyszukiwali w tłumie jego towarzysze z Bundu: „sześć tygodni stałem przy bramie”. Świadcstwo Edelmana należy oczywiście uznać za wiarygodne. Nie potrafię jednak rozstrzygnąć, do jakiego gatunku należałoby zaliczyć książkę Hanny Krall. To reportaż czy powieść? Zapewne to i to. A jeśli powieść, no to jednak wiarygodność nieco mniejsza. Tekst autorki: „Bramy już zresztą nie ma, stary mur zawałił się, jak budowano osiedle Inflancka”.

Według Władysława Szpilmana — „Śmierć miasta”, Warszawa 1946, relacja spisana przez Jerzego Waldorffa — Plac łączyło z miastem kilka ulic i był on zamknięty „u wylotu tych ulic bramami”. Szpilman miał zapewne na myśli Stawki, Niską, Dziką, może także Inflancką, a nawet Konarskiego i Młocińską, czyli ulice znajdujące się na północny zachód od bocznic. To wnioskuje z planu Warszawy oraz z planu getta. Wynika z tego, że była tam nie jedna brama, lecz kilka. Z opowieści Szpilmana można by też ewentualnie wyciągnąć wniosek — ewentualnie, bowiem opis nie jest precyzyjny — że jakaś brama lub bramy znajdowały się w ogrodzeniu — jeśli w ogóle było takie ogrodzenie — zamykającym bocznicę kolejową od północy. Sytuacja wygląda tak: Szpilman idzie w kierunku pociągu, po jednej stronie

są wagony, po drugiej kordon żydowskich policjantów. Ktoś — któryś z tych policjantów — rozpoznaje go, chwytą za kołnierz i wyrzuca poza kordon: „Obejrzałem się za siebie: tam była wolna przestrzeń torów kolejowych i peronów, a za nią wyloty ulic. Rzuciłem się w stronę tych ulic (...). Wśliznąłem się w oddział robotników gminy opuszczający plac i tak przeszedłem przez bramę”. Chyba mowa jest tu o jakiejś bramie znajdującej się za torami i peronami, czyli od strony północnej. Jeśli tak, to powstaje pytanie, na które nie znalazłem odpowiedzi w żadnej ze znanych mi relacji: czy pociągi z Umschlagplatzu przejeżdżały przez jakąś bramę? Ale może brama, przez którą przeszedł Szpilman, jest tą samą — jedyną — bramą, o której pisał Edelman. Z Umschlagplatzu — poza tą jedną bramą lub kilkoma bramami — były chyba jeszcze inne wyjścia: będzie o nich mowa, gdy przejdę do opisu budynków.

Sprawa muru, który otaczał Umschlagplatz. O murze pisze Hanna Krall w „Zdążyć przed Panem Bogiem”: „przy porządkowaniu osiedla zawalił się stary mur, ale szybko postawiono w tym samym miejscu kawałek nowego z białej, zdrowej cegły”. O wysokich murach mowa jest także — już cytowałem to zdanie — w książce Edelmana „Getto walczy”. Według Leokadii Schmidt Umschlagplatz zamknięty był murem tylko z jednej — nie wiadomo, z której — strony: „Z jednej strony zamykał go gruby, wysoki mur”. Z książki Szpilmana wynikałoby natomiast, że Umschlagplatz otoczony był nie murem, lecz parkanem: „częściowo otoczony domami, częściowo parkanami”. Parkan — nie tyle w słownikowym znaczeniu tego słowa, ile w potocznym, teraz i wówczas, odczuciu — to ogrodzenie zbite z desek. Nie jest jednak wykluczone, że Szpilman mówiąc o parkanie miał na myśli mur. Lub że Jerzy Waldorff — zapisując jego słowa — z muru zrobił parkan. Jeszcze jedna możliwość: Umschlagplatz ogrodzony był miejscami murem, a miejscami parkanem. I jeszcze jedna: ktoś mógł znaleźć się na Placu otoczonym murem, a ktoś inny na Placu otoczonym parkanem. Ci, którzy opisywali potem Umschlagplatz, mogli bowiem być tam w różnych etapach likwidacji getta. Marek Edelman stał przy bramie przez sześć tygodni, w lipcu i w sierpniu 1942 roku. Ale nie stał tam we wrześniu tegoż roku czy w styczniu roku 1943, a wtedy Umschlagplatz mógł wyglądać inaczej. Niemcy wciąż coś w getcie warszawskim zmieniali i wciąż stawiali tam jakieś płoty, mury, bramy i zasieki. Tę możliwość należy brać pod uwagę nie tylko w wypadku muru i prawdopodobnie tłumaczy ona przynajmniej niektóre — jednak na pewno nie wszystkie — rozbieżności, jakie spotyka się porównując różne relacje. Marek Edelman mówi, że mury były

wysokie. Również według Leokadii Schmidt Umschlagplatz zamykał „gruby, wysoki mur”. Mur nie był jednak bardzo wysoki, bowiem — to także informacja z książki Leokadii Schmidt — można było się nań wdrapać: „Korzystając z ciemności ludzie wdrapywali się na mur otaczający plac”. W murze były jakieś otwory. Nie udało mi się stwierdzić, czy były to otwory wykonywane nocą przez ludzi oczekujących na Placu, a potem — na rozkaz Niemców — zamuroywane, czy też były to jakieś nieco, jeśli tak można powiedzieć, trwalsze wyrwy lub wyłomy. Lub takie wyłomy, które zawsze w tym murze istniały. Emanuel Ringelblum w „Notatkach z getta” wspomina tylko o rozstrzelaniu tych, którzy „nocą próbowali zbiec przez otwory w murach”.

Za murem lub za parkanem był Plac. Według Władysława Szpilmana Plac był „kształtu owalnego” i mógł pomieścić „do ośmiu tysięcy ludzi”. A więc duży — zdaniem Leokadii Schmidt: „raczej duży” — Plac, Leokadia Schmidt nazywa go również podwórzem oraz wielkim podwórzem. Słowa podwórze używa także Henryk Nowogródzki: „Na dole na podwórzu krąży wartownik”. W tym wypadku nie jest jednak całkiem pewne, czy chodzi o Umschlagplatz czy o jakieś podwórze na ulicy Niskiej. Na Placu — lub raczej: wokół czy przy Placu — stały dwa budynki. Leokadia Schmidt została wepchnięta do „jakiegoś budynku”. Mowa jest też w jej relacji o tym, że przy Placu stał „kilkupiętrowy budynek, w którym się znajdowaliśmy, a dalej budynek szpitalny”. Ten pierwszy budynek to gmach dawnego archiwum na Stawkach i tak będę go dalej nazywał. Choć właściwie oba budynki można by nazwać budynkami szpitalnymi. W tym pierwszym — czyli w gmachu archiwum — mieścił się bowiem podczas wojny szpital dla zakaźnie chorych i dopiero w czasie wielkiej likwidacji część budynku przeznaczono — słowa Leokadii Schmidt — „na tymczasowe przetrzymywanie ludzi do wysyłki”. W budynku drugim znajdował się natomiast szpital dziecięcy przeniesiony na Stawki z ulicy Śliskiej oraz — jak pisał Marek Edelman w książce „Getto walczy” — „małe ambulatorium dla nagłych wypadków”. Budynek szpitala dziecięcego Edelman w książce Hanny Krall nazywa także szkołą zawodową: „W tej szkole zawodowej mieścił się nasz szpital”. Ale szkoła zawodowa ulokowała się w budynku szpitalnym dopiero w latach powojennych. Niewyjaśniona — i chyba już nie do wyjaśnienia — jest wysokość obu tych budynków. W kilku relacjach mówi się o tym, że górne piętra były pilnowane, że Niemcy wybierali piętrami i że uciekano przed nimi z piętra na piętro. W gmachu archiwum były — Leokadia Schmidt — „schody na górę”. W tej

samej relacji mowa też jest o górnych piętrach gmachu szpitala dziecięcego: „Na górę do szpitala policja nie chciała nas wpuścić”. O górnych piętrach tego gmachu wspomina też Adina Błady Szwajger w relacji „Krótka historia szpitala Bersonów i Baumanów (1939-1943)”: „Tylko pamiętam te drzwi szpitala i te schody, na których leżeli ludzie i ten straszliwy smród ropy i kawy”. Oraz: „szłam coraz wyżej i tylko się starałam, żeby nie deptać po ludziach, a tam leżały trupy i żywi razem. Aż doszłam na to nasze trzecie piętro”. W poetyckim reportażu Władysława Szlengla „Co czytałem umarłym” — Szlengel opierał się pisząc go na opowiadaniach tych, którzy uciekli z Umschlagplatzu w drugiej połowie stycznia 1943 roku — jest takie zdanie: „chodzą po piętrach, szukając wody”.

Z książki „Zdążyć przed Panem Bogiem” wynikałoby, że budynek archiwum — Edelman nazywa go budynkiem szkolnym — był trzypiętrowy: „na trzecim kończyła się ich aktywność i energia, bo wyżej nie można było iść”. W książce „Getto walczy” Edelman wspominał natomiast „trzypiętrowe budynki poszkolne”. Może więc w obu budynkach — tym, który był niegdyś budynkiem archiwum i tym, w którym znajdował się w czasie likwidacji szpital dziecięcy — kiedyś, przed wojną, mieściły się jakieś szkoły? W tej samej książce mowa jest też o tym, że w którymś z budynków można się było ukryć na strychu. Kiedy zaczyna się załadunek do wagonów, tłum biegnie schodami i „kryje się w ciemne dziury na strychu”. Edelman zapamiętał, że ktoś przesiedział na tym strychu trzy dni i że kilka skifistek — Skif to była harcerska organizacja Bundu — ukrywało się tam pięć dni. Chodzi chyba o strych w budynku szpitala dziecięcego, bowiem w budynku archiwum, gdzie czekano na załadowanie, „wyżej nie można było iść”. Wyżej niż na trzecie piętro. Według Władysława Szlengla ukrywano się także w piwnicach: „Na razie udało się około 100 osób ukryć w piwnicy. Potem 200... Ludzie kryją się w piwnicach”. Trzy piętra oraz strychy i piwnice. Może w jednym lub może w obu budynkach. Ale nie na pewno. W relacji Henryka Nowogródzkiego — „3 dni na Umschlagplatzu” — są bowiem takie zdania: „Nocą kilku śmiazków podejmuje próbę. Przemykają się przez korytarze. Z wysokości piątego piętra jest przejście napowietrzną kładką na dach sąsiedniego domu przy ul. Niskiej. Trzeba przebyć kilka metrów niby nad przepaścią”. Trzy czy pięć pięter? I który z budynków był trzy, a który pięciopiętrowy? Z książki Edelmana — tej z roku 1945 — wynikałoby, że oba były trzypiętrowe. Napowietrzna kładka pojawia się tylko w relacji Nowogródzkiego i żadna inna relacja o niej nie wspomina. Ale — jak powiedziałem — znam tylko relacje

spisane po polsku lub przetłumaczone na polski. Może kładka jest także w jakiejś nieznannej mi, hebrajskiej lub żydowskiej relacji? Z tego, co pisze Nowogródzki, nie da się też ustalić charakteru kładki. Czy położyli ją ci, którzy zamierzali uciec z Umschlagplatzu? Czy było to jakieś stałe — może wykonane już przed wojną — przejście łączące Niską ze Stawkami?

Jeszcze jedno pytanie: czy na terenie Umschlagplatzu były tylko dwa, czy trzy budynki? Leokadia Schmidt mówi wyraźnie o dwóch budynkach: budynku archiwum oraz budynku szpitalnym. Ale wspomina też jakiś trzeci — chyba trzeci — budynek: „w którym dawniej mieściło się kąpielisko”. I dodaje, że obecnie — czyli w roku 1942 — „został on zamieniony na ambulatorium”. Nie jest jednak całkiem jasne, czy ten budynek — kąpielisko ambulatorium — to na pewno jest trzeci budynek. Dopuszczalna wydaje się bowiem również taka interpretacja tego fragmentu relacji, w której kąpielisko, ambulatorium zostanie przypisane do budynku szpitala dziecięcego. To, co pisze Marek Edelman w książce „Getto walczy”, wydaje się potwierdzać tę interpretację: jest w tej książce zdanie, które „małe ambulatorium dla nagłych wypadków” umieszcza w budynku szpitala dziecięcego. Ale w tej samej książce jest również inne zdanie, którego część już cytowałem i które mówi o budynkach poszkolnych: „trzy duże trzypiętrowe budynki poszkolne”. Więc były dwa czy trzy budynki? Sprawę komplikuje jeszcze barak, o którym Edelman wspominał opowiadając Hannie Krall o betonowym słupku przy bramie. Słupek ten sam, co wtedy i barak — tyle wynika chyba z tej opowieści — też ten sam. Barak to trzeci czy czwarty budynek? Raczej czwarty, jako że barak nie może być trzypiętrowy. Dalsza komplikacja. Michał Jaworski, który znalazł się na Umschlagplatzu w kwietniu 1943 roku, pisze w relacji „Plac Muranowski 7” — „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego”, rok 1974 — że po wejściu na Plac znalazł się w jakiejś hali: „Prowadzono nas przez dużą halę”. Czy ta hala to barak, o którym mówił Edelman? Chyba nie: barak to przecież długi, parterowy, niezbyt szeroki budynek. Hala była duża, a więc zapewne szeroka. Halę z relacji Jaworskiego można by uznać za tożsamą z parterowym pomieszczeniem budynku, w którym niegdyś mieściło się archiwum. W tej relacji jest jednak jeszcze takie zdanie: „Po opuszczeniu hali skierowano nas do budynku”. Hala nie była więc częścią jakiegoś budynku i chyba stała osobno, była czymś osobnym. Może postawiono ją dopiero w roku 1943, a w czasie wielkiej likwidacji jeszcze jej nie było? Może to piąty budynek Umschlagplatzu? Nie wiem. Wiele rzeczy pozostaje do wyjaśnienia. Na przykład nawierzchnia tego terenu,

który w relacjach nazywany jest podwórzem. Czy ci, którzy się tam dostali, leżeli lub siedzieli na wydeptanej trawie? Na gołej ziemi? Na bruku? Na asfalcie? Żadna z relacji, które potąd przeczytałem, nic o tym nie mówi. Wróć jeszcze do opisu Umschlagplatzu.

Istnieje podobno dyrektywa metodologiczna — użyłem słowa podobno, bowiem została ona zapisana w języku hebrajskim i znam ją tylko ze słyszenia — a więc istnieje dyrektywa sformułowana przez jakiegoś historyka lub jakichś historyków żydowskich, która mówi, że dziejów warszawskiego getta nie sposób opisać przy użyciu metod używanych do opisywania innych wydarzeń dziejowych. Wydarzyło się coś takiego, co jeszcze nigdy potąd się nie wydarzyło i żaden ze znanych historykom sposobów opisu nie da się wobec tego zastosować. Dotyczy to szczególnie dziejów powstania w kwietniu 1943 roku. To, co wiem o Umschlagplatzu, zdaje się potwierdzać tę dyrektywę. Wskazany byłby opis chronologiczny — było tak, a potem to się zmieniło i było tak — ale to jest niewykonalne. Wskazany byłby opis strukturalny — uwzględniający jakieś wewnętrzne związki między poszczególnymi faktami i wewnętrzną konieczność tych faktów — ale i tego nie da się wykonać. Wskazane byłoby odczytanie dziejowego znaczenia tego, co się wydarzyło — co wymaga porównania tych wydarzeń z jakimiś innymi wydarzeniami — a więc i to także jest nie do wykonania: wydarzyło się przecież coś, czego z niczym nie da się porównać. Dyrektywa żydowskich historyków mówi podobno, co następuje: ponieważ żadna ze znanych nam metod opisu wydarzeń dziejowych nie da się w tym wypadku zastosować, należy — na użytek przyszłych pokoleń — stworzyć jakąś wizję tego, co się tam wydarzyło. Wizję, która — jak się domyślam — uchwyciłaby jakieś niejasne, dopuszczalne znaczenie tych wydarzeń. Wydaje mi się, że jest to rozsądna wskazówka. Niepokoi mnie tylko słowo wizja, ponieważ wizja to coś bardzo subiektywnego. Ktoś ma taką wizję, a ktoś całkiem inną. Ta wizja — pozostaniemy przy tym słowie — powinna więc być maksymalnie wstrzemięźliwa. Tylko tyle, ile da się zobaczyć. Ile ktoś, kto to wtedy widział, zobaczył. Wybite okno, talerz ze stygnącą zupą w opuszczonym mieszkaniu, pierze — było dużo pierza, bo sprzedawano wsypy i spano w pierzu — nad Łesznem, nad Miłą. Kilka skifistek na strychu, kładka na wysokości trzeciego lub piątego piętra, mur na który się wdrapywali. To wystarczy. Jeszcze do tego powróć.

— Pomóż mi, Boże Żydów i Boże Polaków — myśli osiem-

dziesięcioletni Icyk Mandelbaum wjeżdżając windą na dwudzieste drugie piętro tego nowojorskiego wieżowca, w którym teraz mieszka albo siedząc tamże, to znaczy na dwudziestym drugim piętrze tego wieżowca — wieżowiec na rogu ósmej avenue i siedemdziesiątej pierwszej ulicy — przy biurku, na którym leży wieczne pióro, Parker ze złotą stalówką i stoi w skórzanej ramce — ramkę przywiozła mu przed dwoma laty w prezencie z Warszawy moja żona, Hania — fotografia Chai Gelechter, na której to fotografii, zrobionej niewątpliwie nad Świdrem, ponieważ Chaja w kostiumie kąpielowym i w czapeczce — jest to rodzaj chustki zawiązywanej z tyłu głowy, ale chustki z daszkiem — stoi na niej, to znaczy na tej fotografii, po kostki w wodzie, a za nią, to znaczy za Chają, widać krzaki wikliny i dalej, tam gdzie rzeka zakręca, jakieś kąpiące się dzieci, chyba troje, ale nie, pod gałęziami dotykającymi wody ukryło się czwarte, a więc czworo dzieci, a więc na której to fotografii obok Chai stoi jakaś pani, także w kostiumie kąpielowym — Chaja w kostiumie białym, jakaś pani w czarnym — i także w takiej czapeczce, co jest chustką z daszkiem — ale jeśli chodzi o tę panią, to moja pamięć mnie zawodzi i nazwisko tej pani, nawet jeśli ukryte jest w mojej pamięci, to właśnie jest ukryte i raczej nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby kiedyś udało mi się odnaleźć tę komórkę, która przed pięćdziesięciu laty została zamknięta czyli żeby nazwisko tej pani złożone w tej to komórce, w tym to bunkrze, w tej to zamurowanej piwnicy mojej zawodnej pamięci miało jakąkolwiek szansę wydobyć się na powierzchnię, z czego wynika, że o tej jakiejś pani nie da się powiedzieć nic ponadto, że ta pani nie żyje, w której to sprawie można mieć niemal stuprocentową pewność — przysłówek niemal nadaje się niemal niewątpliwie do skreślenia — a jeśli chodzi o troje dzieci, czwarte ukryte za gałęziami na zakręcie Świdra, to pewność i niepewność wynoszą, każda, po pięćdziesiąt procent, ale przypuszczam, że raczej nie żyją, chyba że były to chrześcijańskie dzieci, które tego dnia, kiedy zrobiona była ta fotografia, przybiegły nad Świder i śmiały się za dotykającymi wody gałęziami: — O, Żydki się kąpią. — Jeszcze o jakiejś pani, co do której mam stuprocentową pewność: to, co mnie przejmuję, co odczuwam jako przejmujące, to nie jest los około 310.000 wywiezionych między lipcem a wrześniem, w czasie wielkiej likwidacji, ponieważ to jest oczywiście niewyobrażalne, choć jakoś źle tu się wyraziłem, jest to wyobrażalne i w dosłownym sensie tego słowa oczywiste, gdyż widzę — na to nie potrzeba wielkiej wyobraźni — tłum idący przez Żelazną albo Lubeckiego w kierunku boczny odchodzącej od torów w odległości kilkuset metrów od Dworca Gdańskiego, więc

jest to wyobrażalne, ale to wyobrażenie — nie wiem, jak to powiedzieć — dociera tylko do mojej świadomości i moja świadomość uznaje to wyobrażenie za przejmujące, natomiast kiedy patrzę na tę ładną panią, która stoi po kostki w wodzie i o której moja pamięć nie ma mi nic do powiedzenia — jest to rodzaj chustki zawiązywanej z tyłu głowy, ale chustki z daszkiem — moja świadomość gubi się czy zatraca, przestaje pracować i to co odczuwam — znów nie wiem, czy to się da jakoś powiedzieć — to jest coś w rodzaju ssania, które umiejscowione jest gdzieś w moim ciele, pomiędzy krtanią a płucami, lub coś w rodzaju skurczu płuc czy skurczu tchawicy, który utrudnia mi oddychanie, tak jakby wyobrażenie tej ładnej pani stojącej po kostki w wodzie i jednocześnie idącej ulicą Zamenhofa w kierunku boczniczy wywoływało we mnie jakiś paniczny lęk lub tak jakby jej lęk — wiem przecież, że ona idąc ulicą Zamenhofa okropnie się boi — łączył się z moim czy stawał się moim lękiem, a tak to właśnie odczuwając, to znaczy ogarnięty właśnie takim panicznym lękiem, jej i moim, mam w głowie tylko jedną myśl: żeby jakoś ją stamtąd wyrwać, żeby ona wyciągnięta przeze mnie z tego tłumu — około 310.000 — pozwoliła mi się objąć i położyła głowę na moim ramieniu, żeby choć na chwilę przestała się bać, ponieważ naprawdę nie ma się czego bać, usiądziemy oboje na skraju chodnika i poczekamy, aż ten tłum eskortowany przez szaulisów minie nas i skręci z Zamenhofa w Niską, a potem ja ją spróbuję jakoś stamtąd wyprowadzić i na pewno nam się uda, bo przecież ona nie jest wcale ale to wcale podobna. Jej okropny strach: boi się każdym kawałkiem skóry, każdą myślą i gdy patrzę na nią, kiedy brodzi w Świdrze, jest tak jakby każdy kawałek jej skóry, każda jej myśl były we mnie, gdzieś pomiędzy moimi płucami a moją tchawicą.

— Pomóż mi — myśli Icyk patrząc na fotografię Chai i tej jakiejś pani — Boże Żydów i Boże Polaków i pomagając prowadź moją rękę, a jeśli ta prośba zanesiona do Twojego tronu wydaje ci się — jako że pochodzi od kogoś, kto nie wierzy w Twoją sprawiedliwość i w Twoje miłosierdzie — bezczelna, to zwracam Ci uwagę na to, że wśród tych wszystkich prośb, które codziennie przyjmujesz, ta moja prośba wyróżnia się tym, że jest — jeśli wolno mi tak powiedzieć — na Twoją miarę, czyli że nie proszę Cię o coś, czego spełnienie jawnie przekracza Twoje możliwości, a więc na przykład o to, żebyś stworzył tę komórkę mojej pamięci, w której zamknięte jest nazwisko tego kogoś, tej jakiejś pani, która stoi na fotografii obok Chai albo na przykład o to, żebyś pomógł mi opisać tego kogoś, tę panią, kiedy w tłumie eskortowanym przez szaulisów i żydowskich policjantów skręca

z Zamenhofa w Niską. Co do mojej pamięci, to wiem, że sam muszę sobie dać z nią radę, ponieważ to jest moja pamięć, a nie Twoja. A co do rogu Zamenhofa i Niskiej, to wiem, że nie mogę żądać, żebyś przypomniał sobie kogoś, kto zgubił Ci się w tłumie 310.000: jak był ubrany — kolor sukienki i pantofli — i o której godzinie został wepchnięty do śmierdzącego chlorem wagonu. Moja prośba dotyczy więc tego, co możesz wykonać i co nie powinno sprawić Ci trudności: prowadź moją rękę i niech to, co sobie przypomnę, będzie zapisane akurat tak, jak to sobie przypomniałem. Tylko tyle. Jak widzisz, nie jest to jakaś wielka prośba. Pomóż mi opisać ten poranek nad Świdrem, kiedy to Chaja śmiejąc się i rozpryskując wodę wbiegła do rzeki — wielka mi rzeka: woda tam po kostki lub co najwyżej po kolana — i stając obok tej pani, której nazwiska nie pamiętam, powiedziała do kogoś, kto także stojąc w wodzie trzymał na wysokości brzucha aparat fotograficzny: — No to pstrykaj. — Na co ten ktoś, kto patrzył w lustrzaną, powiedział: — Za pięćdziesiąt lat twój wnuk oglądając to zdjęcie powie: — Moja babka to była chichotka. — Nie jest wykluczone, że to ja byłem tym kimś, kto stojąc po kostki w wodzie trzymał na wysokości brzucha ten aparat. Albo pomóż mi — może raczej od tego zacznę — opisać to lipcowe popołudnie w roku 1937, pnące róże kwitnące po obu stronach werandy w ogrodzie Sary Fliegeltaub, a także każdy ze schodków — były cztery schodki — po których schodziło się z tej werandy do ogrodu, a także tych, którzy tego popołudnia siedzieli na werandzie w trzcinowych fotelach, a więc Chaję, Jakuba Wurzła, Sarę Fliegeltaub i Icyka Mandelbauma, wówczas lat trzydzieści. Pomóż mi, niech mój opis będzie tożsamy z tym, co opisuję i niech nic nie zostanie pominięte, bowiem każde słowo, każdy schodek, każdy uśmiech, każdy listek pnącej róży chcą być pamiętane. Pomóż mi dać świadectwo, Boże Żydów, który jesteś także Bogiem Polaków i niech będzie to świadectwo godne i sprawiedliwe. Albowiem godne to i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne, abyśmy zawsze i wszędzie pamiętali o tym, co się nam przydarzyło na tym świecie, gdyż to, co się nam tu przydarzyło, przydarzyło się także i Tobie, mój Boże.

— Zacznę od schodków — myśli Icyk Mandelbaum — bo wiem wierne opisanie schodków — tylko cztery deski, co prawda dość długie — wydaje się stosunkowo najłatwiejsze. Schodki były szare, szarawe — odcienie tej szarości nie do opisania — jako że willa, w której mieści się pensjonat Stary Fliegeltaub, zbudowana została na początku wieku dwudziestego i drzewo, z latami, myte deszczami i schnące na słońcu, straciło swoją przyrodzoną barwę. W środku pierwszego schodka była wąska szpara biegnąca od

słoja — słój nieco ciemniejszy, można by nawet powiedzieć: nie szary, lecz czarny — który znajdował się między trzema zardzewiałymi łebkami gwoździ wbitych tuż przy krawędzi tej zszarzałej deski. Schodek przedostatni był tylko połową schodka — ktoś, kiedyś, zbyt mocno postawiwszy nogę przełamał go wzdłuż i odłamaną część deski rzucił pod werandę, gdzie leżały także trzy zardzewiałe puszki po farbie olejnej, biała butelka z wygiętą szyją, napis: Odol i kółko od dzieciennego wózka, ale bez opony — i może dlatego, że przegniły podtrzymujące go tregry, a może dlatego, że przerdziały gwoździe, którymi połączono go z tregrami, chwiał się — ten schodek — niebezpiecznie, kiedy ktoś trafił nań czubkiem bucika, choćby to była nawet osoba tak lekka, tak ulotna, tak niematerialna jak Chaja, która nie tyle chodziła, ile unosiła się, przesuwała, fruwała nad zwirowaną ścieżką, podłogą — także szare deski — werandy albo dywanem w jadalni: brzydko zacerowane rozdarcie w rogu przy serwante. Schodka drugiego i schodka ostatniego nie pamiętam. Niewysłowione, nie zapamiętane, nieopisane, nie do opisanie. Gdzie były cztery schodki, tam jest teraz trawa. Albo krzak jakiś, powiedzmy, tarnina. Albo wjazd do garażu lub drzwi do garażu, jeśli na fundamentach willi Sary Fliegeltaub wybudowano jakąś inną willę, co prawdopodobne. Albo płyta chodnikowa, zacementowana i ściśle połączona z innymi płytami, jeśli przez ogród Sary Fliegeltaub poprowadzono w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych jakąś nową ulicę, co także prawdopodobne. Albo dziura, jama, sztolnia, tam gdzie były te schodki, weranda i willa, dziura prowadząca do piekła czyli do szeolu lub, co jeszcze gorsze, dziura wprost do nicości, dziura w nic. Powracasz do miejsc, w których byłeś niegdyś, stawiasz stopę tam, gdzie niegdyś stawiałeś i nagle zapadasz się w tę dziurę, w nic. Pomóż mi Boże Żydów i Boże Polaków, bo chcę dać świadectwo.

— Przyznaj się, Szlojmele — mówi stojąca na ostatnim schodku — czyli tym, którego nie pamiętam — Sara Fliegeltaub. — No powiedz panu Wurzlowi, ile ja ci płacę.

Szlojmele stoi tuż przy werandzie, na tle pnących róż i nic nie mówi, bo o czym tu mówić, jeśli oboje, i on i Sara Fliegeltaub, dobrze wiedzą, ile ona mu płaci i ile on zarabia i jeśli oboje wiedzą też, o co chodzi Sarze, kiedy wydobywa z siebie to pytanie: chodzi o to, żeby Szlojmele naprawił te schodki, czyli żeby przyniósł z komórki deskę i przybił ją na miejscu tego schodka, co nie jest już schodkiem, lecz połową schodka. Na co Szlojmele nie ma wcale ochoty, może dlatego, że właśnie dialoguje, jednak tylko niejasno zdając sobie z tego sprawę, ze swoim żydowskim Bogiem lub z którymś z demonów tego Boga i odry-

wanie starej deski oraz dopasowywanie i przybijanie nowej mogłoby mu w tym niejasnym dialogu przeszkodzić, a może dlatego, że po prostu mu się nie chce, po co ma przybijać nową deskę, jeśli ta stara, choć niepewnie, wciąż się jeszcze trzyma. I właściwie trudno mu się dziwić, no bo dlaczego miałby się zabierać do tej roboty, na co to komu, jeśli za trzy albo cztery lata nie będzie już ani tych schodków, ani Szlojmele, deski do pieca — pierwsza wojenna zima była bardzo ciężka, dwadzieścia kilka stopni mrozu, w nocy do trzydziestu — więc deski do pieca i Szlojmele do pieca. Z tej to zatem przyczyny albo z jakiejś innej Szlojmele nie odpowiada pani Sarze i odchodzi kuśtykając na prawą lub na lewą nogę, bo pamiętam, że kuśtykał, ale na którą nogę, tego nie wiem, moja pamięć nie potrafi tego odtworzyć i przedostatni schodek na zawsze już pozostanie w mojej pamięci — a także w pamięci mojego Boga — jako połowa schodka, chwiejna, gdy się na nią stąpnie. Tyle o schodkach, więcej nie pamiętam. Dodam jeszcze tylko, że pewnego dnia Icyk stojąc właśnie na tych schodkach, na tej połowie schodka i lekko się na niej kołysząc powiedział do Chai Gelechter, która siedziała na werandzie w trzcinowym fotelu i paliła papierosa? piła kawę? czytała gazetę? tom wierszy? wierszy Icyka? ale mógł być to również tom Rimbauda lub Verlaine'a, po francusku, zresztą wszystko jedno, ważne jest, że Chaja pogrążona w Verlaine'ie, w gazecie — „Literarische Blätter”? „Unser Wort”? — w paleniu papierosa, w picciu kawy, ale jednak najpewniej w gazecie — „Nasza Opinia”? „Nasz Przegląd”? — w której tego dnia wydrukowano recenzję z „Dybuka” Szymona Anskiego, w którym to przedstawieniu Chaja grała podrzędną, trzecioplanową rolę, jeden z tak zwanych ogonów, co — myślę o tym grywaniu ogonów — było przyrodzonym losem Chai, ponieważ nie da się powiedzieć, że Chaja była utalentowaną aktorką: — *Hélas* — powiedziała kiedyś — ja jestem kompletnie pozbawiona talentu, no wprost kompletnie jestem beztalencie — więc ważne jest tutaj to, że Chaja w ogóle nie zwracała uwagi na niebezpiecznie rozkołysanego Icyka, kiedy ten powiedział coś, czego powiedzieć niewątpliwie nie powinien: — Kocham panią, panno Gelechter. I uważam, że powinna pani to wziąć pod uwagę.

— Kiedy dziś o tym myślę — myśli Icyk na rogu ósmej avenue i siedemdziesiątej pierwszej ulicy — nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego wy dobyłem z siebie wówczas takie dziwne zdanie i dlaczego, zdobywszy się wreszcie na to wyznanie, nazwałem Chaję, z którą od dawna — chyba od roku — byłem po imieniu, panią i panną, dorzucając do pani i panny jeszcze i nazwisko. Dlaczego nie powiedziałem: — Kocham cię, Chaja. — Albo: —

Ja cię kocham i weź to pod uwagę. — Nie wiem. Może łącząc panią i pannę z nazwiskiem Gelechter chciałem uczynić to wyznanie czymś jakby solenniejszym, czyli czymś, co byłoby rodzajem oświadczyn? Ale może pani i panna miały — przeciwnie — odjąć temu wyznaniu wszelką solenność i uczynić go wyznaniem nieco ironicznym? Nie pamiętam. Chaja, usłyszawszy, że jest dla mnie panią i panną Gelechter, powinna się była roześmiać — i chyba właśnie tego, jak tylko wydobyłem z siebie to zdanie, oczekiwałem — ale nie roześmiała się i tylko tak jakoś dziwnie na mnie popatrzyła, jakby trochę zasmucona lub trochę zaniepokojona solenną formą tego wyznania albo, przeciwnie, zaniepokojona lub zasmucona jego ironiczną formą, a Icyk, nie wiedząc, czy powinien uznać, że ona go nie dosłyszała i powtórzyć jeszcze raz to, co już powiedział, czy raczej przyjąć, że ona usłyszawszy to jego wyznanie, wolała na nie w ogóle nie zareagować, kołysał się nadal — i to dość długo: dwie lub trzy minuty — na połowie schodka, a potem, doszedłszy do wniosku, że nie należy przedłużać takich sytuacji, zeszedł ze schodków i zniknął w ogrodzie, między krzakami jaśminu. Stoi tam po dziś dzień, z rękami w kieszeniach, z nosem wetkniętym między dwie gałązki, zastanawiając się, czy nie popełnił błędu pozostawiając to swoje wyznanie, tam na werandzie, zawieszona w powietrzu, krążące nad Chają — nad panną Chają Gelechter — jak motyl bielinek, taki co to lata to tu, to tam i nie jest pewien, gdzie ma usiąść: bo może powinien nalegać, żądać odpowiedzi lub może powinien, zaraz po tym wyznaniu, rzucić się na nią i posiąść ją tam, na werandzie, pod trzepoczącym skrzydłem motyla bielinka, w trzcinowym fotelu lub na schodkach, po których wówczas, tysiąc i tysiąc i tysiąc lat temu schodziło się z werandy do ogrodu. Ale dość o schodkach, na ten temat nie mam już nic więcej do powiedzenia. Przechodzę do szlafroka Sary Fliegeltaub i pomóż mi Boże, który opuściłeś Żydów i Polaków, i choć minęło już niemal pół wieku, nadal nikt nie wie, czemuś to uczynił.

Szlafrok pani Sary można by ewentualnie nazwać szlafrokiem tureckim, choć mam poważne wątpliwości co do tego, czy był to rzeczywiście szlafrok turecki. Ale nawet jeśli nie był, to uważano go za turecki i słyszę, jak ktoś mówi: — O, idzie pani Sara w tureckim szlafroku — choć nie pamiętam, kim jest ten mówiący i w jakiej sytuacji zostało to powiedziane. Pozostało tylko to zdanie krążące nad werandą i krzakami jaśminu — motyl bielinek, który przeżył tysiąc lat — lub raczej krążące w mojej głowie, ponieważ jestem niemal pewien, że nikt poza mną nie pamięta tego zdania. Szlafrok był czarny — gatunku materiału nie potrafię nazwać — w wielkie, czerwone i żółte kwiaty. Na

wysokości brzucha, trochę po lewej, szlafrok był rozdarty. Pani Sara była osobą lubiącą porządek, a także lubiącą się chwalić, że lubi porządek, więc powinna była ten szlafrok zacerować, ale — z niejasnych dla mnie przyczyn — nigdy nie zacerowała. Kiedy wychodziła na werandę: — Niech pan sobie wyobrazi, panie Jakubie, że ten Żydek, który przywiózł mi wołowinę z Warszawy, liczy sobie za kilo złoty sześćdziesiąt, a na rynku wołowina jest po złoty czterdzieści — więc na werandzie, kiedy pani Sara dostrzegła, że ktoś przygląda się temu rozdarciu, wykonywała gest, który można by nazwać królewskim i kładąc dłoń na brzuchu zasłaniała rozdarte miejsce, po czym, wcale nie zmieszana, kontynuowała: — Żydki to tylko o tym myślą, jakby kogoś oszwabić. Ale to nie ze mną te numery. — Pani Sara uważała, że jak się jest właścicielką pensjonatu, to od czasu do czasu należy się wykazać łagodnie antysemitycznymi skłonnościami, ponieważ jest to niewątpliwie w dobrym tonie. Ale poza tym była przyzwoitą Żydówką. Co nie przeszkadzało jej wymyślać od Żydków, Żydłaków i chałciarzy tym chałciarzom, którzy przywozili do jej pensjonatu — tą kolejką, która odjeżdżała spod Mostu Kierbedzia — jakieś tam produkty. O Boże, ile ja bym dał za to, żeby móc wsiąść z moimi kapociarzami i chałciarzami do wagoniku takiej kolejki, która gwizdząc i parszcząc jedzie sobie powolutku spod Mostu Kierbedzia do Świdra, do Otwocka, do Karczewa. I nie chodzi tu nawet o to, że ja wprost uwielbiam wszelkie dojazdowe, elektryczne i parowe, naziemne oraz podziemne kolejki i że nie ma dla mnie większej przyjemności, niż jeżdżenie takimi kolejkami oraz studiowanie ich tras i rozkładów jazdy. Chodzi mi o tych kapociarzy, chałciarzy. O ten wrzask, zgiełk, rwetes i gwałt. Zrób coś takiego, Boże, żebym ja choć raz w życiu mógł się przejechać w tym zgiełku kolejką do Świdra. Zgiełk i wrzask z szeolu, z dziejowej przepaści. Ale to jest oczywiście prośba, która przekracza Twoje możliwości, więc ją wycofuję.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego pani Sara chodziła w szlafroku. Była przecież właścicielką przyzwoitego pensjonatu, do którego przyjeżdżali warszawscy i łódzcy inteligenci. Lub przynajmniej pensjonatu, który uchodził za przyzwoity. Lub który miał uchodzić za przyzwoity. Chyba gdzieś na początku lat trzydziestych pani Sara, osoba — delikatnie mówiąc — bardzo oszczędna, co miało niewątpliwie wpływ na ilość masła podawanego do śniadania oraz na jakość siekanych kotletów, które dostawaliśmy na obiad, zdobyła się na poważny wydatek i — pragnąc pozyskać nowych gości, a może także dać dowód, że ten anszalt, który prowadzi, jest na nie byle jakim poziomie — zamówiła

w drukarni Renoma, ulica Karmelicka 17, ulotkę reklamującą jej pensjonat. Na ulotce — szarozielony papier — było zdjęcie willi, bardzo korzystne, oraz następujący tekst: „Otwock. Willa Ustronie. Pensjonat jest wyjątkowo ładnie położony, w dużym ogrodzie kwiatowym, na skraju lasu sosnowego. Urządzony jest według wszelkich wymagań higieny, skanalizowany, ze światłem elektrycznym, radiem, patefonem. Posiada łazienki, wodę bieżącą gorącą i zimną, tarasy dla leżakowania i kąpeli słonecznych. Wy różnia się pięknymi, gustownymi pokojami, wyborowym towarzystwem i miłym nastrojem gości. Kuchnia wykwinna. Wikt pierwszorzędny 5-ciorazowy. Od 5 zł dziennie za pokój z utrzymaniem. W maju i w październiku cena niższa”. Wszystko to kłamstwo. No może nie wszystko, ale prawie wszystko. Owszem, był patefon, bo słyszę, jak jakiś tenor czy baryton śpiewa — była to ulubiona płyta Fejgi — pieśń „Flisacy”. Ale łazienka była tylko jedna, woda zwykle zimna. Taras — nie licząc werandy — też był tylko jeden i był to raczej balkon, a nie taras. O stanie kanalizacji lepiej nie wspominać, bo nie jest to miłe wspomnienie: zapach szamba zmieszany z zapachem igliwia, kiedy przy otwartym oknie stukam w klawisze mojego rozpadającego się Remingtona. Kuchnia była taka sobie i nastrój gości także taki sobie. Co do mojego, to najczęściej był fatalny, ponieważ Chaja nie chciała się ze mną przespać, siekane kotlety wydawały mi się cokolwiek podejrzane, a Hitler i Stalin byli bardzo blisko. Ja w ogóle nie jestem człowiekiem, który bywa w miłym nastroju i nawet gdyby w Moskwie nie odbywały się te wstrętne procesy, a Chaja była dla mnie znacznie miłsza, też miałbym jakieś pretensje do świata, ponieważ niektóre Twoje pomysły, mój Boże, podobają mi się, no powiedzmy średnio: taki już jestem, zawsze mam jakieś pretensje do kogoś lub czegoś, co przecież także jest Twoim pomysłem. Ale mniejsza o to. Ktoś, kto ma taki wykwinny pensjonat, chyba nie powinien pokazywać się gościom w szlafroku, nawet tureckim. Nie wykluczam zresztą takiej możliwości, że pani Sara chodziła w szlafroku tylko od czasu do czasu lub tylko rano lub tylko wieczorem. A częściej — zwykle — chodziła w jakiejś sukni, w jakichś sukniach. Ale ja pamiętam tylko szlafrok, czerwone i żółte kwiaty, rozdarcie na wysokości brzucha, po lewej. Dodam jeszcze, że szlafrok wyglądał — wygląda — na stary, ponieważ jego kloszowe rękawy były trochę wytarte, trochę wystrzępione. Ale może jest tak, że to moja wyobraźnia dodaje wystrzępione, wytarte końce rękawów do tego rozdarcia, a w rzeczywistości nie były one wytarte, wystrzępione.

Dalsze dzieje szlafrocka Sary Fliegeltaub. Nie wiem, co się z nim stało i niełatwo jest to sobie wyobrazić. Co mogło przyda-

rzyć się szlafrokowi? W trybie poetyckim można by wyobrazić sobie ten szlafrok unoszący się — rodzaj symbolu — ponad sosnami, dachami sanatoriów, wysokimi peronami i wieżą otwockiego dworca: z rozłożonymi rękawami, grożąc i ostrzegając, fruwa nad Otwockiem. Ale to licha poezja. Szlafrok z pewnością podarto na szmaty do podłogi. Uprzednio ktoś go może jeszcze używał. Opowiadała mi Zosia, że tam gdzie ona mieszkała w czasie wojny — pod Ostrowią Mazowiecką — Żydówki, kiedy zaczęła się likwidacja czy wysiedlenie, przychodziły do Polaków, z którymi się przyjaźniły, także do jej rodziców: — Pani weźmie tę kożę. — Albo: — Pani zabierze to krzesło. — Dobrze — mówili Polacy. — My to przechowamy. — Nie — mówiły Żydówki. — To jest prezent. — Inne opowiadanie Zosi, która była wtedy małą dziewczynką: — W dali był mur cmentarza — polskiego — i Zosia widziała, jak pod tym murem stawali ludzie z rękami założonymi na tył głowy, a potem ci ludzie znikali i pod murem stawali inni ludzie, którzy także znikali, a na ich miejsce przychodzili jeszcze inni, także znikający i to się powtarzało. Zosia nie rozumiała, co by to mogło znaczyć. Szlafrok można więc sobie wyobrazić — gdy mowa o jego dalszych dziejach — w różnych sytuacjach. Nosi go przez rok lub dwa — nim zostanie podarty na szmaty do podłogi — właścicielka willi sąsiadującej z willą Sary Fliegeltaub: — To jest prezent. — Albo szlafrok — jeśli pani Sara nie zdążyła się przebrać — pojawia się pod murem cmentarza i jakieś chrześcijańskie dziecko, które przygląda mu się z daleka, nie pojmuje, dlaczego tam, gdzie przed chwilą widziało czerwone i żółte kwiaty, jest znowu mur: szary tynk albo czerwona cegła. — I to już wszystko — myśli Icyk siedząc przy biurku na dwudziestym drugim piętrze albo stojąc w windzie, która wiezie go na dwudzieste drugie piętro — co mam przy Twojej, mój Boże, pomocy do powiedzenia na temat szlafroka, schodków, reklamy wydrukowanej w drukarni Renoma oraz innych przedmiotów, które z Twojego wyroku znalazły się w miejscu nazywanym przez nas — całkiem, jako że nic o tym miejscu nie wiemy, bezprawnie — szeolem, nicością i jeszcze tam jakoś. A jeśli, mój Boże, chciałbyś nadal ze mną współpracować w wydobywaniu z tego to miejsca jakichś tam przedmiotów, to nadal będę Cię prosił o pomoc. Tylko nie spodziewaj się, że będę Ci za tę pomoc wdzięczny, bowiem jeśli my nie możemy spodziewać się od Ciebie niczego dobrego, to i Ty nie powinieneś spodziewać się od nas niczego dobrego.

Kilka cytatów z „Dziennika” Adama Czerniakowa, senatora

Rzeczypospolitej, prezesa — w latach wojny — warszawskiego Judenratu. „4. I. 1940. Do biura przybył Rinde z podbitym na Nalewkach okiem i Wasserman z rozbitym nosem przez tłum uliczny na pl. Teatralnym, kiedy stoczył walkę w obronie katowanego przez tenże tłum Żyda”. „27. I. 1940. Na Marszałkowskiej i Poznańskiej bito dziś Żydów. W dzień i wieczorem”. „28. I. 1940. O godz. 22-ej pp. gromada łobuziaków, która od kilku dni bije Żydów, defilowała przed Gminą, wybijając szyby naprzeciwno. Wysłannik Gminy inż. Friede przez drugą grupę na ul. Elektoralnej pobity do krwi”. „24. III. 1940. Po obiedzie na ulicach żydowskich bicie Żydów z wybijaniem szyb. Rodzaj pogromu”. „25. III. 1940. Na ulicach pogromy. Na rogu Żurawiej bito i wybijano szyby”. „19. VIII. 1940. Na Pradze pobito w tramwaju Wassermana, urzędnika Gminy. Dziś przybiegli rabini przestraszeni zapowiadającym 'pogromem'. O 3-ej pp. byłem w SS, gdzie oświadczone mi, że się zatelefonuje do Ordnungspolizei o wysłanie patroli na Pragę”. „26. X. 1940. Motłoch bił dziś Żydów”. „9. VII. 1942. Po obiedzie ulicznicy polscy ciskają kamienie przez murki na Chłodną. Po uprzątnięciu przez nas cegieł i kamieni na środku ulicy Chłodnej nie mają wiele amunicji”.

Informacje na ten temat można też znaleźć w „Pismach z getta” Emanuela Ringelbluma, w „Kronice lat wojny i okupacji” Ludwika Landaua oraz w spisany w getcie warszawskim dzienniku Chaima Arona Kapłana „Księga życia”. Kapłan pisał tak: „Nigdy w stolicy Polski nie było takich burzliwych ekscesów, jak w dniach 24 i 25 marca tego roku. Ktoś za kulisami organizował grupy wyrostków, chuliganów (byli wśród nich nawet uczniowie), którzy napadali na przechodniów żydowskich. Taka grupa w liczbie kilkudziesięciu osobników uzbrojonych w pałki, kamienie itp. — otaczała kilku lub kilkunastu Żydów i biła ich bez litości. Na ulicach Warszawy odbywały się po prostu polowania na Żydów”. Redaktorzy „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego”, gdzie „Księga życia” została — nr 45-46/1963 rok — opublikowana, usunęli z marcowego zapisu Kapłana pewne — jak można przypuszczać: zbyt drastyczne — fragmenty. O wypadkach marcowych roku 1940 wspomina również Marek Edelman w wydanej przez Centralny Komitet Bundu w roku 1945 książce „Getto walczy”. Według Edelmana kilkudniowy pogrom zorganizowany został przez Niemców, którzy zwerbowali „polskie męty płacąc im po 4 zł za dzień roboczy”. Czwartego dnia — to także informacja z książki Edelmana — Bund przeprowadził akcję odwetową i wtedy doszło do „dużych walk ulicznych” w rejonie Hal Mirowskich, Placu Grzybowskiego, Karmelickiej i Niskiej.

Czerniaków pisze, że często zadawał sobie pytanie, czy Polska to jest Mickiewicz i Słowacki czy te łobuzy z Chłodnej i Żurawiej. Następne zdanie: „Prawda leży pośrodku”.

— Oczywiście znajdują się tacy — mówię — którzy posługując się wyrażeniami często używanym przed wojną przez endeckich dziennikarzy powiedzą, że to jest jakieś żydowskie aj waj. Niemcy przygotowywali właśnie plany totalnej eksterminacji, więc to, że jakiś łobuz rzucił kamieniem czy że komuś rozbito wtedy nos na Elektoralnej, nie miało chyba — zważywszy na to, co niebawem wykonali Niemcy — większego znaczenia. Ale ja, kiedy czytam te zapiski Czerniakowa, Kapłana, Ringelbluma, skrećam się ze wstydu i wydobywa się ze mnie polskie olaboga i ojej: jak myśmy się mogli wtedy tak zachować.

— Nie my — mówi Hania — tylko te łobuzy. Zaraz powiesz, że ja też jestem za to odpowiedzialna.

— Ty jesteś Żydówką — mówię — więc nie jesteś odpowiedzialna. Ale ja jestem. Chętnie zbyłbym się tej odpowiedzialności i powiedział: — To nie ja, to te łobuzy, więc mnie to nic nie obchodzi. — Ale czuję, że byłoby w tym coś nieprzyzwoitego.

— Ja jestem zasymilowana — mówi Hania — więc nie jestem Żydówką. Kto się zasymilował, ten się zasymilował czyli jest Polakiem. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć o sobie, że jesteś Niemcem albo Litwinem albo Tatarem. A co do tego wybijania szyb i rzucania kamieniami i bicia w 1940 i później, to ja uważam, że odpowiadają za to tylko ci, którzy to robili. Oraz ci, którzy ich nakłaniali. Marek Edelman jest świadkiem wiarygodnym, więc nie ulega wątpliwości, że tych łobuzów zwerbowali i opłacali Niemcy. Odpowiedzialność zbiorowa nie istnieje. Miałeś wtedy pięć czy sześć lat, więc można powiedzieć, że niemal nie było cię jeszcze na świecie. Dlaczego miałbyś za te świństwa odpowiadać?

— Odpowiedzialność zbiorowa — mówię — istnieje i nie istnieje. Jak będą łapali i wywozili na literę R. i ty schowasz mnie wtedy w piwnicy, to nie widzę powodu, żebyś miała za to odpowiadać czyli zostać rozstrzelana. Taka odpowiedzialność nie istnieje albo przynajmniej nie powinna istnieć. Ale istnieje inny rodzaj odpowiedzialności, który można nazwać odpowiedzialnością duchową, w tym wypadku polską. I w tym sensie jestem odpowiedzialny za tego łobuza, który rzucał kamieniami przez murek na Chłodnej.

— No to są jakieś głupstwa wprost nieprawdopodobne — mówi Hania. — Wynikałoby z tego, że jesteś odpowiedzialny za to, co wtedy robili wszyscy szmalcownicy, granatowi policjanci i tajni agenci. A także za to, co jacyś kolaboranci pisali w szma-

ławcach i mówili przez szczekaczki. Opamiętaj się. A poza tym przypominam ci, że ja również jestem na literę R., więc jak będą łapać i wywozić na R., to zostaną złapana i wywieziona razem z tobą. Czyli raczej nie licz na to, że schowam cię w piwnicy. Zresztą w naszej piwnicy nie dałoby się urządzać przyzwoitego bunkra.

— Można by zamurować — mówię — ten kąt pod schodami. Tam, gdzie stoją pudła z pustymi słoikami. Ale może za naszego życia nie będą wywozić. A wracając do tych, którzy w 1940 bili Żydów i wybijali szyby na Marszałkowskiej i Żurawiej, to nie wydaje mi się, że wystarczy powiedzieć: to były jakieś łobuzy, Niemcy ich opłacili, a my, uczciwi chrześcijanie, nie mieliśmy z tym nic wspólnego i wobec tego nie czujemy się winni. Bo tu nie chodzi o to, kto wybijał szyby w Gminie żydowskiej, ale o to, że w duchowości polskiej było coś takiego, co pozwoliło wybijać szyby: właśnie wtedy, w 1940 i jeszcze w 1942, tuż przed wielką likwidacją. Powiesz, że to się działo nie tylko w Polsce, że takich łobuzów Niemcy znajdowali także gdzie indziej, wszędzie. Ale to jest lichy argument, przynajmniej dla mnie, bo nie jestem skądinąd i nie jestem zewsząd: jestem stąd. Co się działo gdzie indziej, to mało mnie obchodzi, a jeśli nawet mnie obchodzi, to raczej teoretycznie: ładny albo brzydki widok, na szczęście nie mój. A ponieważ jestem stąd, jestem tutejszy, to nie mogę uchylić się od odpowiedzialności za to, co tutejsze: co tutaj się działo i dzieje. Gdybym powiedział, że nie odpowiadam, to przestałbym być stąd. Przynajmniej tak bym to odczuwał. Moim zdaniem, każdy odpowiada. Każdy, kto jest stąd. A kto mówi: — To nie ja, to moi rodacy i za te ich świństwa ja nie ponoszę odpowiedzialności — ten zachowuje się, chyba mi przyznasz rację, raczej niegodnie. Jakby chciał stanąć ponad tym czy obok tego, co tutejsze, jakby nie miał, nie chciał mieć nic wspólnego z tymi swoimi rodakami. Te łobuzy mówiły po polsku. Dom, w którym się taki, jak go oględnie nazywa Czerniaków, ulicznik rzucający kamienie przez murki na Chłodną, wychowywał. Podwórko, na którym się bawił. Kościół, do którego chodził w niedzielę. Polski dom, polskie podwórko, polski kościół. Nie mogę powiedzieć, że to nie moje, że ja z tym nie mam nic wspólnego.

— Pomyśl o Żydach — mówi Hania. — Żydzi też się wtedy okropnie zachowywali. To znaczy wielu Żydów. To, co mówisz o tych polskich łobuzach z Żurawiej czy Elektoralfnej, można przecie odnieść do żydowskich policjantów czy do tych z Trzynastki. Do jakiegoś Gancwajcha czy jakiegoś Szeryńskiego. A nawet do Czerniakowa i jego ludzi z Judenratu. Bo sprawa Czerniakowa nie jest taka prosta. Przedtem był niemal kolaborantem, teraz

jest niemal męczennikiem. Jak to on napisał? „Prawda leży pośrodku”. Więc jeśli ty czujesz się odpowiedzialny za to, co robiły te bijące Żydów łobuzy, to z tego wynika, że Icchak Cukierman powinien czuć się odpowiedzialny za to, co robił Gancwajch, a Marek Edelman powinien czuć się odpowiedzialny za to, co robił Szeryński.

— Nie znam Marka Edelmana — mówię. — Widziałem go tylko dwa albo trzy razy i to raczej z daleka i za każdym razem patrzyłem na niego, no nie tyle z nabożnym podziwem, ile z nabożną grozą. Jakby on był kimś w rodzaju anioła, ale takiego groźnego anioła, którego Bóg posłał pomiędzy Polaków, żeby przypomnieli im o tym, co wydarzyło się tu na tej ziemi. Jakby dane mu było takie posłannictwo. A nie znając go nie mogę wiedzieć, za co on się czuje odpowiedzialny. Nie wiem nawet, czy on się czuje Żydem czy Polakiem i gdybym go znał, to chyba nie ośmieliłbym się o to zapytać. Ale jeśli czuje się Żydem, to przypuszczam, że ma jakąś sprawę z takimi jak Gancwajch, Szmerling czy Szeryński. Że nawet z nimi od czasu do czasu rozmawia. Tak jak ja od czasu do czasu rozmawiam z tymi łobuzami z roku 1940. Chcąc się dowiedzieć, co taki łobuz miał w głowie. Co on sobie myślał. No może to jest niezdrowa ciekawość. Ale jestem pisarzem i to jest mój zawód: dowiadywać się, co inni ludzie mają w głowach.

— Twoja ciekawość — mówi Hania — niech będzie, że zawodowa, nie ma tu nic do rzeczy. Mówimy o problemie odpowiedzialności, a to jest coś całkiem innego. Nie sądzę, żeby Marek Edelman czuł się odpowiedzialny za wyczyny jakiegoś żydowskiego policjanta. Albo jakiegoś żydowskiego gestapowca. Choć to byli jego rodacy. Wiesz, że Gancwajchowi udało się wymknąć? Choć Niemcy rozstrzelali tych wszystkich z Trzynastki. Nie jestem tego pewna, ale chyba nie wiadomo, co się z nim potem stało.

Nie wiadomo również — mówię — co się stało z Brandtem. Podobno po wojnie uciekł z więzienia. Ale ty mnie nie rozumiesz. Ja nie żądam, żeby ktoś odpowiadał za czyny popełnione przez kogoś innego. Mówimy o dwóch różnych rodzajach odpowiedzialności. Niemcy — wszyscy — nie są odpowiedzialni za to, co robił w getcie Brandt czy Mende. To znaczy za ich konkretne czyny. Tego ja nie twierdzę. Są natomiast odpowiedzialni — wszyscy — za to, że tacy ludzie jak Brandt czy Mende w ogóle się pojawili. Że istniały duchowe usprawiedliwienia ich działalności, duchowa atmosfera, w której mogli działać. Są odpowiedzialni — tak to chyba należałoby ująć — za to, że wydane zostało przyzwolenie.

— Każdy jest odpowiedzialny za siebie — mówi Hania. —

I tylko za siebie. Bo jeśli jest tak, jak mówisz, to można powiedzieć, że w getcie także zostało wydane przyzwolenie. Czyli że Żydzi — wszyscy — odpowiedzialni są za to, że na Lesznie były sklepy, w których sprzedawano czekoladę i pomarańcze, na Siennej restauracje, w których bogaci Żydzi pili francuskie koniaki, a na Nowolipiu i na Dzielnej jakieś burdele. Kiedy żydowskie dzieci umierały z głodu na chodnikach.

— Może to jest tak — mówię — że są tacy, którzy czują się odpowiedzialni tylko za siebie i tacy, którzy czują się odpowiedzialni za wszystkich. Może ja należę do tych drugich, co nie oznacza, żebym nie respektował tej pierwszej postawy. Jeśli ktoś uważa, że te antysemityczne ekscesy w 1940 to nie jego sprawa, to ja nie mogę mieć do niego pretensji. Każdy — myślę o Polakach — musi sam dać sobie z tym radę i chodzi może tylko o to, żeby właśnie jakoś dać sobie z tym radę, a nie udawać, że tego w ogóle nie było. Ale chciałbym opowiedzieć ci jeszcze o czymś, o czym dowiedziałem się wczoraj od Krysi. To ma pewien związek z problemem odpowiedzialności zbiorowej. Krysia w 1942 siedziała na Pawiaku, oczywiście na oddziale kobiecym czyli nie na Pawiaku, lecz na Serbii. Okna tej celi, w której siedziała, wychodziły na Dzielną. Krysia narysowała mi nawet taki mały plan, bo chodziło jej o to, żeby okoliczności tego wydarzenia były dla mnie jasne: tu Pawiak, tu podwórze, tu Serbia, tu okno, a tu, też ci to narysuję, tu chodnik pod oknem. Cella znajdowała się na parterze, ale z okna nie można było zobaczyć, co dzieje się na Dzielnej, ponieważ, jak to w więzieniu, okno umieszczone było pod sufitem. Krysia słyszała jednak Dzielną — kroki i głosy — i to całkiem dobrze. Może w oknie nie było szyby? O to nie pytałem. Tych głosów, co dobiegały z Dzielnej, było zresztą niewiele, ponieważ to, o czym opowiada Krysia, działo się już po wielkiej likwidacji, chyba późną jesienią lub wczesną zimą 1942. Żydzi byli wtedy skoszarowani w szopach i nie wolno im było chodzić po ulicach. Najbliższe szopy były na Gęsiej i na Nowolipkach, więc Pawiak, niegdyś znajdujący się w centrum getta, stał teraz jakby na pustkowiu, jakby nadal w centrum, ale w centrum jakiejś dziury czy nicości. Dobry symbol — to nie należy do opowieści Krysi, ale właśnie teraz przyszło mi do głowy — totalitarnego państwa. Wokół opuszczone domy, trupy, cisza. Pustkowie. A w środku więzienie i wrzaski strażników. Rano i wieczorem Krysia słyszała kroki kolumny, która przechodziła pod oknem jej celi. Chyba tylko stukot drewniaków, gdyż kolumna maszerowała w milczeniu. Rano w jedną stronę, wieczorem w drugą. Żydzi, prowadzeni przez Ukraińców lub Łotyszów, szli na placówkę. Wiesz, co to były placówki?

— Pracowali po stronie aryjskiej — mówi Hania. — W tym czasie chyba rozbierali mury wokół tej części getta, która była już wyludniona. A wieczorem przyprowadzano ich z powrotem.

— Taki przemarsz — mówię — trwał zwykle dość długo. Kilka czy nawet kilkanaście minut stukotu drewniaków. Z czego one, te więźniarki w celi, wyciągały wnioszek, że kolumna musi być bardzo długa. Ponieważ na Dzielnej poza tym mało co się działo, przemarsz tej kolumny był, jakby to powiedzieć, pewną atrakcją czy pewnym urozmaiceniem i Krysia oraz inne panie w tej celi pilnie, a nawet z pewnym napięciem nasłuchiwały: — Która to godzina? Dlaczego oni jeszcze nie idą? — Nie wiem, też o to nie spytałem, ale jeszcze spytam, czy stukot drewniaków było słycać dopiero wtedy, kiedy kolumna przechodziła pod oknami celi, czy już wcześniej, kiedy zbliżała się do Serbii: wychodzą z Zamenhofa, są przy Karmelickiej, teraz. No i tak się zdarzyło, słowo zdarzyło się jakoś mi tu nie pasuje, ale nie wiem, jak to powiedzieć, zdarzyło się, że ci Żydzi przechodzący pod oknem zaczęli śpiewać, ale tak po cichu, pewnie dlatego, żeby nie usłyszeli tego idący z przodu i z tyłu kolumny łotewscy czy ukraińscy strażnicy, zdarzyło się, że te panie usłyszały, że oni śpiewają: — Jeszcze Polska nie zginęła. — Po cichu. Nie wiem, czy to było rano czy wieczorem. Powiedzmy, że rano. Wieczorem te panie znów usłyszały stuk drewniaków. Wychodzą z Zamenhofa, są przy Karmelickiej, teraz. I wtedy one, te panie, zaczęły śpiewać, też po cichu, ale tak, żeby to było słycać na Dzielnej: — Jeszcze Polska nie zginęła. — I ci Żydzi odpowiedzieli, po cichu: — Jeszcze Polska nie zginęła. — Więc to jest właśnie odpowiedzialność zbiorowa. Bo oni śpiewając przyjmowali odpowiedzialność za Polskę. Brzmi to patetycznie, ale nie potrafię tego inaczej opowiedzieć. To było patetyczne, a więc godzi się, żeby tak właśnie było opowiadane. Ale nie płacz, Haniu. Od tamtych lat minęło już niemal pół wieku.

Problem windy, którą Icyk Mandelbaum — rozmyślając o tu-reckim szlafroku Sary Fliegeltaub oraz o czterech schodkach prowadzących z werandy do szeolu lub z szeolu na werandę — wjeżdża na dwudzieste drugie piętro wieżowca stojącego na rogu ósmej avenue i siedemdziesiątej pierwszej ulicy. Chciałbym opisać tę windę, ale nie mogę jej opisać, ponieważ nie wiem, jak wyglądają nowojorskie windy. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku, choć kilkakrotnie proponowano mi, żebym tam pojechał. Ale zawsze udawało mi się jakoś wykręcić od tej podróży, na którą nigdy nie miałem wielkiej ochoty. Czego ci, którzy mnie na ten Nowy

Jork namawiali, nie mogli zrozumieć. — Ktoś taki jak ty — tak mnie namawiano — powinien koniecznie zobaczyć Nowy Jork. Przecież jesteś pisarzem. Kto nie widział Nowego Jorku, nigdy nie pojmie, na czym polega istota dwudziestego wieku. Nie zobaczywszy tego miasta, w ogóle nie można pojąć, co to znaczy: żyć w dwudziestym wieku. — Można. Wystarczy przejść się po warszawskim Umschlagplatzu. — Ale oczywiście tym, co mnie namawiali, udzielałem nieco innych odpowiedzi. Tłumaczyłem im, że nie interesuje mnie ta podróż, ponieważ w Nowym Jorku nie ma niczego takiego, co szczególnie chciałbym zobaczyć. Nie widziałem jeszcze kilku ulic w Warszawie — na przykład ulicy Bolesława Bieruta na Pradze Południe — i raczej tam powinienem się przede wszystkim udać. Teraz jednak — odkąd zacząłem pisać tę książkę — zmieniłem zdanie. Teraz chętnie pojechałbym do Nowego Jorku. Dlaczego? Ponieważ jest tam coś, co chciałbym obejrzeć. Mam na myśli Dzielnicę Północną. Wiem oczywiście, że w Nowym Jorku nie ma Dzielnicy Północnej. Ale przypuszczam, że jest tam jednak coś w rodzaju tej Dzielnicy: a mianowicie ta Dzielnica Północna — może nie cała, może tylko jej część — która niegdyś była w Warszawie. W Nowym Jorku mieszka teraz wielu Żydów, którzy urodzili się w Warszawie. Jeśli więc pojechałbym do Nowego Jorku, to po to, żeby sprawdzić, czy zabrali tam ze sobą Dzielnicę Północną i jak ją tam zainstalowali. Oraz po to, żeby porównać tamtejszą, nowojorską Dzielnicę Północną z tutejszą, naszą Dzielnicą Północną. Czy one się czymś różnią, a jeśli się różnią — minęło przecież niemal pół wieku — to czym?

Jeszcze jeden cel mojej ewentualnej podróży — raczej jednak tam nie pojedę — do Nowego Jorku. Chciałbym się przekonać, czy w Nowym Jorku możliwe byłyby blokady, to znaczy czy domy w Greenwich Village albo w Bronxie dałoby się zablokować i ewakuować. Kiedy zdarzy mi się być w którymś z nowych warszawskich osiedli — kiedy wysiadam z autobusu Bbis na rogu Bonifacego i Sobieskiego albo z autobusu 504 na rogu Wałbrzyńskiej i Puławskiej — często myślę o tym, czy coś takiego, co przed czterdziestu pięciu laty wydarzyło się w Dzielnicy Północnej, mogłoby się wydarzyć — teraz lub w przyszłości — na Stegnach lub na Ursynowie. To, o czym myślę, dotyczy tylko warunków technicznych ewakuacji: w jaki sposób ci esesmani — esesmanów teraz nie ma, więc byłaby to jakaś inna formacja — przeprowadziliby blokadę tych jedenastopiętrowych domów na Akermańskiej albo Kaukaskiej. Albo tego ogromnego domu na ulicy Sonaty — Służew nad Dolinką — w którym mieszka Jacek. Kilkanaście klatek schodowych, kilkanaście wind. To stworzyłoby dla

tych esesmanów — dla tej jakiejś innej formacji — całkiem nowe problemy techniczne. Być może takie — co daj Boże — których tym esesmanom nie udałoby się rozwiązać. Także — to jeszcze przychodzi mi do głowy — brak podwórek. Podwórka na Lubeckiego czy Zamenhofa odgrywały ważną rolę w czasie wielkiej likwidacji. Tam, gdzie nie ma podwórek, trzeba dużo ludzi i sprzętu, żeby otoczyć i przypilnować ewakuowanych. Nowy Jork, jeśli porównać go z warszawską Dzielnicą Północną, też stwarzałby jakieś nowe problemy techniczne. Co nie znaczy, że nie można sobie wyobrazić blokad w Queens, w Bronxie, w Greenwich Village. Można. I nie trzeba tam nawet pewnie jeździć. Wystarczy fotografie oraz całkiem przeciętna wyobraźnia.

Patrząc na plan Nowego Jorku, który pożyczyłem od Stasia. On tam był, muszę go zapytać, jak wyobraża sobie wielką likwidację na Manhattanie. Gdzie są linie kolejowe? Od Pennsylvania Station poprowadzono by bocznice, która kończyłaby się gdzieś na skraju Central Parku. Lub może tę bocznice poprowadzono by od Grand Central? Wtedy musiałaby ona jakoś omijać — jednak powinienem tam chyba pojechać, żeby móc to sobie wyobrazić — budynek Pan Amu. Wacha byłaby tam, gdzie sześćdziesiąta trzecia ulica łączy się z ósmą avenue. Befehlsstelle umieszczono by w okolicach Columbus Circle, tam gdzie Gulf + Western. Central Park zostałby otoczony murem z czerwonej cegły: trzy metry wysokości, a wyżej jeszcze metr kolczastego drutu. Ogromny — stosownie do wielkości miasta — Umschlagplatz. Tam gdzie West Drive przecina Transverse Road — powiedział mi ktoś, kto był w Nowym Jorku, że tamtędy można przejechać samochodem przez cały Central Park czyli z ósmej na piątą avenue — stanęłaby drewniana brama z napisem: Przejście pod karą śmierci wzbronione. To byłoby miejsce ostatniej selekcji. Napis w jakim języku? Nie wiem. To się okaże. Ktoś może powiedzieć, że ta bocznic od Pennsylvania Station, ten Umschlagplatz w Central Parku, te blokady wokół domów w Greenwich Village to są jakieś niesmaczne, wręcz wstrętne pomysły. Temu komuś nie mam do powiedzenia nic poza tym, że jest idiotą. Bowiemi idiotą jest każdy, kto uważa, że to, co zaczęło się 22 lipca 1942 roku w rejonie Niskiej, Dzikiej, Stawek, już się zakończyło. Likwidacja została przerwana. Ale my, którzy mieszkamy wokół Umschlagplatzu, wiemy, że to jeszcze nie jest koniec. Ten wiek może trwać bardzo długo. Żyjąc tutaj — na skraju Umschlagplatzu — nie można być pewnym niczego, poza jedną rzeczą. Czekamy, na rogu Dzikiej i Stawek, co będzie dalej: bo że coś będzie, to jest całkiem pewne. Ale dość tych wstrętnych pomysłów: jeśli coś takiego znowu się wydarzy, to ja pewnie — mam

przynajmniej taką nadzieję — tego nie dożyję. Wracam do problemu windy, którą wjeżdża na dwudzieste piętro Icyk Mandelbaum: winda z widokiem na Central Park oraz siedemdziesiątą pierwszą ulicę. Myśląc o tureckim szlafroku Sary Fliegeltaub, Icyk patrzy w dół, na srebrne i żółte i czerwone samochody kręcące się w przepaści, jakby właśnie gdzieś tam, między tymi samochodami, gdzieś wśród zapalających się i gasnących światełek, gdzieś wśród zapalających się i gasnących neonów przepaści przechadzał się albo tronował w powietrzu albo lewitował Bóg, z którym on, Icyk, rozmawia o szlafroku Sary Fliegeltaub jadąc tą windą na dwudzieste drugie piętro.

— Czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę — mówię — i opowiedzieć mi, jak wygląda nowojorska winda. Taka, którą się jedzie na dwudzieste albo na trzydzieste piętro. Bo on wjeżdża u mnie windą na dwudzieste drugie piętro i ja muszę taką windę opisać. A nie wiem, jak taka winda wygląda, bo przecież nigdy nie byłem w Nowym Jorku i znam tylko warszawskie windy, dość obskurne.

— Tam jest — mówi Stefan — kilka, a nawet kilkadziesiąt, a nawet kilkaset rodzajów wind i nie wiem, którą z tych wind mam ci opisać.

— Chodzi mi o taką windę — mówię — która jeździ na zewnątrz budynku, jakby w takiej kratownicy lub jakby przyczepiona do szyny i z której widać to, co jest w dole, przechodniów, samochody i fontannę w Central Parku, jeśli w Central Parku jest jakaś fontanna. Gdyby u ciebie w domu była taka winda, to ja bym nią jeździł od rana do wieczora.

— W mojej windzie — mówi Stefan — co ci ofiarowuję do tej książki, którą pisziesz, był dzisiaj taki napis: znak równania, a potem: Żydzi. Ale nie wiem, kto był porównany do Żydów, bo to było starte.

— Albo PZPR — mówię — albo KOR. Zdaniem tutejszych antysemitów wszelka władza pochodzi od żydowskiego Boga. Ktoś mi niedawno opowiadał, że królowa angielska też jest Żydówką. Bardzo rozgałęzione drzewo genealogiczne. Ale mów mi o tej windzie w Nowym Jorku. Tylko pamiętaj: ma jeździć na zewnątrz.

— W Nowym Jorku — mówi Stefan — są bardzo ciężkie zimy, a taka winda nie mogłaby chyba funkcjonować w zawieje albo w wielkie mrozy. Mnie się zdaje, że tam nie ma takich wind. Umieść tego kogoś, kto u ciebie jeździ windą, w jakimś cieplejszym klimacie. Niech on mieszka gdzieś na Florydzie. Może tam

są takie windy, ale ja tego nie jestem pewien, które jeżdżą na zewnątrz budynku.

— Rzecz w tym — mówię — że on naprawdę mieszka w Nowym Jorku. Mogę lekceważyć rzeczywistość do pewnego stopnia, na przykład w kwestii windy — choć nie jest mi to miłe, bo odczuwam to jako coś upokarzającego — ale nie mogę lekceważyć jej totalnie. A jeśli chodzi o windę, to zależy mi na tym, żeby on patrząc w dół widział oddalające się, uciekające z szybkością posuwania się windy drzewa w Central Parku, czerwone i srebrne samochody, zapalające się i gasnące neony. A także oddalających się, zapadających się w przepaść Murzynów, którzy leżą w tym parku na trawnikach, pejsatych Żydów spacerujących tam wokół fontanny. Jeśli Żydzi w chasydzkich kapeluszach spacerują tam wokół fontanny. I nagle — gdzieś na wysokości piętnastego piętra — Murzyni, neony, fontanna, samochody, no w ogóle wszystko znika i on — przypominając sobie oczywiście, bo cóż innego mógłby sobie w takiej chwili przypomnieć, ten wers Mickiewicza: Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia, a także, następne skojarzenie, nauczyciela polskiego, który opytuje go z Mickiewicza w czwartej klasie Gimnazjum Zgromadzenia Kupców, róg Prostej i Walicowa — widzi tam w dole oddalające się z szybkością posuwania się windy wysokie okna Instytutu Nauk Judaistycznych i tuż obok cztery kolumny przed wejściem do Wielkiej Synagogi i dwie kopuły, niższą i wyższą, Wielkiej Synagogi i koronę na szczycie tej wyższej kopuły. Na rogu Przejazdu i Tłomackiego stoi granatowy policjant, a Przejazdem w kierunku Rymarskiej i Żabiej idą Żydzi z pejsami i bez pejsów, z brodami i bez bród, w myckach i bez mycek. Pomóż mi Boże Żydów i Boże Polaków. I niech ich ujrzę jakby to było wczoraj. Doktor Majer Bałaban wychodzi właśnie z gmachu Instytutu. Wóz z węglem skręca z Rymarskiej na Leszno. Młodzieńki Izaak Singer stoi z bratem Izraelem Joszua na balkonie domu Tłomackie 13, tam gdzie jest Związek Literatów i Dziennikarzy Żydowskich. W wędliniarni na Przejeździe Żydówka w żółtej peruce pakuje w pergamin kilogram różności. Niuta Tajtelbaum — granatowa plisowana spodniczka, marynarska bluzka, białe podkolanówki i dwa długie, opadające na piersi warkocz — wraca ze szkoły wymachując teczką. W wycięciu bluzki, tuż ponad węzłem granatowej krawatki, ma wpiętą broszkę: jest to mały słoń. Emanuel Ringelblum kłania się doktorowi Bałabanowi przed drzwiami Instytutu. Idzie zmienić książki. Winda jest coraz wyżej i to wszystko, korona wokół kopuły, wóz z węglem, bracia Singerowie, granatowy policjant, okna Instytutu, pięcioramienne świeczniki na murku tuż przed Wielką Synagogą oraz doktor

Bałaban ucieka w dół, obsuwa się, zapada: tam. Niewiele więcej da się o tym powiedzieć: tam.

— Wygląda to trochę tak — mówi Stefan — jakby ta winda jechała u ciebie nie tyle gdzieś w pobliżu Central Parku, ile raczej po ścianie złotego wieżowca. Tego, który stoi na Placu Dzierżyńskiego.

— Mniej więcej — mówię — w tym samym miejscu, w którym stała Wielka Synagoga. Wiesz, co mówią ludzie w tramwajach przejeżdżających obok złotego wieżowca? Że ten wieżowiec nigdy nie zostanie ukończony, ponieważ to jest miejsce przekłete przez Boga.

— Nie rozumiem — mówi Stefan — co to znaczy: przekłete? Czy to znaczy, że Bóg je przeklął dlatego, że zostało zbezczeszczone przez Niemców?

— Jak gdzieś wydarzy się coś strasznego — mówię — to lepiej takie miejsce omijać. No i ono jest wobec tego przekłete. Chyba o to tu chodzi. Ja, kiedy idę do Żydów, żeby poczytać „Nasz Przegląd” czy „Naszą Opinię”, to staram się trzymać z daleka od wieżowca. Żeby on na mnie nie runął. To ja ci dziękuję. Bo mi naprawdę bardzo pomogłeś — i odkładam, pożegnawszy się ze Stefanem, słuchawkę, a Icyk stojąc w windzie wiozącej go na dwudzieste drugie piętro wieżowca — róg ósmej avenue i siedemdziesiątej pierwszej ulicy — widzi, jak ostatnie promienie słońca, które zachodzi za Muranowem, za Kołem, za Fortami Bema, wyłaczają koronę wokół krytej zieloną blachą kopuły Wielkiej Synagogi.

Kilka informacji dotyczących getta w Otwocku. W rozmowie z moją siostrą — tej, która dotyczyła stojącego na wysokim peronie chłopca w białych skarpetkach i dziewczynki, którą ojciec fotografuje na ścieżce pomiędzy sosnami — powiedziałem, że getto otwockie zostało zlikwidowane zapewne wcześniej niż getto warszawskie czyli gdzieś w pierwszej połowie lipca 1942 roku. Już po tej rozmowie trafiłem na kilka wzmianek, z których wynika, że likwidacja w Otwocku odbyła się nieco później niż wielka likwidacja w Warszawie. Dokładnej daty wydarzeń w Otwocku nie udało mi się jednak ustalić. W książce Leokadii Schmidt „Cudem przeżyliśmy czas zagłady” jest taka oto informacja mówiąca, jak wynika z kontekstu, o tym, co działo się mniej więcej w czwartym tygodniu wielkiej likwidacji w Warszawie, a więc w drugiej połowie sierpnia: „W owym czasie zapowiedziano kilkunastu przerwę, gdyż Batalion miał się udać do Otwocka.

W pierwszych dniach wysiedlenia schroniło się tam wielu Żydów. Przeważnie wyjeżdżali zamożniejsi, gdyż kosztowało to grube pieniądze. Okazało się, że spokój ich był chwilowy. Trwał tylko cztery tygodnie”. Batalionem Leokadia Schmidt nazywa Vernichtungskommando. Nazwa Vernichtungskommando nie była, jak się zdaje, w getcie warszawskim używana i — jest to informacja, której udzielił mi ktoś, kto przeszedł na stronę aryjską na początku roku 1943 — Żydzi mówiąc o tej jednostce SS posługiwali się kryptonimem, który Niemcy nadali całej akcji: Einsatz Reinhard. Leokadia Schmidt pisze dalej tak: „Batalion Niszczycielski opuścił wreszcie na kilka dni Warszawę, udając się do Otwocka. Jak się później dowiedzieliśmy, odbyła się tam prawdziwa masakra. Policja żydowska nie poszła w ślady swych warszawskich kolegów. Gdy na pierwszej odprawie otrzymali wskazówki w sprawie wysiedlenia ludności, rzucili czapki policyjne pod nogi oprawców i odmówili wykonania rozkazu. Wszyscy zostali rozstrzelani. Ludność żydowską po większej części wymordowano na miejscu. Więcej wiadomości w tej sprawie nie mieliśmy”. Władysław Bartoszewski, który książkę Leokadii Schmidt opatrzył przedmową i przypisami, do tego fragmentu dodał takie objaśnienie: „Akcja deportacyjna z miejscowości podwarszawskich położonych na prawym brzegu Wisły prowadzona była w ciągu kilku dni, począwszy od 19 sierpnia 1942 roku”.

Pozostałe informacje wyjmuję z książki opowiadającej o historii Otwocka. Gestapo — nazwa potoczna, więc chodzi tu prawdopodobnie o komendę Sipo i SD — mieściło się przy ulicy Reymonta 60. Kripo miało posterunek przy ulicy Sienkiewicza 3. W tym samym budynku był także komisariat policji granatowej. Szef otwockiego gestapo nazywał się Schlicht. Zarządzenie o utworzeniu żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej Niemcy wydali w listopadzie roku 1940. Po dwóch miesiącach — 15 stycznia 1941 roku — getto zostało zamknięte i kto chciał z niego wyjść, musiał mieć przepustkę. Nie udało mi się dowiedzieć, jaki był rodzaj tego zamknięcia, to znaczy, czy getto zostało otoczone płotem — biorąc pod uwagę luźną zabudowę Otwocka, wydaje to się mało prawdopodobne — czy tylko drutem kolczastym, wzdłuż którego chodziły niemieckie, ukraińskie, łotewskie patrole. W roku 1942 ludność Otwocka obliczano na 23.412 osób. Polaków było 11.355, Żydów 12.030. W roku 1943 liczba mieszkańców Otwocka zmniejszyła się do 10.173 osób. Nie było wśród nich ani jednego Żyda. Cyfry nie całkiem się jednak zgadzają, bowiem liczba osób objętych likwidacją wynosiła podobno nieco ponad 8.000. Wynikałoby z tego, że około 4.000 Żydów zmarło w otwockim getcie już w roku 1942, ale jeszcze przed likwidacją.

Jeśli jednak getto otoczone było tylko drutem kolczastym, to można przyjąć, że wielu Żydom udało się uciec i ukryć — na jak długo? — w okolicznych lasach. Chyba w czasie likwidacji, między 19 a 30 sierpnia, odbyły się w Otwocku — ale może stało się to trochę wcześniej — cztery masowe egzekucje. Rozstrzelano wówczas 2.250 Żydów. Byli to starcy, chorzy i dzieci, a więc ci, których Niemcy prawdopodobnie uznali za nie nadających się do transportu. Pozostałych Żydów — było ich około 6.000 — wywieziono do Trebłinki w 40 wagonach towarowych. Nie wiem, gdzie podstawiono te 40 wagonów. Wysokie perony otwockiego dworca? To mało prawdopodobne. Następne stacje za Otwockiem na linii do Pilawy, gdzie jest węzeł kolejowy: Pogorzel, Stara Wieś, Celestynów. Przypuszczalnie któraś z tych stacji. Jedna z egzekucji między 19 a 30 sierpnia odbyła się na terenie „Zofiówki”, gdzie przed wojną — przy ulicy Wólcząńskiej, która dziś jest ulicą Kochanowskiego — mieściła się żydowska lecznica psychiatryczna. Podobno w czasie wojny Niemcy urządzili w „Zofiówce” — czy też tylko zamierzali urządzić — szpital położniczy: *nur für Deutsche*. Ciężarne Niemki stojące w oknach i patrzące na to, co odbywa się niezbyt daleko i co jest dobrze widoczne przez prześwity pomiędzy sosnami. Urodzą się z nich echt aryjskie dzieci. Obecnie w „Zofiówce” — piękny jednopiętrowy budynek, duże okna, taras na piętrze, wokół wysokie sosny — mieści się sanatorium imienia Feliksa Dzierżyńskiego. Ładna nazwa. Adam Czerniaków, który w roku 1940 i 1941 kilkakrotnie przyjeżdżał na krótki wypoczynek do Otwocka — zatrzymywał się wtedy w „Zofiówce” albo w sanatorium „Brijus” — wspomina, że w sierpniu 1940, właśnie w „Zofiówce”, zaczął go chory, który miał w sobie — to znaczy uważał że ma w sobie — czarne świece.

— Nie pamiętam — mówi moja matka — czy to getto, o którym mówisz, otoczone było płotem czy drutem kolczastym. Nie jestem nawet pewna, czy ja kiedyś byłam, myślę o tamtych latach, w Otwocku. Jeśli byłam, to chyba tylko na stacji. Albo przejeżdżałam przez tę stację do Celestynowa. Wiesz, gdzie to jest?

— Wiem — mówię. — Trzecia stacja za Otwockiem.

— Tam twoja babka — mówi moja matka — miała w czasie wojny pensjonat. I jedyni Żydzi tamtejsi, jakich pamiętam, to byli ci, których twoja babka przechowywała w tym pensjonacie. Choć nie da się powiedzieć, że to byli tamtejsi Żydzi. Raczej jacyś inteligenci, którzy uciekli z Warszawy. Z tym, że ja wtedy nie wiedziałam, że to są Żydzi.

— Kiedy to było?

— Chyba w 1943 — mówi moja matka. — Bo właśnie wtedy, gdzieś w końcu 1942 czy na początku 1943, twoja babka wyniosła się z majątku pod Pułtuskim i uciekła do Warszawy. Ten majątek był już w Reichu i tam był nieznośny verwalter, którego trzeba było ciągle poić wódką. A poza tym nachodzili ją, żeby przyjęła volkslistę, bo ona była przecież protestantką. Dlatego uciekła. A jak już była w Warszawie, to kupiła czy wydzierżawiła, tego dokładnie nie wiem, willę w Celestynowie. Wtedy wiele osób wyjeżdżało z Warszawy w obawie przed rosyjskimi nalotami i ci lokatorzy, którym wynajmowała pokoje, to byli niby tacy uciekinierzy z Żurawiej czy Wspólnej. Ale to byli Żydzi. A raz, to było na Wielkanoc 1943 i my wszyscy, także Alinka i ty, byliśmy wtedy w Celestynowie, przyszło do tej willi dwóch prawdziwych Żydów. Prawdziwych czyli takich, którzy nie udawali, że uciekli z Warszawy przed nalotami i nie mówili, że chcą wynająć pokój. Od razu było widać, kim są. Dwóch Żydów z dwiema małymi dziewczynkami. Ja się wtedy okropnie pokłóciłam z moją mamą czyli z twoją babką, ponieważ ona nie chciała ukryć tych Żydów. Powiedziała, że mogą sobie posiedzieć w altanie — była taka altana w ogrodzie za willą — ale potem muszą sobie pójść. Pamiętam, że zaniiosłam im do tej altany jakieś jedzenie. Dla twojej babki to była sprawa wyboru. Albo ci dwaj z dziewczynkami, albo jej lokatorzy. Bo za tymi dwoma mogli przyjść żandarmi czy granatowi policjanci. Tam niedaleko był posterunek Kripo. Ale ja tego nie rozumiałam i nie wiedziałam, kim są ci jej lokatorzy. W pokoju na górze mieszkali rodzice tego chirurga, który po wojnie operował cię na ślepą kiszkę. On potem wyjechał do Szwecji.

— A ci dwaj? — pytam. — Z tymi dwiema dziewczynkami? Wiesz, co się z nimi stało?

— Skąd mogę wiedzieć — mówi moja matka. — Obaj byli bardzo podobni. Te dziewczynki też były podobne, ale nie tak podobne, jak ci dwaj mężczyźni.

— Kiedy wyszli z lasu na drogę — mówię — i zobaczyli idących im naprzeciw żandarmów. Już było za późno, żeby cofnąć się i ukryć gdzieś między sosnami. Wyobrazasz sobie, co oni wtedy myśleli. Ta chrześcijanka, która nakarmiła ich w altanie, a potem powiedziała im, żeby sobie poszli. Myśleli o niej kopiąc ten dół, który żandarmi kazali im wykopać.

— Już ci powiedziałam — mówi moja matka. — To była sprawa wyboru. Nie jestem pewna, czy Bóg istnieje.

— Jeśli istnieje — mówię — to później dowiedzieli się, jak było naprawdę. O to ci chodzi?

— Jeśli chcesz — mówi moja matka — to możesz tak myśleć. Jeśli Bóg istnieje. Ale to jeszcze nie koniec tej historii, bo ona kończy się zupełnie niebywałą sceną. Nim ci dwaj Żydzi sobie poszli, to umówili się z twoją babką, że zostawią u niej te dwie dziewczynki i że twoja babka odwiezie je do Warszawy. W Warszawie miała do kogoś zadzwonić i ten ktoś miał się po te dziewczynki zgłosić. Nie pamiętam szczegółów, ale tak jakoś się umówili. Chyba następnego dnia, a może tego samego, wuj Antek zawiózł dziewczynki do Warszawy. Pojechali furmanką do Otwocka, a w Otwocku wsiedli do kolejki. Jedna z tych dziewczynek miała dziesięć czy dwanaście lat i wszystko rozumiała. To znaczy rozumiała, że ma nic nie mówić. Druga dziewczynka, to była chyba siostra tej większej, miała cztery czy pięć lat i trudno było jej wytłumaczyć, że nie powinna się odzywać. Ta starsza próbowała to zrobić, ale bez skutku. I jak tylko kolejka ruszyła — jechali tą elektryczną, żółto-niebieską kolejką — to ta mała, zapewne bardzo uradowana perspektywą jazdy w takiej elektrycznej kolejce, zaczęła podskakiwać na środku wagonu, a podskakując wołała: — Ja jestem małą Żydówką. Ja jestem małą żydowską dziewczynką. — No wyobraź sobie wuj Antka. Jak on się wtedy czuł. Z Otwocka do Warszawy jedzie się kolejką prawie godzinę.

— Wuj Antek żyje — mówię. — Czyli wydarzyło się coś w rodzaju cudu. Cud trwający prawie godzinę.

— Wuj Antek — mówi moja matka — to ma w ogóle niesamowite szczęście. W czasie powstania dwa razy prowadzono go na rozstrzelanie i dwa razy jakoś się wywinął. Co kosztowało go dwa zegarki.

— Ci Niemcy — mówię. — Wyobraź sobie bandę kieszkowych złodziei, która dorabia sobie do kradzieży jakąś kretyńską ideologię. Złodzieje, którzy uwznioślają kradzieże, mordując i bełkocząc ideologicznie. Mogli tutaj wtedy przyjść i powiedzieć do Polaków i Żydów: — Oddajcie nam wszystkie zegarki i obrączki, jakie tylko macie, ponieważ jesteśmy silniejsi, z czego wynika, że wasze zegarki i obrączki powinny należeć do nas. — Ale nie. Przyszli i powiedzieli: — Wymordujemy was, ponieważ nasza ideologia mówi, że powinniśmy was wymordować. A przy okazji ukradniemy wam wasze zegarki, obrączki. — Czy oglądałeś kiedyś te zdjęcia, na których Niemcy — gdzieś na Grzybowskiej czy Twardej — obcinają brody Żydom? Szlachetne, biblijne twarze tych szarpanych za brody Żydów i głupkowate twarze Niemców. Głupkowate uśmiechy, rozdziawione usta. Nie jestem rasistą, ale godzi się powiedzieć, że tutaj jacyś nędzni mutanty, podludzie mordowali no nie nadludzi, mordowali ludzi.

— Ale daj mi skończyć — mówi moja matka. — Wokół wuja Antka i dziewczynek zrobiło się nagle pusto, jakby wszyscy pasażerowie w tym wagonie uznali, że w innych wagonach będą mieli więcej miejsca. A ta mała nadal podskakiwała wołając: — Ja jestem małą żydowską dziewczynką — pewnie trochę rozczarowana tym, że ma coraz mniej słuchaczy. No i w ten sposób wuj Antek z dwiema żydowskimi dziewczynkami bardzo wygodnie dojechał do Warszawy. Ale na tym ta historia się nie kończy. Twoja babka mieszkała wtedy na Koszykowej, ale nie po tej stronie Marszałkowskiej, co my, tylko po drugiej, blisko Mokotowskiej. Wynajmowała tam mieszkanie, właściwie pół mieszkania. Korytarz był przedzielony szafą, a za szafą mieszkali jacyś ludzie, o których nie było wiadomo, co to za jedni. Ten ktoś, kto miał odebrać dziewczynki, jakoś się nie zgłaszał i przyszedł po nie dopiero po tygodniu czy dwóch. Przez dwa tygodnie ci ludzie za szafą słuchali przechwałek cztero- czy pięcioletniej dziewczynki: — Ja jestem małą Żydówką. — W dodatku to mieszkanie było na pierwszym piętrze, a tuż obok było SS czy SA i oni chodzili pod oknami.

— Tacy w jasnobrązowych, brązowożółtych mundurach — mówię. — Okrągłe czapki i na rękę czerwona opaska ze swastyką w białym kole. Zdaje mi się, że to była jakaś formacja SA. Chodzili z psami i ja okropnie bałam się tych psów. Pamiętasz, jak wciągnęłaś mnie do bramy na Koszykowej? Chyba wtedy łapali na ulicy, ale może jacyś inni, nie ci w okrągłych czapkach.

— Tego nie pamiętam — mówi moja matka. — No więc sobie policz. Twoja babka, wuj Antek, ci ludzie za szafą, sąsiedzi z tego piętra, dozorca tego domu, który zapewne także słyszał. Dodaj jeszcze tego kogoś, kto zgłosił się po dziewczynki i tych, do których potem je zaprowadzono. Nie sądzę, żebyśmy musieli się wstydzić.

— Chciałbym jeszcze wiedzieć — mówię — jak to było z pieniędzmi. To znaczy, ile ci lokatorzy w Celestynowie płacili. Czytałem taką relację spisaną przez żonę Bermana, ale tego drugiego, nie Jakuba. Ona pisze w tej relacji, że poza komornym ci, którzy się ukrywali, musieli zwykle płacić coś w rodzaju kaucji. O ile pamiętam, od 5 do 15 tysięcy złotych. Ogromne pieniądze. W 1942 papierowy dolar kosztował 40 złotych.

— Te, które nazywano twardymi — mówi moja matka — czyli złote były znacznie droższe.

— W końcu 1942 — mówię — skoczyły ze stu pięćdziesięciu do prawie dwustu złotych. Ale jak to było w Celestynowie?

— Twoja babka — mówi moja matka — miała bardzo trudny

charakter i niełatwo z nią było wytrzymać, bo była okropnie apodyktyczna. Ale bądź łaskaw przyjąć do wiadomości, że to była przyzwoita osoba. I jeśli ci żydowscy lokatorzy coś jej płacili, to przypuszczam, że akurat tyle, ile wtedy się płaciło za wynajęcie pokoju pod Warszawą. A jeśli nawet było inaczej, to jednak pozwól mi myśleć, że płacili tyle, ile wszyscy inni.

— Za ukrywanie Żydów — mówię — Żydzi rozdają teraz dyplomy i medale. Sprawiedliwy wśród narodów świata, sadzenie drzewek i tak dalej. Bardzo to ładne i chyba dobrze, że to robią, ale jest w tym jednak coś, co budzi mój niepokój: za coś takiego nie powinno być żadnej nagrody. Chodzi mi o tutejszą doczesną nagrodę. Jeśli to w ogóle ma być nagradzane, to powinno być nagradzane raczej tam, niż tu. Wyobrażam sobie taką nagrodę jako coś w rodzaju totalnego wybaczenia. Czyli jako głos mówiący do kogoś, kto stoi u stopni tronu: — Ponieważ ukrywałeś Żydów, puszczam w niepamięć wszystkie twoje grzechy. — I jeśli mogę Cię o coś prosić, mój Boże, to proszę Cię o właśnie taką nagrodę dla mojej babki.

— Jeśli Bóg istnieje — mówi moja matka — to ja myślę, że nie musisz Go o to prosić. On już z pewnością sam o tym pomyślał.

— Posłuchaj, Haniu. Gdybym był Żydem, wyjechałbym z Polski najpóźniej w roku 1950. A gdybym wtedy nie wyjechał — wciąż: gdybym był Żydem — gdybym nie wyjechał w ogóle lub wyjechał później, to uważałbym, że postąpiłem bardzo głupio i nieroztropnie oraz że popełniłem wielki błąd życiowy. Mówiąc: gdybym był Żydem, nie mam na myśli takiego Żyda, który się zasymilował czyli stał Polakiem, ani takiego Żyda, który przystał do komunistów, ani takiego Żyda, który trochę jeszcze jest Żydem, a trochę już nie. Mam na myśli przyzwoitego, pobożnego, ortodoksyjnego Żyda, bowiem mam nadzieję, że gdybym był Żydem, to byłbym takim właśnie Żydem: pobożnym, zapalającym świece, czytającym książki, mówiącym po żydowsku oraz po hebrajsku, a po polsku nie mówiącym wcale lub mówiącym źle. Przynajmniej takim właśnie Żydem — gdybym był Żydem — chciałbym być. Mogłoby się co prawda zdarzyć — powiedzmy, za sprawą moich dziadków oraz moich rodziców, których ci moi dziadkowie, choć byliby Żydami, posłaliby do polskiego gimnazjum, liceum — że gdybym był Żydem, to byłbym Żydem zasymilowanym, a będąc Żydem zasymilowanym nie miałbym już pewnie, za sprawą moich dziadków i rodziców, żadnego wyboru i musiałbym się dalej, chcąc albo nie chcąc, asymilować. Wtedy

nie wiem, co bym zrobił. Problem Żydów zasymilowanych jest dla mnie za trudny, w przeciwieństwie do problemu Żydów skomunizowanych, który jest za łatwy, tak łatwy, że w ogóle nie warto się nim zajmować. Ale ten pierwszy problem — tych, którzy się zasymilowali — to nie jest problem na moją głupią, polską głowę, a gdybym był pobożnym Żydem, to pewnie doszedłbym do wniosku, że nie jest to problem na moją głupią, żydowską głowę.

Izaak Singer powiedział kiedyś w jakimś wywiadzie — dawno temu i nie pamiętam, gdzie to było wydrukowane, więc nie mogąc sprawdzić, może coś przekręcą lub nieco przesadzam — że taki Żyd, który się zasymilował, to już nie jest Żydem, a nie będąc Żydem nie powinien Żydom zawracać głowy i niech się odcepi, przynajmniej potąd, pokąd nie odnajdzie swoich żydowskich korzeni i nie powróci do swojej żydowskiej natury. Może przesadzam. Ale Singer, którego kocham za to, co dla nas wszystkich, Polaków i Żydów, napisał, też chyba trochę, mówiąc coś takiego, przesadził. Jakby zbyt łatwo uporał się z tym — wreszcie nie byle jakim — problemem, przekreślił go lekką ręką, zlekceważył. Ale jak powiedziałam: to nie jest problem na moją głowę, ponieważ taki goj jak ja w ogóle pewnie nie jest w stanie pojąć, ile męki, ile cierpienia było w tych, którzy się asymilowali i którzy nie chcieli już być Żydami, choć wciąż nimi byli. Więc nie wiem, nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, kim bym był i co bym z siebie uczynił, co bym z sobą zrobił, gdybym — będąc Żydem — był takim Żydem, który się zasymilował. Przypuszczam, że tę moją dwoistość, to moje rozdarcie, tę moją żydowsko-polską, polsko-żydowską naturę próbowałbym uczynić niepewnym, ruchomym fundamentem mojego istnienia. Chciałbym mieć z tego, z tej mojej dwoistości, niejasności, jakiś pożytek duchowy, jakąś korzyść, jeśli tak można rzecz, egzystencjalną. Moją dwoistą egzystencję uznałbym za dar, który pozwala mi dwoiście egzystować. Niepewność tej egzystencji uznałbym za dar, który niepewnie pozwala mi się odnajdywać. Ale co ja mogę o tym wiedzieć. I gdyby danym mi było wybierać, to jednak wybrałbym życie pobożnego Żyda: tafes, mezuzę, tefilim, Torę, Talmud.

Dopuszczam możliwość, że po tym co — jako pobożnemu Żydowi, pobożnemu żydowskiemu chłopcu, który urodził się w Jadowie albo w Radzyminie — przydarzyłoby mi się w czasie wojny, przestałbym być wierzącym i pobożnym Żydem. Uznałbym, co bardzo prawdopodobne, że okrutne żarty mojego żydowskiego Boga — może nawet uważałbym, że jestem, razem z moją pobożnością, jednym z jego żartów — nie pozwalają mi dłużej w Niego wierzyć. Co nie znaczy, że przestałbym z tego powodu

być Żydem: takim, który nie chce być nikim innym, tylko Żydem. A takim to Żydem będąc — wracam do tego, co ci już powiedziałem — najpóźniej w roku 1950 wyjechałbym z Polski. Może zresztą wyjechałbym wcześniej, zaraz po pogromie kieleckim, latem albo jesienią roku 1946. Dlaczego właściwie miałbym mieszkać w kraju, w którym bije się i nie tylko bije, bo także morduje — czterdzieści ofiar pogromu kieleckiego — Żydów? Mieszkanie w kraju, który jest wielkim cmentarzem Żydów — powietrzny cmentarz, dymy z trzech milionów ciał snujące się między niebem a ziemią — też nie należy, jeśli jest się Żydem, do przyjemności. A dlaczego wyjechałbym najpóźniej w roku 1950? Bo w roku 1949 znów rozpoczęły się w Polsce prześladowania Żydów.

Nie były to — w porównaniu z tym, co działo się przedtem — okrutne prześladowania: nie bito, nie mordowano, nie torturowano. Polacy ze znacznie większym zapałem torturowali i mordowali wówczas Polaków. Ale to były polskie porachunki, komuniści rozprawiali się z Polakami, którzy ich nie chcieli i gdybym był Żydem, to prawdopodobnie mało by mnie to obchodziło. Dlaczego właściwie miałbym się wtedy litować nad Polakami, jeśli w czasie wojny Polacy — gdybym był Żydem, to przecież tak bym właśnie myślał — nie ulitowali się nad Żydami? A prześladowanie Żydów na czym wtedy polegało? Może nawet trochę przesadzam nazywając to, co się wtedy działo, prześladowaniem, prześladowaniami. Nikomu nie zrobiono właściwie nic złego. Żydom odmówiono tylko prawa — po raz który na tej ziemi? — do żydowskiej osobności, żydowskiej autonomii, żydowskiej godności. W grudniu roku 1949 zdelegalizowano wszystkie żydowskie partie polityczne, nieco wcześniej komuniści przejęli kontrolę nad istniejącymi w Polsce organizacjami żydowskimi. Żydom przedstawiono tym samym taką oto propozycję: możecie nadal żyć i działać w komunistycznej Polsce i możecie się w tej komunistycznej Polsce nawet całkiem nieźle urządzać, ale to wszystko pod warunkiem, że będziecie posłuszni komunistom i że będziecie współpracować z komunistami. Że będziecie razem z komunistami męczyć — miłe zajęcie — Polaków. Wiele Żydów przyjęło tę propozycję i gdybym był Żydem, to myśląc teraz o tym czułbym wielki wstyd. Ale jestem gojem, więc przynajmniej z tego powodu nie muszę się wstydzić i niech Żydzi się wstydzą myśląc o tych Żydach, którzy zachowali się tak, jakby nie byli Żydami. Myślę też, że gdybym był Żydem, to jednak uznałbym się wtedy za prześladowanego. Ta propozycja współudziału i współpracy, którą przedstawiono wówczas Żydom, zawierała bowiem w sobie inną, bardzo nieprzyjemną propozycję, która w tej pierwszej była dość chyttrze ukryta. Taką: albo zre-

zgnucicie ze swojej żydowskiej osobności, albo — jeśli nie chcecie z tej osobności zrezygnować — wyjedziecie, i nie mamy nic przeciwko temu, do tej waszej Palestyny, do tego waszego Izraela. Więc gdybym był Żydem, to musiałbym przyjąć, to przyjąłbym, że zostałem postawiony wobec alternatywy, którą dałoby się tak ująć: albo przestaniesz być Żydem, albo się stąd wynoś. Wstrętna alternatywa. Gdyby mnie przed nią postawiono, to co bym wybrał? Już powiedziałem. Wybrałbym to drugie wyjście, nieco godniejsze, nieco dogodniejsze.

Trudno się więc dziwić, że kto chciał pozostać Żydem, a nie miał ochoty na budowanie w Polsce — dla Polaków — socjalizmu, ten wyjeżdżał. Oczywiście, można powiedzieć, że Żydów postawili wówczas przed tą alternatywą nie Polacy, lecz Żydzi: ci Żydzi, którzy zdaniem wielu Polaków rządili wówczas Polską. Tacy jak Hilary Minc czy Jakub Berman czy Roman Zambrowski. Można też powiedzieć, że Żydów postawili przed tą alternatywą nie Polacy i nie Żydzi, lecz komuniści czyli ludzie nie będący ani Polakami, ani Żydami. Starzy, mądrzy Żydzi uważają, że Żyd, który staje się komunistą, przestaje być Żydem, bowiem nie jest już godny być Żydem, gdyż taki akces świadczy, że jest strasznie głupi albo że zwariował. To niby żart tylko — starzy, mądrzy Żydzi, którzy niegdyś byli komunistami, kiedy mówią coś takiego, dwuznacznie się uśmiechają dając do zrozumienia, że byli strasznie głupi, lecz już nie są tacy głupi — więc to żart, ale jest w tym żarcie coś, nad czym warto się zastanowić, bowiem ten żart może dotyczyć także niektórych Polaków. Nawet jednak jeśli uznamy — patrząc z odległości czterdziestu lat — że żydowską osobność chcieli odebrać wówczas Żydom nie Żydzi i nie Polacy, lecz dziwni mutanci, którzy zawładnęli Polską, wydaje się mało prawdopodobne, aby polscy Żydzi — wtedy, czterdzieści lat temu — mogli tak to właśnie widzieć i tak to pojmować. Byli w Polsce i władza, która chciała uczynić z nich budowniczych polskiego komunizmu — czyli w jakiś nowy, nieznaną potąd sposób zasymilować — twierdziła, że jest polską władzą. To, co ich spotykało — przypuszczam, że tak musieli uważać — było dziełem Polaków, pomysłem Polaków. Że to było nakazane przez Stalina? Może i było, ale Stalin był daleko, a Polacy blisko. I znów chcieli czegoś od Żydów, ale wcale nie tego, czego chcieli Żydzi. Gdybym był Żydem, tak bym wtedy pewnie myślał. I wcale by mi się nie podobało to, że Polacy chcą mi urządzić życie według jakichś polskich pomysłów: polskich, rosyjskich, komunistycznych, wszystko jedno jakich, co mnie, czternasto- czy piętnastoletniego pobożnego lub właśnie tracącego wiarę chłopca, który cudem uratował się z getta, cudem przeżył za szafą, cudem nie

został znaleziony na strychu, obchodzi ich polski, rosyjski komunizm? Tak bym pewnie wtedy myślał i zażądałbym od moich rodziców — gdyby moi rodzice byli Żydami — żeby wywieźli mnie do Izraela. I wyjechałbym z moimi żydowskimi rodzicami i z moją żydowską siostrą do Izraela, do Australii, do Ameryki, byle dalej od tego kraju, w którym wciąż komuś nie podoba się moje żydowskie życie i w którym wciąż ktoś ma jakieś dotyczące tego mojego żydowskiego życia pomysły, z których to pomysłów wynika, że powinienem żyć nie tak, jak mi się podoba i nie tak, jak mi każe moja religia, moja osobność, moja żydowska natura, ale jakoś inaczej, wedle tych polskich, rosyjskich pomysłów. Ale wyjechałbym — słyszysz, Haniu — najpóźniej w roku 1949 albo 1950. Bo potem dla Żydów w Polsce to już nie było żadnego wyboru. Byli w łapach Stalina i musieli się wyrzec swojej żydowskiej natury. Ja nawet nie wiem, czy powinno się ich nazywać Żydami.

— Czy nie byłoby lepiej — pyta Hania — gdybyś ty się zajął pouczeniem Polaków, jak się powinni zachowywać i gdzie i kiedy powinni wyjechać albo nie wyjechać? Gdybym był Żydem. Gdybym nie był gojem. Co ty o tym możesz wiedzieć, co to znaczy być Żydem. Nigdy się tego nie dowiesz.

— Ale nie musisz się przecież zaraz obrażać — mówię. — W tym, że ja się próbuję utożsamić albo postawić w ich sytuacji, nie ma chyba nic złego. Nawet jeśli masz rację i nigdy się nie dowiem, jak to jest, kiedy jest się Żydem, to może przynajmniej się dowiem, jak to jest, kiedy jest się Polakiem i co ja, jako Polak, właściwie o nich, o tych twoich Żydach, myślę. Bo te moje myśli nie są dla mnie jasne.

— Ale po tym, co ty powiedziałeś — mówi Hania — to co ja właściwie mam ze sobą zrobić i co według ciebie mam o sobie myśleć? To przecież mojego ojca posłali w 1949 z KC, żeby rozwiązywał Bund. A ja jestem ta zasymilowana Żydówka, o której twój głupi Singer powiada, że nie jest godna, żeby być Żydówką. To ty chcesz, żebym ja ci przyznała rację i powiedziała, że mój ojciec nie był Żydem, bo wyrzekł się swojej żydowskiej natury, a ja nie jestem Żydówką, bo też się wyrzekłam. Ale ja tego nie mogę zrobić, bo on był bardzo porządnym Żydem i uczciwym człowiekiem, chociaż komunistą, a ja też jestem Żydówką i zawsze nią będę. To ja teraz pójde do kuchni i popłaczę tam sobie godzinkę. Tylko nie wchodź tam i nie pocieszaj mnie, bo nie chcę być pocieszana przez kogoś, kto i tak nigdy nie zrozumie, kim ja jestem.

— Wcale nie zamierzam cię pocieszać — mówię. — Nie

należy pocieszać, no po prostu nie da się pocieszyć kogoś, kto płacze nad sobą dlatego, że nie wie, kim właściwie jest.

— Ty to jesteś naprawdę okrutnym człowiekiem — mówi Hania. — W tobie nie ma ani odrobiny litości. I ja nie wiem, dlaczego ja za ciebie wyszłam.

— Haniu — mówię. — We mnie jest tyle litości, że ja nie wiem, gdzie się ona we mnie mieści.

— O zlituj się — mówi Hania. — Nie mów takich głupstw.

Wygląda na to, że drewniana ławka na żelaznych nóżkach, która niegdyś pomalowana była na biało, a przedtem na zielono — ale tego, że tak właśnie była pomalowana, można się tylko domyślać, jako że farba, biała i zielona, dawno temu złuszczyła się i oblaża — stała przed laty, czego jednak także można się tylko domyślać, w parku lub może w hallu któregoś z otwockich sanatoriów. Teraz ławka — kto i kiedy ją tutaj przyciągnął? — stoi w ogrodzie Sary Fliegeltaub, tuż przy komórce, przy bocznej ścianie komórki, która to komórka znajduje się w kącie ogrodu, w najdalszym — jeśli oceniać to ze względu na jej położenie w stosunku do willi, werandy i białych, trzciniowych foteli — południowo-zachodnim kącie ogrodu. Między boczną ścianą komórki, siatką, do której komórka przylega i ławką na żelaznych nóżkach — i dalej wzdłuż siatki — rosną krzaki czerwonych i białych porzeczek. W komórce jest węgiel oraz narzędzia, grabie, szpadle i motyki, których używa, gdy ma na to ochotę, Szlojmele. Także szufla, którą Szlojmele, mówiąc coś przy tym do siebie, ładuje węgiel do wiadra z wygiętą rączką. Ale co głupi, kulawy Szlojmele mówi do siebie, kiedy przychodzi z wiadrem do komórki, tego nikt nie wie, bo nikt go nie słucha. Choć może warto byłoby go posłuchać, kiedy rozmawia w komórce z Siłami. Dodam jeszcze, że Szlojmele nie tyle mówi, rozmawia, ile bełkocze, jęczy, zawodzi i śpiewa. Wielkie solowe arie Szlojmele, kiedy zgrzyta szufla i łomocze węgiel sypiąc się do wiadra. Ale nikt ich nie słucha, tylko ta komórka.

Gdyby ktoś zechciał się tu ukrywać, to między węglem a tylną ścianą komórki można by używając szuflę, którą posługuje się Szlojmele, wykonać coś w rodzaju tunelu, jamy, sztolni i komórka stałaby się wówczas całkiem niezłym schronem, bunkrem, całkiem bezpieczną — tym bezpieczniejszą, że w jej tylnej, przylegającej do siatki ścianie rusza się jedna deska, a w siatce jest dziura, co pozwoliłoby na wymknięcie się z komórki i z ogrodu — kryjówką, taką, w której można by spędzić kilka godzin lub

kilka dni lub tygodni. Ale gdyby przyszli z psami, to z łatwością znaleźliby tunel i małą Niutę albo Gitlę umorusaną węglem, schowaną w tunelu. No więc nie da się powiedzieć, żeby ta komórka była całkiem bezpieczną kryjówką. Ale ponieważ jest upalne, a nawet duszne przedpołudnie, lipiec roku 1937 — tuż obok ucha Icyka, który siedzi na ławce, przelatuje groźnie bucząc trzmiel przywabiony tu zapewne przez białe kwiaty ogórkowca wspinającego się po ścianach komórki i po siatce, przez żółte wnętrza tych to białych kwiatów — więc nie widać powodu, dla którego ktoś miałby ukrywać się w komórcie, do której zresztą nie sposób się dostać, bowiem zamknięta jest na wielką, zardzewiałą kłódkę. Kto siedzi na ławce, tak jak teraz Icyk, ten — rano, w południe oraz w porze obiadowej — zwrócony jest twarzą do słońca, które grzeje, ale umiarkowanie, bowiem przesuwając się ponad ogrodem pani Sary ukryte jest za koronami drzew: — To drzewo po lewej to jest niewątpliwie klon — myśli Icyk — a to drugie to lipa czy topola? I kiedy ja wreszcie nauczę się odróżniać klon od kasztana, lipę od topoli. — Nie ma w tym nic dziwnego — mówię do Icyka — że ktoś, kto spędził całe dzieciństwo na Stawkach lub na Zamenhofs, a w Ogrodzie Krasieńskich znalazł się po raz pierwszy, kiedy miał trzynaście czy czternaście lat, ma kłopoty z odróżnieniem lipy od topoli. Ja, także dziecko miasta, przez wiele lat miałem takie kłopoty. Choć w dzieciństwie bawiłem się w Parku Ujazdowskim, tam gdzie ta zielona waga i ta rzeźba, bardzo mnie wtedy intrygująca, gołej dziewczyny. W roku 1940 lub 1941 dzieci na Dzielnej — może to było na Niskiej — zobaczyły starego Żyda, który prowadził na postrońku krowę. Żyd prowadzący krowę ulicami getta, bardzo dziwny widok. Ale może to była koza, wszystko jedno. Dzieci pobiegły za Żydem i krową lub kozą spierając się, co to jest za zwierzę. Wie pan, na czym stało? — Wiem — mówi Icyk, choć zważywszy na dzielącą nas odległość pięćdziesięciu lat nie może mnie słyszeć. — Stało na tym, że to zwierzę to jest koń. — Słońce przesuwające się za lipą lub topolą miło ogrzewa kolana i dłonie Icyka. Obok niego, na ławce, która niegdyś była biała i zielona, leży szkolny kajet w kratkę i pióro, Parker ze złotą stalówką, kupiony w sklepie Siudeckiego na Szpitalnej za 17 złotych. Niebagatelne pieniądze i mój Icyk bardzo jest dumny ze swego Parkera. Tym piórem, w tym kajecie Icyk pisuje felietony, które drukowane są w dzienniku „Der Moment”. Ławka jest dobrym miejscem do pracy dla kogoś, kto musi pracować nawet na lotnisku, nawet w takie upalne, piękne dni lipcowe, bowiem po pierwsze, co już wiemy, jest miło i umiarkowanie ogrzewana, a po drugie, jest niewidoczna z werandy i głośy lotników

rozmawiających na schodkach lub w jadalni, nim dolecą tutaj, zaplątują się w listkach, w gałązkach jaśminu i niemal niesłychalne, przemienione w szept, szemry, nie przeszkadzają temu, kto musi pracować.

Icyk musi pracować, bowiem felietony drukowane w „Der Moment” są jego głównym, a prawdę mówiąc jedynym źródłem utrzymania. Za felieton Icyk dostaje 34 złote, z czego wynika, że Icyk jest cenionym felietonistą. Za 34 złote można kupić dwa Parkery z dwiema złotymi stalówkami. Albo można spędzić za te pieniądze siedem dni w pensjonacie Sary Fliegeltaub, ale wtedy trzeba dołożyć jeszcze złotówkę. Para kamaszy kosztuje 25 złotych, metr bielskiego kamgaru 41 złotych, kilogram mięsa wołowego z kością — na Koszykach — 1 złoty i 47 groszy, ogórek kiszony 9 groszy, a bilet tramwajowy 20 groszy. Za wiersz wydrukowany w „Literarische Blätter” Icyk, jeśli redakcja ma pieniądze, dostaje 9 złotych lub, jeśli redakcja nie ma pieniędzy, nie dostaje nic. Ale choć felieton, który pisze albo raczej powinien napisać Icyk, musi znaleźć się w redakcji „Der Moment” najpóźniej pojutrze rano, Icyk nie pracuje i nie dlatego, że jest — co rozleniwi — miło ogrzewany. Kajet w kratkę leży na ławce zamknięty, na nim pióro, ponieważ to, o czym myśli Icyk, nie nadaje się do zapisania. A jeśli nawet nadaje się do zapisania, to nie nadaje się do wydrukowania.

— To już zdecydowane — myśli Icyk — choć nie umiałbym odpowiedzieć na pytanie, kto i dlaczego o tym zdecydował. Ale decyzja — nie da się wykluczyć, że jest to decyzja tego żydowskiego Boga, w którego niekiedy w ogóle nie wierzę, a niekiedy częściowo wierzę, a częściowo nie wierzę — została już podjęta i jest dla mnie oczywiste, że nasze szanse tutaj równają się zeru. Zważywszy na to, co się tu będzie działo, choć tego, co się tu będzie działo, prawdopodobnie nawet ten mój Bóg, w którego częściowo nie wierzę, nie jest w stanie przewidzieć, więc zważywszy na to, co się tu wydarzy, pomysł załadowania nas na okręty i wysłania na Madagaskar nie wydaje się taki zły. Niestety, Madagaskar nie należy do Polaków, a nawet gdyby należał, przewiezienie tam okrętami trzech milionów ludzi — ile razy Batory i Piłsudski musiałby opłynąć Afrykę, choć pewnie nie przewożono by nas takimi luksusowymi okrętami, już raczej pod pokładem jakichś rozpadających się frachtowców, jak niegdyś Murzynów — ale tak czy inaczej byłoby to niewykonalne z powodów technicznych. Co nie znaczy, że chciałbym znaleźć się na Madagaskarze, szczególnie dziś, kiedy to przesuujące się za drzewami — lipa czy topola? — słońce tak miło ogrzewa mi kolana, a trzmiel lecący w kierunku ogórkowca tak miło brzęczy mi tuż koło

ucha. Dobrze mi tu i gdzie indziej nie będzie mi lepiej. Ale nawet gdyby tam, na jakimś Madagaskarze, miało być mi znacznie gorzej, dalsze oczekiwanie, na tej ławce albo w białym, trzcinowym fotelu na werandzie, na to co się tutaj zaraz będzie działo, uważam po prostu za coś niebywale kretyńskiego. Wy głupi Żydzi — krzyczy Icyk, ale oczywiście krzyczy tak w sobie, po cichu i ten krzyk nie jest głośniejszy niż brzęczenie, buczenie trzmiela koło jego ucha, bowiem wykrzykiwanie czegoś takiego na głos, w ogrodzie Sary Fliegeltaub lub w Wielkiej Synagodze na Tłomackiem, raczej nie wchodzi w rachubę — wy głupi Żydzi, czy wy nie rozumiecie, że wy wszyscy, ale to wszyscy, co do jednego, powinniście stąd natychmiast wyjechać, bo jak nie wyjedziecie, to was tu załatwią. Jak nie Niemcy, to Polacy, a jak nie Polacy, to Rosjanie. No to podnieście wasze głupie głowy znad Gemary i rozejrzyjcie i posłuchajcie i pomyślcie, co się dzieje. Darwin oraz ci wszyscy, którzy wierzyli w ewolucję, Hegel i Marks i Nietzsche, ilu ich tam było, mieli rację, tylko nie przewidzieli, że ewolucja, proces trwający miliony i miliony lat, nagle zacznie przebiegać w przyspieszonym tempie, no po prostu z przerażającą, nieprawdopodobną szybkością i że obejmie także ich, nasz gatunek i że ten gatunek ewoluując z nieznaną dziejom natury i ludzkości szybkością przemieni się i wyda z siebie jakiś nowy, całkiem potąd nieznaną gatunek, nadgatunek, podgatunek i że ten nowy gatunek, ci nowi mutanci, których nieoczekiwanie wyda z siebie ludzkość, którzy niespodzianie wyłonią się, przemienieni, z ludzkości, będą pragnęli przymusić do ewoluowania także i tych, którzy nie potrafią, nie mogą, nie chcą ewoluować z taką przerażającą, z taką niezwykłą szybkością, którzy w ogóle, bo nie chodzi tu nawet o szybkość tego procesu, nie będą ewoluowali, ponieważ jest to wbrew ich człowieczej naturze. A kim, pomyślcie Żydzi, no kim są ci, którzy nie potrafią, którzy nie będą ewoluowali? To przecież o was chodzi tutaj, Żydzi, o was z waszą żydowską, odwieczną, niezmienną naturą. Że ci mutanci dobiórą się do was, no może nie tylko do was, ale przede wszystkim do was, próbując was oraz wam podobnych przymusić, tak czy inaczej, żebyście nieco szybciej ewoluowali, to nie ulega dla mnie wątpliwości. Wasze odwieczne obyczaje, starozakonne brody, niezmiennie chałaty i zamierzchnie myśli, wasze przeciwne wszelkiej ewolucji pejsy będą budziły i obrzydzenie i grozę w tym nowym gatunku, bowiem będzie w nim budziło obrzydzenie, grozę wszystko, co odwieczne i niezmiennie ludzkie. Jak nie Hitler, to Stalin. A jak nie Stalin, to jakiś polski, rumuński, węgierski Mussolini. Bo ci mutanci — myśli Icyk, odrącając buczącego rozpaczliwie trzmiela, który pomylił jego ucho z kwiatem ogór-

kowca — są już wszędzie. I nie jest wykluczone, że są już także na Madagaskarze i że nie ma już żadnej wyspy, na którą Żydzi mogliby się przed nimi schronić. Ale czy to, co ja myślę, nadaje się do druku w „Der Moment”? Po pierwsze, nikt mi czegoś takiego nie wydrukuje. A po drugie, to słusznie mi nie wydrukuje, bo może się myśleć i żadna mutacja nie nastąpiła oraz nie nastąpi i nie należy zaraz popadać w panikę. Trzmiel buczący nad kwiatami ogórkowca buczał tak samo tysiąc lat temu i sto tysięcy i — czemu nie? — tysiąc tysięcy lat temu i były to niewątpliwie takie same trzmiel nad takimi samymi białymi kwiatami i taki trzmiel nieźle by się uśmieł, gdyby mógł się śmiać, na myśl, gdyby mógł myśleć, o tym, że istnieje ewolucja gatunków, trzmieli, kwiatów, ludzi i że jakiś inny gatunek wierzy w coś takiego. No ale to, że ja tak myślę, świadczy tylko o tym, że mój żydowski czyli nie będący w stanie ewoluować i nie ulegający mutacjom umysł jest przeciwny wszelkiej ewolucji. Co — gdybym te moje myśli zapisał oraz wydrukował — wywołałoby niewątpliwie obrzydzenie i wściekłość mutantów. Nie jest zresztą wykluczone, że do tego, co myślę, odniósłby się z obrzydzeniem również mój drogi przyjaciel, Moryc Kapłan, który — będąc sympatykiem Bundu — musi przecież wierzyć w ewolucję i prawdopodobnie pragnąłby nawet przymusić Żydów, więc także i mnie, żebyśmy nieco szybciej ewoluowali. Ciekawe, czy Moryc wie, co tu się niebawem wydarzy i co zamierzają wykonać mutanci. Jego dobre intencje nie ulegają dla mnie wątpliwości, ale jednak powinienem mu chyba powiedzieć, że nie wolno mu przykładać do tego ręki — i rozłożywszy na kolanach kajet w kratkę Icyk odkręca Parkera ze złotą stalówką, dochodzi bowiem do wniosku, że jednak musi zapisać to, co myśli, no bo jak nie zapisze, to te myśli — w taki upalny, duszny dzień, kiedy zmęczone trzmiel z trudem wloką się w powietrzu i nie porusza się ani jeden listek na krzakach jaśminu — zaraz wyparują mu z głowy i już nigdy nie zdoła sobie przypomnieć, o czym myślał 13 lipca 1937 roku, w Otwocku, między komórką a krzakami czerwonych i białych porzeczek.

Przepisuję tytuły artykułów, które ukazały się w „Naszym Przeglądzie” — największy żydowski dziennik wydawany w Warszawie w języku polskim — 13 lipca 1937 roku. „W Chinach toczy się już wojna”. „Pod Madrytem”. „Granice państwa żydowskiego nie są jeszcze dokładnie wyznaczone”. „Prawda o niełasce Leni Riefenstahl”. „Pierwsze próby wprowadzenia systemu aryjskiego na terenie samorządu rzemieślniczego”. „Czyżby getto na kolejach państwowych”. „Czego się uczą dzieci niemieckie”. „Zgłaszać się o paszporty zagraniczne możliwie najwcześ-

niej”. „Pod zarzutem działalności komunistycznej”. „13 września proces o zajścia w Przytyku”. „Policjant zastrzelił złodzieja rowerowego”. „Echa krwawego zajścia w Otwocku”. „Problematyczna przyjaźń między Austrią a Niemcami”. „Echa zajść antyżydowskich w Częstochowie”. „Miliony płyną do kas gen. Franco”. I tak dalej. Czytając te tytuły po pięćdziesięciu latach — w lipcu roku 1987 — można uznać, że ostrzeżeń nie brakowało. Ale czy na podstawie wiadomości, że Leni Riefenstahl, „przyjaciółka Hitlera i dyktatorka filmu niemieckiego” — babka Leni Riefenstahl była polską Żydówką — została wyproszona z salonu przez doktora Goebbelsa, że moskiewska gazeta „Trud” wezwała do zupełnego wytopienia agentury trockistowsko-bucharinowskiej oraz że dwa tysiące Marokańczyków wylądowało w Albeciras, po czym odjechało koleją na front madrycki, można było — wówczas, w lipcu roku 1937 — przewidzieć, że to wszystko skończy się rzezią? Na skrzyżowaniu Stawek z Dziką? Co prawda, nieco wcześniej, w lutym tegoż roku, w warszawskim tygodniku „Prosto z mostu” pewien młody poeta zapowiadał w wierszu, który nazywał się „Polska wybuchła w roku 1937”, że w Polsce niebawem „pachnieć będzie pszenicą, nie intelektem rabinicznym” oraz wzywał Anioła Bożego, żeby raczył zesłać noc długich noży na czytelników żydowskiego pisarza Marcellego Prousta. Ale to były pogrożki, których zapewne nie traktowano zbyt serio. Ci, których Icyk Mandelbaum uważał za mutantów, byli jeszcze dość daleko i nie byli wyraźnie widoczni. Powstaje więc pytanie, czy tego dnia, siedząc tam na tej ławce, obok trzmiela i kajetu w kratkę, Icyk mógł przewidywać, przewidzieć, co się niebawem wydarzy. Nie wydaje się bowiem prawdopodobne, aby mógł na przykład przewidzieć, że w roku 1940 lub 1941 żydowskie dzieci na Niskiej, zobaczywszy Żyda prowadzącego na postronku krowę, będą wołały: — O koń idzie, koń.

— Ale ja nie twierdzę — mówi Icyk — że ja przewidziałem, co się wydarzy, ponieważ tego wtedy nikt nie mógł przewidzieć. Przewidywałem tylko, że coś się wydarzy, a to jest różnica. Nie tylko zresztą ja, inni też przewidywali, że to nasze otwockie letnisko jest czymś w rodzaju strefy wstrząsów sejsmicznych i że tam w głębi, pod nami, coś pęka, trzeszczy, przesuwa się i rozstępuje. Takie podziemne dudnienie i ja to słyszałem.

— Nie jest to może — mówię — stosowne pytanie, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego ci, którzy słyszeli to dudnienie, którzy przewidywali, że coś się wydarzy, nie krzyczyli głośno, że z tej strefy trzeba uciekać, czym szybciej, tym lepiej.

— Wszyscy wtedy chcieli wyjechać — mówi Icyk. — No może nie wszyscy, ale prawie wszyscy.

— Więc dlaczego nie wyjechali?

— Pan pyta — mówi Icyk — jakby pan był dzieckiem. Po pierwsze tych, którzy słyszeli to dudnienie z głębi, te ryki podziemnych sił wyrzucających na powierzchnię ochłapy zakrwawionego mięsa, nie było znów tak wielu. A po drugie, mało kogo było stać na to, żeby wyjechać, ponieważ na to trzeba było mieć pieniądze.

— Ale chyba byli tacy, którzy przewidywali, że niebawem zaczną się tu dziać jakieś straszne rzeczy, a których było przy tym stać na to, żeby zapłacić za certyfikat. No, ja wiem, ile się za to płaciło.

— Byli.

— Wiedzieli, że powinni wyjechać i mieli na to pieniądze, więc mogli wyjechać. Ale nie wyjechali.

— Nie wyjechali.

— Dlaczego?

Ale Icyk nie odpowiada na moje pytanie, ponieważ między krzakami jaśminu, na ścieżce, która prowadzi z willi do komórki, pojawia się — białe lub raczej kremowe, bo nie z płótna, lecz z wysmienitej angielskiej wełny, spodnie, biała koszula i biały, wycięty w szpic pulower z granatowym wzdłuż szpicu i czerwonym szlaczkiem oraz rakieta tenisowa, też w białym pokrowcu — Jureczek Wasiutyński. Blond wąsik i biały daszek białej czapeczki nad wąsikiem. Gdyby nie nos — cokolwiek jednak za długi — to można by powiedzieć, że Jureczek Wasiutyński jest wprost niezwykle aryjskiej urody. — Można by też powiedzieć — myśli Icyk — że Jureczek ma wprost niezwykle aryjską głowę, to znaczy o jego myślach myślę, ma aryjskie myśli, ale gdybym coś takiego głośno powiedział, to Jureczek na pewno okropnie by się na mnie obraził, ponieważ nie ma, zdaniem Jureczka, lepszego, bardziej żydowskiego Żyda, niżli on, Jureczek.

— No ale dlaczego oni nie wyjechali — pytam jeszcze raz z odległości pięćdziesięciu lat lub siedmiu tysięcy kilometrów, zależnie od tego, gdzie w czasie tej z nim mojej rozmowy umieszczam Icyka.

— Ależ pan nudzi — mówi Icyk. — Przecież dobrze pan wie, że na takie głupie pytania nie ma odpowiedzi. Nie wyjechali, bo nie wyjechali. A pan dlaczego nie wyjeżdża? Przecież wciąż przewiduje pan najgorsze. Że zaraz na tym miejscu, gdzie pan właśnie w tej chwili siedzi — róg Filtrowej i Sędziowskiej — wydarzy się coś okropnego.

— Ale cadyk z Góry Kalwarii wyjechał.

— Na temat cadyka proszę się nie wypowiadać — mówi Icyk. — Ktoś taki jak pan w ogóle nie jest w stanie pojąć, co to znaczy: cadyk. A i ja na temat naszego cadyka z Ger nie zamierzam się wypowiadać. A teraz proszę się oddalić na odległość pięćdziesięciu lat albo, jak pan woli, siedmiu tysięcy kilometrów, ponieważ ja mam do pomówienia z Jureczkiem Wasiutyńskim, który doprowadza mnie do szaleństwa, no wprost szafł mnie ogarnia, kiedy ten mutant wydobywa te swoje niezwykle aryjskie myśli z tej swojej niezwykle żydowskiej głowy.

— Pan pozwoli — mówi Jureczek i siada obok Icyka, kładąc rakieta na jego błękitnym kajecie — że ja sobie usiądę. Wygrałem z panią Chają, niech pan sobie wyobrazi, sześć do trzech. Ale mimo, że ją pokonałem, to muszę panu powiedzieć, że ona jest po prostu wspaniała. Gdyby wszystkie nasze młode Żydówki były takie, to nas dawno by już tu nie było i byłibyśmy w Palestynie. Niekiedy wydaje mi się nawet, że nasze kobiety lepiej pojmują żydowską myśl państwową, niż nasi mężczyźni. Ale źle się wyraziłem. Nie chodzi o to, że one ją pojmują. One, może nawet tej myśli nie pojmując, wspaniale ją ucieleśniają. Pani Chaja jest dla mnie po prostu symbolem.

— Chyba pan przesadza — mówi Icyk. — Chaja jako symbol tego, co pan ma w głowie. No wie pan.

— Kiedy myślę — mówi Jureczek — o czymś, co najlepiej reprezentowałoby naszą myśl państwowotwórczą, powiedzmy, o takim afiszu, który zachęcałby naszą młodzież do wyjazdu, to wydaje mi się, że na tym afiszu powinna być przedstawiona właśnie taka młoda dziewczyna w krótkiej, białej spódniczce, z rozwianymi włosami. Dziewczyna z rakieta, na czerwonym korcie. Taki afisz byłby też czymś w rodzaju wezwania lub nawet nakazu.

— Do czego chciałby mnie pan wezwać? — pyta Icyk, choć wie, do czego wzywa go Jureczek Wasiutyński. — Prawdę mówiąc, raczej nie lubię być wzywany.

— Nie chodzi mi o pana — mówi Jureczek — lecz o naszą młodzież. Niewątpliwie brakuje jej czegoś, co można by nazwać tężyzną fizyczną. Czyli tężyzną rasową. Niech pan weźmie na przykład Rosję Sowiecką. Tam istnieją różne organizacje sportowe i wojskowe przeznaczone dla kobiet i młodzieży, a nawet dzieci. I takich organizacji właśnie nam potrzeba. My musimy stać się wreszcie zdrowym narodem.

— A jesteśmy — pyta Icyk — chorym narodem? Jakoś mi to nigdy nie przyszło do głowy.

— No nie powie mi pan — mówi Jureczek — że naród, który delektuje się swoim kalectwem i swoimi ranami i podtyka to kalectwo i te rany pod nos, jeśli tak można powiedzieć, całemu

światu, jest zdrowym narodem. My się po prostu ośmieszamy, żądając od innych narodów, żeby podziwiały nasze kalectwo.

— Ale co pan właściwie nazywa — pyta Icyk — naszym kalectwem? Czy to, że my nie mamy własnego państwa? Można to uznać za rodzaj kalectwa, ale chyba nie można powiedzieć, że my się tym kalectwem delektujemy?

— Nie to miałem na myśli — mówi Jureczek. — Chodzi mi o nasze wszystkie dziejowe cierpienia. My te nasze cierpienia wprost, proszę pana, uwielbiamy. Mnie to strasznie brzydzi, bo to jest rodzaj psychozy. Naród, który lubi cierpieć i lubi być męczony, sam sobie odmawia prawa do istnienia, ponieważ prawo do istnienia mają tylko zdrowe i silne narody.

— To znaczy — mówi Icyk — że naród jest dla pana czymś w rodzaju żywego organizmu. Takie wielkie zwierzę, które może być zdrowe lub może być chore. Kiedy jest chore, leży zagrzebane w swojej norze, a kiedy jest zdrowe, poluje na inne zwierzęta. No to ja mam trochę inną koncepcję narodu.

— Czytałem pańską powieść — mówi Jureczek — i powiem wprost: uważam, że pańska koncepcja jest nie do przyjęcia. Sabataj Cwi był zwykłym oszustem.

— Ja tego w mojej powieści — mówi Icyk — przecież nie rozstrzygam. Kim on był. To jest powieść o tych Żydach, którzy w niego uwierzyli. Chciałem to sam sobie wytłumaczyć: jak do tego doszło, że oni w niego uwierzyli i wybrali się w tę podróż.

— Otóż to — mówi Jureczek. — Jeszcze kilka pogromów, a znowu pojawi się wśród nas jakiś Sabataj Cwi. I Żydzi znowu w niego uwierzą. To jest właśnie nasze nieszczęście i to nazywam rodzajem psychozy. Choć może należałoby to raczej nazwać rodzajem obłądzenia. Delektując się naszymi cierpieniami, popadamy w jakiś mesjanistyczny obłądzenie. Tak jakby te nasze niezwykłe i wspaniałe cierpienia były jakimś wyróżnieniem czy nagrodą. Czymś, z czego wynika, że to właśnie my mamy prawo i obowiązek zbawienia wszystkich innych narodów. Niech pan zauważy, że zdrowe i silne narody raczej nie miewają takich mesjanistycznych urojeń.

— A czy pan nie sądzi — pyta Icyk — że naród może być silny swoją słabością? Że to, co jest w nim, co wydaje się w nim słabe, może być jego najlepszą obroną? Te nasze, jak pan to ujął, mesjanistyczne urojenia, rzeczywiście niekiedy bywają dość śmieszne. I Sabataj Cwi rzeczywiście był oszustem. Ale zwracam pana uwagę na to, że jednak przetrwaliśmy tych kilka tysięcy lat. Nie jest wykluczone, że stało to się za sprawą naszych mesjanistycznych urojeń. Wierzyliśmy, że Bóg ma do nas jakąś szcze-

gólną sprawę i może właśnie to pozwoliło nam przetrwać? Nas powinno już nie być, panie Jureczku.

— Wiara — mówi Jureczek — że my judaizm uczynimy ośrodkiem duchowym całej ludzkości, wydaje mi się absurdalna. Mesjanistyczne urojenia też są absurdalne. My mamy do zdobycia nie jakieś duchowe, ale zupełnie konkretne terytorium. Nie zdobędziemy go, jeśli nie staniemy się zdrowym narodem. Dlatego właśnie to, co nazwałem tężyzną rasową, uważam za nakaz chwili obecnej. Nazwałbym go nakazem państwowo-narodowym.

— Chaja z rakiętą tenisową — mówi Icyk. — To może lepiej Chaja z karabinem? Może to jest lepszy pomysł na pański państwowo-narodowy afisz?

— Nie było jeszcze w dziejach — mówi Jureczek — takiej kolonizacji, która nie musiałaby się liczyć z oporem tubylców. Palestyna nie jest i nie będzie wyjątkiem. Wie pan przecież, że jeden Żyd przypada tam w tej chwili na sześciu Arabów. No więc?

— No więc przypada — mówi Icyk. — I co z tego?

— No więc jeśli chcemy — mówi Jureczek — żeby większość arabska oraz rząd mandatowy liczyły się z nami, to powinniśmy tam mieć obecnie przynajmniej około dwóch tysięcy żołnierzy. Bez takiego legionu to w ogóle nie ma co myśleć o tym, żeby udało się nam stworzyć nasze państwo. Ale jak przypuszczam, pana to pewnie mało obchodzi.

— Obchodzi mnie — mówi Icyk — Choć nie uważam, żeby to był w tej chwili najważniejszy z naszych żydowskich problemów. — Ale ja to jestem — myśli — dziwny człowiek. Przecież wiem, co ten Jureczek ma w głowie i wiem, czym skończy się ta rozmowa. Więc właściwie po co go prowokuję? Chaja z pewnością jest teraz na werandzie i gdybym tam poszedł, to zobaczyłbym, jak ona wygląda w tej białej, plisowanej spódnicy. Jej kostki w białych skarpetkach. Jej łokcie, nad łokciami krótkie rękawy białej bluzki. Obejrzenie jej łokci byłoby na pewno czymś znacznie miłszym niż rozmowa z tym tu Jureczkiem.

— Tak też myślałem — mówi Jureczek. — Niech się pan nie obrazi, ale robi pan na mnie wrażenie kogoś, kto utracił ojczyznę. Kto nie ma już żadnej ojczyzny. Po prostu Palestyna nie jest dla pana ojczyzną.

— Pan nie dostrzega — mówi Icyk — subtelnej różnicy między ojczyzną a państwem. Nie mam nic przeciw idei *Judenstaat*'u. Powinności, jakie wynikają lub wynikną dla mnie z istnienia tego państwa, są mi znane. Ale moja ojczyzna jest wszędzie.

— Rozumiem — mówi Jureczek. — Pan uważa, jak nasi ortodoksi, że pańską ojczyzną jest Talmud. Coś w rodzaju, jak

powiada doktor Bałaban, ruchomej ojczyzny. To jest po prostu śmieszne. My żyjemy w określonej sytuacji. Istnieją określone mocarstwa, które prowadzą określoną politykę międzynarodową. I powołując się na Talmud, podsuwając Talmud pod nos angielskim czy francuskim politykom, my niczego nie uzyskamy. My musimy przekonać tych polityków, że posiadamy instynkt państwowy. I musimy ich przekonać, że oni z tym naszym instynktem państwowym powinni się liczyć.

— Tu nie chodzi — mówi Icyk — tylko o Talmud. Być może źle się wyraziłem, mówiąc, że moja ojczyzna jest wszędzie. Powinienem raczej powiedzieć, że wszystko jest ojczyzną.

— Co to znaczy: wszystko? — pyta Jureczek, który nie siedzi już na ławce, lecz krążąc na małej przestrzeni między komórką, krzakami porzeczek i krzakami jaśminu, co pewien czas staje przed Icykiem i uważnie mu się przygląda: — Jakby chciał — myśli Icyk — sprawdzić, czy ja naprawdę jestem Żydem, czy to możliwe, żeby ktoś taki był Żydem, albo jakby niezwykle go dziwiło, wprost zaskakiwało, że ktoś, jakiś żydowski inteligent żyjący w pierwszej połowie dwudziestego wieku, może mieć w głowie takie talmudyczne głupstwa, takie ortodoksyjne urojenia, ale w tym drugim wypadku Jureczek przyznaje mi jednak prawo bycia Żydem, uznaje moje żydostwo, a to i tak nieźle. — Co pan ma na myśli mówiąc: wszystko?

— Mam na myśli — mówi Icyk — to wszystko, co my, Żydzi, niesiemy ze sobą. To wszystko, co wykonaliśmy w dziejach. To wszystko, co nam się w dziejach przydarzyło. To właśnie uważam, zgodnie z etymologią tego słowa, za moją ojczyznę. Ten spadek, którego jestem spadkobiercą. Więc niech mi pan — i tu Icyk wpada, choć właściwie nie ma po temu szczególnego powodu, w straszną wściekłość i zaczyna krzyczeć na Jureczka, który wydaje się nieco tym jego krzykiem przestraszony — więc niech mi pan tu nie opowiada o jakimś państwie, bo nie ma takiego państwa, które mogłoby udźwignąć taki ciężar. Państwo to jest ładna rzecz. Ale ono w ogóle nie jest powołane do tego, nie jest po to, żeby to dźwigać, żeby temu sprostać: temu ciężarowi, temu dziedzictwu, które my niesiemy i bez którego my jesteśmy niczym. Państwo ma mi nie przeszkadzać. A to dziedzictwo to jest nie jego, ale nasza rzecz. Bo tylko naród, cały, może je udźwignąć.

— Nie widzę — mówi nieco przestraszony Jureczek — zasadniczej różnicy między narodem a państwem.

— Nie widzi pan różnicy, bo jest pan mutantem — chce powiedzieć Icyk, ale ponieważ nie ma ochoty tłumaczyć Jurecz-

kowi, co rozumie pod słowem: mutant, mówi co innego: — Rzeczą państwa jest drukowanie biletów tramwajowych i dbanie o to, żeby bilet tramwajowy kosztował nie więcej niż 20 groszy. Jeśli takie same zadanie dziejowe wyznacza pan narodowi, no to ja panu gratuluje.

— Pan w ogóle nie chce pojąć — mówi jakby nieco pojednawczo, a w każdym razie niezbyt głośno, choć może też powinien zacząć wrzeszczeć, Jureczek — na czym polega istota i nie waham się tu użyć przymiotnika: święta, a więc na czym polega święta istota państwa. Która według mnie jest tożsama z istotą narodu. To mnie bardzo martwi. Nam przecież potrzebna jest teraz każda forma żydowskiej energii. Ale żeby z tej energii był jakiś pożytek, to te formy muszą się połączyć i stworzyć jedną, wyższą od nich wszystkich, formę. Jeśli każdy Żyd będzie myślał, co chce i jak chce — a my, Żydzi, mamy takie skłonności, bo my jesteśmy indywidualistami, a nawet anarchistami — więc jeśli każdy, włączam w to także pana, będzie myślał, co chce, to nasze państwo nigdy nie zostanie zbudowane. Pan ma, na przykład, jakąś ideę, która to idea wydaje się panu piękna i szlachetna. Ale jeśli ta idea stoi w sprzeczności z naszym ideałem i jest przeszkodą w realizacji tego ideału, to musi ona zostać poświęcona i to bez litości, bowiem idei można mieć wiele, ale ideał my mamy teraz tylko jeden. Dwa albo trzy ideały to jest czysty absurd. Służyć można tylko jednemu ideałowi.

— Nie zamierzam — mówi Icyk — poświęcić dla pańskiego ideału ani jednej z moich pięknych i szlachetnych idei.

— Otóż to — mówi Jureczek. — Na tym właśnie polega nasze żydowskie nieszczęście. Że my, Żydzi, nie potrafimy połączyć się w jedną żelazną pięść, która uderzy, kiedy to będzie potrzebne.

— Co za pięść? — krzyczy Icyk. — Kogo pan chce walić tą pięścią?

— Nie chodzi przecież o słowa — mówi Jureczek. — Jeśli nie podoba się panu to słowo, to mogą zastąpić je innym. Na przykład słowem: maszyna. Lub słowem: orkiestra. Pan mi, oczywiście, powie, że nie jest przyjemnie być częścią maszyny. Lub instrumentem, jednym z instrumentów, w orkiestrze. Że może jest w tym nawet coś, co wydaje się niegodne wolnego człowieka, ponieważ ogranicza to jego poczucie wolności. Więc ja z góry odpowiem na to pańskie zastrzeżenie. Działać wspólnie, z cudowną precyzją maszyny, potrafią tylko tacy ludzie, którzy są i którzy czują się naprawdę wolni. Bo właśnie w tym

wyraża się najpełniej niczym nieograniczona, bezwzględna wolność każdego człowieka: że on, dumny ze swej wolności, potrafi podporządkować swoją indywidualną wolę zbiorowym potrzebom państwa i narodu. Ja, przyznam się panu, upatruję w tej umiejętności, w tej wrodzonej nam chęci zharmonizowania tego, co indywidualne z tym, co wspólne, no wprost najpiękniejszą cechę ludzkiego rodzaju.

— A tą orkiestrą — pyta Icyk — kiedy ona już się tak pięknie zharmonizuje i kiedy zacznie grać właśnie to, co pan chciałby usłyszeć, to kto, niech mi pan z łaski swojej powie, będzie dyrygował? Pewnie pan?

— Pan chyba żartuje — mówi Jureczek. — Ja nie czuję się godny. Jestem przecież tylko jednym z wielu, którzy myślą identycznie jak ja i na pewno są wśród nas godniejsi, lepiej przygotowani ode mnie do tego żeby, jak pan to określił, dyrygować tą orkiestrą. I oczywiście ja się podporządkuję, ponieważ uważam, że realizacja naszego ideału zależy przede wszystkim od tego, czy potrafimy się podporządkować. Co nie znaczy, żebym chciał czy zamierzał poddać się albo ulec czyjejś woli. Wręcz przeciwnie. Ktoś, kto będzie nade mną, będzie tym samym, jeśli tak rzecz można, depozytariuszem mojej wolności czyli mojej wolnej woli. A więc kimś, kto dysponując moją wolą, będzie działał z mojej woli. Ja po prostu nie widzę innej możliwości odbudowania naszego państwa: albo zwycięży nasza wielka zasada jednego ideału, jednego celu, jednej woli, albo my jeszcze przez następne tysiąc lat będziemy się męczyli w diasporze.

— Ten ktoś — mówi Icyk — będzie kimś w rodzaju wodza?

— Dyscyplina — mówi Jureczek — polega na tym, że ktoś komuś się podporządkowuje. A ten, komu ktoś się podporządkowuje, musi z kolei podporządkować się komuś innemu. Bez dyscypliny nigdy nie zrealizujemy naszego ideału.

— Jak pan będzie miał okazję — mówi Icyk i wstając z ławki wsuwa Parkera ze złotą stalówką za błękitną okładkę kratkowanego kajetu — to niech pan powie temu komuś, mam na myśli tego, któremu wszyscy się podporządkujecie, żeby mnie pocałował w dupę. — A kiedy jest już na ścieżce, między krzakami jaśminu, jeszcze się odwraca i dodaje: — Jak pan będzie miał okazję, to może pan to samo powiedzieć panu Hitlerowi i panu Stalinowi.

— Czego — mówi Icyk, kiedy po pięćdziesięciu latach przystajemy na rogu Mordechaja Anielewicza i Karmelickiej — nie powinienem był oczywiście powiedzieć. I potem przez wiele lat dręczyły mnie z tego powodu wyrzuty sumienia. Ale skąd ja,

kochaneczku, mogłem latem w 1937 wiedzieć, jakie okazje będzie miał Jureczek Wasiutyński.

— Mnie się nie podoba to, co piszesz — mówi Hania, kiedy czerwone Renault z brzydkimi, rudymi plamami na dachu oraz na prawym błotniku — to Renault Hania dostała w prezencie od swojej ciotki, która mieszka w Izraelu, a plamy na dachu i na błotniku wykonałem, przy pomocy miniowej farby, osobiście, gdy czerwona karoseria zaczęła rdzewieć i na błotniku zrobiła się pierwsza dziura, więc: — Mnie się nie podoba to, co piszesz — mówi Hania, kiedy nasze lub raczej jej Renault skręca z Płowieckiej w dół i jedzie wzdłuż linii średnicowej czyli wzdłuż torów żółto-niebieskiej kolejki. Warszawa Anin, Warszawa Międzylesie, Warszawa Radość, Warszawa Miedzeszyn. Mniej więcej na tym odcinku toczy się ta rozmowa. Jedziemy do Otwocka, ponieważ postanowiłem obejrzeć słupki, na których trzymała się siatka wokół posesji należącej do pani Sary Fliegeltaub. Takie słupki są niezwykle odporne na pożary, rozbiórki, ewakuacje, egzekucje, przemówienia dyktatorów oraz inne dziejowe gwałty i jestem niemal pewien, że jeszcze i dziś — jest upalny dzień lipca roku 1987 — nadal tam, wokół tej posesji, stoją. Choć niewątpliwie rozpięto na nich jakąś inną siatkę. — A nie podoba mi się, bo to wszystko jest jakieś takie, tylko się nie obraż, zmyślane. To nie znaczy, że ja nie lubię takiej literatury, która jest zmyślna. Ale akurat w tym wypadku, to wydaje mi się, że zmyślanie jest niedopuszczalne, ponieważ w takim zmyślaniu jest jakaś nieprzyzwoitość, coś obraźliwego. Oni wszyscy zginęli i taki, co patrząc na nich, ginących, zaczyna coś zmyślać, nie wiem, jak to ująć, nie to, że ich pomniejsza, ale jakby nie daje temu wiary, jakby nie wierzył, że oni to tak a nie inaczej przeżywali, że to się tak a nie inaczej wydarzyło. Jakby uważał, że jego zmyślenie jest wiarygodniejsze niż wszystko to, co się wydarzyło i właśnie w tym jest coś obraźliwego. Nie chcę, żebyś zmyślał.

— Jak ci się nie podoba — mówię — to, co piszę, to nie przeczytam ci już ani jednej strony i będziesz musiała sama to sobie przeczytać, ale to będzie wydrukowane takimi małymi, zamazanymi, podziemnymi literkami, no i popsujesz sobie oczy, które już i tak masz popsute od czytania tych wszystkich podziemnych gazetek. A co do tego mojego zmyślenia, to bardzo się mylisz. Ja niczego nie zmyślam i zgadzam się z tobą, że w takim zmyślaniu byłoby coś wysoce nieprzyzwoitego.

— Jak to nie zmyślasz — mówi Hania. — A te korty w Otwocku to nie są zmyślane? Skąd ty możesz wiedzieć, czy

w Otwocku były wtedy jakieś korty. Nie mówiąc już o tym, że ci twoi Żydzi z pewnością nie umieli grać z tenisa. Przecież tacy Żydzi, co przyjeżdżali tutaj na letnisko, to byli biedni Żydzi, z Nalewek, z Krochmalnej. Wiesz, jak wyglądała wtedy taka wyprawa na letnisko? Ładowali swoje żydowskie bety na fury albo na rollwagi i przyjeżdżali tu, do Józefowa, do Otwocka, siedząc na tych betach, z żonami i z dziećmi. Żyd w chałacie, wymachujący rakieta tenisową. Albo wyobraź sobie taką furę z betami, spomiędzy których, kiedy ta fura jedzie o właśnie tędy, którądy jedziemy, wystają dwie wspaniałe rakiety. To po prostu śmieszne.

— Co do tych Żydów — mówię — którzy spędzali tutaj lato, to masz liche informacje. Tacy Żydzi z betami, na furach, to przyjeżdżali do Falenicy lub do Józefowa lub do innych miejscowości na linii, bo tak wtedy mówiono, na linii, ale do Otwocka jeździli całkiem inni Żydzi, znacznie bogatsi, tacy, którzy z pewnością grywali w tenisa. A jeśli chodzi o korty, to także się mylisz. Nie wiem, czy w Otwocku były korty tenisowe, ale wiem, że były w Śródborowie i właśnie tam, w pensjonacie „Śródborowianka”, grywali w tenisa Chaja Gelechter i Jureczek Wasiutyński. Chodzili do Śródborowa przez las, między rachitycznymi sosenkami, trzymając się za ręce i dowiedziawszy się o tych ich spacerach mój przyjaciel Icyk, bo chyba mogę go, mimo dzielącej nas różnicy lat, tak nazywać, powiedział do Jakuba Wurzła: — Panie Jakubie, ja się dowiedziałem, że oni, jak chodzą na spacer, to trzymają się za ręce. — Na co Jakub Wurzel opowiedział: — Ja panu mówiłem, że pan powinien się ożenić z jakąś porządną Żydówką, a nie z byle flądą. — W czym, wiesz, nie byłoby nic specjalnie dziwnego, gdyby nie to, że Chaja Gelechter była wtedy kochanką Jakuba Wurzła, o czym Icyk miał się jednak dowiedzieć znacznie później.

— Ale nie opowiadaj mi — mówi Hania — dalszego ciągu tej twojej zmyślonej książki. Już ci powiedziałam, że w swoich zmysłeniach jest coś obraźliwego, także dla mnie.

— Ja ci tylko próbuję wytłumaczyć — mówię — że to, co wydaje ci się u mnie zmyślone, wcale nie jest zmyślone i korty w Śródborowie są tego dobrym przykładem. Wiem, że były tam korty, ale Andrzej, który mi o tym opowiadał, nie pamiętał, czy korty były trawiaste czy miały taką czerwonawą, nie wiem, z czego to się robi, nawierzchnię. Więc ja to przemilczam i nie wypowiadam się na temat charakteru tych kortów. Godne opowiedzenia jest tylko to, co się wie na pewno. Podobnie z komórką, przy której stała ławka na żelaznych nóżkach. Nie wiem, czy

w roku 1942 lub 1943 pani Eliza, która mieszkała wtedy w willi Sary Fliegeltaub, ukrywała w tej komórce jakieś żydowskie dziecko — co bardzo prawdopodobne, ponieważ pani Eliza przed wojną przyjaźniła się z Żydami i całkiem niezłe porozumiewała się z nimi w żargonie, którego nauczyła się w dzieciństwie, na Krochmalnej, gdzie mieszkała z rodzicami: — Jak pan chce, panie Jarku, to ja pana nauczę tego ich języka, bo ja potrafię szwargotać nawet szybciej od nich — ale nie wiem, czy pani Eliza posługując się szuflą, której kiedyś używał Szlojmele, wykonała jakiś tunel, jakąś jamę między węglem a tylną ścianą komórki, więc mówię tylko, że komórka nadawałaby się na niezłą kryjówkę. Kto, opowiadając o czymś, mówi: — Może to było tak, a może inaczej, może to się wydarzyło, a może nie — w ogóle nie powinien brać się do opowiadania. Opowiadać ma prawo tylko ten, kto wie, jak to było. To znaczy ten, kto ma odwagę powiedzieć: — Tak było.

— No więc właśnie o to chodzi — mówi Hania — że ty nie możesz wiedzieć, jak to było. I nie wykluczam możliwości, że tę komórkę i tę panią Elizę to ty też zmyśliłeś. Mam również wątpliwości co do tej szuflki twojego Szlojmele. Czy ta szufla wtedy naprawdę istniała.

— Posłuchaj — mówię. — Być może ja to wszystko zmyśliłem, panią Elizę, komórkę, ławkę na żelaznych nóżkach, białe fotele na werandzie, bratki na klombie i szuflę Szlojmele, a także Chaję Gelechter, a także Icyka. Choć znasz panią Elizę i Icyka. A twoja ciotka przyjaźniła się z Chają. Ale może ja to wszystko, także ciebie i to czerwone Renault i tę żółto-niebieską kolejkę, zmyśliłem. Tyle że jeśli ja to wszystko zmyśliłem, to i tak to nie jest zmyślone. Przecież ja byłem wtedy, w 1937, małym chłopcem. No więc możesz oczywiście powiedzieć, że nie nadaję się na świadka, ponieważ nie mogę pamiętać, a nawet jeśli coś pamiętam, to są to tylko jakieś strzępy, odłamki, fragmenty nie łączące się z sobą i z potworną szybkością lecące — przez moją pamięć — w jakąś kosmiczną próżnię, w jakąś międzygalaktyczną ciemność. Ławka. Biały fotel. Dwa schodki werandy. Ktoś siedzi w fotelu i czyta gazetę. Binokle. Mankiet ponad długimi palcami, które trzymają tę gazetę. Dziwne znaki, takich nie znam, którymi zadrukowana jest gazeta. Nędzne moje świadectwo, licha moja pamięć. Ale jednak nie mogę zgodzić się z tobą, kiedy powiadasz, że nie mam — lichy świadek — prawa do świadczenia. I nie wolno ci odbierać mi tego prawa. Bo właściwie dlaczego to prawo ma mi być odjęte? Oni przecież są we mnie, są w mojej pamięci. Chaja. Jakub Wurzel. Kulawy Szlojmele. Jureczek Wasiutyński. Sara Fliegeltaub. To wszystko,

co im się przydarzyło, co z nimi zrobiono. Minęło pół wieku, ale choćbym nawet bardzo chciał — niekiedy chcę — to i tak te odłamki, strzępy, fragmenty, to co było ich życiem, to co pozostało z ich życia, to wszystko będzie krążyło w mojej pamięci: nim zostanie porwane, wessane przez kosmiczną ciemność. A wobec tego uważam, że nadaję się na świadka i nie tylko mogę, ale powinienem wystąpić jako świadek. Nawet jeśli to świadectwo, które mogę dać, nie będzie świadectwem ich życia, to będzie ono świadectwem mojej o nich i o ich życiu pamięci. Będzie świadectwem świadczącym o tym, że pamiętam. A także świadczącym o tym, jak pamiętam. To nie jest może dużo, ale to wystarczy. I dlatego bardzo się mylisz twierdząc, że ja zmyślam, że to, co opowiadam, jest zmyślane. Bo nie jest chyba zmyślony — i byłoby mi naprawdę bardzo przykro, gdybyś tak sądziła — mój wielki płacz, wielki lament, kiedy ja lamentuję i płaczę nad nimi. I nie jest chyba zmyślane to świadectwo, którym poświadczam ten mój płacz, mój lament. Który zresztą jest lamentem, płaczem także i nade mną, bowiem opłakując ich, opłakuje również siebie i może nawet przede wszystkim siebie: Polaka, którego już na zawsze opuścili jego polscy Żydzi, który tych swoich Żydów na zawsze utracił. No to chyba trzeba być jakimś podłym człowiekiem, żeby powiedzieć, że to jest zmyślane.

— To ja ciebie przepraszam — mówi Hania i całuje mnie w policzek tracąc przy tym, jak się zdaje, panowanie nad kierownicą, bowiem czerwone Renault z rudymi plamami skręca nagle w stronę torów kolejki i wysokich peronów stacji w Miedzeszynie.

— Tylko mnie nie zabij — mówię. — Nie jestem już taki młody i jak mnie zabijesz, to nie wiadomo, czy znajdzie się ktoś, kto zechce i potrafi dać świadectwo. Tacy, co są tylko trochę młodszy ode mnie, nie pamiętają przecież nawet tego, co ja jeszcze pamiętam i chwilami wydaje mi się, że te strzępy, fragmenty, te odłamki tamtego życia, ich życia, są już tylko we mnie i nigdzie indziej, tylko w mojej głowie. Nie mówiąc już o tym, że ci młodszy ode mnie pewnie w ogóle nie wiedzą, nie domyślają się, co stracili.

— Nie zabiję cię — mówi Hania — jeśli mi obiecasz, że nie będziesz zmyślał. A jeśli chodzi o te słupki, to ja przypuszczam, że już ich tam nie ma.

— Jak ich tam nie będzie — mówię — to pojedziemy do Anielina i obejrzymy kirkut, te resztki kirkutu. Gdybyś ty nie była zasymilowaną Żydówką, to mogłabyś mi przeczytać, co tam pisze, na tych połamanych kamieniach i bardzo byś mi tym pomogła.

— Jak ci się nie podoba — mówi Hania — że ja nie czytam po hebrajsku, to się ze mną rozwiedź i ożeń się z jakąś pobożną Żydówką.

— O ile wiem — mówię — to pobożne Żydówki nie znają hebrajskiego, bowiem znajomość hebrajskiego była przywilejem mężczyzn. To po pierwsze. A po drugie, to pobożna Żydówka nie wysłaby za takiego goja jak ja. A po trzecie, to pobożnych Żydówek przecież w Polsce nie ma — i w tej chwili czerwone Renault zjeżdża z piaszczystej drogi na pobocze i zatrzymuje się przy zardzewiałych słupkach, na które naciągnięta jest całkiem nowa, pomalowana ochronną srebrną farbą siatka.

Ile tu piasku. Jeśli przyjmiemy, że ten świat — co jest dość prawdopodobne — został stworzony przez Boga lub, co na jedno wychodzi, przez jakąś inną Siłę, to musimy wyciągnąć z tego wniosek, że to, co stworzone, było wprzód — lub w chwili stworzenia — pomyślane. Czyli że zostało stworzone po coś. Gdybyśmy wnioskowali inaczej — coś jest po nic — poddaliśmy tym samym w wątpliwość mądrość Boga albo mądrość tej tam Siły. Ale po co Bóg stworzył piasek? Jaki pożytek Bóg może mieć z piasku? Dlaczego — po co Mu to — mam tyle piasku w butach, we włosach, w nosie oraz w uszach? Rabbi Symcha Bunam z Przysuchy: „Kto nie wierzy, że Bóg chce, aby to ziarenko piasku tutaj właśnie leżało, ten nie ma w sobie wiary”. Może miał rację rabbi Symcha Bunam. Ale Bóg rozmyślający gdzie położyć to, o właśnie to ziarenko piasku, to które przylepiło się do wilgotnej opuszki mego palca, jest Bogiem, którego nie pojmuję. Z czego wniosek, że nie powinienem się na ten temat wypowiadać, a może nawet nie powinienem o tym myśleć, ponieważ Bóg — cokolwiek bym zdołał pomyśleć — pozostanie dla mnie niepojęty i niepojmowalny. Ukryty za dziesięcioma — tyle ich chyba jest — sefirotami. Gdzieś w głębi — niedocieczonej — prapowietrza lub praświatła. Lub w głębi — niedocieczonej — prapiasku. Za sosnami jest piasek, za piaskiem są sosny, za sosnami znów jest piasek, za piaskiem jest Świder, nad którym — piaszczysta plaża, a na drugim brzegu krzaki wikliny — siedzimy. Ja na gazecie — ostatni numer „Naszej Opinii” — którą rozłożyłem na piasku, ponieważ żal mi moich szarych spodni. Obok mnie Szymon Warszawski, który na takie głupstwa jak spodnie nie zwraca uwagi. Ale ojciec Szymona jest bankierem — bank na ulicy św. Andrzeja w Łodzi — więc Szymon nie musi oszczędzać spodni. Chaja siedzi na pochyłym, sterczącym z wody pniu drzewa — to chyba wierzba — którego korona złamała się

i została odpiłowana: widać jasne słoje. Błękitna wążka, mały szybowiec, tuż ponad białą, marynarską czapeczką Chai. Pani Lilka — też w takiej samej białej czapeczce oraz w czymś w białe i granatowe paski, co dałoby się określić jako rodzaj piżamy lub rodzaj garnituru — brodzi tuż przy brzegu zawinawszy powyżej kolan szerokie nogawki tej piżamy czy tego garnituru. Świder jest tu płytki i można przejść na drugi brzeg nie zamoczywszy kolan. Obok mnie, na piasku, leżą białe pantofle i jedwabne pończochy Chai. Obok Szymona leżą białe pantofle i białe skarpetki pani Lilki. Ile tu piasku. Jeśli Bóg stwarzając piasek rozmyślał nad losem i miejscem każdego ziarenka, to musiał się niezłe napracować. Mógł jednak — niepojęty — załatwić to w ciągu sekundy. Albo mógł załatwić to poza czasem, w praczasie, w beczasie. Ziarenka piasku istnieją co prawda w czasie — może nawet są tożsame, jak wszystko co istnieje, z czasem? — nie jest jednak wykluczone, że zostały stworzone w beczasie i po stworzeniu wyrzucone — wysypane — w czas. Lub że zostały stworzone w czasie na skutek decyzji pochodzącej z beczasu. Słodko jest siedzieć nad Świdrem — na „Naszej Opinii” — i rozmyślać o miejscu i losie każdego z tych ziarenek, które tutaj leżą. Jeśli wybiorę takie ziarenko — jak to właśnie robię — spośród innych ziarenek i położę je o tu, na „Naszej Opinii”, w tym miejscu gdzie liść palmy kołysze się na rysunku ponad płaskimi dachami Jerozolimy, to kto jest odpowiedzialny za tę zmianę miejsca? Kto podjął tę decyzję i kiedy została ona podjęta? Ale Szymon oczywiście nie pozwoli mi rozmyślać o losie — niepojętym i niepojmowalnym — tego tu ziarenka, ponieważ Szymon chce się dowiedzieć, dlaczego ja nie piszę po polsku.

— Ja nie rozumiem — mówi Szymon — dlaczego pan nie pisze po polsku? To jest dla mnie wprost zagadkowe. Dlaczego człowiek tak utalentowany jak pan wypowiada się w języku, którego — co jest dla mnie, a chyba i dla pana oczywiste — za pięćdziesiąt albo za sto lat nikt nie będzie znał. To jest język skazany. Zapewniam pana, że za pięćdziesiąt lat nie będzie pan miał ani jednego czytelnika.

— Może właśnie dlatego — mówię — piszę po żydowsku, ponieważ jest to język skazany. Ale mam prostszą odpowiedź na pańskie pytanie. Nie piszę po polsku, ponieważ nie chcę pisać po polsku.

Moja odpowiedź nie może oczywiście zadowolić Szymona Warszawskiego, który z pewnością uważa, że takie wyznanie — nie chcę pisać po polsku — jest rodzajem żartu i że wobec tego nie należy go traktować poważnie. Jak ktoś, kto mógłby pisać

po polsku — Szymon wie, że mógłbym pisać po polsku — może nie chce pisać po polsku? Kto pisze po polsku, sytuuje się przecież — zdaniem Szymona — znacznie wyżej niż ten, kto pisze po żydowsku, ponieważ język polski jest, ciekawe jakby on to ujął, prawdopodobnie powiedziałby, że język polski jest lepiej dostosowany do warunków cywilizacyjnych dwudziestego wieku, lepiej przygotowany na przyjęcie postępowych idei tego wieku, niż język żydowski. Czyli, jak Szymonowi zdarza się powiedzieć, żargon. Szymon czyta w żargonie, ponieważ w dzieciństwie nauczył się liter, a czy mówi w żargonie, tego nie wiem. Przypuszczam, że wstydzi się mówić i dlatego nie mówi. Mówiąc ze mną w żargonie usytuowałby się znacznie niżej, niż sytuuje się mówiąc po polsku. Byłoby to dowodem, że jest żydowskim obskurantem, że błąka się w oparach żydowskiego średniowiecza, że jeszcze się nie zeuropeizował. A przecież Szymon jest Europejczykiem. Ciekawe, dlaczego on właściwie spędza wakacje w żydowskim pensjonacie, w towarzystwie takich żydowskich obskurantów jak ja albo Jakub Wurzel? Pewnie dlatego, że pani Lilka — wielka filosemitka — uznała, że wakacje w żydowskim pensjonacie będą czymś w rodzaju godnego świadectwa: ponieważ antysemita mówią, że nie należy zadawać się z Żydami, więc ona spędza tu z nami wakacje i niech to świadczy o tym, jak ona kocha Szymona oraz wszystkich innych Żydów. Trochę to śmieszne, ale jest w tym coś, co mi się podoba. Szczególnie, że pani Lilka jest naprawdę śliczna i miło jest na nią patrzeć, kiedy brodzi w Świdrze w tej piżamie lub w tym garniturze, w tym czymś, co jest w granatowo-białe paski.

— Drukując w „Wiadomościach Literackich” — mówi Szymon — miałby pan znacznie więcej czytelników. No i byłiby to czytelnicy ze sfer inteligenckich, a więc tacy, którzy rozumieliby pana znacznie lepiej, niż ci czytelnicy, dla których pisze pan po żydowsku. Nie mówiąc już o tym, że w „Wiadomościach” znacznie lepiej by pan zarabiał. Ile dostaje pan za felieton?

— Drogi panie Szymonie — mówię — przecież pan widzi, że ja umieram z głodu.

— Pan Słonimski — mówi Szymon — dostaje za felieton 50 złotych. A jeśli mu ten felieton przedrukują jeszcze gdzieś indziej, to podobno nawet 100 złotych.

— To jest argument — mówię. — Ale wie pan, to co ja piszę to chyba by nie zainteresowało czytelników „Wiadomości Literackich”.

— Pisząc po polsku — mówi Szymon — pisałby pan oczywiście o czym innym.

— O to właśnie chodzi — mówię — że ja nie chcę pisać o czym innym.

— Rozumiem — mówi Szymon. — Wieczne problemy mieszkańców jakiegoś polskiego albo rumuńskiego getta. Tajemnice duszy żydowskiej. Zagadkowe pytania, nad którymi głowią się uczniowie jesziwy. Pan nie chce przyjąć do wiadomości, że żyjemy w dwudziestym wieku. A jeśli już przydarzyła nam się ta piękna przygoda, to powinniśmy chyba być wierni naszemu wiekowi. I uznać, że jego problemy są naszymi problemami.

— Getto — mówię — to jest problem dwudziestego wieku.

— Przewiduję — mówi Szymon — że za pięćdziesiąt lat nie będzie w Europie ani jednego getta. Kilka dni temu byłem na Zamenhofa. Getta są hańbą Europy. Nie może być tak, żeby cała Europa żyła w dwudziestym wieku, a jakieś małe enklawy żyły w dwunastym lub trzynastym wieku. Dwudziesty wiek, a dwie ulice dalej wiek trzynasty. Dla mnie to jest po prostu nie do przyjęcia.

— Wie pan, jak to zmienić?

— Jak?

— Ja właśnie pana o to pytam. Czy wie pan, co trzeba zrobić, żeby za pięćdziesiąt lat nie było w Europie ani jednego getta? Mówi pan, że getta znikną, ponieważ coś tak haniebnego nie ma prawa istnieć. Dobrze. Ale ci Żydzi, którzy mieszkają w gettach, nie znikną. Więc co zamierza pan z nimi zrobić? Uważa pan, że oni się zasymilują? Wszyscy?

— Nie wiem — mówi Szymon. — Wszyscy inteligenci, tego jestem pewien, wcześniej czy później będą musieli się zasymilować. A co do reszty, to nie wiem. Trudno sobie wyobrazić, żeby nasi chałacciarze kiedyś się zasymilowali. Ma pan oczywiście rację mówiąc, że coś trzeba z nimi zrobić. Ale nie wiem, co.

— Ja nie powiedziałem — mówię — że coś trzeba z nimi zrobić. Ja uważam, że najlepiej jest nic nie robić. Bóg kładzie każde ziarenko piasku właśnie tam, gdzie chce je położyć.

— No tak — mówi Szymon. — Właśnie dlatego nie chce pan pisać po polsku. Ponieważ pański Bóg umieścił pana pomiędzy Żydami. Ale ja, będąc człowiekiem dwudziestego wieku, nie mogę uważać się za ziarenko piasku.

— Jak będziesz się tarzał w piasku — Chaja zeskoczyła z pnia wierzby i stoi teraz nade mną, widzę, na tle nieba i krzaków wikliny, tych na drugim brzegu, jej kolana, jej białą sukienkę zapinaną, od dołu do góry, na wielkie, błyszczące guziki z masy perłowej, jej podbródek i jej włosy, czarną chmurę włosów stojącą na błękitcie, tuż nade mną — jak będziesz się tarzał w piasku

i walił głową w piasek, to będziesz miał pełno piasku we włosach. A mycie głowy w łazience pani Sary nie należy do przyjemności.

— Mam piasek w głowie — mówię, ale Chaja chyba mnie nie słyszy, bo już sobie poszła i stoi teraz gdzieś za krzakiem wikliny naciągając tam jedwabne pończochy, co uważam — to że ona naciąga pończochy tam za tym krzakiem — za wielkie świństwo oraz wielką nieprzyzwoitość, ponieważ nie ma na całej kuli ziemskiej słodsze widoku niż Chaja naciągająca pończochy i zapinająca podwiązki, a leżąc tu gdzie leżę, nie mogę widzieć, jak ona tam naciąga pończochy i ten słodki widok jest mi odjęty, co właśnie uważam za wielkie świństwo, uważając zarazem, że Chaja zapinając podwiązki powinna stać tuż nade mną, o właśnie tu, gdzie stała przed chwilą, na tle błękitnego nieba, gdyż nie ma odpowiedniejszego tła dla jej jedwabnych pończoch i dla jej nóg w jedwabnych pończochach niż ten lipcowy, niemal przezroczysty błękit.

— Mam piasek w głowie, słyszysz, Chaja. Mam głowę pełną piasku. Piasek zamiast mózgu. Ja nie wiem, co ze mną będzie. Co to będzie.

— Pan Icyk, jak zwykle przesadza — mówi pani Lilka siadając na „Naszej Opinii” — ten sam numer, który porzuciłem, kiedy tarzając się w piasku waliłem głową w piasek — i wkładając białe skarpetki, co być może również jest słodkim widokiem, ale na pewno nie tak słodkim jak tamten niewidoczny dla mnie widok, którego zresztą nie powinienem chyba, jeśli ukryty jest za krzakiem wikliny i jeśli nikt go nie widzi, nazywać widokiem, choć nie jest wykluczone, że ten niewidoczny widok — Chaja naciągająca jedwabne pończochy — jednak jest widokiem, a jest nim, jeśli jest widoczny dla Boga, dla którego żaden krzak wikliny nie jest oczywiście przeszkodą w oglądaniu Chai: — Usuwam ten krzak — mówi Bóg — ponieważ chcę się przyjrzeć Chai zapinającej podwiązkę — i krzak natychmiast usuwa się sprzed Bożych oczu i Bóg widzi kolano Chai obciążone błyszczącym jedwabiem, palce Chai naciągające różową gumkę podwiązki, co także uważam za wielkie świństwo i wielką nieprzyzwoitość, nie w tym jednak znaczeniu, żebym odmawiał Bogu prawa do oglądania słodkich kolan Chai, gdyż jest rzeczą oczywistą, że Bóg stworzywszy taką śliczną Chaję ma prawo ją oglądać, kiedy tylko chce i w takim stanie, w jakim sobie życzy, na plaży, na werandzie, w łóżku i w kąpielu, ubraną lub naga, ściągającą lub naciągającą pończochy, zapinającą lub rozpinającą podwiązki, więc nie to uważam za wielką nieprzyzwoitość, że Bóg przygląda się swemu ślicznemu stworzeniu, lecz to, że przygląda mu się samo-

lubnie — nie bluźnij, Icyku — bowiem przyglądając mu się jednocześnie zasłania je przede mną tym krzakiem wikliny i właśnie w tym jest coś nieprzyzwoitego, a także coś, czego nie pojmuję: jeśli Bóg stworzył to śliczne stworzenie, te palce na podwiązce, to kolano obciążone jedwabną pończochą i jeśli to jego stworzenie tak Go cieszy, że nie może powstrzymać się od oglądania go nawet wówczas, gdy to stworzenie chowa się za krzakiem wikliny, to dlaczego zasłania je przede mną tymże krzakiem i tym samym daje mi do zrozumienia, że nie życzy sobie, żebym i ja się tym stworzeniem cieszył, na plaży, na werandzie, w łóżku i w kąpeli; uważam to za wielki egoizm — po raz drugi: nie bluźnij, szalony Icyku — i za poważne ograniczenie mojej wolnej woli. — Pan Icyk jak zwykle przesadza. Wydaje mi się, że to jest jakaś bardzo głęboka cecha pańskiego charakteru: skłonność do przesady.

— Co z czym będzie? — pyta Szymon. — Co pan ma na myśli?

— Co będzie z moją głową — mówię. — I co będzie z tym wszystkim. Ja mam w głowie jakąś piaszczystą pustynię. Niekończone obszary piasku. Wydmy, diuny.

— Mówiłam ci — Chaja wychodząc w jedwabnych pończochach zza krzaka wikliny staje się widokiem widocznym dla wszystkich, a choć nadal jest to niewątpliwie bardzo słodki widok, to jednak nie tak słodki jak tamten widok widoczny przed chwilą tylko dla Boga dziwiącego się, że udało mu się stworzyć coś tak niezwykłego jak kolano Chai — mówiłam ci, żebyś się nie tarzał po piasku. Będiesz teraz musiał umyć głowę.

— W łazience — mówi pani Lilka — jest przed obiadem ciepła woda.

— Chodźmy — mówi Chaja. — Jak się pospieszymy, to zdążysz umyć głowę przed obiadem.

— Rozłóż mi gazetę — mówi Hania. — I sam też usiądź na gazecie, bo nie jest zdrowo siedzieć na wilgotnym piasku.

— Jeśli oni — mówię siadając na tytule: Słoneczny wyż nad Polską, oraz na tytule: Czy Hitler zmarł w Argentynie, czyli na dzisiejszym numerze „Życia Warszawy” — jeśli oni przychodzili na plażę i kąpali się w Świdrze, to właśnie gdzieś tutaj. Stąd do willi idzie się chyba nie dłużej niż dwadzieścia, no może dwadzieścia pięć minut. Ale mnie się zdaje, że w 1942 ja się właśnie tutaj kąpałem. Coś mi się przypomina. Ten zakręt, ta łacha. Te krzaki wikliny.

— Świder — mówi Hania — zakręca tutaj kilka razy. A piasek jest wszędzie taki sam. Długo chcesz tutaj siedzieć?

— Ja cię błagam — mówię. — Teraz się do mnie nie odzywaj. Posiedzmy tu trochę, ale nic do siebie nie mówmy.

— Jak długo mam do ciebie nic nie mówić?

— Tylko kilka minut.

— Niech ci będzie — i Hania kładzie się na piasku, spleta ręce pod głową, wpatruje się w lipcowy, niemal przezroczysty błękit. Jej rude włosy rozsypane na tytule: Słoneczny wyż nad Polską. Ruda nawałnica. Ruda chmura idąca przez słoneczny wyż.

— Wyjdź — mówię, ale Hania mnie nie słyszy, bo nie ma powodu, żeby słyszała to, co mówię. — Proszę cię, wyjdź. Przecież wiem, że tam jesteś. Że stoisz za tym krzakiem wikliny. Nie bój się, wyjdź. Nikt ci nie zrobi nic złego. Wyjdź, chcę cię zobaczyć. W tej białej sukience z guzikami z masy perłowej. W tych cieniutkich jedwabnych pończochach. Błagam cię, wyjdź. Tylko na chwilę. Na ułamek sekundy. Zrób to dla mnie. Chaja.

Wracam do opisu Umschlagplatzu. Jak wyglądały od wewnątrz te dwa, trzy lub cztery budynki stojące na Placu albo przy Placu? Najwięcej wiadomo o parterowym pomieszczeniu w gmachu dawnego archiwum: tam właśnie przetrzymywano tych, którzy oczekiwali na załadowanie do wagonów. Niekiedy wolno było poruszać się po tym pomieszczeniu, niekiedy trzeba było siedzieć i Ukraińcy zabijali tych, którzy wstawali. Leokadia Schmidt — „Cudem przeżyliśmy czas zagłady” — pisze, że podłoga była tam pokryta „wydzielinami i błotem”. Było jednak kilka skrzynek, na których można było usiąść. W pomieszczeniu było okratowane okno — może kilka okien? — bowiem mąż Leokadii Schmidt spędził noc przy okratowanym oknie. Szyby w tym oknie lub w tych oknach były prawdopodobnie wybite, gdyż w książce „Getto walczy” Marka Edelmana czytamy: „Noce są zimne, w oknach nie ma szyb”. Nie wiadomo jednak, o jakim budynku i o jakich pomieszczeniach mówi to zdanie. W gmachu archiwum, na parterze — nie jest dla mnie jasne, czy właśnie w tym dużym pomieszczeniu — był kran, z którego można było nabrać wody. Tej informacji — z książki Leokadii Schmidt — inne relacje nie potwierdzają. Większość z nich mówi, że na Umschlagplatzu w ogóle nie było wody, a jeśli była, to niedostępna dla tych, których tam trzymano. Marek Edelman, „Getto walczy”: „Wody w kranach nie ma, ubicacje są zatkałe”. Henryk Nowogródzki, „3 dni na Umschlagplatzu”: „Wody nie ma”. Ale kiedy autor tej relacji znalazł się w parterowym pomieszczeniu gmachu dawnego archiwum, wstawanie z podłogi i chodzenie

było zabronione. Nowogródzki nie poszedł więc na górę, gdzie — jak twierdzi Leokadia Schmidt — także była woda. Choć tam — nie wiem, na którym piętrze — trzeba było za nią płacić. Franciszka Rubinlicht w liście napisanym w roku 1943 do rodziny w Palestynie i powierzonym Polakom, u których się ukrywała — list opublikował Józef Kermisz w drugim tomie „Dokumentów i materiałów do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce” — pisze o swoim ojcu, który znalazł się na Umschlagplatzu: „Kręcił się kilka dni bez kropli wody”. Władysław Szpilman — „Śmierć miasta” — wspomina o kobiecie żebrzącej o wodę, której „Plac Przeładunkowy został przez Niemców umyślnie pozbawiony”. Wydaje mi się, że sprawy wody na Umschlagplatzu nie da się rozstrzygnąć. Może było tak, że niekiedy woda była, a niekiedy nie. Albo może woda była dostępna dla ludzi zamożnych — Leokadia Schmidt i jej mąż byli bogatymi przedsiębiorcami — a inni, biedniejsi, nie mogli sobie na nią pozwolić.

Jeszcze o parterowym pomieszczeniu w gmachu archiwum. W nocy było tam — jak wynika z relacji Henryka Nowogródzkiego — ciemno: „Sale Umschlagplatzu nie są oświetlone. Siedzimy w mroku”. W innym miejscu Nowogródzki pisze: „wielkie sale”. Oraz: „Nie ma żadnych sprzętów”. Może więc na parterze było nie jedno, lecz kilka pomieszczeń? Zdanie mówiące o sprzętach zaprzecza temu zdaniu z relacji Leokadii Schmidt, gdzie mowa jest o kilku skrzynkach. Ale to się mogło zmieniać. Jeszcze jedna informacja z relacji Nowogródzkiego: „szare ściany”. Czy w pomieszczeniu na parterze? Chyba tak. O pomieszczeniach na górnych piętrach gmachu archiwum wiadomo znacznie mniej. Leokadia Schmidt weszła do dużego pokoju, nie wiem, na którym piętrze: w pokoju stało kilka dużych stołów, na których spali czekający na załadunek. „W ścianie było kilka kurków gazowych”. Dopływ gazu nie był przecięty i z kurków można było skorzystać. Być może, ten duży pokój to sala gimnastyczna, o której Marek Edelman opowiadał — „Zdążyć przed Panem Bogiem” — Hannie Krall: „Na trzecim piętrze była wielka sala gimnastyczna. Leżało tam na podłodze kilkaset osób”. Ale ponieważ w dużym pokoju były kurki gazowe, których raczej nie powinno być w sali gimnastycznej, więc chodzi chyba o dwa różne pomieszczenia. Jeszcze mniej wiadomo — właściwie niemal nic nie wiadomo — o pomieszczeniach budynku, w którym mieścił się szpital dziecięcy. Pisząc uprzednio o tym budynku popełniłem błąd: napisałem, że szpital dziecięcy — chodzi o szpital imienia Bersonów i Baumanów — przeniesiony został na Stawki ze Śliskiej. Było inaczej. Szpital ze Śliskiej — lub Siennej, bo znajdował się on między Śliską a Sienną — przeniesiono wprzód do

budynku na rogu Żelaznej i Leszna. Dopiero stamtąd chore dzieci przewieziono na Stawki. Stało to się — jak wynika z relacji Adiny Blady Szwejger „Krótka historia Szpitala Bersonów i Baumanów (1939-1943)” — gdzieś w połowie sierpnia 1942 roku. „Dzieci — czytamy w tej relacji, a zdanie to dotyczy tego, co działo się na Umschlagplatzu w pierwszych dniach września — przewieziono na Umszlag dużo wcześniej — tak, dzieci były na tym trzecim piętrze już od dwóch tygodni”. Później, właśnie na początku września, do tego budynku, gdzie na trzecim piętrze ulokowano dzieci, przewieziono — to także zdanie z tej relacji — „wszystkich chorych ze wszystkich szpitali”. Wyłania się tu takie pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć: jeśli — jak wynika z relacji Adiny Szwejger — szpital dziecięcy umieszczono na trzecim piętrze budynku dopiero w połowie sierpnia, to co mieściło się w nim w początkowym okresie istnienia Umschlagplatzu, czyli od 22 lipca do połowy sierpnia? Może Marek Edelman mógłby to wyjaśnić. Adina Szwejger pracowała w szpitalu na Umschlagplatzu trzy tygodnie. Relacji z warszawskiego getta — to na marginesie — jakby nie godziło się wartościować mówiąc, że któraś z nich jest ważniejsza, a któraś mniej ważna. Jeśli chodzi o relację Adiny Szwejger, rzecz ma się inaczej: jej znaczenie — chyba można je nazwać eschatologicznym — jest takie, że wolno ją uznać za jeden z najważniejszych dokumentów naszego wieku. Kto chce wiedzieć, w jakiej to epoce przyszło mu żyć, powinien ten tekst przeczytać. Ponieważ niełatwo do niego dotrzeć, podaję dane bibliograficzne: Alina Blady Szwejger, „Krótka historia Szpitala Bersonów i Baumanów (1939-1943)”, „Zeszyty niezależnej myśli lekarskiej” nr 10 z grudnia 1986 roku. Jest to periodyk drukowany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą. Może powinienem opowiedzieć, co jest w tej relacji: dokumencie Przymierza, które zostało zawarte na Umschlagplatzu. Ale tego, co jest w niej najważniejsze, nie ma prawa — tak to odczuwam — opowiadać nikt poza autorką.

Wracam więc do pomieszczeń w budynku, który nadal będę nazywał szpitalem dziecięcym. Jak powiedziałem: niewiele o nich wiadomo. Był tam — na parterze — jakiś hall i była jakaś dyżurka. W relacji Adiny Szwejger czytamy: „one nie leżały na sali chorych, tylko na dole w takim pokoiku koło dyżurki”. Były tam jakieś schody prowadzące do sal na wyższych piętrach: „Aż doszłam na to nasze trzecie piętro i tylko salka niemowląt była, a dziecinnych sal nie było, bo wszędzie leżeli ludzie chorzy i ranni, i umierający”. Były jakieś drzwi, które Marek Edelman dość szczegółowo opisał: „Stał za drzwiami budynku szpitalnego — były to kiedyś oszklone drzwi, ale szyby wybito, a dziury załatano

deskami — w szparze między tymi deskami widziałem jego twarz”. Chodzi o kogoś, kogo Edelman nie zdążył uratować. Były tam wreszcie jakieś pokoje na parterze. Nie było w nich mebli i Leokadia Schmidt leżała pod kaloryferem. Wyżej były zakratowane okna. Jeśli ktoś chciał się uratować, musiał chodzić na czworakach, żeby go nie dostrzeżono z ulicy. Ta ulica jest czymś, czego nie rozumiem. Całkiem niejasna jest bowiem dla mnie sprawa następująca: jak wyglądało połączenie między budynkiem archiwum szpitala dziecięcego? Te dwa budynki niewątpliwie przylegały do siebie. Ale jak — przylegając do siebie — były usytuowane w stosunku do Stawek i do Niskiej? I jak — którędy — przechodziło się z jednego do drugiego? Jeśli była tam jakaś ulica, to oba budynki stały frontem do ulicy. Lub przynajmniej jeden z nich — budynek szpitala dziecięcego — stał frontem do ulicy. Czy ta ulica — Stawki lub Niska — była częścią Umschlagplatzu? A jeśli tak, to czy była ogrodzona? Lub przegrodzona w połowie, wzdłuż jezdni albo wzdłuż chodnika? Marek Edelman w ogóle o tym nie wspomina, prawdopodobnie dlatego, że poruszanie się wokół Umschlagplatzu i przechodzenie z budynku do budynku nie stanowiło dla niego — był gońcem szpitala dziecięcego, a więc z pewnością miał jakąś przepustkę — żadnego problemu. Jednak również inne relacje nic o tym nie mówią. Można się na ten temat czegoś dowiedzieć jedynie od Leokadii Schmidt, ale akurat w tym wypadku jej relacja — poza tym dość precyzyjna — jest bardzo niejasna. Wynika z niej, że do budynku szpitala dziecięcego można się było dostać — z Umschlagplatzu oraz z budynku dawnego archiwum — od tyłu. Był tam dziedziniec — jakby należący, ale jakby i nie należący do Umschlagplatzu, jakby czymś od Umschlagplatzu oddzielony — „gdzie mieściła się tylna część szpitala”. Jak ten dziedziniec łączył się z tym terenem, który w relacjach nazywany jest podwórzem, wielkim podwórzem, placem „kształtu owalnego”? Tego nie wiem. Ale z owalnego podwórza niewątpliwie można było przejść na dziedziniec. A z dziedzińca — tylnymi drzwiami — można było dostać się do szpitala. Przez te drzwi weszła Leokadia Schmidt, kiedy postanowiła oddać swoje dziecko którejś z pielęgniarek. Być może chodzi tu o te same drzwi, które wspominał Marek Edelman: te zabite deskami, między którymi, w szparze, widać czyjaś twarz. O drzwiach do szpitala dziecięcego jest także mowa w książce „Getto walczy”. Ludzie — pisał Edelman — „dobijają się do drzwi szpitala, strzeżonych przez żydowskiego policjanta”. Ale nie jest wykluczone, że drzwi u Edelmana — te zabite deskami i te z policjantem — to drzwi od frontu.

Z parterowego pomieszczenia w gmachu dawnego archiwum można było bowiem — wychodząc na ulicę — dostać się do frontowych drzwi szpitala. Nie było to łatwe i kto się na to decydował, ryzykował życiem. Trzeba było, jak wynika z relacji Leokadii Schmidt, wyjść z gmachu archiwum przez żelazną bramę, która prowadziła na ulicę — ta ulica to chyba jednak Stawki — a potem „przejsć przez chodnik”. „Na chodniku przed budynkiem mąż odbierał z rąk Fragera naszego synka”. Frager to żydowski policjant, który wyniósł ze szpitala dziecko państwa Schmidt. Żelazną bramę dzieliło od frontowego wejścia do szpitala kilkadziesiąt metrów. Przed szpitalem, na chodniku, „stało kilku policjantów”. A więc drzwi strzeżone przez żydowskiego policjanta w książce Edelmana to zapewne właśnie te frontowe drzwi do szpitala dziecięcego. Poza policjantami był jeszcze adwokat Szmerling, którego Leokadia Schmidt nazywa „starszym obwodowym” policji żydowskiej, a który w innych relacjach występuje jako żydowski komendant Umschlagplatzu. Szmerling siedział na środku jezdni przed szpitalem lub przed gmachem archiwum. Leokadia Schmidt widziała go przez żelazną bramę z gmachu archiwum. Nie wiem: przez szparę w tej bramie czy przez jakieś okienko, które w niej było. Kilkadziesiąt metrów dzielące żelazną bramę od frontowego wejścia do szpitala należało przejść tak, „aby siedzący na środku jezdni Szmerling nie zauważył”. Szmerling na środku jezdni oraz żydowski policjant lub kilku policjantów przed drzwiami szpitala dziecięcego to ważne elementy zabudowy Umschlagplatzu. Wynika z ich rozmieszczenia, że chodnik i jezdnia przed dwoma budynkami — stały one, jak się okazuje, frontem do tej ulicy, która była chyba Stawkami — należały i nie należały do Umschlagplatzu. Należały, ponieważ na chodnik — a gdy nie było Szmerlinga, chyba i na jezdnię — można było wyjść, co nie było jednak równoznaczne z wydostaniem się z Umschlagplatzu. Musiała być jeszcze jakaś przeszkoda — parkan, mur, zasieki? — która to uniemożliwiała. Nie należały, ponieważ były pilnowane i kto wychodził na chodnik lub na jezdnię, znajdował się na terenie, na którym nie wolno się było znajdować.

Na Umschlagplatzu było zresztą więcej takich miejsc, w których obowiązywał zakaz przebywania, a w których mimo to — jeśli spełnione zostały pewne warunki — można było przebywać. Piwnice. Strychy. Budynek szpitala dziecięcego. Ten chyba w całości. Miejsca te można określać jako należące lub nie należące do Umschlagplatzu w zależności od tego, co zechce się rozumieć pod tą nazwą: całe terytorium czy tylko owalne podwórze i pomieszczenia w gmachu archiwum. Biorąc to — oraz pewne inne

elementy — pod uwagę, można uznać Umschlagplatz za przykładowe terytorium totalitarne. Wszystko niemal jest zakazane, a kto złamie zakaz, zostanie albo nie zostanie rozstrzelany. Ale szansę uratowania się ma tylko ten, kto odważy się zaryzykować: ukryje się w budynku szpitala, przekupi żandarmów na wasze, przebierze się w kitel lekarza, odkupi czapkę i opaskę od żydowskiego policjanta. Wracam jeszcze na jezdnię przed szpitalem, czyli na to niejasne terytorium należące i nie należące do Umschlagplatzu. Kiedy Szmerling odchodził, co przeszkadzało uciec tym, którzy byli za żelazną bramą? Mur, zasieki? A może zamykano wtedy tę bramę? Adolf Berman — postać trochę dla mnie bajeczna, bo to przecież szlachetny brat Jakuba, a więc ktoś ze strasznej baśni o dwóch braciach, złym i dobrym — w relacji „Zagłada getta w Warszawie” pisze: „Zaprowadzono nas wszystkich za druty na plac”. Druty — tym razem wyraźnie chodzi o zasieki z drutu kolczastego — pojawiają się także dwukrotnie w „Notatkach z getta” Emanuela Ringelbluma. O kimś, kto znalazł się na Umschlagplatzu: „Widziałem jak stał za drutem kolczastym”. I o Szmerlingu: „Zagroził mi, że mnie przerzuci za drut kolczasty”. Nie wiem, czy da się ustalić, gdzie na Umschlagplatzu były zasieki z drutu kolczastego. W zdaniu z relacji Bermana mowa jest chyba o zasiekach znajdujących się gdzieś nieopodal drewnianej bramy, przy której stał Edelman. W pobliżu tego zdania pojawia się bowiem inne, które mówi o wyjściu z Umschlagplatzu i w którym użyte jest słowo wacha: „Po czym w odległości paru kroków za nim (mowa o wyprowadzającym Bermanów z Umschlagplatzu oficerze żydowskiej policji) przeszliśmy przez wachę”. Druty były w pobliżu wachy, a więc musiały być częścią ogrodzenia lub dodatkowym ogrodzeniem. Z drugiego z cytowanych zdań Ringelbluma można by natomiast wnioskować — ze względu na pojawiającego się w tym zdaniu Szmerlinga — że zasieki z drutu kolczastego znajdowały się przed budynkiem szpitala dziecięcego. Ale do spotkania Ringelbluma ze Szmerlingiem mogło też dojść w jakimś innym miejscu. O drucie kolczastym mowa jest też w późniejszych notatkach Ringelbluma: tych, które były robione we wrześniu i w październiku roku 1943 i które ze schronu na ulicy Grójeckiej zostały przekazane do archiwum Żydowskiego Komitetu Narodowego. Czytamy tam: „wszedłem na Umschlagplatz. Na dużym placu, ogrodzonym drutem kolczastym, ujrzałem ogromny tłum, który całą siłą parł do wyjścia”. To zdanie wydaje się świadczyć o tym, że całe owalne podwórze — bo o nim jest tu chyba mowa — było otoczone zasiekami z drutu kolczastego. Może takie zasieki znajdowały się w kilku miejscach Umschlagplatzu? Trudno to rozstrzygnąć.

Miejscem, które — podobnie jak ulica przed budynkiem szpitala — należało, a zarazem jakby nie należało do Umschlagplatzu, było także zakończenie bocznicą łączącej się z linią kolejową w pobliżu Dworca Gdańskiego: czyli rampa i tory, na które poddawano wagony. W odczuciu tych, którzy to miejsce wówczas widzieli lub którym wówczas o nim opowiadano, znajdowało się raczej poza Umschlagplatzem. W „Notatkach z getta” Emanuela Ringelbluma czytamy: „prowadzili bezpośrednio do wagonu — nie na Umschlag, ale prosto do wagonów”. Podobnie odczuwała to Leokadia Schmidt. Z jej relacji wynika, że między Umschlagplatzem a bocznicą znajdowała się brama. Nigdzie indziej nie spotkałem tej informacji: „Na końcu, za tymi gmachami, widać było wielką bramę z napisem: „Przejdźcie pod karą śmierci wzbrownione”, a za nią tory kolejowe”. Napis był zapewne w języku niemieckim. Z relacji M. Passensteina — znam tylko pierwszą literę imienia — „Szmugiel w getcie warszawskim”, spisanej w roku 1943, ale opowiadającej o tym, co działo się przed wielką likwidacją, można by ewentualnie wnioskować, że brama z napisem została postawiona dopiero wówczas, gdy zmieniło się przeznaczenie Placu, czyli w roku 1942. Może dopiero w lipcu tego roku? Uprzednio w tym miejscu, gdzie stała brama, znajdował się — lub raczej: mógł się znajdować, bo jednak nie jest pewne, czy chodzi o to samo miejsce — szlaban kolejowy, o którym wspomina Passenstein: „Przy zbiegu ul. Dzikiej i Niskiej znajdowało się biuro i składy Transferstelle, do których prowadziły bocznicę kolei. Plac podzielony był linią demarkacyjną na dwie części, z których jedna należała do dzielnicy żydowskiej, druga — do strony aryjskiej. W najważniejszym miejscu linii granicznej szlaban kolejowy umożliwiał przejazd samochodów i wozów z jednej strony na drugą za pisemnym zezwoleniem wydawanym przez biura Transferstelle”. Odległość między Umschlagplatzem a rampą i torami nie była chyba duża: najwyżej kilkadziesiąt metrów. Może nawet mniej, bowiem Marek Edelman w książce Hanny Krall wejście na Umschlagplatz — czyli to miejsce, gdzie przy drewnianej bramie stała wacha — łączy w jednym zdaniu z rampą i torami. Część tego zdania już cytowałem: „Słupek betonowy był ten sam, barak, i chyba nawet te topole”. Topole to właśnie miejsce rampy oraz torów, bowiem w tekście Hanny Krall czytamy: „lokomotywa była tam, gdzie topole”.

O drodze łączącej rampę z Umschlagplatzem już niewiele poza tym wiadomo. Wzmiankę na ten temat znalazłem jeszcze w książce Henryka Rudnickiego „Martyrologia i zagłada Żydów warszawskich”: tej, w której jest plan Umschlagplatzu. Nie jestem jednak pewien, czy Rudnickiemu można wierzyć. A jeśli można,

to na ile. Był on co prawda na Umschlagplatzu — chyba już o tym wspominałem — trzy razy i podał w swojej książce informację, którą wypada uznać za bardzo istotną. Plac, jego zdaniem, miał „około 80 mtr. długości i 30 mtr. szerokości”. Jest to jedyna znana mi relacja mówiąca o rozmiarach Umschlagplatzu: to znaczy tego podwórza, na które wychodziło się z gmachu dawnego archiwum. Książka Rudnickiego pełna jest jednak oczywistych omyłek, a także jakichś dziwacznych czy nawet dzikich pomysłów — w Katyniu zamordowani zostali według tego autora nie polscy oficerowie, lecz przebrani w polskie mundury warszawscy Żydzi, których Niemcy rozstrzelali tam w zamiarze oskarżenia o to enkawudzistów żydowskiego pochodzenia i sprowokowania w ten sposób antysemickiego pogromu w Warszawie — co oczywiście odbiera wiarygodność również innym zawartym w niej informacjom. Według Rudnickiego z Umschlagplatzu na rampę szło się ścieżką: „Do samego Umszlagu przylegała ścieżka, po której pędzono Żydów do wagonów”. Ścieżka powtarza się w tej relacji kilka razy: „zaczęto pędzić zgromadzonych na nim Żydów — ścieżką do wagonów”. W innym miejscu droga prowadząca w kierunku bocznicy określona jest jako „piaszczysty grunt”. Ponieważ Rudnicki mówi, że w ten grunt wsiąkała krew i wsiąkały łzy, tę piaszczystość należy chyba uznać za rodzaj figury poetyckiej. Może jednak grunt rzeczywiście był tam piaszczysty. Co zrobić z tą ścieżką, tego nie wiem. Rudnicki szedł nią, więc trudno mu nie wierzyć. Ale ten Katyń. Nie wiem, co z tym zrobić.

Co jeszcze na ten temat — to znaczy na temat rampy — wiadomo? Niemal nic. Na rampie stały jakieś drewniane konstrukcje — rodzaj schodków — umożliwiające wejście do wagonów. Czy ustawiano je dopiero wtedy, gdy podjeżdżał pociąg? Czy może były trwałym elementem rampy? Nie potrafię tego rozstrzygnąć. Rampa była dość długa: pociąg, który do niej podstawiano, składał się niekiedy z 57 wagonów. Najwyżej z 57, ale to dość dużo, to dość długi pociąg. Wiadomość ta pochodzi z relacji inżyniera Jerzego Królikowskiego — „Budowałem most kolejowy w pobliżu Treblinki” — któremu sprawę długości pociągów wyjaśnili polscy kolejarze z Małkini. Długość toru za drutami Treblinki była taka, że mieściło się na nim 19 wagonów. Każdy transport musiał więc składać się z takiej ilości wagonów, która byłaby wielokrotnością 19. Nie znam żadnej fotografii, która przedstawiałaby Umschlagplatz w roku 1942 lub 1943 i przypuszczam, że takie fotografie nie istnieją. Niemcy, jak wiadomo, lubili fotografować się ze swoimi ofiarami, ale akurat w tym wypadku pewnie tego nie robili. Mur lub rów, pod mu-

rem lub nad rowem kilku mężczyzn. Takich fotografii jest wiele. Dlaczego więc Brandt lub Hoefle nie sfotografowali się na Umschlagplatzu? Warto to przemyśleć. Widziałem natomiast jedną fotografię zrobioną na rampie i przedstawiającą załadunek do wagonów. Niewiele z niej wynika. Kilka wagonów, jeden z nich z budką strażniczą. Kilku Niemców w hełmach, jeden w czapce. Dwóch albo trzech żydowskich policjantów. Dość daleko, niemal w tle, tłum przy wagonach: postaci są małe i twarze nie da się rozróżnić. Na rampie — chyba porośniętej trawą, ale zdjęcie jest zamazane, więc nie jestem tego pewien — jakieś porzucone tłumoki, tobołki. Za wagonami, w dali, dachy dwóch domów, okna najwyższego piętra i kominy. Ponieważ nie wiadomo, jak stał niemiecki oficer robiący to zdjęcie — twarzą czy plecami do Umschlagplatzu, twarzą czy plecami do lokomotywy — więc nie wiadomo też, czy na zdjęciu wyszły mu domy getta czy domy po stronie aryjskiej. To wszystko. Może istnieją jeszcze jakieś inne zdjęcia zrobione na rampie lub na Umschlagplatzu. Wolałbym, żeby ich nie było. To, co oglądamy posługując się słowami, ukazuje się nam jakby za czymś w rodzaju półprzezroczystej zasłony. Słowa pokazują, ale jednocześnie dana jest im władza częściowego zasłaniania tego, co pokazywane. W wypadku fotografii jest oczywiście inaczej. Oglądając fotografie ujrzelibyśmy coś, na co — tak to odczuwam — nie wolno nam patrzeć.

W latach wczesnej młodości przez pewien czas robiłem za Żyda. Mógłbym powiedzieć — na użytek tych, którzy nie lubią takich na w pół slangowych wyrażen — że uważano mnie wtedy za Żyda. Lub że uchodziłem, miano mnie za Żyda. Ale to jednak coś nieco innego, bowiem w tym wyrażeniu — robiłem za Żyda — jest pewien odcień znaczeniowy, którego nie ma w tamtych: miano mnie za, uchodziłem za. Robiłem za Żyda czyli uchodziłem za Żyda, a także po trosze byłem, stawałem się Żydem. Właśnie dlatego, że za Żyda byłem uważany. A więc: w latach mojej młodości wielokrotnie dawano mi do zrozumienia, że jestem Żydem i że powinienem się do tego przyznać. Kto nie przyznaje się do tego, że jest Żydem, daje tym samym dowód, że jest Żydem. Nie chciałem się przyznać i nie robiło to dobrego wrażenia. W latach późniejszych jakby przestano interesować się moim pochodzeniem — ten brak zainteresowania wydawał mi się nawet cokolwiek krzywdzący — i tylko raz, niezbyt dawno, pewien starszy pan z siwym, przystrzyżonym wąsikiem zapytał mnie: — A pan to jest właściwie z których Rymkiewiczów? — Z tych najlepszych — odpowiedziałem i starszy pan nic na to

nie powiedział i tylko jakoś tak dziwnie się uśmiechnął, jakby dawał mi coś do zrozumienia lub jakby coś mi wybaczał — siwy wąsik podskoczył przy tym do góry — z którego to uśmiechu jasno wynikało, że nie jestem z żadnych Rymkiewiczów, lepszych albo gorszych, ponieważ jestem Rozenkranz, Rozenfeld, Rozenduft. Mdlący zapach róż i mdlący zapach antysemityzmu. Ten starszy pan z pewnością okropnie by się obraził, gdybym mu powiedział, że uważam go za antysemitę. Może zresztą nie był, Bóg z nim, antysemitą. W latach mojej wczesnej młodości — chyba było to gdzieś w roku 1955 — nieco podobnie jak ten starszy pan z wąsikiem uśmiechnęła się do mnie moja przyszła — ewentualnie przyszła — teściowa. Ale ponieważ moja ewentualna teściowa miała szanse zostać moją przyszłą teściową, więc uznała, że jednak nie może poprzestać na takim wybaczącym uśmiechu i musi wyartykułować to, o co jej chodzi.

— Wiesz, jak ja cię lubię, Jareczku — powiedziała. — Dla mnie nie ma żadnej różnicy pomiędzy Polakiem a Żydem. Więc jeśli jesteś Żydem, to powinienes nam to szczerze powiedzieć.

Działo to się w willi na Marysinie, bo właśnie tam mieszkała ta dziewczyna, z którą miałem się ożenić. Do mojej przyszłej teściowej dzwoniły jej przyjaciółki:

— Ja ci się bardzo dziwię. Przecież wszyscy wiedzą, że on jest Żydem.

— Czy ty naprawdę chcesz ją wydać za Żyda?

— Jego ojciec był policjantem w warszawskim getcie. Ja to wiem na pewno.

— Ja do Żydów nic nie mam. Ale wiesz, ja mojego dziecka nigdy bym za Żyda nie wydała.

Nie chciałbym nikogo skrzywdzić, więc muszę powiedzieć, że Marysia — tak nazywała się ta dziewczyna, z którą byłem zaręczony — miała w głowie to, co należy mieć w głowie i było jej wszystko jedno, czy jestem Polakiem czy Żydem. Przypuszczam, że także mojej przyszłej teściowej, która okazała się moją niedoszłą teściową, było raczej wszystko jedno. Nie powinna może przyjaźnić się z kretynkami, ale to jej sprawa. Do ślubu nie doszło z jakichś innych przyczyn, mniejsza o to, z jakich. Powód, dla którego uważano mnie w Łodzi za Żyda, nie był dla mnie wówczas i nie jest teraz całkiem jasny. Miałem jasne włosy, szare oczy i zadarty, nieco zaokrąglony na końcu nos. Więc dlaczego? — Ale zadarty nos — pomyślałem sobie, kiedy Marysia opowiedziała mi o tym, co mówią przyjaciółki jej matki — to jeszcze o niczym nie świadczy, mogę być przecież Żydem zadartonosym, zdarzają się chyba i tacy. No ale mój ojciec na

pewno nie był policjantem w getcie, przez całą wojnę, aż do wybuchu powstania, mieszkaliśmy na rogu Koszykowej i Marszałkowskiej i nie sądzę, żeby ojciec miał kiedykolwiek okazję być w getcie. Nie da się jednak wykluczyć, że mimo to jestem Żydem, czegoś takiego nie można przecież wiedzieć na pewno i moi rodzice mogli ukryć przede mną nasze pochodzenie. — Tak wtedy myślałem i wynika z tego, że — kiedy oglądałem w lustrze mój zadarty nos — nie było mi całkiem wszystko jedno, kim jestem: Polakiem czy Żydem.

Przychodzą mi do głowy dwa powody, dla których mogłem być uważany za Żyda. Po pierwsze, zaczynałem wtedy pisać i nie ukrywałem — bezczelny dziesięcioletek — że uważam się za człowieka niezwykle utalentowanego. Wyobrażam sobie którąś z tych przyjaciółek matki mojej narzeczonej, kiedy mówi, dwuznacznie przy tym uśmiechając się do słuchawki telefonicznej: — On coś tam pisze i w dodatku jest okropnie bezczelny. No to on musi być Żydem. — Polska zawiść połączona z polskim kompleksem niższości. Dodajmy do tego nawet niewielką dozę antysemityzmu, a wyjdzie nam, że taki, który coś tam pisząc wynosi się nad innych, musi być chyba Żydem, bo kim mógłby być. Jest zdolniejszy od nas, więc to Żyd. Nie jest zdolniejszy od nas, ale bezczelnie uważa się za zdolniejszego, więc to Żyd. Drukują go, czyli ma stosunki, więc to Żyd. Ma stosunki, czyli załatwili mu to Żydzi: więc jak wyżej.

Po drugie, moi rodzice byli członkami partii komunistycznej. Wielu Polaków uważało w tamtych latach — nie wiem, czy są tacy, którzy i teraz tak uważają i dobrze byłoby przeprowadzić w tej kwestii jakieś badania socjologiczne — że nie ma różnicy między komunistami a Żydami, a jeśli jest, to bardzo niewielka: ogólnie rzecz biorąc, kto jest komunistą, ten jest pewnie Żydem, a kto jest Żydem, ten jest pewnie komunistą. Uważam, że Polacy mieli powody, żeby tak właśnie myśleć: pamiętali przedwojennych działaczy KPP, którym marzyło się przekształcenie Polski w siedemnastą republikę i widzieli, że wśród tych komunistów, którzy dopiero co objęli władzę — i sprawowali ją w sposób, który Polakom, mówiąc ogólnie, raczej nie mógł przypaść do gustu — było wielu Żydów. Po namyśle dodam, że te powody należy jednak uznać za niewystarczające i że ci, którzy utożsamiali komunistów z Żydami, byli jednak zarażeni chorobą antysemityzmu. To utożsamienie nie było bowiem pomysłem powojennym. Wymyślono je przed wojną, a intencje tych, którzy je wymyślili, były jednoznaczne. W roku 1936 ksiądz Trzeciak, autor antysemitycznych broszur, pisał: „Bolszewizm, to nie choroba dusz, ale wielkie oszustwo żydowskie, a kto mówi o komunizmie,

a nie mówi o żydach, ten nie ma wprost pojęcia, co to jest komunizm, bo komunizm i judaizm to obecnie prawie równoznaczne pojęcia... W stosunku zaś do chrześcijaństwa bolszewizm jest najstraszniejszą i najpodlejszą bronią, jakiej kiedykolwiek przeciw niemu używali żydzi... Jest on nową, szatańską formą wiecznej walki judaizmu z chrześcijaństwem". Zostało to napisane, jak powiedziałem, w roku 1936, ale cytat wyjmuję z niemieckiej ulotki propagandowej wydrukowanej w Warszawie w roku 1943. Używając języka, którym mówi się dziś w Warszawie, można powiedzieć, że Niemcy mieli łatwo z tym Trzeciakiem: świetnie im pasował. Przy okazji, bo właściwie nie należy to do tematu: zadziwiający i przerażający jest poziom wiedzy księdza Trzeciaka na temat komunizmu. Prawdopodobnie wielu Polaków tak wtedy — w roku 1936 — komunizm widziało: to nie choroba dusz, lecz żydowski spisek. Można więc powiedzieć, że obok innych szkód, jakie wyrządzał antysemityzm, była jeszcze i taka: kto temu w Polsce ulegał, przestawał cokolwiek rozumieć, czyli nie był w stanie przewidzieć, jaką to miłą niespodziankę przygotowuje dla niego historia. Warto również zauważyć — co także nie należy do tematu — że w niemieckiej ulotce z roku 1943 mamy do czynienia z ciekawym wypadkiem fałszywej świadomości. Jeśli takie ulotki można uznać za dokument świadomości. Chodzi mi o świadomość niemiecką, która jest zafałszowana — zafałszowuje się — dwójako lub dwukrotnie. Niemcy lżą bolszewizm nie wiedząc, że nadają mu — porównując go z judaizmem — niezwykle wysoką rangę duchową, której bolszewizm nigdy oczywiście nie posiadał. A więc w istocie zachwalają i propagują bolszewizm. To po pierwsze. Po drugie, Niemcy lżąc bolszewizm lżą — też o tym nie wiedząc — samych siebie: plują bowiem na te duchowe złoza, z których poczęły się totalitarne — lepsze słowo: bandyckie — ideologie dwudziestego wieku.

Wracam do tego utożsamienia — komunista to Żyd — które było obecne w polskiej świadomości w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Zamiast — za antysemitą Trzeciakiem — dokonywać tego utożsamienia, Polacy powinni byli przemyśleć wtedy istotę komunizmu, w którą to istotę wpisany jest pomysł przerobienia Żydów, Polaków, Rosjan, Niemców i tak dalej, wszystkich, na dziwne stwory, które nie posiadają żadnej narodowości. Czyli pomysł doprowadzenia do mutacji, w wyniku której znikną różnice dzielące mutanta pochodzenia żydowskiego od mutanta pochodzenia polskiego: totalna asymilacja nosów i umysłów. Ale może wymagam zbyt wiele. Polacy byli wówczas niezłe męczeni, a od kogoś, kto jest męczony, nie należy pewnie żądać, żeby oddawał się zgłębianiu istoty tego, co go męczy. Takiemu,

którego męczą, trudno zebrać myśli. Męczą go, więc krzyczy: — Oni mnie męczą! — Kto cię męczy? — Oni, ta żydokomuna. — Więc do pewnego stopnia usprawiedliwiam tę przyjaciółkę matki mojej narzeczonej, która powiedziała: — Ja cię błagam, ty za niego Marysi nie wydawaj. To jest Żyd, bo on jest z komunistycznej rodziny. — Powinienem tu jeszcze powiedzieć — niech to będzie jasne — że nie miałem i nie mam nic przeciwko temu, żeby uchodzić, a nawet robić za Żyda. Proszę bardzo. Mówicie mi, że jestem Żydem, a więc jestem Żydem. Mówiąc, że jestem Żydem, czynicie mi, moi współrodacy, prawdziwy zaszczyt. Bardzo sobie cenię to, że jestem Polakiem i choć niełatwo jest być Polakiem, jakoś daję sobie chyba z tym radę. Ale jeśli uważacie, że jestem Żydem, to i z tym jakoś dam sobie radę. Żydzi są wspaniałym narodem i niekiedy żałuję, że nie urodziłem się Żydem. Gdybym był Żydem, to prawdopodobnie niekiedy żałowałbym, że nie urodziłem się Polakiem, ponieważ Polacy też są wspaniałym narodem. Wolałbym tylko — jeśli można tu coś woleć — być Żydem, jeśli tak rzecz można, z własnego nadania. Wolałbym sam to wybrać, niż być wybrany przez te przyjaciółki zapewnijące matkę mojej narzeczonej, że ktoś taki nie może być Polakiem.

Jeszcze kilka zdań na temat utożsamienia zawartego w tym naszym polskim krzyku: — To żydokomuna. — Brało się to pewnie i stąd, że Polacy w międzywojennym dwudziestolecu — trudno powiedzieć z czyjej, polskiej czy żydowskiej, winy i myślę, że tą winą należałoby obciążyć obie strony — bardzo mało wiedzieli o życiu żydowskim. Mało kto wiedział, co to jest Poalej Syjon, Aguda, Mizrachi i Bund. Mało kogo interesowały żydowskie obyczaje, żydowska polityka, żydowska duchowość. Żyd to był rabin lub chałciarz i wtedy mieszkał w Dzielnicy Północnej albo Żyd nosił bródkę i binokle i wtedy był polskim poetą lub adwokatem, nie przestając jednak być — dla Polaków — Żydem. Polaków dość łatwo było więc przekonać, że nie ma różnicy między Żydami a komunistami. Stalin, kiedy przyszło co do czego, zrzęcznie to wykorzystał: ja to tym Polaczkom urządzę, a oni niech myślą, że to Żydzi im urządzili i niech ich gniew zwróci się przeciwko Żydom. Ale mniejsza o tego tam Stalina. Mój nos to jest problem. Czy taki zadarty nos to jest nos żydowski? Potem, po kilku latach, kiedy przestałem już robić za Żyda, zacząłem dość nieoczekiwanie robić za antysemitę. Mój nos, jawnie antysemitcki, znów stał się problemem. Tym razem, rzecz jasna, nie dla antysemitów, lecz dla Żydów. Oczywiście dla tych skomunizowanych, bo to oni właśnie wrzeszczeli: — To antysemita! — Ja to miałem przygody. Ale o tym opowiem ci, Haniu, innym razem. No i co ty na to?

— Trochę przesadzasz — mówi Hania. — Jak zwykle. To jest jedna z głębszych cech twojego charakteru: skłonność do przesady. Twój nos nie jest żadnym problemem. Mój nos to jest problem. A co do tego, że mianowano cię Żydem, to wydaje mi się to całkiem normalne. Mianowano cię zgodnie z tą znaną definicją, nie pamiętam już, kto ją wymyślił, że Żydem nie jest ten, kto jest Żydem, ale ten, kto jest uważany za Żyda. Ciekawi mnie ta Zosia czy Marysia. Co to była za dziewczyna. Nigdy mi o niej nie opowiadałeś.

— Koński ogon — mówię — pantofelki na szpilkach, spódnica na sztywnej halce i stanik, który nazywano bardotką. Wszystkie dziewczyny tak się wtedy ubierały. No i była niezwyklej urody, w czym nie ma nic dziwnego, jako że każda z moich dziewczyn była niezwyklej urody. Ale wiesz, w willach na Marysinie to mieszkali w czasie wojny ludzie Rumkowskiego, tego króla łódzkiego getta. Komendant żydowskiej policji i jemu podobni, cała ówczesna żydowska elita. Spędzali tam wakacje i nieźle się, pokąd ich nie rozwalono, bawili. Wtedy tego nie wiedziałem i szkoda, bo gdybym wiedział, to kiedy ta moja niedoszła teściowa zażądała, żebym wreszcie się przyznał, kim naprawdę jestem, powiedziałbym jej, że oni mieszkają w pożydowskiej willi i że to futro, które ona, ta teściowa, nosi, to na pewno jest jakieś pożydowskie futro. Ciekawe, jak by ona na to zareagowała.

— Wyrzuciłaby cię za drzwi — mówi Hania. — I miałyby rację. Mnie się wydaje, że lepiej byłoby tego nie drukować.

— Czego mam nie drukować? Tego o tej pożydowskiej willi? Tego o tym futrze?

— Tego wszystkiego. Jak to wydrukujesz, to z pewnością znajdą się tacy, którzy powiedzą, że ty to wszystko napisałeś — no to, że uważano cię za Żyda, choć nie jesteś Żydem — właśnie po to, żeby przewrotnie zataić, kim naprawdę jesteś. Żeby nikt nie mógł cię już podejrzewać. Zobaczysz. Powiedzą, że coś takiego tylko Żyd mógł napisać. I że cała ta twoja książka świadczy o tym, że ty jesteś Żydem. Kto sympatyzuje z Żydami, ten staje się Żydem. Pamiętaj. A na dodatek masz żydowską żonę czyli mnie. To też będzie dowód.

— No to powiedzą — mówię. — Sprawia mi tym prawdziwą przyjemność. Pamiętasz, co tu pisano w gazetach w marcu 68? Ja niedawno przeczytałem ten rocznik „Życia Warszawy”. Pouczająca lektura. Paweł Jasienica był mordercą, Antoni Słonimski spiskował z Zambrowskim, Andrzej Kijowski działa jako antypolski warchoł. Wypisałem sobie taki cytat: „Niektórzy z nich splamili się współdziałaniem z międzynarodowym syjonizmem”. Kto się

nie podobał tym wspinałym aryjczykom z kartoflanymi nosami i kartoflanymi mózganiami, ten stawał się Żydem. Ja z Andrzejem i Antonim teraz, kiedy ich już nie ma, często rozmawiam i jak jestem w kłopotcie, to pytam ich, jak się mam zachować. Ale być z Antonim Słonimskim antypolskim warchołem, z Pawłem Jasienicą mordercą, z Andrzejem Kijowskim międzynarodowym syjonistą, a z nimi wszystkimi razem Żydem, to jest naprawdę wielki zaszczyt i ja nie wiem, czy na taki zaszczyt zasługuję.

Samochód Icyka Mandelbauma — srebrnoszara Toyota — jedzie ulicą Andriollego, tą która prowadzi z Otwocka do Anielina, ale nie dojeżdżając do Anielina skręca — mniej więcej tam, gdzie zaczynają się sosnowe lasy — w lewo, a potem w prawo, a potem znów w lewo. — Tu gdzieś w pobliżu — myśli Icyk — powinien być kirkut, na którym chowano Żydów, którzy umarli na gruźlicę w otwockich sanatoriach i na którym być może pochowano także Sarę Fliegeltaub, jeśli Sarze udało się umrzeć w porę, to znaczy wówczas, kiedy Żydów chowano jeszcze na kirkutach, co jednak wydaje mi się mało prawdopodobne i wątpliwe, abym zdołał odnaleźć na tym kirkucie kamień, na którym imię i nazwisko Sary wyryto hebrajskimi i polskimi lub tylko hebrajskimi literami, bo jeśli nawet ona tam leży, kości i peruka w otwockim piasku i korzenie karłowatych sosen przedzierające się przez biały całun, rozdzierające tę ostatnią zasłonę, która oddziela nas od tego, czego nie ma — w tutejszym, ziemskim znaczeniu słów: jest i nie ma — i co jest wobec tego niewyobrażalne, od tego widoku, który nie jest widokiem — choć może, w jakimś innym, nietutejszym znaczeniu słowa: widok, jednak jest widokiem — więc jeśli Sarze udało się umrzeć wtedy, kiedy należało umrzeć, w roku 1939 lub najpóźniej w roku 1940, to ustawiona pionowo kamienna płyta z hebrajskimi literami została zapewne, zanim zdążyła się pokryć zielonkawym nalotem, zanim w szczeliny liter wcisnął się zielonkawy mech, wywieziona ciężarówką z anielińskiego kirkutu i zużytkowana przez Niemców przy układaniu nawierzchni jakiejś drogi lub jakiegoś chodnika: hebrajskie litery wypełnił żółty albo szary piach — płytę położono gładką stroną do góry — i nazwisko Sary oraz dwie daty, narodzin i śmierci, 5647 - 5699, mógłby odczytać tylko ktoś, kto patrzyłby od dołu, z głębi ziemi, przez warstwę piasku, warstwę gliny, warstwę lawy.

— *Here we are* — mówi Icyk do młodego człowieka, który siedzi za kierownicą i srebrnoszara Toyota zatrzymuje się przed willą Sary Fliegeltaub. Ten młody człowiek — czarny długi płaszcz z gabardyny, czarny kapelusz z błyszczącego filcu i długie

blond pejsy — do którego Icyk mówi Ben: — *Ben, are you sure that we are still Jews?* — jest wnukiem ciotecznej siostry Icyka i tłumaczy powieści Icyka z żydowskiego, który teraz nazywa się jidysz, na angielski. Ben otwiera drzwiczki, a potem bagażnik Toyoty i wyjmuje z niego dwie wielkie, czarne, skórzane walizy Icyka. Ale może to być także jeden niewielki neseser, wszystko jedno. Icyk otwiera drewnianą furtkę i stwierdza z przyjemnością, że nic ale to nic, zupełnie nic się tutaj nie zmieniło: zardzewiałe zawiasy furtki skrzypią jak skrzypiały i słychać dzwonięcie dzwonka, który ukryty jest pewnie gdzieś za listkami, kwiatami powoju i brzęczy jak brzęczała sprężyna zamykająca furtkę za tym, kto wchodzi do ogrodu i furtka jest tą samą furtką, którą kulawy Szlojmele miał, jak życzyła sobie tego Sara Fliegeltaub, pomalować na biało, ale nie pomalował, ponieważ mu się nie chciało, a potem, kiedy może by mu się i chciało, nie mógł pomalować, ponieważ już go nie było. Za tą samą furtką jest ta sama ścieżka, po lewej stronie ścieżki te same pokrzywy. Icyk — Ben idzie z nim dźwigając walizy, a krople potu spływają po jego pięknych, zarzuconych za uszy pejsach — okrąża willę i staje na tych samych schodkach tej samej werandy, z których to schodków przedostatni, co już wiemy, jest połową schodka. Na werandzie i w jadalni nie ma nikogo, ale przed chwilą w jadalni ktoś zapewne był, bowiem na stole — stół nakryty jest zieloną, robioną szydełkiem serwetą — stoją trzy szklanki z niedopitą herbatą i leży gazeta, „Folkscajtung” albo „Hajnt”, numer z 13 lipca 1937 roku. — Z tej szklanki po lewej, o z tej nad którą właśnie krąży, brzęczy mucha i zaraz ta głupia mucha, nie wiedząc co ją czeka, zapanuje się w głąb szklanki i utonie nie wiedząc, że tonie, to chyba ja piłem — myśli Icyk. Ta sama mucha, co przed pięćdziesięciu laty, mucha, jeśli można to tak ująć, pięćdziesięcioletnia. Skrzypią schody — drewniane schody z jadalni prowadziły na podest na piętrze, z podestu na prawo, o ile dobrze pamiętam, były drzwiczki na strych, zamknięte drewnianą zaczepką, na strychu Sara Fliegeltaub rozwieszała po wielkim praniu bieliznę pościelową, nieco już pozółkłe prześcieradła i poszwy i poszewki, a na lewo był korytarz i w korytarzu drzwi do trzech, może do czterech pokoi, za ostatnimi drzwiami od rana stukot czarnego, zdezelowanego Remingtona — skrzypią drewniane schody i ktoś schodzi do jadalni. To Chaja Gelechter. Ubrana jest w szary kostium i szary kapeluszek ściśle przylegający do głowy, toczek z szarą, nieco jaśniejszą niż kostium woalką. Chaja Gelechter lubiła woalki i nosiła je nawet wtedy, gdy nie były modne. Uważała, jak przypuszczam, że kobieta ukryta za woalką staje się dzięki tej woalce osobą nieco tajemniczą, a na

tym, żeby uchodzić za osobę nieco tajemniczą, bardzo jej zapewne zależało. Ale może się myłę, może nosiła woalkę, woalki, ponieważ była nieśmiała i ukrywała za tymi woalkami swoje nerwowe tiki, nerwowe uśmieszki, nagłe skrzywienie ust, jakby do płaczu, nagłe drżenie powieki, którego nie była w stanie opanować. Co do toczka, który — kiedy mu się dokładniej przyjrzyć — okazuje się toczkiem wykonanym z czegoś w rodzaju szarych, lśniących, sześciokątnych łusek: takie toczki z woalkami były bardzo modne wiosną roku 1936, ale w roku 1937 moda się zmieniła i panie zaczęły nosić małe kapelusiki z małymi, wygiętymi albo prostymi, rondami. Chaja uznała jednak, że w takim kapelusiku nie jest jej do twarzy i pozostała przy toczku. Dolny skraj woalki nie jest prosty, lecz wycięty w coś w rodzaju ząbków, a na woalce i na końcu każdego z tych ząbków są nieco ciemniejsze, choć także szare, punkciki: kiedy patrzy się na taką woalkę z pewnej odległości, powiedzmy, pięciu czy dziesięciu kroków, to nie sposób stwierdzić, czy te punkciki są na woalce czy na twarzy osoby noszącej woalkę. Szare piegi, szare plamki, które — z niejasnej przyczyny — ukazały się na policzkach, na nosie, na powiekach. Adres modystki: Krochmalna 57, drugie podwórze, parter, drugie drzwi po lewej. Na drzwiach był napis po polsku: Uwaga stopień!

— Pan szuka pani Fliegeltaub? — pyta Chaja.

— Nie — mówi Icyk. — Albo tak. Szukam pani Fliegeltaub.

— Pani Fliegeltaub pojechała do Józefowa — mówi Chaja i Icyk przypomina sobie, że w Józefowie mieszkała młodsza siostra pani Sary, która — ta siostra — była uważana w rodzinie za wariatkę i z którą pani Sara ciągle się kłóciła, ale dlaczego i o co się kłóciła, tego Icyk nie może sobie przypomnieć. Czy powodem tych kłótni nie było to, że córka tej siostry, Irena, chodziła do Ipsu i piła tam kawę z gojami? Sara Fliegeltaub mogła mieć za złe siostrze, że na coś takiego swojej córce pozwalała. — Ona jest wariatka — mówiła pani Sara do szwagra, męża młodszej siostry — i ona cię zamęczy. Artur, ty powinieneś ją zamknąć w „Zofiówce”. — Chaja unosi woalkę — szare plamki znikają z jej nosa i powiek — i przygląda się Icykowi.

— Pan przyjechał z Warszawy? To niech pan usiądzie na werandzie i poczeka. Pani Fliegeltaub powinna niedługo wrócić.

— Poczekam — mówi Icyk, a kiedy Chaja przechodzi przez jadalnię, obok stołu, na którym stoją trzy szklanki z niedopitą herbatą — w jednej z nich pięćdziesięcioletnia mucha bijąc w herbatę skrzydełkami daje nam do zrozumienia, że nie zamierza zrezygnować i będzie walczyć o życie, pokąd nie pochłonie jej

otchłań herbaty — i jest już na werandzie, zaraz zejdzie po schodkach i zniknie za domem, chcąc ją zatrzymać, przecież przyjechał do Otwocka, wrócił do tej willi właśnie po to, żeby ją zobaczyć, żeby się od niej dowiedzieć tego, czego nie wie, żeby wreszcie się przekonać, jak to jest z tymi szarymi plamkami, czy są to plamki na skórze czy ciemniejsze punkciki na woalce, więc chcąc ją zatrzymać, Icyk mówi jeszcze, ale bardzo cicho: — Chaja.

— Pan się chyba myli — mówi Chaja. — My się nie znamy.

— To mi się przyjrzyj — mówi Icyk. — To przecież jestem ja. No ja, Icyk. Icyk Mandelbaum. Teraz mnie poznajesz?

— Poznają — mówi Chaja. — Ale ty się bardzo zmieniłeś.

— Jak ja się miałem nie zmienić — mówi Icyk. — Przecież to było pięćdziesiąt lat temu. Ja jestem teraz bardzo stary pan. Mam osiemdziesiąt lat, Chaja. Osiemdziesiąt jeden.

— To jest piękny wiek, Icyk — mówi Chaja. — Gdzie ty byłeś tak długo? Co się z tobą działo?

— Ty mnie się spytaj, Chaja, gdzie ja nie byłem — mówi Icyk. — Byłem wszędzie. Byłem w Kazachstanie i byłem w Persji i byłem w Palestynie. A teraz mieszkam w Nowym Jorku, na dwudziestym drugim piętrze.

— No to po co tu wróciłeś? — pyta Chaja i opuszcza woalkę, a szare plamki na powiekach i na nosie oraz na prawym uchu, tym które widzi Icyk, znów zaczynają swoją pracę. — Ja bym nie wróciła. Jest ci tam źle, w tym twoim Nowym Jorku?

— Nie jest mi tam źle — mówi Icyk. — Ale ja cię bardzo proszę, Chaja, żebyś zdjęła kapelusz, bo ta woalka trochę mi przeszkadza. Chcę ci się przyjrzeć, a przez woalkę to prawie nic nie widzę.

— Zdejmę — mówi Chaja i zdejmując szary toczek z szarą woalką potrząsa włosami, które rozsypują się, uwolnione spod toczka, na jej czole, na jej małych uszach, na jej karku. Jej błyszczące, atramentowo czarne włosy, pachnące perfumami Mitsuko Guerlain'e'a. Moje usta tuż przy jej włosach, tuż ponad małym, różowym uchem, pięćdziesiąt lat temu. — Ale obiecaj mi, że nie będziesz mi się tak przyglądał, bo to mnie krępuje.

— Obiecuję — mówi Icyk, choć nie zamierza wywiązać się z tej obietnicy. — A teraz ci powiem, po co tu wróciłem. Chciałem cię zobaczyć, Chaja. Ciebie i to wszystko. Tę werandę, te schodki, te pokrzywy i jeszcze ten szlafrok pani Sary, pamiętasz, w żółte i czerwone kwiaty. Te szare plamki na twoim prawym uchu. Chciałem to wszystko zobaczyć i chciałem się dowiedzieć.

— Niczego się nie dowiesz — mówi Chaja i Icyk widzi, że zaczyna jej drgać, choć bardzo stara się to opanować, prawa powieka. — Czego można się dowiedzieć od Polaków? Oni tego nie chcą pamiętać i ja im się nie dziwię. Na ich miejscu ja też bym nie chciała pamiętać.

— Ale ja chciałbym się dowiedzieć — mówi Icyk — jak wyście to przeżyli. Jak to było z wami.

— Ja nie przeżyłam — mówi Chaja i Icyk widzi, że mówiąc to Chaja zamyka oczy, zaciska powieki, może dlatego, że chce w ten sposób opanować to ich drżenie, ten nerwowy tik, a może dlatego, że nie chce już dłużej patrzeć na niego, Icyka, albo nie chce już dłużej patrzeć na to wszystko, na trzy szklanki z niedopitą herbatą na stole, na kawałek sernika, po którym chodzi pięćdziesięcioletnia mucha, ale chyba jakaś inna, bo tamta została wciągnięta przez otchłan, na kryształ i porcelanowe tancerki w serwanctę, na dzikie wino pnące się po kolumnienkach werandy, na błękitne, błękitnobiałe, błękitno przejrzyste niebo nad willą Sary Fliegeltaub, nad Otwockiem, nad Polską. — Nikt tego nie przeżył.

— Ale ja przeżyłem — mówi Icyk. — I dlatego chcę się dowiedzieć. Co by było ze mną, gdybym wtedy nie wyjechał. To znaczy nie chcę się dowiedzieć, co by się ze mną stało, bo oczywiście wiem, a przynajmniej mogę się domyślać, co by się stało. Ale chcę się dowiedzieć, co ja bym wtedy myślał, co bym wtedy czuł. Gdyby Rosjanie w 41 nie wywieźli mnie w bydłym wagonie ze Lwowa.

— Tego się nie dowiesz — mówi Chaja — bo tego nie wolno ci wiedzieć. To tylko my wiemy — i Chaja milknie i patrzą na siebie, patrzą sobie w oczy, już na zawsze dwudziestoczworoletnia Chaja Gelechter i osiemdziesięcioletni Icyk Mandelbaum, ale to trwa tylko kilka, może kilkanaście sekund, ponieważ Icyk zaraz spuszcza oczy: to, co wie Chaja, jest nie do zniesienia dla nas, którzy przeżyliśmy.

— Są takie relacje — mówi Icyk — z których wynika, że Żydzi na Umschlagplatzu, ale nie chodzi tu o wszystkich Żydów, tylko o takich, co musieli tam stać kilka albo kilkanaście godzin, ponieważ nie zmieścili się do wagonów i czekali na podstawienie następnego pociągu, więc że ci Żydzi, kiedy przychodziła pora modlitwy, wyjmowali tańsy i modlili się chwałę tego Boga, który, no inaczej nie da się tego powiedzieć, to wszystko im urządził. Kiedy miałem czternaście czy piętnaście lat, później już nie, ale kiedy mieszkałem jeszcze u rodziców, to byłem bardzo pobożnym Żydem, więc powinienem to rozumieć. Ale nie rozumiem. Do kogo oni się tam wtedy modlili? A ty to rozumiesz?

— Tu nie ma nic do rozumienia — mówi Chaja. — Modlili się, ponieważ się modlili. Tak to było. Ale wolałabym, żebyś mnie nie pytał o to, jak to było. Opowiedz coś o sobie. Jak ci tam jest, na tym dwudziestym drugim piętrze. Piszesz książki?

— Piszę.

— No i jak? Miąłeś sukces?

— Coś w rodzaju sukcesu. Jak dobrze pójdzie i jak jeszcze będę żył, to za rok albo dwa powinienem dostać nagrodę Nobla.

— To ja ci tego życzę, Icyk. Życzę ci tej nagrody oraz wszystkich innych nagród, które jeszcze mógłbyś dostać — i Chaja wkłada szary toczek z szarą woalką, a potem podchodzi do Icyka i kładzie mu dłoń na policzku, gładzi go po policzku tą dłonią w szarej, zamszowej rękawiczce. — Jestem pewna, że dostaniesz te wszystkie nagrody. I cieszę się z tego, że ty masz ten sukces. Pamiętasz? Ja ci zawsze mówiłam, że ty kiedyś będziesz bardzo sławny.

— No i jestem sławny — mówi, a może tylko myśli Icyk, a jeśli mówi, to raczej do siebie, niż do Chai. — Ale co ja z tego mam? No kto mi powie, co ja, stary Żyd, mogę mieć z tego, że jestem taki sławny, że sławniejszym to już chyba być nie można?

— A teraz — mówi Chaja — już muszę iść, bo ucieknie mi kolejka do Warszawy. Umówiłam się z Jakubem w „Ziemiańskiej”. Ale ty, jak chcesz, możesz tutaj zostać. Usiądź sobie na werandzie i poczekaj na panią Sarę. Ona zaraz wróci.

— Jeszcze nie odchodź — prosi Icyk — bo jeszcze chciałbym na ciebie popatrzeć. A to jest mój wnuk. To znaczy nie mój, ale mojej ciotecznej siostry. On mnie tłumaczy na angielski.

— Twój wnuk — mówi Chaja i podchodzi do młodego człowieka z zarzuconymi za uszy pejsami, który stoi na werandzie trzymając w rękach walizki Icyka. — Więc wciąż jeszcze są Żydzi. Jakie to dziwne. A ja myślałam, że Żydów nie będzie, że my jesteśmy ostatnimi Żydami na tej ziemi. — I Chaja dotyka dłonią w zamszowej rękawiczce pejsów Bena, bierze w palce jeden z tych pejsów i zaplata go, rozplata, znów zaplata.

— On urodził się po wojnie — mówi Icyk — i nie rozumie po polsku. Ale możesz z nim mówić po angielsku albo po żydowsku.

— Jeśli on się urodził po wojnie — mówi Chaja — to o czym ja mogłabym z nim mówić?

— Ale on jest Żydem — mówi Icyk. — Przecież widzisz.

— Takim samym? — pyta Chaja.

— Takim samym jak kto?

— Jak my wszyscy.

— Takim samym — odpowiada Icyk, choć wcale nie jest pewien, czy jego wnuk w chasydzkim kapeluszu jest takim samym Żydem jak ci wszyscy Żydzi w chasydzkich kapeluszach, którzy przyjeżdżali na lotnisko do Świdra, do Józefowa i do Falenicy. — Niemal takim samym. No może trochę innym, bo urodził się w Bronxie, a nie na Krochmalnej czy Lubeckiego. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Jak ktoś jest Żydem, to wszędzie jest Żydem.

— To ja się cieszę — mówi Chaja — że on jest niemal taki sam. Ładny chłopiec. Ty też jesteś niemal taki sam — a potem, nie wiadomo dlaczego, dodaje: — Biedny Icyk — i jeszcze, już na schodkach werandy: — Mój biedny, biedny, mój naprawdę bardzo biedny Icyk. Ale muszę już iść, bo się spóźnię na kolejkę. Pa! — i Chaja zbiega po schodkach, ale właściwie nie zbiega, bo raczej, unosząc się w powietrze, niezbyt jednak wysoko, zaledwie na kilka, no może na kilkanaście centymetrów, spływa za schodków i płynie, przesuwa się, ulatuje tuż ponad pokrzywami, tuż ponad ostami, tuż ponad ścieżką, też niezbyt wysoko, niemal dotykając, ale jednak nie dotykając pokrzyw, ostów, mleczków, niemal ocierając się czubkami szarych, zamszowych pantofelek o żółte i fioletowe bratki rosnące na skraju klombu i o wbite ukośnie w żółty piasek odłamki czerwonej dachówki, z których zrobiony jest krawężnik tego klombu. Trzepot szarej woalki nad mleciami, pokrzywami. Białe kule dmuchawców dotykające jej kostek w cieniutkich, szarych, jedwabnych pończochach. Szary obłok ponad ścieżką, ponad klombem. Szary obłok, szary popiół, szary pył. Nad tym klombem, nad tą ścieżką, tą przepaścią.

— Tłumaczę mnie — myśli Icyk zakręcając wieczne pióro — Parker z tloczkiem i ze złotą stalówką, który, zważywszy na to, że stulecie dobiega już końca, niewątpliwie nadaje się do muzeum — a potem wstając od biurka i podchodząc do okna, które znajduje się na dwudziestym drugim piętrze — tłumaczę mnie na siedemnaście, a teraz to może już i na dziewiętnaście języków, z czego wynikałoby, że jestem nie byle jakim, a jeśli nawet przesadzam myśląc, że nie byle jakim, to przynajmniej niezłym i sprawnym pisarzem. Więc dlaczego, kiedy tylko próbuję wyobrazić sobie ten mój tam powrót i tę moją tam z nią rozmowę, moja wyobraźnia kompletnie mnie zawodzi i to jedno, co jeszcze jako tako jestem w stanie sobie wyobrazić, to jest ona, Chaja, unosząca się, ulatująca, fruująca — równocześnie w roku 1937 i w roku 1987 lub raczej między rokiem 1937 a rokiem 1987 — ponad żółtymi i fioletowymi bratkami? Wyobrażam

sobie — i bez trudności — jej szary toczek, szarą woalkę, szare pończochy i szare rękawiczki, a także drzenie jej lewej lub prawej powieki, a także czarne włosy rozsypujące się na jej małych uszach, ale to, co ona — przywrócona przeze mnie, przez moją wyobraźnię do życia i w tajemniczy sposób istniejąca, choć zarazem nieistniejąca, równocześnie w roku 1937 i w roku 1987 — więc to, co ona do mnie mówi, co mogłaby mi powiedzieć, co miałyby mi do powiedzenia, jest nie do wyobrażenia i nasza rozmowa — rozmowa osiemdziesięcioletniego Icyka Mandelbauma z dwudziestoczteroletnią Chają Gelechter — rwie się, kuleje i nagle się kończy, choć jeszcze nic — nic istotnego — nie zostało powiedziane. Dlaczego? Czy to znaczy, że my, po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie mamy sobie niemal nic albo i zupełnie nic do powiedzenia? Ale może, żeby ta rozmowa mogła się odbyć, żebym mógł ją sobie wyobrazić, powinienem pojechać do Otwocka — ciekawe, jak wygląda teraz polski Otwock i co Polacy zrobili z żydowskim Otwockiem — i stanąć tam, gdzie był klomb otoczony odłamkami czerwonej dachówki, gdzie była furtka ze sprężyną i skrzypiącymi zawiasami, gdzie była weranda z trzema trzcinowymi fotelami. Klombu, furtki, werandy i foteli oczywiście nie ma, ale jest przecież to miejsce, gdzie były i bardzo być może, że stanąwszy na tym miejscu, na tych miejscach, usłyszałbym lub przynajmniej zdołałbym sobie wyobrazić, co Chaja ma lub miałyby mi do powiedzenia. Jeśli zmarli od czasu do czasu zjawiają się między nami, choć raczej w to wątpię, bo właściwie po co mieliby się zjawiać, jeśli nie mają do nas, bo przecież nie mają, żadnego interesu i jeśli już do niczego nie jesteśmy im potrzebni, bo do czego moglibyśmy im być potrzebni, więc jeśli zmarli niekiedy, choćby i wbrew samym sobie, zjawiają się wśród nas, to niewątpliwie zjawiają się w takich miejscach, które były im miłe, które zapamiętali, w których czuli się dobrze wówczas, kiedy żyli. Chaja lubiła Otwock, więc gdyby mogła, chciała się pojawić, to pojawiłaby się, powinna się pojawić w Otwocku, przy furtce, na ścieżce, na schodkach, w trzcinowym fotelu. Ale nie pojadę do Otwocka i nie dlatego, że nie chcę otworzyć tej furtki, której nie ma, stanąć na tych schodkach, które zostały porąbane i spalone. Nie pojadę tam, ponieważ boję się, że właśnie tam okazałoby się, że my, po tym wszystkim, nie mamy sobie nic do powiedzenia, że mówimy innymi językami, że nie możemy się ze sobą porozumieć. Język umarłych. Mówią nadal po żydowsku albo mówią nadal po polsku, ale jest tak, jakby to, co mówią, składało się z poszczególnych słów, jakby słyszalne — dla nas — były tylko poszczególne słowa i jakby te słowa nie układały się w sensowną całość, w zrozumiałe zdania lub

jakby — układając się w zdania — układały się w nie wedle reguł, które nie są nam znane i których — bezradni wobec tego innego, tajnego języka — nie potrafimy rozszyfrować. Te same słowa, ale kto nie zna składni, nie pojmie ich sensu. Ale może należałoby to ująć inaczej i powiedzieć, że słowa są te same i składnia ta sama, tyle że słowa — w tym innym, sekretnym języku — znaczą jakoś inaczej, a jak, nie wiadomo. — Icyk opiera dłoń — osiemdziesięcioletnie kości obciążone suchą, pomarszczoną, pokrytą brązowymi plamkami skórą — na metalowej futrynie okna i patrzy z wysokości dwudziestego drugiego piętra w dół, w sztolnię niepojętego, w głąb szeolu. Chaja staje za nim i kładzie dłoń w szarej rękawiczce — skóra pod rękawiczką jest biała, cienka, napięta, niemal przezroczysta — na jego dłoni.

— Biedny Icyk Mandelbaum — mówi. — Ale jaki bogaty, jaki wszędzie sławny.

Ale nie wiadomo, co znaczą w języku, którym mówi Chaja — niepojęty język — te słowa: biedny, bogaty, sławny oraz wszędzie. Nie wiadomo nawet, co by mogły znaczyć w języku Chai te dwa rzeczowniki własne: Icyk Mandelbaum. Język jak szary obłok, szary pył. Rozsypujący się język umarłych.

Jeszcze o getcie w Otwocku. Dotarłem do kilku tekstów, w których podana jest data ostatecznej likwidacji tego getta. Są to właściwie dwie daty, bowiem istnieje w tej kwestii rozbieżność, której, jak przypuszczam, nie da się już usunąć. Franciszka Rubinlicht — jak mówi informacja zamieszczona przy jej nazwisku w zbiorze dokumentów wydanym przez Józefa Kermisza: dekoratorka teatrów warszawskich — napisała w roku 1943, mając jednak na myśli rok 1942: „20-go sierpnia wypędzono Żydów z Otwocka i dnia tego rozstrzelano na szosie Ankę wraz z rodziną”. Jak wynika z relacji opisujących to, co w sierpniu 1942 roku działo się między Aninem a Otwockiem, wzdłuż linii kolejki średnicowej, rozstrzelanie na szosie było rodzajem ułaskawienia. Proszono o to, ale tylko niekiedy było to przyznawane. Datę podaną przez Franciszkę Rubinlicht potwierdzają relacje zebrane przez Wiktora Kulerskiego. W artykule „Marsz” — „Krytyka” nr 15/1983 — cytuje on fragment pamiętnika Celka Perechodnika. Pamiętnik znajduje się w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego. „20 sierpnia w Falenicy, w czwartek odbyła się akcja. Dla odmiany Niemcy rozpoczęli ją nie o siódmej rano ale o 3-iej w nocy, kiedy jeszcze ciemno było”. To, że likwidacja nastąpiła 20 sierpnia, znajduje też potwierdzenie w zanoto-

wanych przez Kulerskiego wypowiedziach świadków. Jadwiga M. z Miedzeszyna: „To stało się 20 sierpnia 1942 roku. Nie zapomnę tego dnia, bo na moim placu wykopali dół na dzieci”. Do artykułu Kulerskiego redakcja „Krytyki” dodała kilka zdjęć z Falenicy oraz reprodukcję plakietki wydanej, jak mówi podpis, w roku 1977 „staraniem prywatnym” i upamiętniającej przemarsz Żydów „z Rembertowa do Falenicy oraz likwidację obu gett w dniu 20 sierpnia”. Napis na plakietce: „20. VIII. 1942”. Likwidacja w Falenicy odbyła się z całą pewnością tego samego dnia co likwidacja w Otwocku. Jestem pełen podziwu dla pieczołowitości i staranności Kulerskiego — marsz Rembertów — Falenica został przez niego opisany akurat tak, jak należy to robić, to znaczy powściągliwie i dokładnie — ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o datę, to autor wykazał pewien brak krytycyzmu. Być może wydarzyło to się rzeczywiście 20 sierpnia. Są jednak pewne fakty, które temu jakby zaprzeczają.

W nocy z 20 na 21 sierpnia Warszawa została zbombardowana przez samoloty rosyjskie. Jedna z bomb trafiła w budynek znajdujący się w pobliżu Umschlagplatzu. Następnego dnia w getcie warszawskim rozeszła się pogłoska mówiąca, że nalot rosyjski był pomyślany jako ostrzeżenie pod adresem Niemców: Rosjanie dali im w ten sposób znak, że obserwują ich zbrodniczą działalność i że nie będą jej dłużej tolerowali. Pogłoska miała uzasadnienie w tym, że 21 sierpnia — czyli natychmiast po nalocie — Niemcy rzeczywiście przerwali wielką likwidację. Co prawda nie na długo i oczywiście nie dlatego, że przestraszyli się Rosjan. Którzy zresztą z pewnością nie mieli wówczas zamiaru ostrzegać Niemców albo grozić Niemcom. Jeśli Stalin w ogóle wiedział o tym, co dzieje się w getcie warszawskim, to prawdopodobnie przyglądał się temu — fachowiec od wysiedleń i likwidacji — z dwuznacznym uśmiechem. Ale wielka likwidacja została przerwana: 21 sierpnia nie odbywały się już blokady i na tory za Umschlagplatzem nie podstawiono wagonów. Ostatnim dniem blokad — przed przerwą — był, jak się zdaje, 20 sierpnia. Tego dnia wieczorem lub następnego dnia rano Vernichtungskommando udało się do Otwocka, Falenicy, Miedzeszyna. Tę wersję wydarzeń potwierdza relacja Adolfa i Barbary Bermanów — „Zagłada getta w Warszawie” — którzy byli ludźmi chyba dość dobrze poinformowanymi. Relacja została spisana w październiku 1942 roku, gdy tylko Bermanowie znaleźli się po stronie aryjskiej. Czyli niebawem po tych wydarzeniach. Wedle tej relacji likwidacja w Otwocku — a więc także w Falenicy — zaczęła się „w piątek rano” i właśnie po nocy z 20 na 21 sierpnia. Data nie została przez Bermanów podana. Ale piątek wypadł wtedy

21 sierpnia. Można by ewentualnie przyjąć, że akcję w Otwocku i Falenicy rozpoczęły jakieś miejscowe jednostki SS albo żandarmerii, a Vernichtungskommando włączyło się do niej dzień albo dwa później. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne. Likwidację getta wykonywali fachowcy i przypadkowe oddziały nie były do tej roboty dopuszczane. Z informacji podanych przez Adolfa Bermana wynika, że do Otwocka wyjechał cały sztab akcji warszawskiej. Berman wymienia Brandta, był tam też pewnie i Hoefle. Może także volksdeutsch Brzeziński, który — jak pisze Henryk Makower w „Pamiętniku z getta warszawskiego”: właśnie czytam tę relację wydaną dopiero co przez Ossolineum — „załadował większość warszawskich Żydów”.

Brandt po przybyciu do Otwocka objechał — mały, czarny Opel — getto w mieście oraz getto zwane kuracyjnym — były więc dwa getta w Otwocku — i kazał wystawić posterunki. Jeśli Celek Perechodnik oraz mieszkańcy Falenicy i Miedzeszyna, z których informacji korzystał Wiktor Kulerski, nie mylą się twierdząc, że akcja zaczęła się przed świtem, już o trzeciej w nocy, to Brandt musiał chyba zjawić się w Otwocku wieczorem poprzedniego dnia. Czyli 20 sierpnia. Inne dotyczące Otwocka informacje z relacji Bermanów. Jeśli akcja na linii żółto-niebieskiej kolejki zaczęła się 21 sierpnia, to mogła trwać — najdłużej — cztery dni, bowiem 25 sierpnia znów rozpoczęły się blokady w getcie warszawskim czyli Vernichtungskommando znów tam powróciło. W czasie akcji rozstrzelano chorych w „Zofiówce” oraz w sanatorium „Brijus”. Rozstrzelano także dzieci mieszkające w dwóch zakładach Centosu. Bermanowie podają liczbę: około 250 dzieci. Podobno kilkorgu starszym dzieciom udało się uciec. W Śródborowie rozstrzelano osiem polskich rodzin, które ukryły wtedy Żydów. W Otwocku — o tym wspominałem już chyba poprzednio — mieszkało wielu Żydów, którzy przeprowadzili się tam z Warszawy. W pierwszej połowie roku 1942 Otwock wydawał się miejscem znacznie bezpieczniejszym. Miesiąc przed likwidacją otwockiego getta — dokładnie: 19 lipca — wysłali do Otwocka swoje rodziny dwaj znani żydowscy gestapowcy, współpracownicy Trzynastki oraz właściciele konnych tramwajów, Kohn i Heller. Niektórzy z tych warszawskich Żydów — tę informację podają za „Notatkami z getta” Emanuela Ringelbluma — zdołali się uratować, uciekając z Otwocka karetką pogotowia. Nie wiem, czy w tej informacji mowa jest o rodzinach Kohna i Hellera. Ci dwaj zostali, jak wiadomo, zabici w Warszawie: ich ciała wywieziono na cmentarz przy Okopowej — na specjalne życzenie Brandta — na wózku lub na wózkach ze śmieciami. Mówiąc o losie warszawskich Żydów, którzy znaleźli się

w Otwocku, Bermanowie i Ringelblum wymieniają dziennikarza nazwiskiem Ajnhorn: był to jeden z redaktorów wielkiego dziennika „Hajnt”. Zaproponowano mu ucieczkę z Otwocka w tej karetce pogotowia, o której wspomniałem. Odmówił i pozostał w swoim pokoju, gdzie go zastrzelono. To było chyba w sanatorium „Brijus”. Chciałbym znaleźć — właściwie nie wiem, dlaczego — jakąś informację, która mówiłaby o tym, co się stało z właścicielem — to oczywiście przed wojną — kina „Miramare”, które było na ulicy Warszawskiej pod numerem 29. Nazywał się Mojżesz Łopata. Jeśli udało mu się przeżyć.

Pisząc wcześniej o likwidacji otwockiego getta wyraziłem przypuszczenie, że czterdzieści wagonów podstawiono na którejś ze stacji między Otwockiem a Pilawą: Pogorzelska, Stara Wieś, Celestynów. Z artykułu Wiktora Kulerskiego wynika, że było inaczej. Cytowany w tym artykule fragment tekstu Celka Perechodnika mówi, co następuje: „z Otwocka wysłano piechotą pod eskortą polskiej policji też kilkaset osób, których doładowano do wagonów falenickich. Matki wyjechały transportem otwockim, dzieci nazajutrz falenickim, ojcowie zaś w dzień później transportem mińskim”. Ładowano więc w Falenicy i w Mińsku Mazowieckim. Oraz na wysokich peronach w Otwocku. Prawdopodobnie — jak wynika z tych zdań — 21, 22 i 23 sierpnia. Rampa w Falenicy znajdowała się — jak pisze Kulerski — „na południe od stacji i przejazdu, pomiędzy torami a szosą”. Żydów falenickich zgromadzono na placu między dworcem a bóżnicą i po kilku godzinach pognano ich w kierunku bocznicy. Również i w tym wypadku między informacjami, które zebrał Wiktor Kulerski, a informacjami, które znajdują się w relacji Barbary i Adolfa Bermanów, istnieje wyraźna rozbieżność. Bermanowie twierdzili bowiem — co prawda opatrzyli tę wiadomość słowem „podobno” — że Żydzi falenicy nie chcieli wychodzić z domów i stawiali opór — nawet zbrojny — tym z Vernichtungskommando. W związku z tym wszystkich tamtejszych Żydów ludzie Brandta wymordowali na miejscu. Świadczenia przytoczone przez Kulerskiego są jednak — jeśli chodzi o los Żydów z Falenicy — nie do zakwestionowania. Nie jest więc wykluczone, że i w sprawie daty Bermanowie byli źle poinformowani. Wydaje mi się jednak, że są to świadkowie wiarygodni. Nie wiem, co zrobić z tą datą. Może istnieją jeszcze jakieś inne świadectwa, na podstawie których da się kiedyś tę kwestię rozstrzygnąć.

— Wyobraź go sobie tutaj — mówię do Hani, siedząc na tytule: Słoneczny wyż nad Polską oraz na tytule: Czy Hitler zmarł w Argentynie, czyli na dzisiejszym numerze „Życia Warszawy”. — Właśnie tutaj, na tej plaży, na tym piasku. Ma

cztery wolne dni. No niemal wolne, bo jest trochę pracy. Krótkie wakacje Karla Brandta. Rano będzie zabijał, co jest bardzo miłe, a po południu będzie się kąpał w Świdrze, co też jest bardzo miłe. Na tej plaży, pod tymi krzakami wikliny. Rozpina pas, zrzuca mundur, ściąga buty i wchodzi do wody. Brzeziński, pracowity żandarm, układa mundur szefa w kostkę. Piękny sierpniowy dzień, upał, chłodna woda. Wtedy nie płynęła tu jeszcze ta śmierdząca lura. Hoefle, który też wszedł do wody, krzyczy: — *Karl, diese Juden hatten es hier gut.* — Co on miał w głowie, ten wyłupiastooki Brandt. Kiedy się tu kąpał.

— Daj mi spokój — mówi Hania. — Nic mnie to nie obchodzi.

— Ale coś miał w głowie — mówię. — Ochlapują się wodą, on i Hoefle, ryczą ze śmiechu, tarzają się po piasku. Jak miło, jak słodko jest żyć. Przecież to czuł, rozumiał: że miło jest żyć. Przecież to był człowiek.

— Nie — mówi Hania.

— Co: nie? — pytam. — Co to znaczy: nie?

— To znaczy, że ja nie chcę o tym myśleć — mówi Hania. — Nie tutaj.

— To pomyślmy — mówię i wyciągam spod siebie ten numer „Życia Warszawy”, na którym siedziałem, a potem strząsam z niego szary piasek — o czymś przyjemniejszym. O tym Hitlerze, który umarł w Argentynie.

— O jakim Hitlerze? — pyta Hania. — Co ty opowiadasz?

— Tu pisze — mówię — że on umarł w Argentynie kilka miesięcy temu. W wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Jakiś argentyński cwaniak ma na to dowody i chce te dowody sprzedać Żydom za pięćset milionów dolarów. Ten cwaniak nawet wie, gdzie jest grób Hitlera. Zna także adres Ewy Braun. Bo ona tam jeszcze mieszka i ma czworo dzieci. Ale te dzieci są zaadoptowane.

— Jakieś głupoty — mówi Hania. — Ci Żydzi to byliby szaleni, gdyby zapłacili za coś takiego pięćset milionów dolarów.

— A ja uważam — mówię — że oni zapłacą. Grób Hitlera to jest coś, co jest warte nawet więcej niż pięćset milionów. To jest dla ludzkości rzecz wprost bezcenna.

— Jedźmy już — mówi Hania. — To także mnie nic nie obchodzi.

— A co do tego Hitlera w Argentynie — mówię, kiedy Hania wyprowadza czerwone Renault na Wał Miedzeszyński — to nie jest wykluczone, że towarzysz Stalin także jeszcze żyje. Ma sto dziesięć lat i ukrywa się — święty starzec — gdzieś w tajdze czy

w tundrze. Chodzi sobie po tej tajdze i pykając fajeczkę patrzy na błyskające — tam daleko w dali — lagrowe światełka. Jak miło jest żyć, chodzić sobie po tajdze i pykać fajeczkę. Ja ci mówię, że on żyje. Oni wszyscy żyją.

— W twojej głowie — mówi Hania. — I przestań się tak rzucać po tym samochodzie, bo to się skończy jakimś potwornym wypadkiem. Ja nie chcę znaleźć się przez ciebie w szpitalu.

Krótki przewodnik po warszawskim getcie. Zwiedzanie warszawskiego getta najlepiej jest rozpocząć od ulicy Żelaznej. Na Żelaznej i w okolicach Żelaznej jest bowiem, jeśli tak można rzec, najwięcej getta. Czyli najwięcej domów, które stały niegdyś w getcie i które — kiedy Niemcy zrównali Dzielnicę Północną z ziemią — nie zostały jednak, z niejasnych powodów, spalone. Idąc Żelazną w górę — to znaczy w kierunku Nowolipia i Nowolipek — po lewej ręce ma się dzielnicę aryjską, a po prawej getto. Przed czterdziestu pięciu laty Polacy chodzili po zachodniej stronie Żelaznej, a Żydzi po wschodniej. Godne uwagi jest szczególnie skrzyżowanie Żelaznej z Krochmalną. Krochmalna była niegdyś bardzo długą ulicą: zaczynała się nieopodal Placu Żelaznej Bramy, a kończyła przy Karolkowej. Teraz Krochmalna jest krótka: zaczyna się przy Ciepłej, kończy przy Żelaznej. Dobrze jest — idąc w kierunku Krochmalnej — skrócić nieco wcześniej w prawo, najlepiej w Grzybowską, tak żeby Krochmalną przejść od Walicowa do Żelaznej. Nie należy wtedy patrzeć przed siebie: po drugiej czyli aryjskiej stronie Żelaznej stoi bowiem jakiś nowy — to znaczy zbudowany po wojnie — budynek. Po prawej i po lewej są natomiast stare domy: po lewej jeden, narożny, a po prawej dwa. Domy są bardzo zniszczone. Ten po lewej, pięciopiętrowy, ma jeszcze balkony z pięknymi balustradami, ale wygląda na to, że los balustrad i balkonów jest już przesądzony: niebawem ze względu na bezpieczeństwo przechodniów trzeba je będzie usunąć albo runą same. Tynk jest w nienajgorszym stanie: tu i ówdzie odpada, ale dom można jednak uznać za otynkowany. Z domu po prawej — narożnego — tynk dawno odpadł lub dawno został odbity. Tam, gdzie były balkony, sterczą teraz z brudnoczerwonej cegły żelazne, zardzewiałe belki. Do frontonu — nad narożnikiem Krochmalnej i Żelaznej — przymocowana jest wygięta metalowa konstrukcja: jakby górna część pastorału. Kiedyś wisiła tam uliczna latarnia.

Krochmalną — na tym odcinku — mało kto, jak się zdaje, chodzi. Koło dwunastej w południe byłem sam między tymi starymi domami. Atmosfera tego miejsca jest trudna do opisanja,

prawdopodobnie dlatego, że idąc tamtędy jest się równocześnie w przedwojennej Warszawie, w warszawskim getcie oraz w Warszawie dnia dzisiejszego. W narożnym domu po prawej jest warsztat stolarski. W witrynie stoją butelki z politurą, puszki z klejem, listwy, listewki i kawałki desek. Taką samą witrynę mógł oglądać ktoś, kto stał tu przed czterdziestu pięciu laty. Nie jest wykluczone, że ten ktoś stoi teraz obok mnie i patrzy na mnie, kiedy ja patrzę na niego. Różnica między nami jest taka, że on mnie może widzieć, ja jego nie mogę. Ale to pewnie dlatego, że my — tutejsi — jesteśmy opieszali i kiedy dane nam jest, co zdarza się rzadko, poczucie podwójności czy potrójności czasu czyli poczucie, że nagle znaleźliśmy się w kilku strefach czasu, nie staramy się, właśnie przez opieszałość, uzyskać czegoś więcej, zobaczyć coś więcej.

Podwójny lub potrójny czas. Kto idzie Krochmalną w kierunku Żelaznej, może więc wybierać: idzie Krochmalną w roku 1987 i widzi, jak to wyglądało — wyobraża sobie, że idzie tamtędy — w roku 1942. Albo: idzie Krochmalną w roku 1942 i widzi — wyobraża sobie — jak to będzie wyglądało w roku 1987. Albo: idzie Krochmalną w roku 1939 i widzi — ma przeczucie — co uczyni z tymi domami, a także z nim, idącym, historia. Kilkuminutowy spacer na tym odcinku godny jest więc polecenia: dobrze jest znaleźć się równocześnie w trzech różnych epokach, bowiem można dzięki temu stwierdzić — i to naocznie — jakie niezwykle możliwości ma historia. Kto zdecyduje się na ten spacer, niech zajrzy przy okazji do bramy, która znajduje się tuż obok na Żelaznej: należy ona do tego narożnego, brudnoczerwonego domu z zardzewiałymi belkami balkonowymi. Kiedyś z tej bramy wyłożonej niebieskimi, granatowymi i ciemnożółtymi kafłami — mniej więcej połowa kafli jest teraz zniszczona — był chyba dobry widok na mur oddzielający dzielnicę aryjską od getta.

Idąc dalej w górę Żelaznej dochodzi się do Chłodnej: tu, na tym skrzyżowaniu, kończy się małe getto i zaczyna duże. Na Chłodnej była wacha i szlabany. Potem szlabany zastąpiono mostem łączącym dwie dzielnice getta. Widziałem kilka zdjęć tego mostu, ale ustalenie jego obecnego miejsca nie jest łatwe, ponieważ po obu stronach Chłodnej stoją teraz nowe budynki. Wyobrażam to sobie tak. Wejście na most w małym getcie — południowa strona Chłodnej — było mniej więcej tam, gdzie stoi piętrowy pawilon, w którym mieści się Przychodnia stomatologiczna nr 12: Protetyka, Rentgen, Usuwanie w narkozie. Właśnie tam, gdzie jest ten szyld, umieszczam pierwsze stopnie podejścia prowadzącego na most. Schody prowadzące na most w du-

zym getcie — północna strona Chłodnej — były natomiast tam, gdzie są drzwi do sklepu ze słodyczami: myślę o tym sklepie, który znajduje się w wielkim, szarym bloku stojącym na rogu Chłodnej i Żelaznej. Nim przejdzie się — dołem lub górą — z małego do dużego getta, warto jest zatrzymać się jeszcze kilka minut w małym getcie i skręciwszy w prawo pójść Chłodną w kierunku kościoła św. Karola Boromeusza. Ten kościół stojący na środku Chłodnej lub, jeśli ktoś chce, pomiędzy Chłodną a Elektorálną, znajduje się oczywiście po stronie aryjskiej. Kiedy stanie się na schodach kościoła, ma się dobry widok na most i na przejeżdżające pod mostem tramwaje. Numery tramwajów jeżdżących Chłodną w kierunku zachodnim: 5, 11 i 21. Tory urywają się teraz przed rogiem Żelaznej, zapewne w tym miejscu, gdzie był most. Tym, którzy będą szli południowym chodnikiem Chłodnej w kierunku kościoła, zwracam uwagę na szczególnie kształt krawężnika na wysokości małego skweru przed domem Chłodna 11. Kształt krawężnika wskazuje, że w tym miejscu była brama jakiegoś domu. Tuż obok biegną stare tory tramwajowe. Domu i bramy oczywiście nie ma. Pozostał tylko ten zabytkowy krawężnik: jedyne świadectwo mówiące, że tędy gdzieś się wchodziło i skądś wychodziło.

Za Chłodną zaczyna się duże getto. Można teraz skręcić w Ogrodową i wyjść na tyły Sądów lub pójść dalej w górę Żelaznej mijając znajdującą się u wylotu Leszna wachę. Korytarze Sądów były terenem spotkań i Żydów i Polaków — Żydzi wchodziłi do gmachu Sądów od Leszna, Polacy, jak mi się wydaje, właśnie od Ogrodowej — więc jest to ważne miejsce i niewątpliwie warto je odwiedzić. Chodźmy jednak w górę Żelaznej. Na skrzyżowaniu Żelaznej i Nowolipia znajduje się stary budynek — Żelazna 90 — w którym obecnie mieści się szpital położniczy. Budynek jest odnowiony. Czy w czasie wojny również był tam szpital położniczy? Tego nie wiem. W getcie musiał być chyba jakiś szpital położniczy. W wielu relacjach mówi się bowiem o tym, że Żydówki zachodziły wtedy w ciążę i że w warszawskim getcie rodziły się dzieci. Jest w tym coś, nad czym warto się zastanowić, ponieważ nie jest to łatwe do zrozumienia. Czy te zachodzące w ciążę Żydówki uważały, że ich dzieci będą żyły? Że żydowski Bóg zechce lub potrafi je ocalić? W rozmowie z Benjaminem Fondane — rok 1938 — Lew Szestow, chyba jedyny godny dziś czytania filozof tego przekłętego wieku — a z pewnością jeden z trzech czy czterech filozofów, od których można się czegoś sensownego na temat tego wieku dowiedzieć — więc w roku 1938 Szestow cytował następujący werset z Proctwa Jeremiasza: „Przekłety dzień, w którym się zrodziłem”

(20, 14). Dla Szestowa słowa Jeremiasza były dowodem na to, że ten biblijny prorok, choć prosił Boga o pomoc, w istocie uważał, że Bóg nie pomaga ludziom. Szestow był chyba tego samego zdania: Boga można — pewnie nawet trzeba — prosić o pomoc, ale Bóg nie pomaga, więc prosząc nie należy liczyć, że pomoże. Fondane zapisał wtedy takie zdanie Szestowa: „Święty Augustyn nie chce przyznać, że nasz Bóg nie pomaga nam. Nietzsche to wiedział i widząc okrucieństwo przyrody, nie poprzestał na stwierdzeniu go, ale zaczął to okrucieństwo gloryfikować. Po co je gloryfikować? Jeremiasz też wiedział, że Bóg nam nie pomaga i Żydzi doskonale to wiedzieli”. Wydaje mi się, że dotykamy tu słabego — może najsłabszego — punktu w myśli Szestowa. Bóg Szestowa to był Bóg Starego Testamentu czyli taki Bóg, który nie był jeszcze ograniczony w swych działaniach przez szaleńcze pomysły filozofów — Platona, Spinozy, Hegla — i nie podlegał wobec tego temu co konieczne czy raczej — bo chyba tak należałoby to ujmować — uznane za konieczne przez nasz rozum. Był to więc Bóg, mówiąc w skrócie, mocniejszy niż wschody i zachody słońca, odpływy i przypływy oceanu oraz dwa razy dwa jest cztery. Szestow powoływał się wielokrotnie na Pascala mówiącego o Bogu Abrahama, Izaaka i Jakuba, który nie jest Bogiem filozofów. I oczywiście podpisywał się pod tym zdaniem: jego Bóg też nie był Bogiem filozofów. Ale czy Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba jest Bogiem, który nie pomaga ludziom?

Szestow jakoś dziwnie — dziwnie to znaczy w sposób dla mnie niezrozumiały — czytał Stary Testament. Bóg Starego Testamentu był — i jest nadal — Bogiem, który może wszystkim. Nic Go nie ogranicza, ponieważ jest ponad wszystkim i jest mocniejszy od wszystkiego: jeśli zechce, słońce od jutra będzie wschodzić wieczorem a zachodzić rano, a dwa razy dwa będzie — także od jutra czyli od kiedy On zechce — równało się pięć. Ale kiedy to nastąpi — i czy właśnie jutro — tego nie możemy przewidzieć, ponieważ tylko On może to przewidzieć. Czy o takim Bogu wolno powiedzieć, że nie pomaga ludziom? „Jeremiasz też wiedział, że Bóg nam nie pomaga”. Ale skąd mógł to wiedzieć, jeśli jego Bóg był ponad wszystkim i robił, co chciał? Bóg, który robi co chce, może pomagać ludziom albo może im nie pomagać. Zależy to tylko od Niego: od Jego chęci, które nie są nam znane i oczywiście znane być nie mogą. Warto przy okazji zauważyć, że koncepcja Boga, który się wycofał i pozostawił historię ludziom — historia jako wynik działań ludzi, którzy zostali obdarzeni wolną wolą i wobec tego robią w historii i z historią, co im się podoba — nie da się utrzymać w świetle Objawienia. Bóg Starego Testamentu nieustannie interweniuje w his-

torię. Wciąż jest obecny i wciąż bierze udział. Nie znaczy to oczywiście, że musi być obecny, musi brać udział, musi się objawiać. Objawia się, kiedy chce — kiedy Mu się podoba — i chyba nic więcej nie da się na ten temat powiedzieć. Może jeszcze tyle, że nie ma to — ostrożniej będzie dodać: zapewne — nic wspólnego z naszymi prośbami, bowiem Bóg, który może wszystko, nie może pozwolić na to, żeby te prośby Go ograniczały. Albo może pozwolić, jeśli zechce. Objawia się więc proszony albo nieproszony: kiedy chce. Pismo czyli Objawienie poświadcza, że tak właśnie się objawia. Wystarczy kilka przykładów.

Kto — Księga Rodzaju 9,5 — zawarł przymierze z Noem i zamknął drzwi arki? Kto — Księga Rodzaju 11,6-7 — pomieszał języki tym, którzy budowali Wieżę Babel? Kto — Księga Wyjścia 12,12-13 — kazał oznaczyć krwią drzwi żydowskich domów: „Tej nocy Ja przejdę przez Egipt, zabiję wszystko pierworodne w ziemi egipskiej od człowieka aż do bydła i odbędę sąd nad wszystkimi Bogami Egiptu. Ja Jahwe. Krew będzie wam służyła na oznaczenie domów, w których będziecie przebywać. Gdy ujrzę krew, przejdę obok i nie będzie pośród was plagi niszczycielskiej, gdy będę karał ziemię egipską”. Szestow w tej rozmowie z Fondanem, która odbyła się w lipcu 1938 roku, wspominał też o Księgach Machabejskich: one również były dla niego dowodem, że Bóg nie pomaga. „Żydzi doskonale to wiedzieli: historia Machabeuszy itd.”. Ale Druga Księga Machabejska — rozdział 11,10-11 — mówi co innego: „Wyruszyli więc w szoku bojowym mając z nieba sprzymierzeńca, gdyż Pan się nad nimi zmiłował. Jak lwy rzucili się na nieprzyjaciół i powalili z nich na ziemię jedenaście tysięcy, jezdnych tysiąc sześćset, wszystkich zaś innych zmusili do ucieczki”. Inne fragmenty tej Księgi, w których Jahwe działając w historii pomaga narodowi żydowskiemu: 3,24-29; 9,4-5; 10,29-31. W eseju o Martinie Buberze — „Martin Buber, żydowski mistyk języka niemieckiego”, rok 1933 — Szestow pisał, że Bóg się nie zmienia: „Trzeba trzymać się mocno zasady Bubera: teofanie mogą ulegać zmianie, ale nie znaczy to, że Bóg się zmienia”. Myślę, że nie sprzeniewierzę się myśli Szestowa, jeśli powiem, że ze zdania tego wynika, co następuje: Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, który zamyka drzwi arki Noego, jest tym samym Bogiem, który pojawia się nad żydowskimi jeźdźcami w Drugiej Księdze Machabejskiej. Bóg, który objawia się jako sprzymierzeniec żydowskich jeźdźców, jest tym samym Bogiem, który pojawia się — jeśli chcemy Go tam widzieć — nad warszawskim gettem.

Kiedy odbieramy Bogu prawo objawiania się w naszej historii,

mamy zapewne na względzie raczej Jego, niżli nasz interes. Przyjmujemy, że nasza historia toczy się poza Nim i że jest ona tylko naszym dziełem, ponieważ nie chcemy, żeby Bóg odpowiadał za te wszystkie okropności, których jesteśmy świadkami. Ale postępując w ten sposób — to znaczy odbierając Bogu prawo interweniowania — odbieramy Mu również Jego wszechmoc: nie może już działać, jak chce, więc nie jest wszechmocny. Taki Bóg, który wycofał się — został przez nas wycofany — z historii, przestaje być Bogiem. Moja interpretacja idzie zapewne nieco za daleko, bowiem Szestow nie powiedział: Bóg się nie objawia. Powiedział tylko: Bóg nie pomaga. Ale jeśli nie pomaga, to jednak nie jest Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba. A jeśli nie jest Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba, to Go nie ma. Wycofując Boga z historii, wykonujemy więc jeszcze raz to, co sto lat temu wykonał Nietzsche: zabijamy Go. Nietzsche pisał: „udusił się pewnego dnia nadmiarem litości”. My moglibyśmy ująć to nieco inaczej: udusiliśmy Go nadmiarem naszej dla Niego litości. Ale nie widać powodu, dla którego mielibyśmy litować się nad naszym Bogiem. Litość wobec Wszechmocnego jest uczuciem niestosownym. I nie widać powodu, dla którego mielibyśmy Go zabijać. Bóg jest żywy i dowód na to jest — powinien być — w naszej wierze. Która mówi, że Bóg robi z nami to, co chce.

Możemy teraz — jesteśmy, przypominam, u zbiegu Żelaznej, Nowolipia, Żytniej i Wolności, w pobliżu tego budynku, w którym mieści się szpital położniczy — skrócić w prawo i Nowolipiem, Smoczą i Nowolipkami dojść do kościoła pod wezwaniem św. Augustyna. Ten kościół niewątpliwie należy obejrzeć, po pierwsze dlatego, że wtedy stał on w samym środku getta, a po drugie dlatego, że w połowie lat pięćdziesiątych — chyba w drugiej połowie, nie pamiętam roku — był on miejscem cudu: ponad wieżę kościoła ukazała się wówczas warszawiakom Matka Boska. Powiedział mi ktoś, kto w dzieciństwie mieszkał w tej dzielnicy i był, kiedy wydarzył się cud, kilkuletnim chłopcem: — Ja Ją tam widziałem. Stałem na skarpie, bo tam jest taka skarpa i widziałem taką przejrzystą postać ponad wieżą. Zasmarowywali blachę na wieży smołą, ale to nic nie pomogło. — Wróciwszy na skrzyżowanie Żelaznej, Nowolipia i Żytniej, mamy do wyboru: możemy skrócić w lewo i pójść ulicą Wolność — w czasie wojny Uhrmacherstrasse — w kierunku cmentarza lub przechodząc Nowolipie dojść do Nowolipek czyli tam, gdzie kończyła się i kończy Żelazna. Na Nowolipiu — w pobliżu Żelaznej — była jedna z bram warszawskiego getta. Bram, jeśli wierzyć planom, było dwadzieścia jeden: liczba, nie wiem dlaczego tak mi się wydaje, symboliczna. Kto zwiedza getto, nie może ominąć

ostatniego odcinka Żelaznej. Wprzód lepiej jednak będzie skrócić w lewo: ulicą Wolność — dom Wolność 2^A, zachowany, włączony został do getta w lipcu 1942 roku — dochodzi się do placyku przed XXX Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Śniadeckiego. Przez ten placyk lub gdzieś w jego pobliżu przebiegała granica getta. Dalej jest Kacza, Okopowa, cmentarz. Na środku placyku stoi słup ogłoszeniowy: pomalowany na zielono walec otoczony na górze czymś w rodzaju metalowego gzymsu. Szczyt walca ozdobiony jest szpikulcem. Na takich słupach w kształcie walca przed wojną i w czasie wojny naklejano ogłoszenia. Ale mieściły się w nich również podstacje elektryczne lub kioski z gazetami. Słup na placyku — raczej łączce — przy ulicy Wolność służył chyba jako kiosk: wskazują na to metalowe klapy, na których kioskarz wywieszał zapewne gazety. Czy ten metalowy walec, ten kiosk stał w getcie? na granicy getta? po stronie aryjskiej? Nie wiem. Jeśli stał na samej granicy, to nie jest wykluczone, że był używany jako kryjówka: chowali się w nim szmuglerzy — siedmio- albo ośmioletni — lub polujący na tych małych szmuglerów Niemcy. Jeśli stał po stronie aryjskiej, to prawdopodobnie mieścił się w nim kiosk: mieszkańcy Żytnej i Kaczej przychodzili na placyk, żeby kupować papierosy i gazety. Oparci o parapet rozmawiali z kioskarkiem i komentowali to, co działo się po drugiej stronie. Walec jest solidny — przedwojenna robota — i mimo że metal tu i ówdzie przerdzewiał, pewnie jeszcze dość długo postoi. Warto zejść na ten placyk i obejrzeć metalowy walec. Kto tam się znajdzie, może ewentualnie liczyć na to — trzeba się jednak postarać czyli wykonać jakiś wysiłek duchowy, niezbyt zresztą wielki — że będzie mu dane to samo poczucie, które ma się — można mieć — na rogu Żelaznej i Krochmalnej. Idzie się przez placyk i nagle gdzieś w pobliżu metalowego walca z roku 1987 wchodzi się w rok 1942. Co nie znaczy, że czas terazniejszy ulatnia się czy wyparowuje: jest się przecież nadal w roku 1987. Następuje jednak coś, co można by nazwać zmianą konsystencji czasu lub zmianą jego składników. Czas terazniejszy ulega rozrzedzeniu i wchłania jakiegoś elementu czasu przeszłego. Lub odwrotnie: jakiegoś elementu czasu terazniejszego przesączają się, przenikają w czas przeszły. Na tyłach domu Nowolipki 29^A nadal stoją czerwone i żółte Fiaty 125 i Polonezy, ale nie jest wykluczone, że między tymi Fiatami i Polonezami pojawi się zaraz patrol: trzech żandarmów z blaszanymi tarczami na piersiach. Kiedy żandarmi zaczynają biec za uciekającym, blaszane tarcze brzęczą obijając się o guziki mundurów: dźwięk znany tutaj każdemu, kto ma nieco więcej niż pięćdziesiąt lat.

Z placyku przed XXX Liceum Ogólnokształcącym wracamy — przez podwórza lub przez Nowolipki — na Żelazną. Ostatni dom na Żelaznej ma numer 103. Należy wejść do bramy — przedwojenna terrakota — i na korytarz klatki schodowej, skąd jest wyjście na podwórze. Nie należy wchodzić do mieszkań i pytać tych, którzy w nich mieszkają, czy wiedzą, co działo się między ich tapczanem a ich kuchenką gazową. Do domu — od strony Nowolipek — przylega budka z warzywami. Przez szybę widać rzodkiewki, dymkę, cykorię, sałatę. Między parterowymi oknami domu Żelazna 103 wmurowano tablicę z takim napisem: „W tym domu w 1943 roku w lochach Gestapo zamęczono na śmierć tysiące Żydów warszawskiego getta”. W tym jednym zdaniu są trzy błędy: w domu Żelazna 103 nie było lochów Gestapo, ponieważ nie mieściło się w nim Gestapo, nie zamordowano w nim tysięcy Żydów, ponieważ czegoś takiego nawet bardzo sprawni mordercy nie byłiby w stanie wykonać, a to, co działo się tu w roku 1943, miało swój początek — i swoją kulminację — w lipcu i w sierpniu roku 1942. To właśnie tutaj urzędowali esesmani z jednostki, którą nazywano Vernichtungskommando. Dom był siedzibą Befehlsstelle SS.

Wyłania się tu bardzo przykry problem błędów, które popełniają historycy zajmujący się dziejami warszawskiego getta. Niekiedy są to błędy żenujące. W jakiejś historycznej książce — oszczędzę autora i nie wymienię jego nazwiska — przeczytałem, że dom Żelazna 103 znajdował się na rogu Żelaznej i Leszna. Karl Brandt bywa w przypisach, którymi opatrywane są relacje z getta, SS-Sturmführerem, SS-Untersturmführerem oraz SS-Obersturmführerem. Na planie warszawskiego getta wydrukowanym w polskim wydaniu „Dziennika” Adama Czerniakowa na rogu Żelaznej i Leszna umieszczono kwadracik, który ma oznaczać gmach Sądów. A na drugim rogu kwadracik, który ma oznaczać — jak mówią objaśnienia dodane do planu — „Szpital Starozakonnych na Czystem”. Gdzie był i jest gmach Sądów, tego tym, którzy mieszkają w Warszawie nie trzeba tłumaczyć. W rzeczywistości na rogu Żelaznej i Leszna — po stronie zachodniej — znajdował się budynek Arbeitsamtu oraz budynek kwarantanny. Po stronie wschodniej natomiast — czyli tam, gdzie według planu był Szpital na Czystem — stał i nadal stoi budynek, w którym przed wojną mieściła się szkoła, a w czasie wojny, jesienią 1941 roku, ulokowana została filia szpitala dziecięcego im. Bersonów i Baumanów: tego, który do czasu likwidacji małego getta znajdował się między Sienną a Śliską. Dopiero w sierpniu 1942 — i na bardzo krótki czas — do budynku na rogu Żelaznej i Leszna przeniesiono ze Stawek kilka oddziałów — chyba internistycz-

nych — dawnego szpitala na Czystem. Budynek Arbeitsamtu był po stronie aryjskiej i żeby dostać się tam z getta, trzeba było przejść przez most nad Żelazną. Być może i ja, pisząc tę książkę, popełniam jakieś żenujące błędy. Ale ja nie jestem fachowcem: opieram się na tym, co przeczytałem lub zobaczyłem na własne oczy. Pewne rzeczy dobrze byłoby więc — póki jeszcze można — stwierdzić i ustalić raz na zawsze. Bardzo o to proszę.

W domu Żelazna 103 mieściło się chyba również — tego nie jestem jednak pewien — kasyno SS z żydowską orkiestrą i żydowską obsługą. Na tym odcinku Żelaznej są jeszcze dwa domy: Żelazna 99 i 101. Więc kasyno mogło się mieścić w którymś z tych domów. Lub jeszcze gdzie indziej. Dom Żelazna 103 jest jednym z najważniejszych domów w naszym getcie: latem roku 1942 każdego ranka prawdopodobnie odbywały się tu narady czy odprawy, w czasie których jeden z nich — może Hoefle lub może sam Globocnik — zaznaczał na niemieckim planie Warszawy rejon, w których tego dnia nastąpią blokady. Jego palec przesuwający się nad ulicami i dotykający jakiegos domu w kwartale między Eisenstrasse a Gerichtstrasse: — *Die fahren heute*. — Działo się to pewnie — tak to sobie wyobrażam — zgodnie z jakimś porządkiem: blokowano i wywożono ulicę po ulicy, kwartał po kwartale, dom po domu. To byli przecież Niemcy i dobrzy fachowcy: porządne wykonanie tej roboty musiało być dla nich czymś istotnym. Ale gdyby właśnie tak — czyli zgodnie z jakimś porządkiem — blokowano i wywożono, to ci, co mieszkali w domach przylegających do tych blokowanych, zaraz by się potąpali, że nadchodzi ich kolej i mieliby czas ukryć się lub uciec. Ważny — z niemieckiego punktu widzenia — był więc element zaskoczenia: porządek wielkiej likwidacji nie mógł być jasny dla likwidowanych, a zatem musiał być porządek — jeśli w ogóle można sobie wyobrazić taki porządek — przypadkowym. Palec przesuwający się nad ulicami trafia w jakiś dom, jakieś podwórze. Właśnie to, nie inne i pojedą właśnie ci z tego podwórza, nie inni: — *Die fahren heute*. — Przypadek? Może. Zapewne był w tym jednak jakiś plan, jakiś porządek. Tyle że był to porządek czytelny wyłącznie dla tych z domu Żelazna 103. Dla mieszkańców podwórza, w które trafił palec, ten porządek nie mógł być czytelny. Na poziomie podwórza to musiało być chaotyczne, gorączkowe, nonsensowne. Lecz jednak porządek: niejasny, nieczytelny, nierozpoznawalny. Taki, który nie jest nam znany i oczywiście być nie może.

Kto mieszka daleko i nie lubi długich spacerów — to znaczy nie ma ochoty na długi spacer ulicą Żelazną — może ze śródmieścia dojechać do Befehlsstelle SS autobusem 112, którego krań-

cówka jest na Nowolipkach. Należy wysiąść na tym ostatnim przystanku. Stamtąd — po obejrzeniu domu Żelazna 103 — możemy pójść Nowolipkami, a potem w lewo, Smoczą, w kierunku północnym. Mijamy Dzielną, Pawią, Gęsią — wtedy te ulice biegly chyba nieco inaczej i były z pewnością znacznie węższe, teraz między Dzielną i Pawią oraz na Gęsiej są szerokie skwery, coś w rodzaju plant — i dochodzimy do ulicy Miłej. Jesteśmy teraz w tym rejonie Dzielnicy Północnej, w którym — w przeciwieństwie do rejonu ulicy Żelaznej — jest najmniej getta. A prawdę mówiąc nie ma go w ogóle. Co nie znaczy, że nie warto zwiedzić tych okolic. Nie da się ustalić — chodząc Smoczą, Miłą — co gdzie stało i co gdzie się wydarzyło przed czterdziestu pięciu laty. Nie można sobie tego nawet wyobrazić. Kiedy coś sobie wyobrażamy, potrzebujemy przecież jakichś danych, które mogliśmy wykorzystać budując obrazy. Ale tu nic nie jest dane i wyobraźnia rezygnuje, bowiem to, co wie się o tych okolicach z lektur i ze zdjęć, nie kojarzy się z tym, co jest tutaj teraz. Czyli nie kojarzy się z niczym. To wszystko jest nowe — domy, przejścia między domami, skwery i chodniki — i nie da się tego połączyć z tym, co było kiedyś. Jeśli gdzieś nastąpiła totalna likwidacja, to właśnie tutaj. W roku 1943 zlikwidowane zostały tu nie tylko wszelkie objawy życia, ale także wszelkie wyobrażenia o tym życiu. A nawet wszelka możliwość takich wyobrażeń. Być może właśnie taki jest prawdziwy cel totalitaryzmu. Być może skrzyżowanie ulicy Esperanto z ulicą Miłą jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie totalitaryzm ostatecznie zatriumfował. Triumf totalitaryzmu: udaje mu się zlikwidować to co było oraz wyobrażenia, które mogłyby świadczyć, że coś było. Nie ma nic i historia może się rozpocząć od nowa. W przyszłości, jeśli historia się nie uda, nastąpi ponowna likwidacja.

Skręcając ze Smoczej w Miłą — idziemy w kierunku ulicy Marchlewskiego — należy pamiętać, że numeracja Miłej została zmieniona. Numer 18 — dawny numer — znajduje się teraz na początku Miłej, tam gdzie jest placyk u zbiegu ulic Zamenhofs i Stanisława Dubois. Mijamy parkingi na Miłej, piaskownicę na skwerze przy Karmelickiej i dom Miła 2, gdzie mieszczą się jakieś biura Kombinatu Budownictwa Miejskiego. Wygląda mi na to, że ten dom, Miła 2, jest jedynym zabytkiem w tej okolicy, bo choć odremontowany i całkiem przyzwoicie wyglądający, robi jednak — decydujący jest kształt okien — wrażenie budynku z innej epoki i chyba postawiono go przed wojną. Dochodzimy do skweru — to wszystko po północnej stronie Miłej — na którym jest niezbyt wysoki pagórek. Pod pagórkiem jest bunker, w którym popełnił samobójstwo Mordechaj Anielewicz. —

To był komunista — powiedział mi ktoś, kto znał Anielewicza. — Należał do Haszomer Hacair, ale tak naprawdę to był komunistą. Zwariowany facet. Oni wszyscy czekali na przyjście czerwonych. — Ale teraz to już nie jest ważne, czy Anielewicz należał do Haszomer Hacair czy do Droru, Poalej Syjonu Lewicy, PPR-u, Bundu, Mizrachii, Agudy. Teraz Anielewicz i jego dziewczyna, która miała na imię Luba, należą do Boga.

Ostatnie zdanie eseju Lwa Szestowa o Kierkegaardzie — rok 1935 — mówią, że Bóg jest nie tylko ponad rozumem, lecz także ponad etyką. „Bierze na siebie nasze grzechy i obraca wniwecz potworności życia”. Może należałoby to przetłumaczyć: „grozę życia”. Czy to od Nietzschego zaczęło się to umieszczanie czegoś ponad etyką? Nie mam przyzwoitego wykształcenia filozoficznego, więc nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Bóg jest ponad etyką czyli jest ponad dobrem i złem. Nie jest do niczego zobowiązany, ponieważ nasza ludzka etyka nie jest czymś, co mogłoby Go zobowiązywać. Chodzi oczywiście o Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba, a nie o Boga filozofów. Zdaje się, że Szestow nie był jednak całkiem pewien, czy Boga należy — wolno nam — umieszczać ponad etyką. Może zmieniał w tej kwestii zdanie i raz myślał tak, a raz inaczej? Nie wiem. W swoim ostatnim tekście — esej o Husserlu, rok 1938 — pisał, mając na myśli Proroków Starego Testamentu i Apostołów, tak: „Mówią oni, że Bóg troszczy się o każdego człowieka i że tym, co ostatecznie zatriumfuje, nie będzie niesprawiedliwa i bezlitosna rzeczywistość, lecz Bóg, który „liczy włosy na głowie człowieka”, ten Bóg, który jest miłością i który obiecuje, że każda źła zostanie obtarta”. Szestow — to nie ulega wątpliwości — był tego samego zdania. Czy Bóg, który jest miłością i ociera nasze łzy — a więc sprawiedliwie i litościwie ocenia niesprawiedliwą i bezlitosną rzeczywistość — może być Bogiem, który jest ponad etyką i którego nie zobowiązują nasze nędzne — bo ziemskie — koncepcje dobra i zła? Jak to właściwie jest w Starym Testamencie? O tym, że Bóg jest dobry, miłosierny i sprawiedliwy, mówi się tam — to wie każdy — wielokrotnie. Księga Powtórzonego Prawa powiada — 7, 12-13 — że Bóg zobowiązuje człowieka do tego, żeby był dobry i miłosierny, ale równocześnie sam także się do tego zobowiązuje: „Za słuchanie tych praw i pilne ich wykonywanie będzie ci twój Bóg, Jahwe, dochowywał przymierza i miłosierdzia, które przysiągł ojcom twoim. Będzie cię miłował, błogosławił i rozmnoży cię”. Przymierze miłosierdzia — o tym też mówi się w Piśmie wielokrotnie — jest wieczne. Pierwsza Księga Kronik — 16, 41: „bo na wieki miłosierdzie Jego”. Proroctwo Jeremiasza 33, 11: „bo dobry jest Jahwe, bo na wieki trwa

Jego łaska". Ale z Jeremiasza — 16, 5 — wynika również, że wieczne przymierze nie jest wieczne, bowiem miłosierdzie może zostać wycofane: „Bo pozbawiam ten lud swej łaskowości — wyrocznia Jahwe — dobroci i miłosierdzia”. To wyrażenie — „wyrocznia Jahwe” — oznacza u Jeremiasza, że mamy do czynienia ze słowami, które — ustami proroka — wypowiada sam Jahwe. Wycofanie miłosierdzia i łaski może nastąpić, ponieważ nie ma takiej rzeczy, której Bóg nie mógłby uczynić. O tym dowiadujemy się już z Księgi Rodzaju: — 18, 14: „Czy jest coś, co byłoby niemożliwe dla Jahwe” — i powtarza to także — 32, 26-27 — Jeremiasz: „Otom Ja Jahwe, Bóg wszelkiego ciała. Czy jest dla mnie coś niemożliwego?”. Objawienie mówi więc chyba tyle: ponieważ Bóg wszystko może i robi, co chce — Jeremiasz 27, 5: „Ja uczyniłem zwierzę, człowieka i zwierzęta, które są na ziemi, mocą moją wielką i ramieniem wyciągniętym, i daję je, komu chcę” — Bóg, mocą swoją wielką, zarazem jest i nie jest ponad etyką czyli ponad dobrem i złem. Kiedy chce, podejmuje zobowiązania. Kiedy chce, nie dotrzymuje zobowiązań. Kiedy chce, widzi każdy włos na naszych głowach. Kiedy chce, nie widzi ani jednego włosa. Liczy się tylko Jego chęć — chcenie — ale o tym my, z naszymi koncepcjami dobra i zła oraz z naszymi koncepcjami wiecznego przymierza, nic nie możemy wiedzieć.

Niejasność, która jest w pismach Szestowa — lub wahanie Szestowa, jeśli się wahał — da się więc chyba wytłumaczyć w ten właśnie sposób. Szestow był, jak można przypuszczać, pilnym czytelnikiem Starego Testamentu. I jeśli zmieniał zdanie w kwestii etycznego umiejscowienia Boga czy związku między etyką a Bogiem, to zapewne dlatego, że jego ukochany prorok, Jeremiasz, też nie był pewien, jaki jest — mógłby być — stosunek Boga do tego, co było zapisane na tablicach, które zostały dane Mojżeszowi. Nie należy jednak sądzić — taka interpretacja wydaje mi się niedopuszczalna — że Szestow umieszczając Boga ponad etyką oddalał Go tym samym od człowieka i uwalniał Go od odpowiedzialności za to, co stworzone: czyli za wszystkie potworności i całą grozę naszego tu życia. A więc — mówiąc inaczej — że to odłączenie Boga od naszej etyki było tylko wybiegiem — jednym z wielu wybiegów — poznającego rozumu, który ulega konieczności czyli temu co rzeczywiste.

Jeszcze jedno niejasne miejsce w systemie Szestowa, które warto jest przemyśleć. Lub raczej miejsce w myśli Szestowa, ponieważ nie stworzył on oczywiście żadnego systemu: systemy filozoficzne to było coś, czym gardził i czego nie cierpiał. W roku 1934 Szestow spotkał się w Paryżu z Buberem. Rozmowa —

zapisana przez Benjamina Fondane — dotyczyła sytuacji, jaka wytworzyła się w Europie. Mówiono o komunizmie, faszyzmie, Hitlerze. Buber powiedział, że zrozpaczona ludzkość zaczyna robić jakieś straszne głupstwa i że chyba pragnie zabić biblijnego węża. Na co Szestow odpowiedział, że węża jednak należałoby zabić. „Ja już od wielu lat dzień i noc walczę z wężem. Co tam Hitler w porównaniu z wężem!”. Pozostawiam to bez komentarza, ponieważ myśl Szestowa — lub relacja Fondane’a — jest dla mnie niezrozumiała. Biblijny wąż to oczywiście symbol poznającego rozum, wiedzy, konieczności, a więc tego wszystkiego, co oddziela nas od Boga. Czyli tego, czego Szestow nienawidził. Więc że pragnął śmierci węża, to jest zrozumiałe. Ale chodzi mi o Hitlera. Czy Szestow uważał, że totalitaryzm jest dziełem — jednym z dzieł — biblijnego węża? Czy uważał, że odpowiedzialny jest wąż, który ofiarował nam wiedzę — owoc z drzewa poznania — i wolność? Nie wiem. „Co tam Hitler w porównaniu z wężem”. To rok 1934 i Szestow nie mógł wiedzieć, co wkrótce się zdarzy. Dziś można uznać, że jest to zdanie profetyczne. Jego profetyczność odnosi się do naszej przyszłości, a nie do przyszłości uczestników paryskiego spotkania w roku 1934. To zdanie mówi teraz tyle: Hitler to jeszcze nic i niebawem przekonacie się, do czego jest zdolny biblijny wąż. Czyli wasz diaboliczny rozum dany wam przez węża. Przekonacie się, co on potrafi wykonać. Niemiła przepowiednia. Więc jeśli ktoś chce, to może uznać, że to jest przypadkowe zdanie — Lew Isaakowicz musiał coś opowiedzieć Buberowi i jakoś tak mu się powiedziało — i że wobec tego to przypadkowe zdanie nic nie znaczy. Boże. Wielka jest Twoja moc. Nie pozwól. Na szczyt pagórka, który został usypany ponad bunkrem Mordechaja Anielewicza, wchodzi się po schodkach. Na szczycie stoi upamiętniający to miejsce kamień. Na nim napisy: po polsku i po hebrajsku. Albo po żydowsku, nie wiem. Litery są hebrajskie i nie potrafię ich odczytać. Ale gdzie jest właściwie — to pytanie zadaje sobie pewnie każdy, kto wchodzi po schodkach — ten bunkier, ten schron? Czy stojąc na szczycie pagórka znajdujemy się na bunkrze, nad bunkrem? Czy bunkier był gdzieś obok, w pobliżu, tam gdzie jest jezdnia ulicy Miłej — teraz pewnie znacznie szerszej niż wówczas — lub tam gdzie jest skwer? Z całą pewnością bunkier musiał być znacznie niżej. To znaczy poniżej obecnego poziomu skweru, jezdnia i chodnika. A ten pagórek? Ciekawe, czy ktoś pamięta — muszą chyba jeszcze żyć ludzie, którzy pracowali przy usypwaniu pagórka — co jest pod kamieniem i pod pagórkiem. Czy pagórek usypano z gruzu, który potem zakryto warstwą ziemi? Czy w ogóle nie trzeba go było usypywać i warstwą ziemi zakryto

wówczas to, co pozostało z domu, w którym — pod którym — znajdował się bunkier?

Nie wiem też — ale chyba nie chcę tego wiedzieć, więc to pytanie jest właściwie zbędne — czy Anielewicz i ci, którzy razem z nim zginęli, są tam, pod pagórkami? Chodząc po cmentarzu przy Okopowej nie trafiłem na ich groby, więc ciała chyba nie zostały ekshumowane. Kamień stojący na szczycie pagórka wietrzeje i niebawem polskie i hebrajskie litery będą nieczytelne. Kto chciałby odwiedzić to miejsce, zrobi dobrze wybierając godzinę, którą ja wybrałem: dzień powszedni, gdzieś między dwunastą a pierwszą. Podobnie jak na skrzyżowaniu Żelaznej z Krochmalną, o tej porze mało kto tutaj chodzi. Okoliczne ulice są niemal puste i może się tak zdarzyć — mnie się to zdarzyło — że na tym placu, gdzie zbiegają się Miła, Zamenhofska i Dubois, nie będzie nikogo. Odwiedzający stanąwszy na szczycie pagórka będzie miał wówczas wrażenie, że znalazł się w mieście, którego mieszkańcy pozostawiając swój dobytek i nie zamykając za sobą drzwi — odeszli gdzie indziej. To wrażenie nie będzie trwało dłużej niż chwilę albo kilka chwil, bowiem na Zamenhofska lub Dubois z pewnością zaraz pojawi się jakiś przechodzień. Ale dobrze jest przeżyć taką chwilę, ponieważ jest w tym przeżyciu coś pouczającego: rodzaj duchowego instruktażu. Zasypany bunkier pod pagórkami, wokół wyludnione ulice Dzielnicy Północnej. Na szczycie pagórka — *cwizn lebn un tojt* — odwiedzającemu ujawnione zostaje właściwe znaczenie terminów: ewakuacja, przesiedlenie, likwidacja. Nie sądzę, żeby to znaczenie dało się wyśłowić.

Po zejściu z pagórka skręcamy z Miłej w prawo i ulicami Zamenhofska oraz Anielewicza dochodzimy do Świętojerskiej. Idziemy teraz w kierunku Bonifraterskiej i Koźlej. Po prawej mamy Ogród Krasińskich, po lewej mur, za którym był teren szczotkarzy. Chyba to gdzieś tutaj — na wysokości tej ambasady — w kwietniu 1943 roku wylecieli na minie ci Niemcy, którzy chcieli wejść na teren szopu. Jak to właściwie wygląda, takie wylatywanie na minie? Kawały mięsa, strzępy mundurów unoszą się w górę koziółkując i ociekając krwią? Na jaką wysokość? Jeśli nie widziało się czegoś takiego, to bardzo trudno to sobie wyobrazić. Szybkość tego unoszenia się do góry i koziółkowania — pobożna lewitacja kawałów mięsa, strzępów ciała, krwi — też jest dla mnie, choć urodziłem się przed wojną, niewyobrażalna.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu — mówi Icyk kucając

obok leżaka, na którym drzemie, nad nim czarno-żółte tarcze słoneczników, Jakub Wurzel — to mógłbym panu to teraz przeczytać.

— Co przeczytać? — pyta Jakub Wurzel i wygląda mi na to, że nie jest dla niego jasne, dlaczego ktoś, kogo nie rozpoznaje, składa mu dziwną propozycję przeczytania czegoś w środku bardzo miłego sennego koszmaru, z którego to koszmaru on, Jakub Wurzel, wcale nie ma ochoty się obudzić, zanim ten koszmar nie zakończy się zgodnie ze swoją koszmarną logiką. — A to pan. Chce mi pan coś przeczytać?

— Ten felieton — mówi Icyk — który właśnie skończyłem pisać. Mówiliśmy o tym przy śniadaniu. Tytuł dałem taki: Panu Słonimskiemu w odpowiedzi.

— Nie wiem — mówi Jakub Wurzel — czy się na coś panu przydam. Obserwuję co prawda z daleka spory literackie, ponieważ widok pisarzy przegryzających sobie gardła jest bardzo zabawny. Ale zdanie człowieka interesu, a mówiąc szczerze, podrzędnego geszefciarza, bo te moje interesy w krochmalu i drożdżach trudno nazwać wielkimi interesami, zapewne nie na wiele się panu przyda. No to niech pan czyta.

— Panu Słonimskiemu w odpowiedzi — powtarza Icyk siadając na skraju grządki, nad nim zielony groszek na wysokich tyczkach, i otwierając niebieski zeszyt w kratkę. Na okładce zeszytu jest taki napis: Złóż grosz na budowę szkół powszechnych. — Zaczynam tak. Pan Słonimski może nie lubić żydowskiego Boga i to jest jego dobre prawo. Pan Słonimski może uważać Żydów — lub jak często mówi: Żydków — za talmudycznych krętaczy i to jest także jego dobre prawo. Pan Słonimski może nazywać komentarze do Starego Testamentu makulaturą, którą kupuje się na Świętokrzyskiej za drogie pieniądze i również do tego musimy mu, choć z pewnym zdziwieniem, przyznać prawo. Byłoby może lepiej, gdyby pan Słonimski nie nazywał wyjścia Żydów z Egiptu aferą, bo po co obrażać plemię, do którego się należy lub niegdyś należało. Byłoby też może lepiej, gdyby pan Słonimski poczytał sobie od czasu do czasu Stary Testament, bowiem wtedy wiedziałby, że plag egipskich było dziesięć, a nie siedem. W tej sprawie pan Słonimski mógłby ewentualnie zasięgnąć informacji u jakiegoś żydowskiego dziecka, gdyż ilość plag znana jest każdemu żydowskiemu dziecku. Ale i do tego my, Żydzi, musimy panu Słonimskiemu przyznać prawo: wolno mu nie czytać Starego Testamentu, wolno mu uważać Stary Testament za dzieło, jak pisze, malownicze w swej ponurości i wolno mu obrażać plemię, do którego należał jego mądry i uczonej dziad, Chaim Zelig Słonimski. Byłoby jednak dobrze, gdyby pan Sło-

nimski zechciał się zdecydować. Jeśli uważa Żydków za talmudycznych krętaczy, to dlaczego jednocześnie broni tych Żydków przed atakami łobuzów z pisemka „ABC” oraz przed atakami pani Wielopolskiej, która jest czystej krwi aryjką i której podoba się czysto aryjska atmosfera hitlerowskich filmów. Rozumiem, że pan Słonimski chce być obrońcą wzniosłych ideałów człowieczeństwa oraz ludzkości. Zwracam mu więc uwagę, że ludzkość oraz człowieczeństwo to pojęcia abstrakcyjne, czyli oznaczające coś, co nie jest obdarzone bytem konkretnym. Konkretnie istnieją natomiast narody: Polacy, Żydzi, Niemcy i tak dalej. Niejasne zamiary dwóch kolosów zagrażających Polsce ze wschodu i z zachodu skłaniają mnie do wniosku, że na zajmowanie się abstrakcyjną ludzkością i jej wzniosłymi ideałami nie mamy już czasu, ponieważ zagrożone są właśnie konkretne narody oraz ich, używając wyrażenia pana Hitlera, przestrzeń życiowa.

— To ja panu coś powiem — mówi Jakub Wurzel i przymyka oczy jakby znów zapadając się w ten miły koszmar senny, w który wdarłem się z moim niebieskim zeszytem i hasłem: Złóż grosz na budowę szkół powszechnych. — I niech pan przyjmie radę starego człowieka, który jest małym geszefciarzem, ale wie coś niecoś o życiu.

— Ale to jeszcze nie wszystko — mówi Icyk. — Jest jeszcze ciąg dalszy.

— Ciąg dalszy — mówi Jakub Wurzel — to mi pan później przeczyta. A teraz ta rada. Pan jest młodym i mało komu znanym pisarzem. Kiedyś będzie pan oczywiście wielkim pisarzem, ale ja mówię o tym, co jest teraz. Pan Słonimski to pisarz doświadczony oraz cieszący się znacznym, także wśród inteligencji żydowskiej, autorytetem. Więc po co to panu. On z pana, jak pan ten felieton wydrukuje, zrobi kotlet mielony. Albo befszytk po angielsku. Czyli taki ociekający krwią. Co pańskim czytelnikom sprawi oczywiście wielką przyjemność. A poza tym, niech pan mi wybaczy, jawnie nie ma pan racji. Tych ideałów, które ironicznie nazywa pan wzniosłymi, należy bronić w każdej sytuacji.

— Chodzi mi — mówi Icyk — nie tyle nawet o te ideały pana Słonimskiego, bo przecież szanuję go za jego odwagę, ile o to, że on jakby nie chciał się zdecydować: czy jest z Żydami czy jest przeciw Żydom. I o tym właśnie piszę w dalszym ciągu mojego felietonu. To jest wieczny problem zasymilowanych Żydów: że oni nie wiedzą, kim są i kim mają być. Zasymilowali się, więc są Polakami. Ale nadal pozostają Żydami. No oczywiście, że w tę dwoistość wpychają ich tutejsi antysemita, którzy ciągle im przypominają, że choć się zasymilowali, to jednak nadal

są i mają być, z antysemitckiego wyroku, Żydami. Ale oni, ci zasymilowani Żydzi, jakby uznawali zasadność tej antysemitckiej myśli. Jakby się godzili na tę narzuconą im dwoistość.

— Nie widzę — mówi Jakub Wurzel — nic złego w tym, że ktoś jest dwoisty. Że czuje się jednocześnie Polakiem i Żydem. Ten, kto jest dwoisty, jest chyba bogatszy od kogoś, komu taka dwoistość nie jest dana. Bogatsza, bowiem złożona, duchowość. Wyższy stopień komplikacji. To chyba, nie sądzi pan, należy cenić? Oczywiście, tylko w tym wypadku, jeśli ktoś umie z tej dwoistości skorzystać i wstydliwie jej nie zataja.

— A ja uważam — mówi Icyk — że taka dwoistość, przynajmniej jeśli chodzi o ludzi piszących, jest właśnie czymś wysoce niekorzystnym. Ktoś, kto jest Żydem i Polakiem, nie jest ani Żydem, ani Polakiem. Chodzi mi o korzenie. Nie można zapuścić korzeni w dwóch miejscach. Żydowski pisarz powinien być zakorzeniony w żydowskim języku, w żydowskim obyczaju, w żydowskiej religii. Inaczej nie jest żydowskim pisarzem i niech mi nie zwraca głowy. Ale zdaje się, że nie wyrażam się jasno. Chodzi mi o to, żeby ktoś taki, kto nie jest żydowskim pisarzem, bowiem nie jest zakorzeniony w tym, co żydowskie, nie wmawiał mi, że jednak jest żydowskim pisarzem. Więc niech mi nie zwraca głowy swoimi żydowskimi problemami, bo to nie są żydowskie problemy. Ale może ma pan rację twierdząc, że ja jestem za młody, żeby publicznie wypowiadać takie bezczelne poglądy. Za pięćdziesiąt lat, kiedy dostanę Nobla, powiem to w jakimś wywiadzie. Żydowscy dziennikarze będą mnie za to całowali w pięty.

— Nobel nic panu nie pomoże — mówi Jakub Wurzel. — Jak pan to powie za pięćdziesiąt lat, ktoś znowu zrobi z pana befszytk po angielsku. Nie sądzi pan chyba, że za pięćdziesiąt lat problem asymilacji oraz, jak ktoś to nazwał, dwunarodowości przestanie istnieć?

— Bo ja wiem — mówi Icyk. — Za pięćdziesiąt lat wszystko będzie wyglądało nieco inaczej. A na razie, to zdaje się, że nie ma w tym kraju żydowskiego inteligenta, który nie byłby, przynajmniej niekiedy, dwoisty. Nawet pan Jakub Zineman, choć uwielbia Żabotyńskiego i uważa, że jest już obywatelem, oczywiście niezwykle państwowotwórczym, *Judenstaat*'u, częściej pisze po polsku niż po żydowsku. Zwracam też pańską uwagę na to, że i my rozmawiamy po polsku.

— Doprawdy? — mówi Jakub Wurzel. — W ogóle nie zwróciłem na to uwagi. Przed chwilą śniła mi się pani Chaja i rozmawiałem z nią w tym śnie, jestem tego pewien, po żydowsku. I też nie zwróciłem na to uwagi. To ciekawe. Przechodzę z języka na język i moja świadomość w ogóle tego nie odnotowuje.

— Opowie mi pan ten sen? — pyta Icyk licząc na to, że dowie się, nawet jeśli zostanie trochę okłamany, w jakich to sytuacjach Jakub Wurzel spotyka się w sennych koszmarach z Chają Gelechter i o czym z nią w tych koszmarach rozmawia w języku żydowskim. — To był miły sen?

— Zdaje się, że Fejga — mówi Jakub Wurzel i zamykając oczy wyciąga się na leżaku — stoi na werandzie, z czego wynika, że zaraz będzie dzwoniła na obiad. To pan niech idzie, a ja sobie tu jeszcze kilka chwil podrzemię. I niech pan posłucha rady starego geszefciarza. Ten felieton nie nadaje się do druku.

— Jeszcze to przemyślę — mówi Icyk i wpuściwszy niebieski zeszyt za białą koszulę odchodzi w kierunku werandy, na której stoi Fejga wymachująca mosiężnym dzwonkiem na drewnianej rączce. W połowie drogi między słonecznikami a werandą, mniej więcej tam gdzie ten krzak jaśminu i to kretowisko, którego wczoraj jeszcze tu nie było, dobiega go głos Jakuba Wurzla:

— Ale niech się pan nie martwi. Wydrukuje to pan za pięćdziesiąt lat.

— Za pięćdziesiąt lat — myśli Icyk zdeptując kretowisko i ratując w ten sposób głupiego, podziemnego kreta przed nieuchronną zagładą, bowiem do tych kretowisk, które nie zostaną zdeptane przez Icyka, kulawy Szlojmele wlewa na rozkaz pani Sary Fliegeltaub jakiś potwornie śmierdzący, czarny płyn powodujący niewątpliwie haniebną śmierć mieszkającego pod tymi kretowiskami kreta — za pięćdziesiąt lat to, co ja właśnie teraz mam w głowie, stanie się całkowicie niezrozumiałe i jeśli ktoś przeczyta wtedy ten mój felieton, to oczywiście nie zrozumie, o co w nim chodzi, o co w nim chodziło. Co za pani Wielopolska? Co za „ABC”? Zapomniane zostanie także to, co pan Słonimski pisał o plagach egipskich. Nie jest też pewne, czy za pięćdziesiąt lat będą jeszcze na świecie jacyś żydowscy pisarze, a więc czy będzie istniał problem ich zakorzenienia. Oraz czy będą wtedy jacyś żydowscy dziennikarze, którzy mogliby całować mnie w piętę. Chaim Bialik powiedział przecież w Filharmonii, że nie może istnieć język bez własnego terytorium i że lata języka żydowskiego są już policzone. Kto wie, może Bialik miał rację, ma rację? Ale jeśli Bialik ma rację, jeśli za pięćdziesiąt czy za sto lat nikt, poza jakimiś naukowymi nudziarzami w Instytucie Nauk Judaistycznych na Tłomackiem, nie będzie mówił i czytał w tym moim języku, to po co ja się go trzymam, po co ja w nim piszę? Trzymam go się, bo niczego innego nie mogę się trzymać. Bo nie mam, nie ma dla mnie niczego innego. Mój język czyli moja ostatnia deska ratunku. Lub raczej rodzaj sznura, sznur, który

rzucono mi, żebym nie utonął. Lub sznur między niebem i ziemią, sznur, którego się trzymam, po którym się wspinam. Nie licząc oczywiście na to, że uda mi się dostać do nieba, co zresztą nie leży w moich zamiarach, nie jest moim celem. Wystarczy mi, że znajdę się gdzieś na wysokości obłoków, tych niższych lub nawet trochę niżej, powiedzmy, gdzieś na wysokości kopuły Wielkiej Synagogi lub na wysokości drapacza chmur na Placu Napoleona, i że uzyskam wisząc na tej wysokości, trzymając się sznura, niezły widok na to wszystko, co dzieje się w dole, na Bielańskiej, Mylnej oraz Ptasiej, a także na Moniuszki, Jasnej, Marszałkowskiej. Jeśli sznur zniknie, runę w dół i połamię ręce i nogi, bowiem nie należę do tych Żydów, którym dana jest umiejętność lewitowania. Nie opuszczaj mnie, mój języku. Pobądź ze mną jeszcze trochę, miej na uwadze to, że nie ma dla mnie innego sznura, takiego sznura, którego, kiedy będę spadał, mógłbym się uchwycić. Bialikowi było wszystko jedno, pisał po hebrajsku, więc nic mu nie groziło i nie grozi, będą go czytać za pięćdziesiąt i za pięćset lat. A mnie, kiedy sznur zniknie, będą czytać — groza — tylko jacyś naukowci nudziarze. Cztorej — na całym świecie — specjaliści od tej szczególnej odmiany języka jidysz, która była używana w Warszawie w roku 1937 i która, niestety, jest nam słabo, jako że minęło już sto czy dwieście lat, bardzo słabo znana. Ale może będzie ich siedmiu, tych specjalistów, którzy będą się zastanawiać, co znaczyło, co mogło znaczyć to, o właśnie to słowo, użyte przez całkiem już zapomnianego pisarza, Icyka Mandelbauma, na 237 stronie całkiem już zapomnianej książki, którą — jak mówi karta tytułowa — wydano w roku 1937 w Warszawie. — Koledzy — powie jeden z tych siedmiu specjalistów w czwartym dniu konferencji, na którą za sto albo za dwieście lat przyjedzie do Londynu sześciu specjalistów, ponieważ jeden z nich będzie wówczas przeziębiony, a powie to po hebrajsku, po niemiecku, po francusku, zresztą wszystko mi jedno, jakiego oni będą używać, mówiąc o mnie, języka, ci tam specjaliści. — Koledzy — powie najwyżej wyspecjalizowany z siedmiu specjalistów — proponuję, żeby to słowo, którego znaczenia nie jesteśmy w stanie ustalić, pominąć w naszym słowniku, ponieważ celem słownika i w ogóle wszystkich słowników jest podawanie znaczenia słów, a słownik nie podający znaczenia zamieszczonych w nim słów byłby dziełem oczywiście absurdalnym. Fiszkę z tym martwym słowem zachowamy i może uda się w przyszłości, jeśli wypłyną jakieś dodatkowe materiały, ustalić jego ówczesne, rok 1937, znaczenie. — Po czym specjaliści wdadzą się w długą i nudną dyskusję na tematy metodologiczne: jakie metody należy stosować układając słowniki dwudziestowiecz-

nych dialektów tego martwego języka, który nazywano językiem żydowskim, a potem językiem jidysz, jiddisch, yiddish. Spór — a może nawet awanturę, a może nawet bijatykę — wywoła użyte nieopatrznie przez jednego ze specjalistów słowo: dialekty.

— Czy ty wiesz, Fejga — mówi Icyk wchodząc po schodkach na werandę — że za sto czy dwieście lat nikt nie będzie wiedział, że w Warszawie była ulica Gęsia? No, ktoś to może będzie wiedział i ktoś będzie też wiedział, co to słowo znaczyło. Czterech albo siedmiu specjalistów. Ale jak tę nazwę — Gęsia — wymawiano na Gęsiej i co pod tą nazwą wtedy rozumiano, tego na pewno nikt nie będzie wiedział.

— Pan to opowiada — mówi Fejga. — Przecież ja byłam na Gęsiej w zeszły wtorek. — I wymawia tę nazwę, artykułuje tę nazwę — Gęsia — akurat tak, dokładnie tak jak będzie się ją wymawiać za pięćdziesiąt lat, czyli jak nie należy tego robić w lipcu roku 1937. Ta nazwa wypowiedziana przez Fejgę brzmi: — Gęsia. — A przecież powinna brzmieć: — Gensze. Gensze Gas. — O Gensze Gas, policzone są twoje dni, ponieważ wyrok został już wydany: — Przecież ja byłam na Gęsiej w zeszły wtorek.

Co usłyszawszy, Icyk wyjmuje z ręki Fejgi mosiężny dzwonek z drewnianą rączką — który to dzwonek zawisł na chwilę, nieruchomo, w dłoni Fejgi, cokolwiek pewnie przestraszona jej dziejowymi perspektywami ulicy Gęsiej — i wymachując tym dzwonkiem woła bardzo głośno, tak żeby usłyszeli to ci, którzy powinni to usłyszeć:

— Proszę państwa na obiad, bo zupa nam stygnie.

Słyszy ten krzyk i to dzwonięcie głupi kret pod zdeptanym kretowiskiem — tam gdzie krzak jaśminu — i ucieka, kopie w głąb ziemi, przestraszony tym nieznanym mu dźwiękiem.

Ze schodów, którymi szło się do Antoniego, widać było Dolinę Szwajcarską. To znaczy nie ze schodów, bowiem Antoni mieszkał przecież na parterze, więc żeby zobaczyć Dolinę, trzeba by minąć drzwi do jego — do ich — mieszkania i wejść na półpiętro. Dolinę Szwajcarską widać było z dużego okna pokoju, w którym Antoni siedział na kanapie — Antoni tyłem do Doliny, ja z boku, więc z półwidokiem — oraz z kuchni, skąd widok, kiedy stanęło się przy lodówce, był najlepszy. Tam był chyba — i oczywiście jest — balkonik, na który wychodziło się z kuchni. Wtedy widok świetny. Antoni kojarzył mi się — i nadal kojarzy — z Doliną Szwajcarską, choć raczej powinien się kojarzyć z Niecałą, Wierzbową i Ogrodem Saskim. Czyli tak jak samemu sobie się kojarzył. Ale kiedy on chodził po Niecałej, mnie jeszcze nie było

na świecie. Widzę więc Antoniego, który holendruje — długi biały szalik rozwijający się, owijający wokół jego szyi — na ślizgawce, która była w Dolinie oraz Antoniego, który wstaje od stolika, aby powitać — błysk binokli — niewysoką, ale bardzo ładną panią wchodzącą do kawiarni przez białą furtkę od ulicy Szopena. Ta pani to Janka. Widzę go też — połowa lat pięćdziesiątych — spacerującego w Dolinie, która w międzyczasie zmieniła się w ruinę Doliny. Widzę to wszystko, choć nie wiem, czy Antoni umiał jeździć na łyżwach, czy przed wojną chodził do kawiarni w Dolinie — może tam w ogóle nie było kawiarni? — i czy spacerował tamże w latach pięćdziesiątych. Na spacery chodził raczej do Ogrodu Botanicznego albo do Łazienek. Ale póki ja żyję, Antoni będzie jeździł na łyżwach w Dolinie Szwajcarskiej. I będzie tam — młody poeta w binoklach — uwodził Janeczkę oraz inne panie.

Antoni traktował mnie z pewnym pobłażaniem, czyli akurat tak, jak należy traktować znacznie młodszego kolegę. Kiedy miałem jakiś sukces, lubił mnie trochę bardziej. Kiedy szło mi marnie, lubił mnie trochę mniej. Uważałem, że to jest sprawiedliwe, bowiem właśnie tak należy traktować młodszych kolegów: niech wiedzą, że jak się postarają, to będą lubiani. Nigdy też nie prowadził ze mną — zbyt duża różnica wieku — jakichś zasadniczych rozmów, a o zwierzeniach w ogóle nie mogło być mowy. Ale ja czułem, że Antoni ma swoje tajemnice i to takie, z których nikomu się nie zwierza. Więcej: takie, o których niczego — lub prawie niczego — nie można się dowiedzieć z jego wierszy, felietonów, komedii, powieści. Dopuszczam możliwość, że niektóre z tych tajemnic — mimo jeszcze większej różnicy wieku — Antoni powierzył Adasiowi. Dopuszczałem taką możliwość już wówczas, kiedy — właśnie u Antoniego i Janki — poznałem Adasia. — To jest ten — pomyślałem wtedy — który wie o Antonim coś, czego nikt z nas nie wie. — Doprowadziłem wtedy Adasia do furii, co nie było trudne. Bił pięścią w biurko — za tło miał regał z książkami, ten w pokoju Janki — i krzyczał zacinając się na samogłóskach: — Ja jestem człowiekiem lewicy. — Z czego wynikało, że ja jestem człowiekiem prawicy. Ale to, że wychodzę na kogoś z prawicy, mało mnie wtedy obchodziło, bowiem patrząc na Adasia łączącego człowieka prawicy — czyli mnie — najgorszymi wyrazami, byłem trawiony przez zazdrość. — Co mi tam lewica, prawica — myślałem. — On zna tę tajemnicę Antoniego, której ja nigdy nie poznam. — Ale może się myliłem. I może nadal się myślę. Nie jest wykluczone, że tej właśnie tajemnicy Antoni nikomu — nawet Adasiowi — nie powierzył. O jakiej tajemnicy Antoniego myślę?

W książce „Moja podróż do Rosji”, którą Antoni napisał w roku 1932 — mój Boże, to już pięćdziesiąt pięć lat minęło od tego czasu, kiedy on tam pojechał — więc w tej książce jest takie zdanie: „Za sceną naszego życia pracuje ukryta w kulisach wielka fabryka cierpień, które nas pewnego dnia nawiedzą”. Bardzo dziwne — jak na Antoniego — zdanie. Wystarczy nad nim przez chwilę pomyśleć, żeby zrozumieć, że całkiem nie pasuje ono do tego wszystkiego, co Antoni napisał. Czekają nas cierpienia, o których nic nie wiemy. Fabryka cierpień już pracuje. Wydarzy się nam coś okropnego, ale nie możemy nic na to poradzić, bo to co ma się wydarzyć i tak się wydarzy. Za tym zdaniem — tak niekiedy myślę — ukryta jest tajemnica Antoniego. Kto czyta wiersze Antoniego, niczego się na ten temat nie dowie, ponieważ Antoni wspaniale się w wierszach maskował. Na tym polegała siła jego poezji: umiejętność stworzenia osoby, która nie jest mną. Nawet najlepszy z powojennych tekstów Antoniego — najlepszy, to znaczy taki, w którym Antoni posunął się najdalej w ujawnianiu siebie — czyli opowiadanie „Jak to było naprawdę”, niewiele o tej tajemnicy mówi, choć chyba właśnie jej, jakby podskórnie, pod skórą tekstu, jest poświęcone. Wzruszenie ramion, sentymentalne zamyślenie, ironiczny uśmiech, który to, co miało być sentymentalne, zaraz przenosi w trochę inny wymiar. Myślcie sobie, co chcecie. Mam ja swoje tajemnice i nic wam do tego. To cały Antoni i naprawdę świetny. Ale ja chciałbym wiedzieć, jak to było naprawdę. Czyli co było naprawdę w Antonim. Co on naprawdę sądził o swojej — o naszej — przyszłości. W roku 1932 i w roku 1942. I później, w ostatnich latach, tuż przed śmiercią. Często o tym myślę i przywołuję wtedy na pomoc Jankę: — Ty go zapytaj — mówię. — Tobie chyba powie. — Albo wyciągam Antoniego na spacer do Doliny Szwajcarskiej — ciepły luty lub chłodny marzec, rok 1987, tu po skrzypiącym śniegu, tam człapiemy w błocie — i wypytuję go:

— Powiedz mi, Antosiu — za jego życia nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwolił i nawet wtedy, kiedy już mówiłem do niego: Antoni, myśląc o nim używałem zawsze formy: stary pan Antoni, lub: stary pan Antoś, uważając że jeśli on, podpisując się w ten sposób na kartkach pocztowych i na książkach, tak sam siebie widzi, to ja powinienem to respektować, więc choć nigdy nie nazywałem go Antosiem, teraz, kiedy on jest już, cały, przebaczeniem, z łatwością zdobywam się na taką bezczelność: — Powiedz mi, Antosiu, jak to było naprawdę. Coś ty sobie naprawdę myślał, kiedy patrzyłeś na Stalina — „Mimo pogłosek o chorobie, dyktator Rosji wygląda jak byk. Jest rosły, tęgi i ciemny na twarzy” — wychodzącego na trybunę na Krasnoj Płosz-

czadi. A także co myślałeś później, po dziesięciu latach, kiedy on kazał zabić Ehrlicha i Altera. I kiedy w Warszawie działo się to, co się działo i alianci nie chcieli w to uwierzyć. Ale nie pytam cię o Stalina i Churchilla i Roosevelta, mniejsza o tych panów. Co ty wtedy myślałeś o naszej tu, na tej planecie, kondycji. Oraz o naszych tu na przyszłość szansach.

— Nie lubię prowokatorów — mówi Antoni. — A ty, moje złotko, usiłujesz mnie sprowokować.

— Właśnie po to — mówię — wyciągnąłem cię na spacer do Doliny. Nie lubisz prowokatorów, ale wszyscy wiedzą, że bardzo łatwo jest cię sprowokować. Więc czy ty wierzyłeś po tej twojej podróży do Rosji i później, że nasz ludzki rozum — jeśli tak można powiedzieć, dziewiętnastowieczny, bo przecież takiego to rozumu byłeś wiernym sługą — więc że ten rozum ma jeszcze jakieś szanse? Że on coś jeszcze może przeciw tym fabrykom cierpień?

— Opowiadałem ci kiedyś — pyta Antoni — o moim pradziadku? Nazywał się Abraham Sztern i pochodził z Hrubieszowa.

— Opowiadałeś.

— No to posłuchaj — mówi Antoni. — Ten mój pradziadek wynalazł maszynę rachunkową i Staszic, który się o tym dowiedział, postanowił go przyjąć do Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

— To może innym razem — mówię — opowiesz mi o Abrahamie Szternie i jego maszynie, która wyciągała pierwiastki kwadratowe, także z ułamkami. A teraz mi powiedz, jak to było naprawdę. Ale może wprzód ja ci powiem, co myślę — teraz, w roku 1987 — o tej twojej książce, którą napisałeś po podróży do Rosji Sowieckiej. Wszyscy wiedzą, że bardzo lubiłeś i pewnie nadal, mimo że twoja sytuacja egzystencjalna trochę się zmieniła, lubisz być chwalony, więc słuchaj uważnie, bo cię będę chwalił. Moim zdaniem, to jest twoja najlepsza książka. Pewnie nie napisałeś w życiu nic lepszego. Zobaczyłeś w Sowietach wszystko to, co można i trzeba było tam zobaczyć, a czego jakoś nie byli w stanie zobaczyć różni wojażujący tam z Anglii i z Francji idioci. Postępowi idioci, nawet jeśli widzieli — to się rzadko zdarzało — że tam jest bieda, głód, bezprawie i terror, nie rozumieli, co jest przyczyną, a co skutkiem i umykało im istotne znaczenie tych zjawisk. Ty zobaczyłeś coś więcej. Nie tylko dzieci, dla których nie było mleka, jajek, masła. Nie tylko bezdomnych, których GPU ładuje do pociągów — zwagonowuje, jak pisałeś: dobre słowo — i wywozi gdzieś za Ural. Nie tylko lagry, egzekucje, szpitale psychiatryczne gorsze niż więzienia. Niektóre z twoich obserwacji wydają mi się niezwykle przenikliwe: „Kat z czerezwy-

czajki był upiorem rewolucji. Teraz upiorem jest znudzony urzędnik”. Kto w roku 1932 wiedział, że to jest — że to będzie — epoka znudzonych urzędników? Że to oni będą upiorami tej epoki? Nam tutaj ta wiedza została dana chyba dopiero w latach sześćdziesiątych. Jeżeli nie później. Z czego wynika, że myśmy cię nieuważnie czytali i że cię chyba trochę — za co ja cię bardzo przepraszam — lekceważyliśmy.

— Kto coś pisze — mówi Antoni przeskakując przez kałużę — ten musi być przygotowany na to, że go będą lekceważyć. Z tym, moje złotko, to w ogóle nie należy się liczyć. Ale chwał mnie dalej — i znów, hop, Antoni przeskakuje przez następną kałużę, a taki jest przy tym lekki, tak lekko to robi, jakby w tym unoszeniu się ponad kałużami w Dolinie Szwajcarskiej pomagał mu — nie da się takiej możliwości wykluczyć — sam Wszchemocny. — Ale chwał mnie dalej.

— A więc chwał cię dalej — mówię. — Gdybyś dostrzegł tylko to, co dostrzegłeś, to i tak byłoby bardzo wiele. Ale dostrzegłeś jeszcze coś więcej: po co są, komu służą ci upiorni, znudzeni urzędnicy. Dostrzegłeś, że za tym wszystkim — za brakiem jajek, wyglądającym jak byk Stalinem, zwagonowywaniem bezdomnych i łagami na Wyspach Sołowieckich — stoi wszechmocne państwo. Że tylko ono się liczy, tylko ono nadaje sens temu wszystkiemu. Że wszystko, co tam się dzieje, dzieje się z powodu tego państwa i dla tego państwa. Teraz cię zacytuję.

— To może ja — mówi Antoni — sam się zacytuję, bo cytowanie samego siebie sprawia mi przyjemność. „Przestępstwo wobec państwa jest dowodem nieuleczalnej zbrodniczości”. „Jedynym prawodawcą i panem życia czy śmierci jest państwo”. Napisałem też — ale tego zdania dokładnie już nie pamiętam — że wszechmocne państwo kontroluje tam każdy szczegół życia każdego obywatela.

— Ale nie myśl — mówię przeskakując ciężko, tysiąc i tysiąc razy ciężiej niż Antoni, przez kałużę, co mnie zresztą nie dziwi, bo przecież jestem teraz od niego tysiąc i tysiąc i jeszcze raz tysiąc razy cięższy — więc nie myśl, że powodem tych moich pochwał, których, jak widzisz, ja ci tu nie szczędzę, więc że istotnym powodem moich pochwał jest to, żeś ty tak bystro dostrzegł tam, w Sowietach, to czego inni jakoś nie umieli dostrzec. I żeś zrozumiał to, czego inni wtedy nie umieli albo nie chcieli zrozumieć. Gdyby tak było — gdybyś tam dostrzegł tyle, ileś dostrzegł — twoja książka byłaby tylko dokumentem historycznym. Ale w tej książce jest coś więcej: ona nadal żyje.

— A to ładnie powiedziałeś — mówi Antoni. — Bo jeśli ona żyje, to z tego wynika, że i ja także, no nie całkiem, ale trochę żyję.

— Twoja książka — mówię — wydaje mi się żywa i godna czytania z takiego niebagatelnego chyba powodu: wpisany jest w nią dramat dziewiętnastowiecznego rozumu, który — przeniesiony w wiek dwudziesty — nie może dać sobie rady z tym, co wydarzyło się właśnie w tym wieku. I usiłuje to — czyli te nowe, nieoczekiwane wydarzenia — opanować. Te wydarzenia są jednak nie na jego — tego rozumu — miarę, więc opanowanie ich jest niemożliwe: i stąd właśnie dramat, dramatyczna sytuacja tego usiłującego coś pojąć rozumu.

— Gadasz jakieś głupstwa — mówi Antoni. — Rozum może wszystko. Ty w ogóle, moje złotko, nie zdajesz sobie sprawy z potęgi rozumu.

— Dobrze, dobrze — mówię i wpadam w kałużę opryskując przy tym białym szare, angielska wełna, spodnie Antoniego. — O tym to za chwilę. Teraz mówimy o twojej podróży — rok 1932 — do Rosji Sowieckiej. Zobaczyłeś tam to, co było do zobaczenia i co powinni byli zobaczyć już wówczas ci wszyscy postępowi zachodni krety, którzy tam jeździli: straszną wszechmoc państwa i straszną bezradność osoby ludzkiej, która nic, gdy jest nad nią ta wszechmoc, nie może. Jednostka bzdurą. Majakowskiego uważałeś za całkiem niezłego poetę.

— Bo to był całkiem niezły poeta — mówi Antoni i widzę, że zaczyna się na mnie złościć, bo oczywiście już wie, do czego zmierzam i w jakiej sytuacji pragnę go postawić. — A tak, całkiem niezły. A poza tym to każdy ma prawo się mylić.

— Dobrze, dobrze — mówię. — O Majakowskim to później albo raczej nigdy. Wracam do mojego tematu czyli do rozumu. Twój dziewiętnastowieczny — rzucony w dwudziesty wiek — rozum nie mógł się z tym pogodzić, nie mógł tego pojąć: że osoba, jednostka — czyli to, co święte — nic już nie może i nie będzie mogła. Że wszechmocne państwo może ją, kiedy tylko zechce, zwagonować — lub raczej, to brzmi lepiej, zawagonować — i wysłać za Ural. Rozum chcąc sobie to zawagonowanie wyjaśnić i chcąc się z tym — bo co właściwie ma robić? — pogodzić, zaczyna szukać jakichś wytłumaczeń. I tu zaczyna się dramat czyli zaczyna się wykrętne wykręty rozumu: których twoja książka — i na tym polega jej dla nas znaczenie — jest wiernym zapisem. Owszem — powiada rozum — trwa właśnie i pewnie będzie nadal trwało zawagonowanie. Owszem, funt masła kosztuje koło 40 rubli i tyleż wynoszą miesięczne zarobki tych, którzy wobec tego nie jadają masła. Ale może — pyta

przestraszony rozum — czemuś to jednak służy i do czegoś zmierz. Może to jest konieczne i nieuniknione. Może to ma lub kiedyś będzie miało jakiś wyższy sens. Bo jeśli te cierpienia, które ja, rozum, obserwuję, niczemu nie służą, to po co one są i jaki ich sens? Rozum to rzecz sensowna, więc chciałby, żeby wszystko miało jakiś sens. Teraz kilka cytatów z „Mojej podróży do Rosji”. „Rosja pod wieloma względami już dzisiaj przoduje cywilizowanemu światu. Spotkać tu można fragmenty najzupełniej wykończone i mądrze związane z budującym się gmachem socjalizmu. Przeciera się przez mgłę widok pełen uroku”. „Cały świat jest dzisiaj chory. (...) Tu w Rosji chory leży na stole operacyjnym. Podlega zabiegom chirurgicznym bez znieczulenia. Jeśli zabieg się uda, przyniesie on światu prawdziwe zdrowie i nowe nieobliczalne siły”. „Marksizm apeluje do rozumu (...) wierząc, że zło panujące w Rosji jest winą nie zmiany ustroju ale materiału ludzkiego, co zresztą w znacznej części wydaje mi się słuszne i co jest powodem tej ciężkiej i tragicznej sytuacji, w jakiej znalazł się rząd sowiecki, próbując narzucić socjalizm stu sześćdziesięciu milionom prostych ludzi”. A obok właśnie wagonują, zawagonowują bezdomnych. Wspaniałe.

— Co jest wspaniałe? — pyta Antoni i ciężko zapada się w brudny, topniejący śnieg. — Co ty wygadujesz?

— Wspaniały — mówię — jest ten twój zapis nieszczęścia, w jakie popadł dziewiętnastowieczny rozum, który niczego nie mogąc zrozumieć, za wszelką cenę wciąż chciał coś zrozumieć. A teraz wracam do początku naszej rozmowy. Czyli do twojej, Antoni, tajemnicy. Pojmuję, że kiedy rozum popadł w to straszne nieszczęście, musiałeś — wierny jego sługa — jakoś go ratować. I nie mogłeś go zdradzić, nie mogłeś powiedzieć: ten rozum jest głupi i już więcej nie będziemy się z nim, kiedy on jest taki głupi i nic nie rozumie, zadawać. Więc to pojmuję. Wierny sługa, służyłeś nadal głupiemu ze zgrozy — rozumowi. To się po angielsku nazywa: *lip service*. Ale myślę, że służyłeś niechętnie i bez przekonania. Bo już wiedziałeś: rozum nic nie może. Więc jak to było naprawdę? Przypominam ci to zdanie o fabrykach cierpień, które pracują, choć my o tym nic nie wiemy. Co się za nim kryje? Co przez to zdanie chciałeś nam powiedzieć?

— Naprawdę — mówi Antoni — wierzyłem w ludzki rozum, który i dziś uważam za niezwykły. I przepowiadam ci, złotko, że nadejdzie dzień, w którym nasz rozum będzie uwieńczony.

— Kiedy wagonowano bezdomnych na moskiewskich dworcach — pytam — wierzyłeś, że nasz rozum będzie uwieńczony?

— Wierzyłem.

— I kiedy Hitler urządził Kristallnacht — pytam — też wierzyłeś?

— Wierzyłem.

— I kiedy Niemcy zrobili tutaj to, co zrobili? I kiedy Stalin zabił Ehrlicha i Altera? I kiedy Szmul Zygielbojm popełnił samobójstwo? I kiedy Roosevelt z Churchilllem nie zrobili nic — choć mogli — żeby ocalić polskich Żydów? To ty ciągle wierzyłeś, że rozum coś może? Że może choćby pojąć, co to wszystko znaczy? Ja cię uważam za mądrego człowieka, Antosiu. Więc bardzo proszę, nie opowiadaj mi tu jakichś głupot.

— Nieładnie jest — mówi Antoni — obrażać starszych. Na to będziesz mógł sobie pozwolić za trzydzieści lat, bo wtedy będziesz starszy ode mnie. A teraz posłuchaj. Przecież ja wiem, do czego ty zmierzasz i po co wyciągnąłeś mnie na ten spacer między kałużami. Tak naprawdę, to wcale nie chodzi ci o tę moją książkę o podróży do Rosji — choć miło mi, że mnie chwaliś, bo to każdy lubi — i wcale nie chodzi ci też o przygody dwudziestowiecznego czy dwudziestowiecznego rozumu, ponieważ nie są to twoje przygody. Interesujsz się nimi, bo to jest ciekawe. Ale w gruncie rzeczy mało cię to obchodzi, czy ten rozum coś rozumiał czy całkiem zidiociał. Mam rację, złotko?

— Masz rację, Antoni.

— Ty chcesz poznać — i tylko to cię obchodzi naprawdę — moją tajemnicę. Ale wcale nie tę, o którą pytałeś. Bo co ja myślałem o naszej tu, na tej planecie, kondycji oraz o szansach naszego rozumu, to ty dobrze wiesz. Więc nie o to ci chodzi, lecz o coś innego: o inną, ważniejszą, większą tajemnicę. Mam rację, złotko?

— Masz rację, Antoni.

— Ale tej tajemnicy — mówi Antoni — to ja ci nie zdradzę. Nie zna jej także Adaś, bo nie uważałem za stosowne, żeby z nim o tym mówić: był na to za młody i nie chciałem go zdemoralizować. Zna ją tylko Janka, ale jej o to nie pytaj, bo ona jest zobowiązana do dyskrecji. Ponieważ nie byłeś mi niemiły i niekiedy nawet cię lubiłem — choć tylko tak sobie — więc powiem ci coś, co ma, może mieć pewien związek z moją tajemnicą. Orz z tym zdaniem z „Mojej podróży do Rosji”, w którym jest mowa o fabryce cierpień. Myśl sobie zresztą o tym, co tam chcesz. Posłuchaj. O zamiarach, które ma wobec nas Bóg — miejsce, gdzie znajduje się wielka fabryka cierpień, które nas nawiedzą, nie jest nam znane — wolno nam sądzić tylko na podstawie tego, co zostało stworzone. Bo tylko o tym mamy — nasz rozum może mieć — jakąś wiedzę. Powiedz mi, złotko. Jak napiszesz taki wiersz, który ci się nie uda. Zdarza ci się to czasem?

— Zdarza się — mówię. — Każdemu, kto pisze.

— No właśnie — mówi Antoni. — A jak napiszesz taki nieudany wiersz, to czy lubisz ten wiersz? Jesteś takiemu wierszowi przychylny? Zaraz go drzesz albo wrzucasz do pieca.

— Dre — mówię. — Na takie drobnutki kawałki. Żeby nikt nie mógł tego, jeśli wiatr wywieje to z puszek na śmieci, przeczytać.

— Otóż to — mówi Antoni. — Tak samo jest z nami. Bo myśmy Mu się chyba nie udali. Jak taki nieudany, bardzo lichy wiersz. Myśl sobie zresztą o tym, co tam chcesz.

To wszystko zmyślane. Prawdziwy jest tylko śnieg z deszczem, szarawa kurtyna, zasuwająca się i rozsuwająca w Dolinie Szwajcarskiej. Kiedy stoję przy niskim murku na Szopena i próbuję — patrząc w parterowe okna domu przy Alei Róż — przeniknąć tajemnicę Antoniego. — Ale może Antoni — myślę — nie ukrywał przed nami żadnej tajemnicy? Może myślę, sądząc, że coś go w ogóle łączyło z jego polskim albo żydowskim Bogiem? Pisał przecież wspominając swoich przodków, dziadka i pradziadka — „Wspomnienia warszawskie” — o „jałowym komentowaniu starej, wiele razy przekręcanej i nieporadnie tłumaczonej księgi”, „ciemnym talmudyzmie” i „kręgu ciemnoty”, w którym żyły „młode ofiary talmudyzmu”, z czego wynikałoby, że żydowski Bóg był dla niego kimś należącym do sfery obyczaju. Który to obyczaj, sądząc po tych epitetach, był mu niezbyt miły. A jeśli w Antonim nie było żadnej tajemnicy, to właściwie czego — spacerując z nim w Dolinie — chcę się od niego dowiedzieć? Może to ja, nieobrzezany chrześcijanin, jestem ciemnym talmudystą? Jałowe, nieporadne moje dociekania. W kręgu ciemno tłumaczącej się Księgi.

Drzwi prowadzące z kuchni na mały balkonik otwierają się i na balkoniku ukazuje się Antoni w szarym kapeluszu Stetson. — Bardzo to rozsądne — myślę — że on wychodząc na balkonik włożył ten kapelusz, bo bez kapelusza mógłby się nam na tym śniegu z deszczem zaziębić. — Antoni zdejmuje kapelusz i wygląda na to, że daje mi w ten sposób znak: mam się stawić. Biegnę przez Dolinę Szwajcarską, na ukos, ślizgając się po zakrzepłym śniegu, płacząc się w szarawej kurtynie, przeskakując błotniste kałuże. Ale kiedy staję pod balkonikiem, nie ma na nim nikogo. Głos stamtąd, nie wiem skąd, jeśli tam nic nie ma:

— Chodź no tu, moje złotko. Chcę ci coś powiedzieć.

Przystojny mężczyzna w okularach, około trzydziestki, bardzo żydowskiej urody — jak mówiło się i mówi w Warszawie: bardzo podobny — a także bardzo inteligenckiej urody. Był inżynierem

agronomem, ale kto tego nie wie, może wziąć go za dziennikarza, naukowca, pisarza. Wydatny nos, długa szyja, wysokie czoło. Ubrany jest w garnitur z ciemnego — chyba granatowego — materiału w jasne paseczki. Taki materiał nazywano kiedyś: tenis. Na zdjęciu odwrócony jest do nas profilem, za nim jest gałąź owocowego drzewa, na której widać drobniutkie listki albo duże pąki, co świadczy o tym, że zdjęcie było zrobione wczesną wiosną. Rok łatwo określić: dziewczynka, którą mężczyzna w okularach trzyma na rękę, wygląda na jakieś dwa lata, a wiadomo, że urodziła się w roku 1940. A więc wczesna wiosna roku 1942. Jeden z tych chłodnych wiosennych dni, kiedy w powietrzu czuje się już zapowiedź tego, co niebawem nadejdzie: mężczyzna jest w garniturze, dziewczynka — na imię miała Athalie, ale rodzice nazywali ją Alusia, Aluśka — w ciepłym płaszczyku z kapturem. Białe pończochy, sznurowane buciki. Jedną ręką obejmuje mężczyznę za szyję, w drugiej trzyma dziecinne wiaderko. Pucułowate policzki, duże oczy, wyraźnie zarysowane ciemne brwi. Wyrośnie — wyrosłaby — na śliczną kobietę. Wygląda na to, że dziewczynka uśmiecha się do nas, ale oczywiście nie uśmiecha się do nas, lecz do kogoś, kto robi, kto zrobił to zdjęcie. Przypuszczam, że zrobiła je matka dziewczynki, Anna Perechodnik, z domu Nusfald, przez mężczyznę w okularach nazywana Anką. Anna Perechodnik była współwłaścicielką otwockiego kina „Oaza”. Kino prosperowało całkiem niezłe i tuż przed wojną Anna Perechodnik — wraz z braćmi — postanowiła zbudować jeszcze jedno kino. Ale burmistrz Otwocka nie chciał im wydać pozwolenia na budowę. Pewnie dlatego, że z trzech otwockich kin dwa były własnością Żydów — może nawet wszystkie trzy, ale jak było z tym trzecim, tego nie wiem — i burmistrz, który Żydów nie lubił, nie chciał mieć w mieście jeszcze jednego żydowskiego kina. Mężczyzna trzymający na rękę Alusię, to Cael Perechodnik — poprzednio, za artykułem Wiktora Kulerskiego, podałem błędną formę jego imienia: Celek — który wtedy, kiedy Anna Perechodnik zrobiła to zdjęcie, był policjantem w otwockim getcie. W roku 1943 lub 1944 Cael Perechodnik ukrywając się w Warszawie spisał pamiętnik, którego kopię jego brat — mieszkający teraz podobno w Kanadzie — przekazał do Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego. Jest to — jak powiedzieli mi pracownicy Archiwum — jedyny znany im pamiętnik opowiadający o wydarzeniach w otwockim getcie. Zdjęcie przedstawiające Caela Perechodnika, Alusię i wiosenną gałąź znajduje się w tej teczce, w której przechowywany jest pamiętnik. W teczce jest jeszcze jedno zdjęcie Caela Perechodnika. Z dwujęzycznego — po polsku i po francusku — napisu wynika, że było

to zdjęcie paszportowe: Calel Perechodnik studiował nauki agromoniczne we Francji. Kiedy powrócił do Otwocka, państwo Perechodnik zaczęli rozważać możliwość wyjazdu do Palestyny. Byli ludźmi dość zamożnymi, więc zastanawiali się, czy nie kupić tam ziemi, co pozwoliłoby panu Calelowi zużytkować wiedzę, którą zdobył studiując we Francji. Ale nie wyjechali.

— Dlaczego, panie Calelu? — pytam patrząc na to zdjęcie z dwujęzycznym napisem. — Przecież tu bili na dziedzińcu uniwersytetu, wyrzucali z żółto-niebieskiej kolejki, wybijali szyby w żydowskich willach. Więc dlaczego państwo nie wyjechali? Mieszkaliście w Tel Awiwie. Pana wnuk miałby akurat tyle lat, ile pan miał w 1942. Pana wnuk w okularach, z wysokim czolem, z chudą szyją. I z takim miłym, jak pański, uśmiechem.

— Po pierwsze — mówi pan Calel — nie było nam tutaj źle. Anka była współwłaścicielką „Oazy”, a ja miałem przedsiębiorstwo budowlane. Byliśmy obywatelami Rzeczypospolitej i mimo oenerowskich pomysłów pozbawienia nas tego obywatelstwa uważaliśmy, że to jest także nasza Rzeczpospolita. A po drugie, kiedy wyrzucali z kolejki i bili na uniwersytecie, ja studiowałem właśnie we Francji, więc właściwie nigdy się z tym nie zetknąłem i te zajścia były mi znane tylko ze słyszenia. A że Niemcy wszystkich nas zabijają, tego oczywiście nie mogłem przewidzieć.

Posługując się pamiętnikiem Calela Perechodnika mogę sprostować kilka informacji, które podałem poprzednio, a które należy uznać za nieprawdziwe. Kiedy w Otwocku rozpoczęła się likwidacja, żydowscy policjanci — informacja z książki Leokadii Schmidt — nie rzucili Niemcom czapek pod nogi i nie zostali rozstrzelani. Nieprawdziwa jest także informacja pochodząca z „Dziennika z warszawskiego getta” Abrahama Lewina — ale tej informacji chyba jeszcze nie podawałem — że likwidację w Otwocku Niemcy przeprowadzili „przy pomocy 500 żydowskich policjantów z Warszawy”. Oraz inna informacja Lewina mówiąca, że otwockich Żydów pognano pieszo do Warszawy. Getto w Otwocku było otoczone parkanem, a nie drutem kolczastym. Nie jest też chyba prawdziwa informacja, którą wyjąłem z relacji Adolfa Bermana, a która mówi, że w Otwocku były dwa getta: getto w mieście oraz getto zwane kuracyjnym. Przynajmniej Calel Perechodnik nic o tym nie wspomina. Gdyby były dwa getta, to w relacji tak szczegółowej jak jego musiałaby być o tym mowa. I wreszcie informacja dotycząca daty. Likwidacja nie odbyła się — jak można by wnioskować z artykułu Wiktora Kulerskiego — 20 sierpnia, ani — jak wnioskowałem z relacji Adolfa Ber-

mana — 21 sierpnia. Karl Brandt — w pamiętniku Perechodnika nazwisko to pojawia się w formie: Brand — przyjechał do Otwocka po raz pierwszy we wtorek, 18 sierpnia. Zażądał wtedy planu getta otwockiego i nakazał rozebranie wszystkich murowanych domów, które się w tym getcie znajdowały. Cegłami uzyskanymi z rozbiórki Żydzi — w ciągu 24 godzin — mieli „obmurować getto”. To polecenie nie zostało wykonane, ponieważ było oczywiście nie do wykonania. Brandt, jak się zdaje, tylko nadzorował likwidację w Otwocku, bowiem z pamiętnika można by wnioskować, że bezpośrednio kierował nią ktoś, kto nazywał się Lipner. Cael Perechodnik nie podaje jednak żadnych informacji dotyczących tego człowieka. Nie wiadomo nawet, czy ten esesman na pewno nazywał się Lipner, bowiem kilka razy nazwisko pojawia się w pamiętniku w tej formie, ale w jednym miejscu nad nazwiskiem dopisane jest ołówkiem sz: Lipszer, Liszner? Akcja rozpoczęła się rano 19 sierpnia: „O godzinie 7-ej rano, jestem właśnie na bazarze, wjeżdża przez szlaban karczewski pierwszy samochód pełen Ukraińców, padają pierwsze strzały, biegnę prędko do domu, akurat od strony Warszawskiej ulicy nadjeżdża samochód ciężarowy, a za nim limuzyny dygnitarzy SS”. Jedną z tych limuzyn to zapewne mały, czarny Opel często widywany na ulicach warszawskiego getta. Przypuszczam, że tym Opłem jeździł któryś z nich: Brandt, Hoefle, Mende, Klostermeier.

Przepisuję jeszcze kilka cytatów z pamiętnika Caela Perechodnika. Wolałbym tych cytatów nie opatrywać własnym komentarzem, wobec tego podam uprzednio kilka informacji, które są konieczne dla ich zrozumienia. Komendant policji żydowskiej w Otwocku nazywał się Kronenberg. Żydzi otwoccy zgromadzeni zostali 19 sierpnia na otoczonym kolczastym drutem placu przed szopem stolarskim. Było ich tam, jak twierdzi Perechodnik, około 8.000. Żydowskim policjantom obiecano, że ich żony i dzieci nie zostaną wywiezione. Ale kiedy Żydzi z otwockiego Umschlagplatzu zostali przez żydowskich policjantów załadowani do wagonów, Niemcy uznali, że nie muszą dotrzymywać tej obietnicy. Odpędzili policjantów i sami załadowali ich żony i dzieci. Pociąg odjechał w kierunku Świdra, Józefowa, Falenicy. Egzekucje rozpoczęły się po odjeździe pociągu. Przez kilka następnych dni żydowscy policjanci byli używani do sprzątania getta oraz do pilnowania tych Żydów, którzy schowali się w kryjówkach lub w lesie i których żandarmi wyłapywali w trakcie codziennych obław. Złapanych zamykano w otwockim areszcie i rano rozstrzeliwano. Cael Perechodnik był wśród sprzątających i pilnujących. Jego pamiętnik powinien zostać oczywiście wydany w całości. Nie wiem, czy do tego dojdzie. Jest w nim bowiem kilka

fragmentów bardzo nieprzyjemnych dla Polaków i kilka fragmentów bardzo nieprzyjemnych dla Żydów, a Polacy i Żydzi — niemal wszyscy Polacy i niemal wszyscy Żydzi — nie wyglądają mi na ludzi, którzy chcieliby znać całą prawdę. Perechodnik, który we wrześniu 1939 roku uciekł na wschód — wrócił do Otwocka po kilku miesiącach — opowiada na przykład o tym, jak Żydzi zachowywali się wobec Polaków po 17 września czyli po wkroczeniu Sowietów. Dziwiąc się zresztą — Żyd z Otwocka, który uważał się za obywatela Rzeczypospolitej, nie mógł czegoś takiego zrozumieć — swoim kresowym współrodakom. Nieprzyjemny fragment. Otwock, rok 1942:

„Jedna tylko kobieta w całym Otwocku nie traci głowy, to żona Kronenberga, Tola, każe teściowi stanąć w szeregu, sama zaś zasiada przy telefonie w komisariacie jako telefonistka. Mąż jej dał przedtem majorowi Brandowi dwa złote zegarki”.

„Widziałem młodą kobietę, przed minutą tryskającą życiem i zdrowiem, widziałem ją w momencie, gdy Ukrainiec łopatą ćwiartował jej żywe ciało. Zabrakło mu kul, chwycił łopatę za trzonek i tak długo bił w żywe ciało między piersiami, aż zupełnie rozpołowił”.

„Niemcy tymczasem sprowadzają sobie krzesła, siadają naokoło, piją piwo, palą papierosy, jedzą i śmieją się. Od czasu do czasu strzelają w tłum, żeby nikt nie odważył się stanąć na miejscu. Wyjmują również kilku ludzi z tłumy, pałkami biją ich tak długo, aż tamci giną”.

„Wracam na plac. — Doktorze, daj mi pan sygnaturkę na truciznę. Wyjmuje pióro wieczne, blok-notes. Pisze coś po łacinie, podpisuje, stawia datę 19 sierpnia 1942, dodaje zwykłą formułkę przy truciznach 'dla Perechodnika'. Wracam do parkanu, przerzucam kartkę temuż Polakowi, po kilku minutach wraca, rzuca mi 10 tabletek luminalu. O pieniądze nie prosi. Czy to nieznanomy za mnie wyłożył, czy apteka nie wzięła pieniędzy? Wracam na plac, jak działa luminal? Wiele trzeba użyć? Kto to wie? Ktoś mówi, że 3 tabletki są śmiertelne”.

„Chcę wierzyć, że transport Żydów otwockich przybył do Treblinki od razu w następny czwartkowy dzień. Choć niektórzy mówią, że transport falenicki, który przybył w piątek, został wykończony przed Otwockiem”.

„Mijam domki, już jest po północy, w tych domkach jeszcze 24 godziny temu życie kipiało, teraz stoją puste, ciemne. Uważam na nogi w ciemności, wciąż potykam się o trupy, znajomych, przyjaciół, czy też obcych ludzi. Nie oświetlam ich nawet latarką, nie chcę ich rozpoznawać, ani patrzeć na ich mózgi rozprysnięte, ani na te kałuże krwi. Już jestem w domu rodziców, otwie-

ram kłapę, ukazuje się ciotka. Z rezygnacją podaje jej chleb, kubek wody i cicho mówi: Cały Otwock wywieziono, Anka z Alušką może już nie żyją. Rachelę też zabrali”.

„Zostawiam mój płaszcz letni u Wolfowicza, jest mi w nim za ciężko, po godzinie wracam, całe mieszkanie jest zdemolowane. To Polacy rozbili je doszczętnie, w ogóle całe getto jest wciąż otoczone przez motłoch polski, który co chwila wskakuje przez parkan, siekierami otwiera drzwi i wszystko rabuje. Czasami potykają się o gorące jeszcze trupy, ale nie szkodzi. Nad ciepłymi trupami ludzie biją się, jeden drugiemu wrywa poduszkę czy też garnitur. Wchodzimy do mieszkania Grynborna, spotykamy tam Polaka, który już wszystko do worka zapakował. Jest zły i zdziwiony, jakim prawem Grynborn mu przeszkadza, ale nie mając rady zostawia worek i ucieka przez parkan”.

„Całe szczęście, że dołów kopać nie trzeba, Żydzi zawczasu je przyszykowali, w każdej willi jest przecież schron przeciwlotniczy, wykopany, schron nieużywany, gdzie przeważnie kobiety wrzucały śmiecie i pomyje gospodarskie, teraz tam trzeba prędko zaciągnąć trupy, rzucić w ubraniach na te śmiecie, zasypać piaskiem równo z ziemią i już po wszystkim. Pracujemy milcząco, już leży w jednym schronie trup jakiejś nieznannej kobiety, na nią wrzucamy ciało Mulika Noja, mego kolegi, a na nim ciało Fiołka, znanego złodzieja. Przez parkan ulicy Szkolnej stają Polacy i oglądają nas. Patrzą na grabarzy”.

„Witałem przybycie pierwszego żandarma z uczuciem niezmierniej ulgi. (...) Pierwszy żandarm nie przychodził wykonać wyroku, on po prostu wykradł się przed innymi kolegami z ogólnej obławy, po prostu dlatego, że to nie był intratny interes. Pieniądze znalezione przy trupach szły do ogólnej puli, wołał więc taki jegomość wykraść się, zjawić się przed aresztem, a wtedy: *'Alles Geld, Gold, mysen zi aweggeben aznyt werd ir dershosyn'*. Magiczne słowo *'dershosyn'*, jakby za godzinę i tak nie mieli być zabici. Wszyscy pospieszają czym prędzej ku niemu, oddają mu wszystkie pieniądze, proszą go, że są gotowi pracować po 18 godzin na dobę, byleby ich nie zabijano. Wołają do niego: *'Unser Gott'*”.

„Potem padały jeszcze pojedyncze strzały, dobijano ruszających się. W tym momencie robotnicy stojący z boku dochodzili do zabitych, przeszukiwali kieszenie i szybko wrzucali na śmiecie gorące jeszcze trupy poprzedników. Miejsce było wolne, następna dziesiątka mogła podejść”.

„Teraz jak przybyłem na miejsce, nie poznałem ani ulicy Kupieckiej, ani innych ulic. Prawie wszystkie domy żydowskie

zostały sprzedane Polakom na rozbiórkę. Całe ulice poznikały. (...) Na terenie całego getta słychać było tylko trzask padających ścian, widać było zgłiszczą domów i ogniska, przy których robotnicy grzali się. Był już listopad i to dosyć zimny. Akurat przed naszą rozbiórką rozbierali Polacy dom, gdzie na strychu były umieszczone święte księgi hebrajskie. Uzbierała się tego cała kupa, złożono w stos i zamiast palić drzewem, które jakby nie było kilogram kosztował 50 gr., podpalono te księgi hebrajskie. Osiągnięto trochę gorszy ogień, bo się tliły, a nie paliły”.

Calel Perechodnik, który zaprowadził na otwocki Umschlagplatz swoją żonę i córkę i nie pojechał z nimi, ponieważ bał się umrzeć, a potem uważał, że powinien umrzeć, ponieważ z nimi nie pojechał, żył jeszcze dwa lata. Po powstaniu warszawskim ukrywał się w bunkrze, który został prawdopodobnie wykryty przez Niemców. Wiadomo tylko, że stało to się po 28 października 1944 roku. Kopia jego pamiętnika przechowywana w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego ma sygnaturę: dział pamiętników, nr 55.

Pada deszcz, choć nawet trudno powiedzieć, że to jest deszcz, bo to zaledwie mżawka, no może trochę więcej niż mżawka: taki sobie podwarszawski deszczyk. Podwarszawski — także lipcowy, bo jest lipiec — deszczyk zaczyna z ukosa i nie wygląda na to, żeby w najbliższej przyszłości — dziś lub jutro — odechciało mu się padać. W rynnie bulgocze, ale ponieważ nie jest to deszcz, lecz deszczyk, więc bulgocze tylko od czasu do czasu, kiedy deszczyk zbierze się w sobie i zaczyna trochę mocniej. Krople wiszą na gałęziach sosen. Ktoś w szarym kapturze przechodzi między sosnami w pobliżu willi Sary Fliegeltaub. Ale Icyk, który leży na łożku pod pledem z wielbłądziej wełny, nie widzi tego kogoś, więc nie wiadomo, kto to jest, kto się ukrywa pod szarym kapturzem: swój czy obcy. Miło jest drzemać pod wielbłądzim pledem — ten wspaniały pled w kolorach kremowym i beżowym to jedyna cenna rzecz, jaką Icyk posiada, jeśli nie liczyć Parkera, także dość cennego, ze złotą stalówką i nie tak już cennego, bo zdezelowanego Remingtona — o tak, miło jest drzemać pod takim cennym pledem, kiedy pada taki sobie deszczyk i coś tam gdzieś bulgocze, stuka, kapie i ktoś tam gdzieś przechodzi, tajemnicza postać, w szarym kapturze pomiędzy sosnami. Miło jest tak drzemać, co nie znaczy, że miło drzemiąc ma się miłe sny. Wystarczy zapaść się nieco głębiej w tę drzemkę i wtedy miłe bulgotanie jest gdzieś powyżej, a nawet bardzo wysoko nad tym, który drzemie, a poniżej czyli właśnie tam, gdzie znajduje się drzemiący, są jakies

szelesty, szmery, szepty, które wydobywają się z niemłego snu. Coś tam szeleści i szepcze w tym śnie pod wielbłądzim pledem i to nie zapowiada niczego dobrego. — Ten sen, który zaraz mi się przyśni — myśli Icyk zapadając się coraz głębiej między szelesty i szepty — to nie będzie, sądząc po tych szelestach i szep-tach, miły, więc dobrze byłoby się z niego obudzić i wy dostać na powierzchnię czyli tam gdzie bulgocze w rynnie i krople deszczu wiszą na sosnowych igłach. Ale zdaje się, że nie zdołam się już obudzić, ponieważ zapadam się coraz głębiej i nie mam tyle siły, żeby wynieść moje ciało — z tej coraz głębszej głębokości — na powierzchnię. — Teraz we śnie Icyka pojawia się pułkownik Adam Koc. Wychodzi — niewielka osoba w cywilnym garniturze i okularach w drucianej oprawie — spomiędzy szelestów i szep-tów, z czego wynika, że to nie on, pułkownik Adam Koc, szeleścił i szeptał, lecz coś, co nie będąc nim, było wokół niego. Icyk nie zna osobiście — skąd mógłby znać — pułkownika Adama Koca, ale sen mówi, że pułkownik Adam Koc zna osobiście — i to nawet bardzo dobrze — Icyka: wie, że Icyk pisuje felietony dla dziennika „Der Moment”, a nawet czytał jego powieść, tę o przygodach Żydów, którzy w roku 1665 wybrali się w podróż, pragnąc przyrzeć się z bliska Mesjaszowi nazywającemu się Sa-bataj Cwi. Choć Icyk oraz pułkownik Adam Koc znajdują się na dość znacznej głębokości — tam gdzie bulgotanie w rynnie i uderzenia kropel o blaszany parapet nie są już słyszalne — Icyk wie, dlaczego śni mu się pułkownik Adam Koc: nie jest tylko jasne, czy ta wiedza jest mu dana we śnie czy poza snem, to znaczy czy Icyk już w całości znajduje się w tym swoim śnie czy znajduje się w nim dopiero częściowo i jakaś jego część — część Icyka — jest jeszcze poza snem i spoza snu ogląda pułkownika Adama Koca. Pułkownik Adam Koc śni się Icykowi, ponieważ przed obiadem — taki sobie deszczyk jeszcze wtedy nie padał — na werandzie odbyła się taka oto, dotycząca tego pułkownika, rozmowa:

— Na Salazara — powiedział Jakub Wurzel — mówię o tym Salazarze, który rządzi w Portugalii, też kilka dni temu był zamach. Więc nie jest wykluczone, że to jest jakiś łańcuch zamachów i że te zamachy są wykonywane na polecenie jednego i tego samego mocarstwa. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby za kilka dni ktoś dokonał zamachu na marszałka Woroszyłowa albo na marszałka Göringa. Albo na obu tych marszałków — i tu Jakub Wurzel popatrzył znacząco na Icyka, tak jakby to Icyk osobiście dokonał zamachu na Koca i na Salazara i jakby w najbliższych dniach, kto go wie, tego Icyka, zamierzał dokonać zamachu na Göringa i na Woroszyłowa. — Komuś może zależeć na wywo-

łaniu następnej wojny światowej i właśnie to może być przyczyną tych zamachów.

— Czyli — powiedział Szymon Warszawski — nowe Sarajewo. Ale wojny nie będzie, bowiem tylko jakiś szaleniec mógłby teraz wywołać wojnę. Hitler, cokolwiek o nim powiedzieć, nie wygląda na szaleńca. Wynalazek iperytu skutecznie chroni nas przed następną wojną.

— Ale tam — powiedziała Sara Fliegeltaub — to była prawdziwa masakra. Fejga była dzisiaj u rzeźnika i słyszała, że kawałki tego Bieganka zbierano potem z ganku i ze ścieżki. To opowiadał ktoś, kto był tego dnia w Świdrach i przechodził w pobliżu willi pułkownika Koca.

— To mocarstwo — powiedział Icyk — które pańskim zdaniem, panie Jakubie, dokonuje tych zamachów, powinno wynajmować sobie nieco sprawniejszych zamachowców. Taki zamachowiec wylatujący w powietrze na bombie, którą polecono mu rzucić, to nie jest zamachowiec, tylko jakiś bęcwał. Nie życzę nic złego pułkownikowi Kocowi, ale to nie była fachowa robota.

— U rzeźnika mówili też — powiedziała Sara Fliegeltaub — że ten Bieganek jest lub raczej był komunistą.

— A jeśli był komunistą — powiedział Jureczek Wasiutyński — to znaczy, że był Żydem. Dziś jeszcze tego nie mówią, ale jutro z pewnością powiedzą. Ja tego nie mogę pojąć. Na co my tu jeszcze, mając własne państwo, a przynajmniej realną perspektywę posiadania własnego państwa, czekamy — i tu Jureczek Wasiutyński popatrzył znacząco na Icyka, jakby to właśnie Icyk był winien temu, że Anglicy przestali wydawać certyfikaty na wyjazd do Palestyny. — Niekiedy wydaje mi się, że wśród naszych Żydów są tacy, którym pogromy po prostu sprawiają przyjemność.

— Tego, kim był ten Bieganek — powiedział Icyk — to chyba, zważywszy na to, że zostały z niego strzępy, nie da się już ustalić.

— Tam była prawdziwa masakra — powtórzyła Sara Fliegeltaub. — Ale ja nie pojmuję, komu mogłoby zależeć na zabiciu pułkownika Koca. To jest przecież bardzo porządny człowiek. Osoba wybitna.

— Choć niewielkiego wzrostu — powiedział Icyk. — Ale za to z wielką łysiną — co, sądząc po znaczących spojrzeniach, jakie skierowano na Icyka, chyba nikomu się nie spodobało.

— Ja to pani wytłumaczę — powiedział Jakub Wurzel. — W istocie nie był to zamach na pułkownika Koca, lecz na marszałka Rydza-Śmigłego. Pułkownik Koc jest bowiem, w dziedzinie

politycznej, namiestnikiem marszałka Rydza-Śmigłego. Kimś takim. Zamach można więc uznać za pogroźkę pod adresem marszałka: dziś twój namiestnik, jutro ty. Obce mocarstwo daje tym samym znak Rydzowi-Śmigłemu: jak nie będziesz z nami rozmawiał, to cię usuniemy.

— Ktoś taki ważny — powiedziała Sara Fliegeltaub — jak pułkownik Koc, to chyba nie powinien mieszkać w Świdrach Małych. Tu jest przecież dużo różnych lasków i zarośli. Bardzo niebezpieczny teren. Zamachowcy mogą się łatwo ukryć w zaroślach.

— Teraz, pani Saro — powiedział Jakub Wurzel — to nigdzie nie jest bezpiecznie. Dziś w „Naszym Przeglądzie” jest wiadomość, że na auto wielkiego wojewody Michała wpadła platforma zaprzęzona w dwa perszerony. Grożąc, jak piszą, długim dyszlem polsko-rumuńskiej przyjaźni. Proszę to sobie wyobrazić. Rumuński następca tronu jedzie Nowym Światem i na rogu Alej Jeruzolimskich omal nie zostaje uśmiercony przy pomocy dyszla — i tu Jakub Wurzel znowu znacząco popatrzył na Icyka, jakby to Icyk był woźnicą siedzącym na koźle platformy, która zderzyła się z autem rumuńskiego następcy tronu, a może nawet jednym z tych dwóch perszeronów na skrzyżowaniu Alej i Nowego Świata. — Żyjemy w bardzo niebezpiecznych czasach i nie tylko wojewoda Michał i pułkownik Koc, lecz każdy z nas powinien to brać pod uwagę.

— To ja państwa — powiedziała Sara Fliegeltaub — poproszę na obiad. A jak ty mi, Fejga, potłuczysz tę ważę, to twoja matka nie wiem, co zrobi, bo ona nigdy nie będzie miała tyle pieniędzy, żeby mi za tę ważę zapłacić. Państwo sobie nie wyobrażają, jakie to jest głupie stworzenie — i tu: — No nie — pomyślał Icyk — żeby w czasie jednej i to dość krótkiej rozmowy patrzono na mnie znacząco cztery, a może nawet pięć razy, to chyba przesada i chyba powinienem przeciw temu zaprotestować, bo nie może być tak, żebym ja tu za wszystko — czyli za wydawanie certyfikatów, zamach w Świdrach Małych, ruch na skrzyżowaniu Alej Jeruzolimskich i Nowego Świata oraz ważę z krupnikiem — odpowiadał — gdyż tu Sara Fliegeltaub znacząco popatrzyła na Icyka, tak jakby to Icyk był winien temu, że Fejga, która właśnie wносиła do jadalni ważę z dymiącym krupnikiem, potknęła się i omal nie upadła razem z ważą. Na szczęście waza nie potknęła się, ponieważ Fejga jakimś cudem odżykała równowagę. Sara Fliegeltaub patrząc znacząco na Icyka miała jednak rację. Fejga potknęła się wnosząc ważę, gdyż zaraz po wejściu do jadalni spostrzegła, że siedzący na werandzie Icyk przygląda się — no po prostu beczelnie — jej niezwykle długim nogom. Idąc w

kierunku stołu, nie myślała więc o tym, o czym powinna myśleć — czyli o wazie z krupnikiem — lecz o tym, co może znaczyć spojrze nie Icyka: czyżby Icyk, taki mądry, kochał się w niej, takiej głupiej?

Z tego to właśnie powodu — nie z powodu wazy z krupnikiem, lecz z powodu bomby, której nie zdążył rzucić, znalazłszy się przed gankiem willi w Świdrach Małych, opłacony przez jakieś obce mocarstwo kryminalista nazwiskiem Bieganek — pułkownik Adam Koc, wykorzystując przy tym deszczyczk zacinający z ukosa nad Otwockiem, śni się Icykowi. Sen mówi, że pułkownik Koc śni się Icykowi nie pod pledem z wielbłądziej wełny lecz całkiem gdzie indziej: na Zamku w Warszawie. Ponieważ Icyk nigdy nie był na Zamku, więc ta zamkowa komnata, w której rozmawia z pułkownikiem Kocem, wychodzi we śnie trochę zamazana: coś w niej na pewno jest, lecz co, nie wiadomo. Pewnie jakieś arrasy lub coś w tym rodzaju.

— To jest bardzo niebezpieczny teren — mówi pułkownik Koc. — Dużo różnych lasków i zarośli. Wyjedź stąd, Icyk. Ja cię bardzo proszę.

— Ale ja nie mogę stąd wyjechać — mówi Icyk — bo ona nie chce ze mną wyjechać. A bez niej ja stąd nie wyjadę — i pokazuje pułkownikowi Kocowi długie nogi Fejgi, która właśnie wnosi do tej zamkowej komnaty — to, w przeciwieństwie do komnaty, nie jest zamazane — wazę z dymiącym krupnikiem.

— Jeśli nie chcesz stąd wyjechać — mówi marszałek Śmigły-Rydz zjawiając się, długa peleryna i rogatywka ze srebrnym wężym, obok pułkownika Koca — to dlaczego chciałeś przebić dyszlem wielkiego wojewodę Michała?

— Ja go nie chciałem przebić — mówi Icyk. — Perszerony poniosły i woźnica nie mógł ich powstrzymać.

— A kto był tym woźnicą? — pyta pułkownik Koc.

— No ja — przyznaje Icyk. — Ale winna jest także Fejga, bo ona siedziała na tej platformie razem ze mną — i rozgląda się po komnacie pragnąc, żeby także marszałek Rydz-Śmigły zobaczył długie nogi Fejgi. Ale Fejga i waza z krupnikiem gdzieś zniknęły.

— Wyjedź stąd, Icyk — mówi marszałek Rydz-Śmigły. — Jeśli stąd wyjedziesz, to my sprawę dyszla jakoś zatuszujemy. Jakoś to z wojewodą Michałem załatwimy. Ale jeśli nie wyjedziesz, to wyjdzie na jaw, że byłeś opłacony przez obce mocarstwo.

— To namówcie ją, żeby wyjechała — mówi Icyk. — Jak ona zgodzi się wyjechać, to wtedy wyjedziemy oboje — ale mar-

szałek Rydz-Śmigły i pułkownik Koc chyba nie rozumieją, o kim mówi, bo przecież Fejgi nie ma już w komnacie.

— Wyjedź, Icyk — mówi pułkownik Koc. — To jest ostatnia chwila. Naprawdę ostatnia. Daję ci na to moje oficerskie słowo honoru.

— Jeśli nie masz pieniędzy — mówi marszałek Rydz-Śmigły — to zapłacimy za twój certyfikat.

— Ale ja ją kocham — mówi Icyk. — Tu jest dużo zarośli, więc nie mogę tu zostawić kobiety, którą kocham.

— Niekiedy wydaje mi się — mówi marszałek Rydz-Śmigły — że wśród naszych Żydów są tacy, którym pogromy po prostu sprawiają przyjemność.

— Certyfikat — mówi pułkownik Koc — będzie do odebrania jutro w mojej willi w Świdrach Małych. Wyjedziesz do Palestyny pod nazwiskiem Bieganek. Ale Anglicy będą wiedzieli, o co chodzi i nie będą ci robić żadnych trudności. Na to także masz moje oficerskie słowo honoru.

Teraz Icyk zapadając się w śnieg ucieka — sen tłumaczy to tak: należy uciekać, ponieważ wyjazd do Palestyny pod nazwiskiem Bieganek jest czymś niezwykle niebezpiecznym — więc Icyk zapadając się w śnieg ucieka przed tymi dwoma, którzy pragnąc wręczyć mu certyfikat na nazwisko Bieganek gonią go między sosnami Puszczy Białowieskiej. — Gdyby to się działo — myśli Icyk brnąc przez zasy i klucząc pomiędzy sosnami — w Otwocku albo w Śródborowie, to z łatwością udałoby mi się przed nimi uciec, ponieważ Otwock i Śródborów znam z pewnością znacznie lepiej niż pułkownik Koc czy marszałek Rydz-Śmigły. Ale w Puszczy Białowieskiej nie byłem nigdy w życiu, a oni polują tutaj kilka razy w roku. Więc w Puszczy, która jest im dobrze znana, nie mam żadnych szans i niewątpliwie zaraz zostanę złapany. Co więcej, ja jestem w piżamie, a oni w podbitych futrem kurtkach i w futrzanych czapkach — marszałek Rydz-Śmigły i pułkownik Koc zdążyli się bowiem, trudno powiedzieć kiedy, przebrać, — co także zmniejsza moje i zwiększa ich szanse. — Icyk chciałby się odwrócić i wytłumaczyć tym dwóm, że dalsze ściganie go nie ma najmniejszego sensu. On przecież i tak, nawet jeśli go złapią, nie wyjedzie do Palestyny bez Fejgi. Ci dwaj powinni więc raczej zająć się ściganie Fejgi, która — jeśli jest gdzieś w pobliżu i jeśli zostanie doścignięta — da się może namówić na wyjazd. Ale Icyk nie może się odwrócić ponieważ sen mówi, że temu, który ucieka we śnie, odwracanie się jest zakazane. Pułkownik Koc jest tuż za plecami Icyka i jego palce — ale może są to palce marszałka Rydza-Śmigłego — zaraz dotkną, już dotykają kołnierzyka piżamy, w którą Icyk nieopatrznie, bowiem nie biorąc

pod uwagę tego, że niebawem znajdzie się w Puszczy Białowieskiej, przebrał się po obiedzie. Ciekawe, dlaczego Icyk uciekając zapada się po kolana w śnieg, a pułkownik Koc goniąc go nie tylko się nie zapada, ale nawet odbija się od śniegu, jakby ten śnieg w Puszczy był dla niego czymś w rodzaju bieżni lekkoatletycznej. Palce już zaciskają się na kołnierzyku piżamy, ale właśnie wtedy Icyk wpada w zaspę — usta pełne śniegu — i dusząc się zdiera z głowy pled z wielbłądziej wełny. Bulgotanie w rynnie, stukot kropel bijących w blaszany parapet. Deszcz — raczej deszczyk — ciągle jeszcze pada i nie wygląda na to, żeby zamierzał wynieść się z Otwocka. Przy stole siedzi Chaja i patrzac w okno pali papierosa w bardzo długiej srebrnej cygarniczce.

— Wrzeszczałem? — pyta Icyk.

— Potwornie — mówi Chaja. — Wiesz, która godzina? Zaraz będzie podwieczorek. Fejga już nakrywa do stołu.

— Ta Fejga to jest postać — mówi Icyk. — Mógłbym ją wsadzić do jakiegoś opowiadania. Wiesz, co mi się śniło?

— Skąd mogę wiedzieć? — pyta Chaja i nadal patrzy w okno chyba niezbyt zainteresowana tym, co mogło się przyśnić Icykowi. — Wrzeszczałeś, więc pewnie coś strasznego.

— Raczej coś proroczego — mówi Icyk. — Śnił mi się pułkownik Adam Koc. To oczywiście z powodu tego zamachu. Pytał mnie, kiedy ja z tobą stąd wyjadę.

— Telefonowałam — mówi Chaja — do Chaima Sandlera. Powiedział mi, że może będzie miał dla mnie rolę w „Nacht menszn” Urke Nachalnika. On to ma robić w przyszłym sezonie na Bielańskiej. Nie sądzisz chyba, że ja w tej sytuacji stąd wyjadę. A ten Nachalnik to gdzieś tu niedaleko mieszka. Mógłbyś z nim o mnie porozmawiać. Żeby on porozmawiał o mnie z Sandlerem. Ale teraz nic nie mów. Posłuchaj. To jest takie miłe, to brzęczenie w rynnie. Mogłabym tego słuchać godzinami.

— To sama sobie słuchaj — mówi Icyk i zrozpaczony naciąga na głowę pled z wielbłądziej wełny.

Deszcz — taki sobie deszczyk — przestał padać i niebo nad nami jest błękitne lub raczej błękitnobiałe, bowiem nad koronami sosen — ale to na dość dużej wysokości — snuje się biała, biaława, a gdzieniegdzie ledwie bielejąca mgiełka. Idziemy, ja i Hania — czerwone Renault stoi zaparkowane pod budynkiem szkoły na rogu ulicy Narutowicza i ulicy Poniatowskiego — idziemy, brnąc w szarym piasku zmieszonym z igliwem, w kierunku placzyku przy ulicy 11 Listopada. Tam, minąwszy uprzed-

nio wysypisko żużlu i złomowisko samochodów, trzeba skrócić w lewo, potem jeszcze w prawo. Potem po prawej będzie zardzewiała siatka, za którą stoją stosy cegieł, a pod blaszanym daszkiem leżą prefabrykowane drzwi i okna. Do sosny przymocowana jest puszką elektryczna: ktoś się tu buduje. Po lewej też będzie zardzewiała siatka, za którą jakaś kobieta rozwiesza pranie na sznurku przeciągniętym między sosnami: różowe halki i niebieskie majtki pod błękitnobiałym niebem. Ale jeśli taki sobie deszczyk znów zacznie zacinać — biaława mgiełka nie wróży pogody — to pranie tej kobiety znów będzie uprane.

— Tutaj — mówi Hania, kiedy mijamy kobietę rozwieszającą pranie — to chyba trudno byłoby się gdzieś schować.

— Można by się schować — mówię — w tej szarej willi. Albo w tych komórkach, które są tam dalej, za tymi sosnami.

— Tych komórek — mówi Hania — to wtedy mogło jeszcze nie być. To są chyba jakieś powojenne komórki. A poza tym za to były straszne kary.

— Gdyby ich schowali w tych komórkach — mówię — to pewnie nikt by za to nie odpowiadał, bo te komórki to są jakby niczyje.

— Ale nawet jeśli te komórki — mówi Hania — wtedy tutaj były, to na pewno trzymano w nich króliki czy węgiel. Łatwo byłoby dojść, po królikach czy po węglu, do kogo taka komórka należy.

Zrywa się wiatr i przyciśnięta cegłami blacha na daszkach komórek zaczyna się poruszać. Białobłękitne niebo zaciąga się białoszarymi chmurami. Kiedy wiatr się wzmacnia, arkusze blachy na daszkach brzęczą i łomoczą.

— Nie — mówi Hania. — Tu nie ma takiego miejsca, gdzie można by się schować. Spójrz na te sosny. Gdyby tu był jakiś gęsty las. Ale między tymi sosnami wszystko widać.

— Ale dzień czy dwa — mówię — można by przeleżeć między jałowcami. Tylko trzeba by się trzymać blisko ziemi. To wtedy nawet ktoś, kto idzie tuż przy siatce, z pewnością niczego by nie dostrzegł. No chyba żeby szukali z psami, to wtedy zaraz by znaleźli.

Chmury zmieniły barwę i są teraz ciemnoszare. Wracamy w kierunku zaparkowanego pod szkołą czerwonego Renault. Nad Otwockiem znów fruwa taki sobie deszczyk. Ktoś w szarym kapturze przechodzi między sosnami w pobliżu willi Sary Fliegeltaub.

Wydarzyło to się gdzieś między Otwockiem a Karczewem i

zostało zapisane w którymś z żydowskich pamiętników, z czego wynika, że jednemu z Żydów — lub jednej z Żydówek — udało się przeżyć. Pamiętnik nie został wydany i nie zdołałem do niego dotrzeć. Wydarzenie jest mi znane z opowieści kogoś, kto czytał pamiętnik, ale nie jest wykluczone, że ten ktoś relacjonując mi to, co przeczytał — jak to się często w takich wypadkach zdarza — coś przeinaczył lub pomylił. Opowiem więc o tym, co się tam wydarzyło, jak najkrócej, pomijając pewne mniej istotne szczegóły. Gdzieś między Otwockiem a Karczewem. Jakiś zagajnik, jakaś droga, pola. Są tam także, między Otwockiem a Karczewem, torfowiska. Może torfowisko. Był sierpień albo wrzesień 1942 roku, więc jeśli pole, to ściernisko lub dojrzałe zboże. Żandarm na koniu — nie wiem: przypadkiem czy w czasie obławy, ale dalszy ciąg wskazuje na to, że raczej przypadkiem — natknął się na kilkunastu Żydów. Czy były wśród nich kobiety i dzieci? Tego także nie wiem. Żandarm nie zsiadając z konia zabił dwóch Żydów. Zabiłby także resztę, ale okazało się, że nie ma nabozi. To pewnie wykroczenie przeciw regulaminowi: patrolowanie terenu z dwoma nabojami w ładownicy. Ale może wystrzelał wszystkie naboje pół godziny wcześniej. W pobliżu kręcił się lub przechodził jakiś chłopiec. Opowiadający nie podał mi jego wieku. Ale chłopiec, dziecko. Żandarm kazał Żydom położyć się na ziemi — nie wiem: na ściernisku czy na drodze — i posłał chłopca na posterunek do Otwocka albo do Karczewa: niech mu przyniesie naboje. Chłopiec poszedł i długo nie wracał. Może się nie spieszył a może na posterunek było daleko. Żydzi leżeli na ściernisku lub na drodze. Żandarm siedział na koniu. Trwało to półtorej godziny. Żandarm był na koniu i w hełmie — na fotografiach ci na koniach zawsze są w hełmach — ale nie był uzbrojony. Żydów było kilkunastu. Po półtorej godziny chłopiec przyniósł naboje, żandarm zabił Żydów i odjechał do Otwocka albo do Karczewa. Można przypuszczać, że jeden z Żydów — ten, który to opisał — po odejściu chłopca zerwał się i pobiegł w kierunku lasu. Żandarm mając do wyboru: gonić tego, który ucieka czy pilnować tych, którzy leżą, doszedł do wniosku — prosty rachunek — że lepiej jest zabić kilkunastu niż jednego. Komentarzem do tego wydarzenia — jeśli takie wydarzenia w ogóle wolno nam komentować, czego nie jestem pewien — mogłoby być zdanie, które 9 sierpnia 1942 roku zapisał w „Dzienniku z warszawskiego getta” Abraham Lewin: „Żydzi idą na rzeź jak barany”. W relacjach z warszawskiego getta to zdanie — w takiej lub nieco innej formie — dość często się powtarza. Wydaje mi się jednak, że komentarzem stosowniejszym — zdanie Abrahama Lewina jest krzykiem Żyda, który nie może patrzeć na to, co

się dzieje i tylko Żyd, który musiał na to patrzeć, ma prawo coś takiego powiedzieć — więc komentarzem stosowniejszym byłby tutaj taki. Reżimy totalitarne: ewentualnie można by się rzucić na tego na koniu, ewentualnie można by go nawet zabić, ale z niejasnych powodów lepiej jest spokojnie czekać na chłopca wysłanego po naboje, za co otrzymuje się nagrodę czyli jeszcze półtorej godziny.

Kiedy chce się zrobić zakupy w Supersamie, to najwygodniej jest skręcić z Placu Unii w ulicę Boya i zaparkować mniej więcej na wysokości tej rampy, do której podjeżdżają samochody dostawcze. Siedzimy tam z panem Hansem-Ulrichem w jego białym Oplu i czekamy na Hanię, która stoi na deszczu w kilometrowej kolejce po koszyki: — No i pewnie — myślę — przeklina tę chwilę, w której zdecydowała się zostać w Polsce, bo w Tel Awiwie, żeby wziąć koszyk, na pewno nie trzeba stać w kilometrowej kolejce. Choć może Bóg, zupełnie niespodziewanie obdarzywszy Żydów talentem do wojowania, odebrał im talent do handlu i wobec tego w Tel Awiwie też są kilometrowe kolejki. To prawdopodobne. — Rude pukle Hani mokną na deszczu i zmieniają się w coś w rodzaju rudych kosmyków, rudych świderków, rudych pejsów, które przylepiają się do jej policzków i karku. Tych rudych pejsów nie widać z białego Opla, więc tylko je sobie wyobrażam i to wyobrażenie jest mi bardzo miłe.

— To, co się wtedy wydarzyło — mówi pan Hans-Ulrich, a ja porzucając myśl o kroplach deszczu spływających po rudych kosmykach, zaczynam myśleć o tym, jak należałoby przełożyć drugie imię pana Hansa-Ulricha i czy pana Hansa-Ulricha dałoby się nazywać panem Jankiem-Urszulą, a także o tym, jak pan Hans-Ulrich, gdy myśli o sobie, sam siebie nazywa i czy uważa się za Hansa-Ulricha czy za Janka-Urszulę czy jeszcze za kogoś innego, kto jest usytuowany w niejasnym miejscu, tam gdzie ta kreseczka, między Hansem a Jankiem oraz Ulrichem a Urszulą, co wydaje mi się najbardziej — że on sam tak siebie sytuuje — prawdopodobne, ponieważ pan Hans-Ulrich, a dla nas, to znaczy dla mnie i dla Hani, pan Janek, urodził się w małym miasteczku na Opolszczyźnie i w ciągu pięćdziesięciu dwóch lat — pan Janek-Urszula jest moim rówieśnikiem — zdążył już być obywatelem III Rzeszy, a potem obywatelem PRL-u, a potem obywatelem NRD, a potem obywatelem Republiki Federalnej, a potem znów obywatelem PRL-u, a potem znów obywatelem Republiki Federalnej, a jaki twór, jaki potwór państwowy jest teraz właścicielem pana Janka, tego nie wiem i jakoś niezręcznie

jest mi o to zapytać, gdyż lękam się, że stawiając takie pytanie, mógłbym pana Janka urazić, czego — bardzo go lubiąc — wolałbym uniknąć. Nieliche doświadczenia — myślę — musiał zebrać w swoim polsko-niemieckim życiu pan Janek i gdyby te doświadczenia — na użytek Polaków i Niemców — opisać, wyszłaby z tego książka, która tu i tam byłaby z pewnością *bestseller'em*. Od kilku lat namawiam więc pana Janka, żeby spróbował usytuować się na piśmie i opowiedział nam, jak to jest, kiedy jest się jednocześnie Niemcem i Polakiem. Ale pan Janek opiera się moim namowom i właściwie mu się nie dziwię: pewnie niełatwo jest być jednocześnie Niemcem i Polakiem. Pewnie nieźle mu Niemcy i Polacy dołożyli. Niekiedy pan Janek ulega jednak moim namowom i opowiada mi, jak to było wtedy. Wtedy, to znaczy w roku 1945, kiedy do tego miasteczka na Opolszczyźnie, w którym urodził się mały Hans-Janek, weszli Rosjanie i mały Hans-Janek został wyzwolony. Lub raczej: miał — Janek od Hansa — zostać wyzwolony, bowiem tak się złożyło, że nie został wyzwolony. No ale to już inna opowieść i mam nadzieję, że Hans-Janek kiedyś nam tę opowieść opowie. A więc: — To, co się wtedy wydarzyło — mówi pan Janek — jest dla mnie teraz, kiedy o tym myślę, równie niezrozumiałe jak było wtedy, kiedy się wydarzyło. Ale nie wykluczam, że ja będąc równocześnie Hansem oraz Jankiem po prostu nie rozumiem, nie jestem w stanie zrozumieć charakteru moich współrodaków, to znaczy moich tamtych, niemieckich współrodaków. Rosjanie wydali wtedy zarządzenie — nie pamiętam, kiedy to dokładnie było, ale pamiętam, że padał śnieg, więc było to w zimie, czyli raczej pod koniec niż na początku roku 1945 — z którego to zarządzenia wynikało, że wszyscy mieszkańcy, to znaczy wszyscy mężczyźni mieszkający w miasteczku mają stawić się w rosyjskiej komendanturze. W tym zarządzeniu była podana jakaś granica wieku, też nie pamiętam jaka, ale mnie, dziesięcioletniego, to zarządzenie nie dotyczyło. Chodziło jednak o wszystkich dorosłych mężczyzn, starych, młodych, wszystkich, którzy mieszkali w miasteczku. W zarządzeniu było też powiedziane, że ci mężczyźni mają zabrać ze sobą ciepłe rzeczy, więc chyba nie trudno było się domyślić, dokąd ci, którzy stawiają się w komendanturze, pojedą. No i pojechali, wszyscy, poza jednym, który postanowił nie podporządkować się temu zarządzeniu i schował się w piecu. No i czy pan to rozumie?

— Oczywiście, że rozumiem — mówię. — Też bym się wtedy schował w piecu albo gdzieś na strychu czy za szafą.

— Ale ja nie myślę o tym — mówi pan Janek — który włożył do pieca. Myślę o tych, którzy się stawili. Co prawda ten w piecu też zachował się jak idiota, gdyż w ogóle nie było po-

wodu, żeby się ukrywać. Rosjanie nie postępowali przecież z Niemcami tak jak Niemcy postępowali z Żydami. No pewnie, że nie byli dla nas zbyt mili, czemu jednak trudno się dziwić. Ale nie robili wtedy łapanek, nie chodzili po domach i nie wyciągali nikogo spod łóżka czy z szafy. Wydali tylko to zarządzenie i czekali. Kto się stawił, ten pojechał. Kto by się nie stawił, ten by nie pojechał i zostałby nieco później, jak to się dziś u nas mówi, wypędzony czyli znalazłby się niebawem w zonie amerykańskiej lub angielskiej. Nie wiem, ilu z tych, którzy wtedy stawili się w komendanturze, wróciło. Nie wiem także, dokąd pojechali. Pewnie gdzieś na Syberię, ale może gdzie indziej, do jakichś innych łagrów. Mogli zlekceważyć to zarządzenie. Mogli się schować, wszyscy, w piecach, pod łózkami. Ale nie. Stawili się, ponieważ NKWD życzyło sobie, żeby się stawili, a jak policja czegoś sobie życzy, to nie ma o czym mówić i trzeba się stawić.

— Gdyby ci wszyscy pańscy Niemcy — mówię — wtedy się schowali, to jednak NKWD zaczęłoby ich chyba szukać i pewnie zrobiłoby coś w rodzaju łapanki.

— No może — mówi pan Janek. — Ale oni nawet nie zaryzykowali, nawet nie przyszło im do głowy, że warto byłoby zaryzykować i ocalić życie. Jak panu powiedziałem, ja wtedy tego nie rozumiałem i teraz także tego nie rozumiem. Dlaczego oni się wszyscy stawili. I myślę, tak jak pan, że gdyby to mnie dotyczyło, to pewnie schowałbym się w jakimś piecu. Z czego wynika — i pan Janek jakby nieco ironicznie uśmiecha się do mnie, a może do siebie — że ja mam raczej polską niż niemiecką głowę. Ale nie w tym rzecz. Chodzi mi o to, że pan, panie Jarku, jawnie się myli twierdząc, że Żydzi szli na rzeź jak stado baranów. Może i szli. Ale jak stado ludzi. Tak samo poszliby na rzeź Niemcy, Anglicy, Włosi czy Francuzi. Gdyby jakieś Gestapo czy jakieś NKWD czy jakieś Sûreté tego właśnie zażądało. Więc nie wynikało to z żydowskiej natury, żydowskiego charakteru, żydowskich skłonności. W ludziach jest coś takiego. Jak się im każe, to ustawiają się czwórkami i rechts, links, rechts idą kopać rowy lub idą do gazu.

— Zdaje mi się — mówię — że to było tuż przed powstaniem. Niemcy rozlepili wtedy w Warszawie takie Bekanntmachung nakazujące, żeby wszyscy mężczyźni stawili się do kopania rowów przeciwzołgowych. O ile pamiętam, stawiono się kilkudziesięciu.

— A — mówi pan Janek — Polacy. Przecież Polacy są narodem wybranym. Bóg wybrał ich i powiedział: tylko wy nie będziecie posłuszni, tylko wam wolno będzie oświadczać publicz-

nie, że macie gdzieś wszystkie bekanntmachungi, prikazy oraz obwieszczenia.

— To jest bardzo miła myśl — mówię — że my jesteśmy narodem wybranym i kiedyś ta myśl, że należę do narodu, który w tym lub w innym celu został wybrany, sprawiała mi prawdziwą przyjemność i z przyjemnością obracałem ją w głowie, usiłując dojść, co to może być za cel, w jakim celu Bóg wybrał Polaków i dlaczego tak ich sobie upodobał. Ale teraz ta myśl wydaje mi się raczej śmieszna i myślę, że my wszyscy jesteśmy wybrani, Żydzi, Polacy, Niemcy, a także inne, wszystkie jakie są, narody, tyle że cel, dla którego zostaliśmy wybrani, nadal nie jawi mi się zbyt jasno, bo nie wiem, czy zostaliśmy wybrani do istnienia czy jeszcze do czegoś innego i chwilami myślę, że ten wybór jest rodzajem cudu, no po prostu cudem i że zostaliśmy wybrani, co byłoby wspaniałe, właśnie po to i tylko po to, żeby współuczestniczyć, współistnieć w istnieniu, a chwilami mam w głowie inną, przykrą myśl, że zostaliśmy wybrani w jakimś innym, wprost okropnym celu, do którego maszerujemy, jak pan to powiedział, czwórkami, rechts, links, rechts, ale wtedy, kiedy ta myśl przychodzi mi do głowy, nie chce mi się jej nawet domyśleć do końca, ponieważ wolałbym jednak nie znać tego przerażającego celu, wolałbym nie wiedzieć, przez kogo i po co zostaliśmy, na nasze nieszczęście, wybrani. A jeśli o ten cel chodzi, to opowiem panu pewne moje wspomnienie, które nawet jakby łączyło się z tym pańskim wspomnieniem o Niemcach, co byli na tyle naiwni lub na tyle posłuszni, że niemal z własnej woli pojechali tam, gdzie pojechali. Gdzieś w roku 1946 znalazłem się mniej więcej tam gdzie pan lub przynajmniej w pobliżu pana, to znaczy na tak zwanych wówczas ziemiach odzyskanych.

— I był pan — pyta pan Janek — w tym moim miasteczku?

— Nie — mówię — tam nie byłem. Ale moja babka, rozparcelowana ziemianka, a przy tym osoba niezwykle przedsiębiorcza, uznała, że będzie dla niej lepiej, jeśli na pewien czas wyniesie się z Polski centralnej, no bo nie wiadomo, co takiej byłej ziemiance może się tam, gdzie ją znają, jeszcze przydarzyć. Wyjechała więc do Cieplic i założyła tam, w jakimś poniemieckim domu, pensjonat. Mówię o tych Cieplicach, wie pan, koło Jeleniej Góry. W roku 1946 — ale może to było w 1947 — spędzałem tam wakacje i pamiętam Niemców, chyba już wówczas nielicznych, którzy jeszcze stamtąd nie wyjechali. Bardziej od tych Niemców chodzących z dość ponurymi minami i bardzo przy tym wobec Polaków usługowych i grzecznych, no wprost nieprzyjemnie, lizusowsko uniżonych, interesowała mnie zresztą wtedy elektryczna kolejka — o ile dobrze pamiętam, wagony były żółte

— kursująca między Jelenią Górą a Cieplicami i niezwykle bawiło mnie jeżdżenie tą kolejką. Moje wspomnienie dotyczy jednak nie tyle kolejki i Niemców, ile tego, co ja, dwunastoletni, miałem wówczas w głowie. Usiłuję ustalić, co o tych Niemcach myślałem. Otóż uważałem chyba, że w żółtej kolejce powinny być wagony tylko dla Polaków — *nur für Polen* — a Niemcy, no oczywiście nie z powodów rasowych, lecz ze względu na popełnione przez nich zbrodnie, byli dla mnie, wszyscy, czymś w rodzaju podludzi, którzy powinni zostać wyeksterminowani, postawieni pod ścianą lub posłani do gazu. Miałem wtedy, jeszcze raz to podkreślam, ponieważ wydaje mi się to istotne, jedenaście albo dwanaście lat. Ale mimo wszystko jest to dla mnie bardzo niemiłe wspomnienie. Nie to wspomnienie o Niemcach, bowiem o Niemcach z Cieplic myślę teraz, choć sami sobie byli winni, ze współczuciem. To o tym dwunastolatku, który chciał jeździć wagonem tylko dla Polaków.

— Na szczęście — mówi pan Janek — miał pan wtedy dwanaście lat.

— Chciałem tylko — mówię — zwrócić pana uwagę na to, że pomysł stawiania ludzi pod ścianą i strzelania do nich z automatów może się podobać kilkunastoletniemu chłopcu. I że taki chłopiec może uznać ten podsunięty mu przez historię pomysł za coś oczywistego, co nie wymaga specjalnych uzasadnień. Jakaś grupa ludzi powinna zostać wyeksterminowana, no to należy ją wyeksterminować i nie ma w tym nic odrażającego, a nawet dziwnego, ponieważ eksterminacja to rzecz ludzka. Coś w tym rodzaju. Przepuszczam, że nie tylko dwunastolatki tak wtedy myślały.

— Ci moi Niemcy — mówi pan Janek — którzy posłusznie stawili się tam, gdzie kazano im się stawić, też jakby uznali, że w tym pomysle jest coś oczywistego i że przeciwstawianie się temu, co oczywiste i zgodne z naturą rzeczy, jest głupotą, szaleństwem, no czymś, co źle świadczy o stanie umysłu tego, kto by się odważył przeciwstawić.

— Może nie należy takich rzeczy porównywać — mówię — ale Hania stojąc tam w tej kilometrowej kolejce też jakby uznawała oczywistość takiego stania. Bo gdyby nie uznawała, to chyba zaczęłaby wrzeszczeć, na cały głos, przed Supersamem, że takie stanie — z punktu widzenia jakichś norm, które ludzkość powinna respektować — jest niedopuszczalne. Jak my łatwo godzimy się na to, co proponuje nam historia.

— Jak mi nie otworzycie bagażnika — mówi Hania bijąc łokciem, ponieważ w obu rękach trzyma plastikowe torby z zaku-

pami, w szybę białego Opla — to ja sobie z tym nie poradzę. Miejcie trochę litości dla kobiety.

— Na to nie licz — mówię odkręcając szybę i patrząc na te jej tak mi miłe rude pejsy, po których spływają krople deszczu. — Nikt tu się nad nikim nie będzie litował. Litości to już od dawna na tym świecie nie ma.

— Jeśli chcesz — mówię — to opowiem ci, co mi się śniło. Tuż nad ranem.

— Nie chcę — mówi Hania. — W opowiadaniu snów jest coś nieprzychylnego. To tak jakbyś wyszedł na ulicę w spodniach od pizamy.

— Ale to był taki sen — mówię — który muszę komuś opowiedzieć. Śnił mi się Antoni, a jeśli śni się Antoni, to zawsze jest to warte opowiedzenia. Posłuchaj. Byliśmy na Jelonkach, między tymi drewnianymi domkami, w których mieszkali kiedyś budowniczo wie Pałacu Kultury. Czyli na osiedlu Przyjaźń. Pałac imienia Józefa Stalina — подарowany nam przez Józefa Stalina — więc to osiedle też powinno nosić imię Józefa Stalina. Cała nasza planeta powinna nosić imię Józefa Stalina. Glob imienia Józefa Stalina. Ale niech będzie Przyjaźń. Wszystko jedno. Byliśmy na osiedlu Przyjaźń. Chyba w ogródku tego zielonego domku z oszkloną werandą, w którym byliśmy na przedstawieniu Teatru Domowego. Ale czy to był właśnie ten domek, tego nie jestem całkiem pewien i we śnie też nie byłem tego całkiem pewien: jakby ten, a jakby jakiś inny. W każdym razie domek, w którym miało się odbyć przedstawienie podziemnego teatru. Czekaliśmy tam, w tym ogródku — jak, ty, Włodek, Jacek, Janusz i pani Ola, jeszcze kilka osób — na przyjście Antoniego. Antoni nie przychodził i byliśmy tym bardzo zdenerwowani, bo wiem było jasne, że jeśli Antoni nie przyjdzie, to podziemne przedstawienie nie będzie się mogło odbyć. A potem Antoni nagle się pojawił. Ale nie na Jelonkach, nie w tym ogródku między zielonymi domkami, lecz gdzie indziej: na Ursynowie. To znaczy ja w tym śnie przeniosłem się z Jelonek na Ursynów. Sen mnie przeniósł. Co też oczywiście łączy się z tym podziemnym przedstawieniem, bo po przedstawieniu odwoziliśmy wtedy Włodka na Ursynów. Ale we śnie tego odwożenia nie było. Na Ursynowie nie ma chyba żadnej zajezdni autobusów i trolejbusów. Zajezdnia trolejbusów jest w Piasecznie. Ale we śnie była tam, na Ursynowie, między tymi ogromnymi, szarymi blokami, gdzieś w osiedlu Imielin lub może w osiedlu Na Skraju, wielka zajezdnia, w której stały dziesiątki albo nawet setki autobusów i trolejbu-

sów. Antoni wyszedł spomiędzy trolejbusów — ubrany był tak, jak powinien być ubrany Antoni: kapelusz Stetson, prochowiec i pod prochowcem tweedowa marynarka — i wtedy wszyscy, którzy czekali na niego w tym ogródku na Jelonkach lub w pobliżu tej zajezdni na Ursynowie, podbiegli, a nawet nie tyle podbiegli, ile rzucili się na niego i zaczęli go obejmować, ścisnąć i całować. Ja nie mogłem się dopchać, ale potem jakoś się dopchałem i Antoni, kiedy wziąłem go pod łokieć — pod drugi łokieć też już ktoś go trzymał, bo chodziło o to, żeby jakoś uroczystie poprowadzić go między drewnianymi domkami Jelonek i wielopiętrowymi blokami osiedla Na Skraju — więc wtedy Antoni pogładził mnie po policzku i powiedział, dość zresztą obojętnym tonem: — A to ty, moje złotko. — To było miłe, ale zarazem niemiłe, bowiem Antoni, choć niewątpliwie był prawdziwym Antonim, również niewątpliwie — i wszyscy, którzy go witali, wiedzieli o tym — był martwym Antonim. Antoni, którego pochowano, umarły Antoni. Wychodzący z zajezdni trolejbusów w osiedlu Na Skraju. — Ja nie mogę pójść na to przedstawienie — powiedział Antoni, ale nie pamiętam dokładnie jego słów, więc przekazuję ci tu tylko sens tego, co powiedział — nie mogę pójść na to podziemne przedstawienie, bo jestem bardzo stary i bardzo zmęczony. Ty, moje złotko, wytłumaczysz mnie przed aktorami. Powiesz im, że jestem bardzo zmęczony. A ja pójdę się teraz położyć. — Nie wiem — sen nic o tym nie mówił — gdzie Antoni zamierzał się położyć. W zajezdni na Ursynowie? W mieszkaniu przy Alei Róż? W którymś z domków osiedla Przyjaźń na Jelonkach? Pamiętasz tę młodą aktorkę, która grała trzy różne role w tym podziemnym przedstawieniu? Tę w zielonym kombinezonie. Szczególnie zależało mi na tym, żebym go wytłumaczył właśnie przed nią. Miałem ją przeprosić za to, że on, Antoni, nie będzie jej mógł obejrzeć, ponieważ jest bardzo zmęczony. I na tym skończył się ten mój sen. Gdzieś w ogródku na Jelonkach lub między trolejbusami na Ursynowie. Antoni idzie się położyć, a ja idę go wytłumaczyć przed młodą aktorką.

— Ale co ten sen znaczy? — pyta Hania.

Nic — mówię. — Są takie sny, które coś znaczą i takie, które nic nie znaczą. Nie jest powiedziane, że każdy sen powinien coś znaczyć.

— Ale mnie się zdaje — mówi Hania — że ten twój sen to jednak coś znaczy.

— Nie — mówię. — Nic nie znaczy. Śnił mi się Antoni. Tylko tyle. To jest pocieszające, ale nic nie znaczy.

— Antoni — mówi Hania — powinien się śnić w Warsza-

wie Antoniego. A więc w Dolinie Szwajcarskiej lub w Ogrodzie Saskim. Ewentualnie w Alejach Ujazdowskich, między Szopena a Placem Trzech Krzyży. A tobie przyśnił się na Ursynowie i na Jelonkach. I to właśnie coś znaczy. Ale nie wiem, co.

Jeszcze kilka informacji mówiących o tym, jak wyglądał warszawski Umschlagplatz. Wyjmuję je z „Pamiętnika z getta warszawskiego” Henryka Makowera. Autor pamiętnika, lekarz Służby Porządkowej — czyli żydowskiej policji — był na Umschlagplatzu wielokrotnie: czapka i opaska pozwalały mu się tam dość swobodnie poruszać. Ile było wyjść z Umschlagplatzu? Z książki Władysława Szpilmana — „Śmierć miasta” — wnioskowałem, że poza tym głównym wyjściem — czy raczej wejściem — które znajdowało się tam gdzie dwa betonowe słupki, były lub mogły być jeszcze jakieś inne wyjścia. Relacja Henryka Makowera potwierdza to: „poszliśmy naprzeciwko i przez furtkę Transferstelle — na Umschlag”. Furtka Transferstelle to wejście — jak wynika z relacji — od ulicy Dzikiej. Znajdowała się ona nieopodal wejścia głównego, czyli nieopodal tej drewnianej bramy, przy której stał Marek Edelman. Wprowadzony na Umschlagplatz przez furtkę Transferstelle — stało to się po nieudanej ucieczce z getta w styczniu 1943 roku — Makower wyszedł stamtąd jakąś bramą czy może także furtką, która znajdowała się po drugiej stronie torów: „Zawracamy w bok od szpitala, wychodzimy z terenu Umschlagu, na ulicę, której nie znałem. Ale wiem, że to jest kierunek, w którym można iść na Daniłowiczowską”. Potem autor relacji znalazł się w komisariacie Schupo na Bonifraterskiej. Jeśli nieznaną mu ulica prowadziła w tym kierunku, to musiała to być Pokorna lub Żoliborska. To wyjście z Umschlagplatzu — nie wspomina o nim żadna inna ze znanych mi relacji — znajdowało się więc w murze lub w parkanie, który zamykał Umschlagplatz od strony wschodniej. Albo — to też możliwe — gdzieś nieopodal budynku archiwum, tuż za nim, w narożniku południowo-wschodnim.

Inne informacje z relacji Makowera. Na Umschlagplatzu był areszt. Makower pisze o nim dwukrotnie. „Została złapana przez Niemców i znajduje się w areszcie na Umschlagu”. Oraz: „został ordynatorem oddziału więziennego na Umschlagu”. Również i o tym więzieniu czy areszcie — więziennym szpitalu? — nie ma mowy w innych relacjach i nie sposób dojść, gdzie mógł on się mieścić. W budynku szpitala dziecięcego? W jakimś baraku? A może w budynku dawnego archiwum? Sprawę ilości budynków na Umschlagplatzu relacja Makowera dodatkowo komplikuje.

Zdaje się, że uprzednio doliczyłem się pięciu budynków. Choć nie było to pewne. Z pamiętnika Makowera można by natomiast wnioskować, że był tam tylko jeden budynek: ten, w którym mieścił się szpital dziecięcy. Co prawda, mówi on kilkakrotnie tak o budynku szpitalnym — gdzie, będąc również ordynatorem oddziału zakaźnego w szpitalu imienia Bersonów i Baumanów, pracował w czasie wielkiej likwidacji — jak i o budynku archiwum: czyli tym, w którym czekało się na załadunek do wagonów. Ale w relacji jest zdanie, z którego wynikałoby, że oba te budynki były jednym. O budynku szpitalnym: „Wszystkie prawie pokoje i korytarze były pokryte lepkiem błotem, składającym się z mieszaniny moczu, kału i pyłu. Ludzie brodzili w tym błocie, tak jak później robili to w drugiej połowie gmachu, który był w całości przeznaczony dla Umschlagu”. Druga połowa gmachu to niewątpliwie budynek archiwum. Ale jeśli druga połowa, to znaczyłoby, że gmach, budynek był jeden i tylko podzielony na te dwie połowy. I jeszcze sprawa ilości pięter oraz sprawa kąpieliska. Marek Edelman, jak pamiętamy, wspominał o budynkach trzypiętrowych. W relacji Henryka Nowogródzkiego mowa była o pięciu piętrach. W pamiętniku Makowera jest scena rozgrywająca się na czwartym piętrze. Chodzi niewątpliwie o budynek szpitala dziecięcego: „Kiedy przyszedłem na Umschlag, jeszcze przed przeniesieniem się tam szpitala, powiedziano mi, że na IV piętrze, w osobnym pokoju, przebywa kilku lekarzy”. Co do kąpieliska — z książki Leokadii Schmidt nie da się wywnioskować, gdzie się ono znajdowało — to było ono chyba w budynku szpitalnym. Makower opowiada bowiem o żonie kierownika poczty gminnej, pani Jaszuńskiej, którą udało mu się ukryć właśnie gdzieś w szpitalu, a potem pisze tak: „Porządkowy pchnął swój transport do kąpieliska, które było akurat pod bokiem. Jednak pani Jaszuńska nie wytrzymała napięcia nerwowego i dostała ataku histerycznego, przy czym zaczęła głośno krzyczeć. Niemcy wbiegli do kąpieliska i wszystkich rozstrzelali”. Ale może kąpielisko było osobnym budynkiem: mogło być bowiem i tak, że ten porządkowy skierował tych, których miał wyprowadzić z Umschlagplatzu, do kąpieliska dopiero wtedy, gdy był już z nimi poza budynkiem szpitala.

W ostatnich dniach wielkiej likwidacji — pierwsza połowa września 1942 roku — teren Umschlagplatzu otoczony był chyba, przynajmniej od strony południowej, kordonem esesmanów. Czy ten kordon znajdował się na Stawkach, na Niskiej? Czy gdzieś dalej? Trudno to powiedzieć. Makower opowiadając o grupie osób, które wyprowadził ze szpitala w ostatnim dniu likwidacji — sobota, 12 września — pisze tylko: „Po chwili byliśmy poza

obrębem kordonu SS". Zastanawiam się, czy kordon esesmanów nie był tą przeszkodą, która — wcześniej — uniemożliwiła ucieczkę z Umschlagplatzu temu, kto znalazł się na tym terenie, o którym pisałem w związku z relacją Leokadii Schmidt, a który jakby należał, ale jakby i nie należał do Umschlagplatzu: a więc na chodniku przed frontowym wejściem do budynku szpitala czy przed żelazną bramą budynku archiwum. Chodzi mi o ten odcinek ulicy, na którym pojawia się siedzący na środku jezdni Szmerling. Jak pamiętamy, znalezienie się tam — nawet pod nieobecność Szmerlinga — nie było równoznaczne z wydostaniem się z Umschlagplatzu. Ale nie sądzę, żeby kordon esesmanów — czy nawet Łotyszy lub Ukraińców — stał gdzieś na Stawkach albo w okolicy Stawek przez tak długi czas: od 22 lipca do 12 września. Więc pewnie były tam jakieś zasieki lub jakieś parkany, a zdanie Makowera dotyczy tylko ostatniego dnia lub ostatnich dni likwidacji. Nie jest też dla mnie jasne, co Makower miał na myśli pisząc o wylocie albo wylotach z Umschlagplatzu: czy chodziło mu o główne wyjście — drewnianą bramę — czy o jakieś przejścia, które znajdowały się gdzieś dalej, może właśnie tam gdzie stał kordon. Wylot pojawia się w tej relacji dwukrotnie. Makower opowiada o lekarzach odjeżdżających 12 września z Umschlagplatzu: „W trakcie tego dyrekcja szpitala łącznie ze starym wygą umschlagowym, hydraulikiem Dulderem, nie troszcząc się o nas, przeszła do wylotu, gdzie czekała karetka pogotowia”. Nieco wcześniej mowa jest o kilkorgu dzieciach, które autor relacji próbuje wywieźć ze szpitala na Umschlagplatzu jakimś wozem: „Wóz ruszył, ja obok. Gdy dojeżdżał już do zakrętu prowadzącego do wylotu, nagle nadjechał motocykl z jakimś SS-owcem ubranym w skórzaną kurtkę. Spojrzał na wóz i na ułożoną w nim dzieciarnię i krzyknął: *Nieder mit dem Scheiss*". Zakręt prowadzący do wylotu: czy chodzi tu o skrzyżowanie Stawek i Dzikiej? Niskiej i Dzikiej? Niskiej i Zamenhofa? Jeśli tak, to należałoby uznać, że wylot nie miał nic wspólnego z głównym wejściem — wachą — i znajdował się już poza Umschlagplatzem. Dzieci wróciły do szpitala i zostały załadowane do wagonów. Zdania esesmana w skórzanej kurtce nie muszą tłumaczyć.

Do informacji wyjętych z pamiętnika Henryka Makowera warto dodać kilka zdań z reportażu, który ukazał się w jednym z kwietniowych — rok 1987 — numerów warszawskiego dziennika „Trybuna Ludu”. Tytuł reportażu: „Jedno z wielu: osiedle 'Stawki'. Trudno o intymny klimat”. Reportaż opowiada o codziennych kłopotach mieszkańców osiedla Stawki. „Położone w miejscu zetknięcia się trzech dzielnic: Śródmieścia, Woli i Żoliborza osiedle 'Stawki', które tworzą trzy 'połamane' bloki

zbudowane systemem segmentowym i zamykające dziedziniec służący jako plac zabaw i wypoczynku, stwarza wrażenie harmonijnej całości. Miało być ono jednak początkiem większego dzieła — kompleksu obiektów przylegających do ulicy Stawki. Jak do tej pory znaczną część uzbrojonego terenu zajmuje baza PKS, która solidnym metalowym ogrodzeniem zaakcentowała parę lat temu swoje prawa do wyłączności”. „Nieporozumieniem jest, by położone w centrum miasta tereny wyposażone w infrastrukturę techniczną były miejscem postoju samochodów. Jeśli już nie da się 'na dziś' podać terminu wyprowadzenia bazy PKS i zajezdni MZK, to przynajmniej należałoby zadbać o lepsze stosunki sąsiedzkie”. „Osiedle ujęte jest jak w kleszcze: z jednej strony baza PKS, z drugiej zajezdnia MZK, a po przeciwnej — baza transportowa 'Domu Książki' i garaże Urzędu Stołecznego. Krag ten uzupełnia ruchliwa ulica Buczka. To niekorzystne położenie miało być jeszcze 'wzbogacone' o myjnię samochodową, warsztaty PGM Stare Miasto i skład konsygnacyjny samochodów zachodnich marek. Staraniem samorządu mieszkaniowego i administracji osiedla do tych inwestycji nie doszło”. „Już w pierwszych latach osiedle, wyróżniające się wtedy w Warszawie (obok Służewa nad Dolinką) wiszącymi ogrodami w interesująco zaprojektowanych balkonach, dotknięte zostało powszechną 'chorobą' pęknięcia rur ciepłowniczych i wodociągowych. Najpierw na zewnątrz, potem wewnątrz budynków. Po 10 latach trzeba było podjąć decyzję wymiany instalacji ciepłej i zimnej wody przy ul. Inflanckiej 15. Obecnie roboty w tym budynku są na ukończeniu, ale już czeka następny, a tu nie sposób zdobyć kształtek czy łączników”. Gdzie znajdują się te bloki zbudowane systemem segmentowym, ten plac zabaw i wypoczynku, ta baza PKS, te interesująco zaprojektowane balkony, te tereny wyposażone w infrastrukturę? Na osiedlu Stawki. Gdzie jest to osiedle? Między Dziką a Stawkami. Co tam kiedyś było? Nie wiadomo. Pękają rury i brak kształtek czy łączników, co jest naprawdę bardzo przykre.

— W Przytyku — mówi ktoś — zaczęło się od tego, że przewrócili żydowskie stragany na rynku. To trwało kilka dni i było trzech zabitych: dwóch Żydów i jeden goj.

— W Przytyku — mówi ktoś inny — zaczęło się od tego, że jakiś chłop chciał kupić chleb w żydowskiej piekarni, która była pikietowana. Pobili tego chłopca i tak się zaczęło. Było siedmiu zabitych. Dobrze to pamiętam, bo właśnie wtedy kończyłem pierwszą licealną.

— To było tak — mówi jeszcze ktoś inny. — Żydzi areszto-

wali biskupa, który przyjechał tam z wizytą. To znaczy nie aresztowali, bo po co mieliby aresztować, ale oenerowcy rozpuścili pogłoskę, że aresztowali. Tak to się zaczęło. Nie pamiętam, ile tam było ofiar, ale bardzo dużo.

— Czy tam było trzech — mówię — czy siedmiu zabitych, to oczywiście uda mi się sprawdzić. Ale jeśli chodzi o biskupa, chłopą, który chciał kupić chleb oraz żydowskie stragany na rynku, to z tym będą pewnie kłopoty i nie jest wykluczone, że po pięćdziesięciu latach nie da się ustalić, od czego się wtedy zaczęło.

— To były dwa mieczyki — mówi ktoś — oplecione czymś w rodzaju wężyka. Oni nosili to w klapie i nazywało to się mieczyki Chrobrego.

— Dobrze to pamiętam — mówi ktoś inny — bo po tej awanturze w teatrze zamknęli mnie razem z nimi w jednej celi. Oczywiście nie powiedziałem im, że to ja krzyczałem w teatrze: — Zamknąć mordy obwiepolskie — bo ich było chyba z dwunastu, a ja jeden, więc nieźle by mi w tej celi przyłożyli. Jak już nas zamknęli, to oni wyjęli te swoje mieczyki, które uprzednio schowali bojąc się policji i wpięli je w klapy. Wyglądało to tak: jeden mieczyk długości około 3 centymetrów opleciony czymś w rodzaju wieńca. Wieniec chyba wawrzynowy. Nazywano to mieczykiem Chrobrego.

— Oczywiście — mówi ktoś — że zakładali pejsy za uszami. Niektórzy mieli pięknie wypielęgowane, długie pejsy i wtedy nosili je za uszami. To było bardzo modne.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem — mówi ktoś inny. — A musiałbym widzieć, bo bardzo często bywałem na Placu Paryowskim. Może w Nowym Jorku noszą teraz pejsy za uszami. Ale w Warszawie nie nosili. Ty bardzo mało o tym wiesz, więc uważaj. Bardzo łatwo jest popełnić jakiś horrendalny błąd.

— Autobusów było wtedy w Warszawie bardzo mało. Te, które jeździły z Placu Kazimierza Wielkiego, były w tym samym kolorze co tramwaje czyli czerwone.

— Były żółto-czerwone. Jeździłem często C z Dworca Głównego na Plac Muranowski.

— Kopuła Wielkiej Synagogi była zielona, jakby pokryta śniedzią czy czymś w tym rodzaju.

— Kopuła była miedziana i pięknie błyszcząca.

— Chyba szara. Ale najlepiej sprawdzić to na zdjęciach.

— Sprawdziłbym to — mówię — gdyby te zdjęcia były kolorowe. Ale one są — o mój Boże — czarno-białe.

— Na pewno była tam ślizgawka, więc twój Antoni może

tam jeździć na łyżwach. A czy była kawiarnia, tego nie pamiętam. Od strony Alej Ujazdowskich coś tam stało. Jakiś niski budynek, jakby wzdłuż Alej, frontem do Doliny.

— Kawiarni tam nie było. Od strony Alej stała wielka secesyjna kamienica. A za nią jeszcze coś, jakby pałacyk.

— Kawiarnia była chyba na tarasie.

— Wchodziło się od Alej Ujazdowskich.

— Na pewno od Szopena, był tam taki płótek.

— Ten płótek był zielony.

— Ten płótek był biały.

— I co Ty na to, o mój wielki Boże?

— Fejga — mówi Icyk leżąc na łóżku w błękitnej piżamie i przyglądając się naprawdę ślicznym nogom Fejgi, która sprząta w jego pokoju, co należy uznać, biorąc pod uwagę niechęć Fejgi do sprzątanego w pokojach gości, a także niechęć Fejgi do sprzątanego gdziekolwiek i czegokolwiek, za nie byle jakie wydarzenie, a może nawet za takie wydarzenie, które w pensjonacie Sary Fliegeltaub może się wydarzyć tylko Icykowi czyli tylko w pokoju Icyka i tylko dlatego, że Fejga wyraźnie sprzyja Icykowi, które to sprzyjanie ma, jak domyśla się Icyk, pewien szczególny odcień albo pewną, bo może lepiej tak to ująć, szczególną tonację, którą dałoby się nazwać tonacją erotyczną i która — ta szczególna erotyczna tonacja — sprawia mnie, Icykowi, prawdziwą przyjemność, bowiem przyjemnie jest usłyszeć w głosie Fejgi, gdy mówi: — To ja teraz idę do pana posprzątać — coś, co można uznać za rodzaj obietnicy lub rodzaj zachęty, których — tej zachęty, tej obietnicy — nie ma w głosie Fejgi, gdy wypowiada to samo zdanie stając na progu pokoju Jakuba Wurzla lub Szymona Warszawskiego i przyjemnie jest myśleć, że Fejga sprzątając w moim pokoju łączy z tym sprzątanym pewne niejasne nadzieje i odczuwa w czasie tego sprzątanego pewien niejasny niepokój, który zresztą jest zapewne uzasadniony tym, że ja, Icyk, naprawdę bezczelnie przyglądam się naprawdę ślicznym nogom Fejgi: — Fejga — mówi Icyk — ty masz naprawdę śliczne nogi. Ja muszę te nogi uwiecznić, bo nie może być tak, żeby twoje nogi poszły w niepamięć i zostały w tej niepamięci pomyłone z jakimiś innymi nogami.

— Mnie to wstydzi — mówi Fejga — że pan mi się tak przygląda, kiedy ja tu sprzątam. Mnie to nawet przeszkadza sprzątać.

— Skąd wiesz — pyta Icyk — że ja ci się przyglądam, jeśli jesteś odwrócona do mnie tyłem?

— Już ja to wiem — mówi Fejga wchodząc na krzesło, a potem z tego krzesła na parapet i zabierając się do przecierania

okna. — Które — myśli Icyk — nie wygląda mi na takie, co wymagałoby przecierania, z czego da się wyciągnąć wniosek, że Fejga wchodząc na parapet zrobiła to po to, żebym mógł obejrzeć jej nogi w nieco lepszym świetle oraz z nieco innej, korzystniejszej, bowiem nieco od dołu, perspektywy. — I ja pana bardzo proszę. Bo ja mam jeszcze robotę w kuchni i pani Sara będzie się na mnie gniewać. Że ja tu z panem gadu gadu, a kartofle dla gości jeszcze nie obrane.

— Czy ty wiesz, Fejga — mówi Icyk — że w niepamięci są tysiące i tysiące nóg? Chciały być zapamiętane, ale tak jakoś się złożyło, że nie zostały zapamiętane. Więc jeśli ja nie uwiecznię twoich nóg, to za pięćdziesiąt czy za sto lat twoje nogi pomylą się w niepamięci z innymi nogami i nikt nie dojdzie, jakie one były i czym się różniły od innych nóg, które należały do kogoś innego. Uważam, że to jest bardzo ważna sprawa. Za sto lat będą pytać, co jak wyglądało sto lat temu i będą złościć się na nas, że myśmy nie uwiecznili tego, co trzeba było uwiecznić. To dotyczy także twoich kolan i kostek. Jakie one były.

— Pan sobie pozwala — mówi Fejga i stawia stołek na parapecie: — Z czego wynika — myśli Icyk — że chce przetrzeć także karnisz, który jest nad oknem albo że chce pokazać mi swoje nogi w jeszcze innym świetle i z jeszcze korzystniejszej, bowiem całkiem od dołu, perspektywy — a potem wchodzi na ten stołek i jej nogi rzeczywiście ukazują się Icykowi w jakiejś niezwykłej, od dołu do góry, perspektywie, tam wyżej jest ciemność i myśl o tej ciemności wywołuje w tym, kto w nią patrzy, coś w rodzaju słabości czy ściskania w dołku, co jest zresztą bardzo miłym uczuciem. — Gdyby pani Sara to słyszała, to by mi powiedziała, żebym ja u pana więcej nie sprzątała. To pan by musiał sam u siebie sprzątać.

— Dlatego właśnie — mówi Icyk — uważam, że powinienem odmalować twoje nogi. Coś w rodzaju obowiązku wobec przyszłych pokoleń. Żeby te pokolenia nie złościły się na mnie, że nie wykonałem czegoś, czego wykonanie było moim obowiązkiem — Ale mógłbym — myśli patrząc na te długie, szczupłe nogi, pokryte delikatnym, chwytającym i zatrzymującym światło puszkciem, te nogi, które mają teraz za tło jaśminową zielenią ogrodu pani Sary Fliegeltaub — ale mógłbym jednak te piękne nogi nieco jeszcze upiększyć i może przyszłe pokolenia zechciałyby mi to łaskawie wybaczyć. Byłoby im bowiem dobrze, tym nogom, w pończochach ze szwem, w pantoflach na słupku lub półsłupku. Ciemniejszy trójkąt pończochy kończący się nieco powyżej kostki, z tyłu, tam właśnie gdzie zaczyna się szew. Byłoby im dobrze.

— To ja nie wiedziałam — mówi Fejga — że pan jest ma-

larzem. Ale pan mnie nabiera. Ja słyszę, jak pan pisze. O na tej maszynie.

— Odmaluję je słowami — mówi Icyk. — To nie jest to samo, ale z pewnych względów będzie to dla nich nawet korzystniejsze. A dlaczego będzie to dla nich korzystniejsze, tego nie będę ci tłumaczył, bo tego byś nie zrozumiała. Musielibyśmy się tu wdać w pewne filozoficzne dociekania.

— To trudno jest — pyta Fejga i chcąc przetrzeć karnisz staje na palcach, niżej jest stołek, na tle jaśminowej zieleni — pisać na takiej maszynie?

— Tylko nie zleć — mówi Icyk. — Jak chcesz, to cię nauczę. — Ale upiększenie tych nóg — myśli — czyli ustawienie ich w pantoflach na słupku albo na półsłupku byłoby po pierwsze czymś głupim, bowiem te nogi są wystarczająco piękne i żadne upiększenie nie jest im potrzebne, a po drugie czymś wysoce dla tych pięknych nóg niekorzystnym, bowiem to co upiększone zapada, niewątpliwie słusznie, choć z niejasnych powodów, w niepamięć. A po trzecie, ubierając te nogi w pończochy ze szwem i stawiając je na słupku, półsłupku, sprzeniewierzyłbym się wszystkiemu, czemu można się sprzeniewierzyć: tym nogom, mojemu powołaniu, przyszłym pokoleniom oraz, jeśli Bóg istnieje, także Bogu. Niech więc zostaną takie jakie są: na tle jaśminowej zieleni, w filcowych bamboszach. Ku pamięci przyszłych pokoleń, żeby już nic im się nie myliło: bambosze były jasnobrązowe, w kratę, kratka była ciemniejsza, ciemnobrązowa. Bambosze całkiem nowe, kupione przez matkę Fejgi na targu w Karczewie. Właściciel tego straganu nazywał się Fogelman. Motek Fogelman. Fejga — mówi Sara Fliegeltaub wchodząc do pokoju Icyka i przyglądając się, jakby nieco podejrzliwie, Fejdze, a właściwie wyprężonym, uniesionym na palcach nogom Fejgi. — Fejga. Ile razy ja ci mam mówić. Kartofle. Czy ty chcesz, żeby moi mili goście nie dostali dzisiaj obiadu?

— To ja już skończyłam — mówi Fejga i schodzi ze stołka na parapet, a z parapetu na podłogę, przy czym — myślę o tym drugim etapie drogi, którą przebywa — skraj spódnicy zaczepia się o parapet i gdyby nie obecność Sary Fliegeltaub, która na mnie patrzy, mógłbym teraz obejrzeć jej nogi — oczywiście nogi Fejgi, a nie Sary — nie tylko z innej perspektywy, ale także, jakby to powiedzieć, niech będzie, że w innym świetle, bo w świetle całości. Ale nic z tego i Fejga obciągnąwszy spódnicę zabiera ze sobą stołek, ścierkę i miotłę i wychodzi z pokoju Icyka. Wychodząc jakoś tak dziwnie się uśmiecha, ale ponieważ jest do mnie odwrócona tyłem, więc tego nie widzę, tego Icyk nie

widzi, tego nie widzimy. To tylko mój domysł. Inny domysł: uśmiecha się na myśl, że jej nogi zostaną odmalowane oraz uwiecznione. Jeszcze inny domysł: uśmiecha się, bowiem nie wie, co by to właściwie miało znaczyć. Znaczenie tych dwóch słów — odmalowane oraz uwiecznione — nie jest bowiem dla niej jasne. Przypuszczam, że Fejga nie umiała czytać, a jeśli nawet umiała, to raczej nie wykorzystywała tej umiejętności w celu czytania książek. Chodziła jednak do kinoteatru „Miramare” oraz do kinoteatru „Oaza”, więc słowa uwiecznić oraz odmalować mogły jej podsunąć obraz długich i szczupłych nóg na ekranie kinoteatru „Miramare”. Mogła tak sobie te słowa — uwiecznić oraz odmalować — skojarzyć. Jej śliczne nogi na ekranie kinoteatru „Miramare” albo kinoteatru „Oaza”. Na słupku, półsłupku. W czarnych pończochach Marleny Dietrich. W srebrnym futrze Grety Garbo. Tak mogła to sobie skojarzyć. Ale ja wolę ją w filcowych bamboszach w kratkę. Tamta epoka miała różne wielkie gwiazdy, wielkie diwy. Dla mnie największą z nich była Fejga w filcowych bamboszach. Myślę, że jeśli Fejga gdzieś jest, to sprawi jej przyjemność, że właśnie tak — srebrne futro Grety, czarne pończochy Marleny i filcowe bambosze z Karczewa — będzie uwieczniona.

— Drogi pani Icyku — mówi Sara Fliegeltaub — to nie jest moja sprawa i moi mili goście, jeśli chcą, mogą oczywiście flirtować ze służbą. Ale ja jednak bardzo pana proszę. Mój pensjonat, jak pan wie, ma bardzo dobrą opinię w Warszawie.

— Fejga — mówi Icyk i siada na łóżku, bo jednak nie wypada mu rozwalać się w pościeli w obecności pani Sary — Fejga to jest takie śliczne stworzenie, że ja, pani Saro, niczego nie mogę pani obiecać. Więc jak pani chce, żebym ja z nią nie flirtował, to musi pani wziąć na jej miejsce jakiegoś tłumoka, którego ja będę wyganiał z pokoju, żeby on mi nie psuł swoją brzydota humoru.

— Wiem — mówi Sara Fliegeltaub — że ona jest śliczna. I mnie jest miło, kiedy takie śliczne stworzenie kręci się po kuchni. Choć stare kobiety to raczej nie lubią takich młodych i ślicznych. Ale mnie to, że ona jest taka śliczna, jakoś pociesza. Jeśli są na świecie takie ślicznotki, to znaczy, że komuś tam, na górze, na tym zależało: żeby one były. Że ktoś o tym pomyślał. Więc to jest rodzaj dowodu. Jakby dowód. Jeśli pan chce, to coś panu *à propos* tego opowiem. *A propos* ślicznotki oraz ślicznego stworzenia. Ale pan to pewnie wybiera się teraz na spacer z panią Chają.

— Ależ nie — mówi Icyk. — Z przyjemnością posłucham.

Tylko włożę, jeśli pani pozwoli, bonzurkę, bo jakoś mi niezręcznie rozmawiać z panią w tej piżamie.

— Myśmy pojechały z Fejgą — mówi Sara Fliegeltaub siadając na tym krześle, które stoi tuż przy oknie i na którym ja siedzę, kiedy piszę na maszynie, a wobec tego, że to krzesło stoi tuż przy oknie, mam teraz, na tle jaśminowej zieleni, niezbyt starannie uczesane, a nawet, mówiąc dokładnie, bo bardzo zależy mi na tym, żeby to, co piszę, było dokładne oraz akuratne oraz zgodne z prawdą, którą ośmielam się nazwać prawdą istnienia, a mówiąc dokładnie, prawdą naszego tutaj czyli w Otwocku pod Warszawą istnienia, więc mówiąc dokładnie, na tle jaśminowej zieleni mam teraz, zamiast bamboszy Fejgi Rozenblat, nieco rozkudłane włosy Sary Fliegeltaub i oczywiście przychodzi mi do głowy myśl, że również te żółto-czarne, nieco rozkudłane włosy, przez które widać wyraźnie żółto-różową skórę czaszki, powinny zostać odmalowane oraz uwiecznione, ponieważ nie jest tak, żeby coś było bardziej a coś mniej godne uwiecznienia i nie jest też tak, żeby coś — myślę o nogach Fejgi i o włosach Sary — było piękniejsze a coś brzydsze, jako że wszystko, co istnieje, już przez sam fakt — zupełnie nieprawdopodobny i niebываły — zaistnienia, jest piękne, jest godne uwiecznienia, chce być uwiecznione i to chcenie, które jest jedyną prawdą naszego tutaj na tej ziemi istnienia, jest także jedyną rzeczą, z którą należy się istniejąc tutaj na tej ziemi liczyć, w tym chceniu jest jedyny nakaz, któremu powinien być posłuszny ten, kto bierze pióro do ręki i stawia znaki na papierze: pisarz, sofer, a więc: — *A propos* ślicznotki oraz ślicznego stworzenia — mówi Sara Fliegeltaub — to było mniej więcej rok temu, jakoś tak na wiosnę w zeszłym roku i my pojechałyśmy wtedy z Fejgą do Warszawy. Miałam przywieźć coś ciężkiego i wzięłam ją z sobą, żeby mi pomogła. To był chyba czerwiec, bo to się jakoś łączy z tym, co tu się wydarzyło w Boże Ciało. Zaczęło się wtedy od tego ołtarza na Warszawskiej. No to było naprawdę bardzo nieprzyjemne.

— W Warszawie — mówi Icyk — to się chyba zaczęło od wiadomości PAT-a o tych trzech Żydach komunistach, którzy na Bielańskiej wyrwali jakiejś kobiecie obraz Matki Boskiej, a potem ten obraz podeptali. Następnego dnia PAT tę wiadomość wycofał, więc to pewnie była jakaś oenerowska afera. Choć kto to może wiedzieć. Jeśli ci trzej byli komunistami, to mogli coś takiego zrobić. Komuniści mówią różne dzikie pomysły i mogło im akurat zależeć na wywołaniu antysemitkich rozruchów. Jakaś jacejka mogła coś takiego wymyślić.

— Tutaj — mówi Sara Fliegeltaub — to się zaczęło od tego ołtarza. Jakiś wariat, który uciekł z „Zofiówki”, podpalił ołtarz

na Warszawskiej. Ale ja nie wykluczam możliwości, że to oni sami podpalili, żeby to potem na nas zrzucić. No i wtedy się zaczęło, bo po tym podpaleniu przyjechali z Warszawy ci z miecznikami. Bicie szyb, wyrzucanie z kolejki, takie rzeczy. Jeździli kolejką i kto im się nawinął, to go wyrzucali. No i właśnie wtedy myśmy pojechały z Fejgą do Warszawy. Ale może to było trochę wcześniej, bo coś mi się tak zdaje, że w kwietniu i w maju także wyrzucali. Mój szwagier to raz uciekał przed nimi z jednego końca kolejki na drugi. Ale na szczęście to było przed samym Michalinem, więc w Michalinie wysiadł i na piechotę poszedł do Józefowa.

— To nie trzeba było wtedy jeździć kolejką — mówi Icyk.
— Po co pani pojechała.

— Przecież panu mówię — mówi Sara Fliegeltaub. — Musiałam coś przywieźć. Nie może być tak, żeby człowiek nie miał prawa jeździć kolejką. Kolejka jest dla wszystkich, ja tak uważam. No więc gdzieś za Miedzeszynem weszło do tego wagonu, w którym siedzieliśmy z Fejgą, czterech takich łobuzów. Mówię, że to były łobuzy, bo okazało się, że to były łobuzy. Ale to byli studenci i trzech z nich byli w bordowych czapkach, takich, wie pan, z haftowanymi denkami. No i zaczęło się. A to, a tamto. Śmierdzi tu śledziami i ja to bym zakazała tym śledziarzom jeżdżenia naszą polską kolejką. I dlaczego my musimy wachać te żydowskie smrody i przydałby się nam ktoś taki jak Hitler, żeby stąd wymiół te żydowskie śmiecie. No i jeszcze różne takie świństwa, za które ja pana przepraszam. Ale pan, jako pisarz, powinien to wiedzieć. — Żydóweczki to mają w poprzek, to może byśmy to sprawdzili. — To powiedział ten, który był bez czapki. A drugi, który był w czapce, powiedział: — A mnie coś odpycha i ja to bym się z taką Żydóweczką brzydził. — Fejga jest młoda, więc w tym, że oni ją nazywali Żydóweczką, nie było nic złego. Ale powiedzieć o starszej kobiecie: Żydóweczka? To chyba nieładnie.

— O mnie — mówi Icyk — też mówią: ten Żydek. I to niekiedy bardzo kulturalni ludzie, nawet tacy, którzy są moimi przyjaciółmi. Ten Żydek uważa. Ten Żydek napisał. Tacy już oni są. Polaczki.

Ale tego ostatniego słowa Icyk raczej nie mógł użyć — rok 1937 — w rozmowie z Sarą Fliegeltaub, bowiem to słowo raczej nie było wówczas używane. — Chyba nie mogłem — powiedział Icyk — Nowy Jork, rok 1977 — powtarzając Hani opowieść pani Sary o wydarzeniu w żółto-niebieskiej kolejce — użyć wówczas tego słowa. Nie dlatego, że uważałem to słowo za niestosowne,

bowiem byłem i jestem zdania, że wśród Polaków jest wielu Polaczków, ale po prostu dlatego, że to słowo było mi wówczas nieznanne. A jeśli je znałem, to raczej w wersji rosyjskiej: Paliacziok, Paliaczyszka.

— W Warszawie — powiedziała Hania — często się teraz słyszy to słowo. Polacy mówią o Polakach: te Polaczki.

— Brzydkie słowo — powiedział Icyk. — Nie mają już Żydków, więc lżą sami siebie.

— Ja to wtedy myślałam — mówi pani Sara — że oni nas wyrzucą z tej kolejki, więc cały czas patrzyłam, gdzie jesteśmy. Michalin, to już niedaleko. Józefów, to zaraz będzie Świder. A w Świdrze to już mogłybyśmy wysiąść. Chyba przed Józefowem dwóch z nich usiadło tak jakoś przy Fejdze i choć ten, który stał przy drzwiach, powiedział, że od Żydówcezek go odpycha, ja się bałam, żeby do czegoś nie doszło. Wtedy to nie wiem, co bym zrobiła. Chyba bym wypchnęła Fejgę i sama za nią wyskoczyła. Ale żeby otworzyć w czasie jazdy te automatyczne drzwi, to na to trzeba silnego mężczyzny. No więc nie wiem, czym to by się skończyło, ale za Józefowem ten, który stał przy drzwiach, jakiś taki trochę poważniejszy, choć też łobuz, powiedział: — Ja to nie rozumiem. Jeśli to plemię — tak właśnie powiedział: to plemię — jeśli to plemię ukrzyżowało Jezusa, to dlaczego Bóg pozwała na to, żeby w tym plemienu rodziły się takie śliczne stworzenia. — I jeszcze tak jakoś popatrzył na Fejgę i dodał: — Takie ślicznotki. — A ten, który siedział przy Fejdze, powiedział wtedy: — Ale On je ukarał tym, że mają w poprzek. — I wtedy Fejga wybuchnęła płaczem, ale to nie był taki zwykły płacz, jakim ktoś płacze, kiedy chce mu się płakać. To raczej było wycie, niż płacz. Ona raczej wyła. Ta moja Fejga, ona, sam pan wie, okropnie głupia. Ale kiedy oni tak brzydko bluźnili, to ona, choć jest głupia, jednak zrozumiała, że tu już nie chodzi o nią i że te łobuzy obrażają nie ją, lecz kogoś innego. Bo myślę, że ona właśnie dlatego się rozpłakała: że tu już nie chodziło o nią. I oni, wie pan, chyba też to zrozumieli, bo jakby się zawstydzili i zaraz poszli sobie do innego wagonu. Jeden z nich odwrócił się jeszcze w drzwiach i powiedział do Fejgi, ale tak, jakby był na nią obrażony, jakby ona go tym płaczem czy raczej tym wyciem obraziła: — Głupia Żydówka. — No i dzięki temu nie zostałyśmy wyrzucone z kolejki.

— Ale dzięki czemu? — pyta Icyk.

— Nie wiem — mówi Sara Fliegeltaub. — Chyba dzięki temu, że ona tak strasznie wyła. Albo dzięki Bogu. Ale ja już muszę iść, bo ona jest taka głupia, że nawet nie wie, ile kartofli

trzeba obrać na obiad. I jeszcze raz bardzo pana proszę. Pan jest poważnym człowiekiem, więc niech mi pan nie demoralizuje służby. Nie powinnam tego panu mówić, ale ona wczoraj powiedziała Lubie, no nie, jednak nie mogę tego panu powtórzyć.

— Ale co? — nalega Icyk. — Co ona powiedziała?

— Powiedziała, że pan się w niej kocha.

I pani Sara wychodzi, ponieważ musi sprawdzić, ile kartofli obrała siedząca na schodkach przed bocznym wejściem, u jej stóp garnek z niebieską polewą, Fejga, a Icyk wkładając skarpetki — czas już iść na spacer — dochodzi do wniosku, że to wypowiedziane wczoraj nad garnkiem z niebieską polewą — ale z niebieską zewnątrz, bowiem wewnątrz z białą — zdanie Fejgi: — Pan Icyk to się we mnie kocha — należy uznać za bliskie prawdy, a może nawet za absolutnie prawdziwe, ponieważ on, Icyk, naprawdę kocha się w Fejdze Rozenblat i choć nie jest to pewnie akurat ten rodzaj miłości, na którym Fejdze szczególnie by zależało, to jednak, zważywszy na kłopoty ze znalezieniem innego słowa: — Które — myśli Icyk — nazwałoby stosownie i akuratnie to, co czuję, gdy myślę o Fejdze, wolno jej, Fejdze, oraz mnie, Icykowi, mówić, że mamy tu do czynienia z miłością: — Pan Icyk to się we mnie kocha — oraz: — Kocham cię, Fejgo Rozenblat — ponieważ ja, Icyk, niewątpliwie kocham się w Fejdze Rozenblat, a także w pani Sarze Fliegeltaub, a także w Chai Gelechter — w niej we wszystkich możliwych znaczeniach tego słowa — a także w Jakubie Wurzlu, a także w kulawym Szlojmele. Każde istnienie chce naszej miłości, a więc każde istnienie powinno nią być, jeśli chce, obdarzone. Każde chcenie, które jest w każdym istnieniu. Ale zdaje się — myśli dalej Icyk i zapina przy tym szelki — że posuwam się jednak nieco za daleko, bowiem ta moja miłość, która ma za przedmiot każde istnienie i ta moja litość, która lituje się nad każdym chceniem, ta moja miłość i ta moja litość, które chciałyby uwiecznić każde istnienie oraz każde chcenie, zaraz obejmą, co byłoby oczywiście logiczne i konsekwentne, ale co byłoby chyba pewną przesadą, także i tego łobuza z żółto-niebieskiej kolejki, który powiedział do Fejgi: — Głupia Żydówka. — Łobuz z kolejki niewątpliwie powinien zostać uwieczniony, ale to uwiecznienie nie powinno być dla niego przyjemne. Co innego z Fejgą. Należą się jej, choć jest głupia, wszystkie przyjemności, jakie tylko dadzą się pomyśleć i wobec tego chyba powiem jej — albo przynajmniej dam jej do zrozumienia — że także ją kocham. Co niewątpliwie sprawi jej wielką przyjemność. Bo tego, że ją uwiecznię, raczej nie uznaję — nie rozumiejąc, o co chodzi — za coś przyjemnego. Choć kto wie. Kiedyś, za jakieś pięćdziesiąt lat, dowie się od kogoś,

że została przeze mnie uwieczniona i może będzie to dla niej miłą wiadomość. Będzie miała wtedy — teraz ma ile? chyba osiemnaście? — sześćdziesiąt osiem lat. Może wtedy sprawi jej to przyjemność. Bo przecież po to ja to wszystko napisałem: żeby sprawić ci przyjemność, Fejgo Rozenblat.

Niebieska koperta: z takich, których używają instytucje państwowe. Na kopercie jest napis: „Warszawa getto Umschlagplatz”. Oraz numer inwentarzowy: „Inw. 1426”. W kopercie jest zdjęcie. Jak powiedzieli mi pracownicy Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, jest to jedyne znajdujące się w tym Archiwum zdjęcie Umschlagplatzu. Wspomniałem już, że widziałem zdjęcie przedstawiające ładowanie do wagonów. Potem — w albumach, które zostały wydane w Polsce oraz w Izraelu — znalazłem jeszcze kilka zdjęć, na których jest rampa, wagony, Żydzi z tobołkami. Ale zdjęcie, które jest w niebieskiej kopercie, przedstawia coś innego: fragment — jeśli tak można powiedzieć — właściwego Umschlagplatzu. Nie jest to jednak całkiem pewne. Zdjęcie nie zostało opisane i o tym, że widzimy na nim fragment Umschlagplatzu, informuje tylko ten napis na kopercie. Ktoś — niezbyt dawno, bowiem koperta jest zupełnie nowa — zdecydował, że to jest Umschlagplatz, że właśnie tam zrobiono to zdjęcie. Nie wiem, kto to był i nie wiem, czy się nie pomylił. Zdjęcie może przedstawiać jakiś inny fragment warszawskiego getta. Może to być na przykład zdjęcie wykonane w czasie tej wielkiej selekcji, która rozpoczęła się 6 września 1942 roku w rejonie — wersja z książki „Getto walczy” Marka Edelmana, co podają, ponieważ i w tej kwestii relacje nie są zgodne — między Gęsią, Zamenhofa, Lubeckiego i Stawkami.

Zdjęcie. Po prawej jest mur, a pod murem jacyś ludzie z tobołkami. Nie jest jasne, czy ci ludzie stoją czy idą. Większość z nich raczej idzie. Po lewej jest dom — widać parterowe okna i chyba okiennice, z czego wynikałoby, jeśli są to na pewno okiennice, że jednak nie jest to zdjęcie z Umschlagplatzu, bowiem nic nie wskazuje na to, żeby w budynku szpitala i w budynku archiwum były okiennice — a pod tym domem są także jacyś ludzie. Ci pod domem — jest ich około dziesięciu — to bez wątplenia żydowscy policjanci: na rękawach mają opaski, a ich czapki, co łatwo rozpoznać, mają inny kształt niż czapki Niemców i czapki granatowych policjantów. Co do opasek. Ktoś, kto był w getcie, powiedział mi, że żydowscy policjanci nosili — na tej samej ręce — dwie opaski: jedną z gwiazdą Dawida — tę pamiętam z wojennej Warszawy — i drugą policyjną. Ale żadna

ze znanych mi relacji nie mówi o dwóch opaskach, a ci, którzy stoją na zdjęciu, mają po jednej opasce. Nie wiem, jak to było. Między murem a domem jest jezdnia wybrukowana tak zwanymi kocimi łbami. Tylko jezdnia i ani pod domem, ani pod murem nie ma chodnika. W głębi, tam gdzie mur łączy się z domem — ale jest to sprawa perspektywy, z której zrobiono zdjęcie i w rzeczywistości mur był na pewno równoległy w stosunku do domu — stoi gazowa latarnia. W środku jezdni jest rynsztok — też równoległy do muru i domu z okiennicami — i w tym rynsztoku coś płynie. Rozkraczony nad rynsztokiem stoi ktoś — ale może ten ktoś nie stoi, może przekracza rynsztok, daje duży krok nad rynsztokiem — więc stoi lub przekracza rynsztok ktoś, kto może być uznany za żydowskiego lub granatowego policjanta. Ponieważ ten ktoś odwrócony jest twarzą do fotografującego, jego czapkę widzimy z przodu i wobec tego nie sposób rozpoznać, czy to jest czapka polskiego czy żydowskiego policjanta. — Oni mieli na czapkach — powiedział mi pan Michał, który wyszedł z getta po drugiej likwidacji, tej w styczniu 1943 — takie gwoździe, od jednego do pięciu, w zależności od rangi. Taki z kilkoma gwoździami skontaktował mnie z oficerem SS, bardzo eleganckim, i ten oficer wyprowadził z getta, oczywiście za duże pieniądze, moich rodziców. Nosił, mówię o tym esesmanie, białe, glansowane rękawiczki. — Ale fotografujący był zbyt daleko i jeśli nawet ten, który stoi rozkraczony nad rynsztokiem, miał gwoździe na czapce, to tych gwoździ na zdjęciu nie widać. Niewidoczna jest też ta ręka, na której powinna być opaska. Również mundur — jeśli to jest mundur — nie pozwala rozpoznać, kim jest, był ten ktoś. Bryczesy, długie buty. Zdjęcie jest trochę zamazane, więc nie da się ustalić, czy to jest mundur granatowego policjanta. Ci żydowscy nie nosili mundurów: wyróżniały ich tylko czapki i opaski. Było jednak coś, co można by nazwać strojem czy nawet mundurem żydowskiego policjanta. Na zdjęciach widzi się ich najczęściej w jasnych prochowcach oraz w długich butach. Tak się nosili, taki mieli fason. Ten nad rynsztokiem nie ma na sobie prochowca. Ale to chyba żydowski policjant. Tych granatowych dobrze pamiętam: rozmawiają z dozorcą w bramie na Koszykowej, jeden z nich przyszedł, nie wiem po co, do naszego mieszkania i stoi w korytarzu. Więc granatowego pewnie bym rozpoznał, to znaczy instynkt siedmioletniego chłopca, coś co się zakodowało w jego świadomości, powiedziałoby mi, że ten nad rynsztokiem to jest granatowy. Uznaję zatem, że to jest żydowski policjant.

Jedyna wskazówka, z której coś może wynikać lub nic może nie wynikać: ten ktoś nad rynsztokiem jest tęgi, nawet gruby.

Silnie zbudowany, potężny mężczyzna. Czyli może to być — jeśli zdjęcie zrobione zostało na Umschlagplatzu — Szmerling. To miejsce, w którym go widzimy, też jakby na to wskazywało. Może to być oczywiście przypadek: sfotografowano kogoś, kto akurat znalazł się na środku jezdni. Ale środek jezdni, między domem a murem, to było miejsce Szmerlinga. Tam go widywano: na środku jezdni, siedzącego albo stojącego. Choć czy był tam ryszczok, o tym w tych relacjach, w których pojawia się Szmerling, nie ma mowy. To jest oczywiście bardzo ważny problem: czy to zdjęcie przedstawia fragment Umschlagplatzu. Szczególnie jeśli nie ma — czego nie jestem pewien — innych zdjęć z tego terenu, jeśli to jest jedyne zrobione tam zdjęcie. Lub jedyne — ze wszystkich zrobionych tam zdjęć — zachowane zdjęcie. Ale kiedy patrzę na tego grubego mężczyznę, którego fotografujący uchwycił w ruchu, nad ryszczokiem, ważniejszy staje się dla mnie inny problem: to on czy nie on? A jeśli on, Szmerling, to czego z tego zdjęcia mogę się o nim dowiedzieć?

O Szmerlingu wiem bardzo mało. Notatki Emanuela Ringelbluma mówią, że komendant Umschlagplatzu nazywany był przez Niemców „żydowskim katem”. Żydzi natomiast — „z uwagi na podobieństwo do włoskiego marszałka” — nadali mu imię Balbo. To imię — teraz — nie kojarzy się już z żadnym włoskim marszałkiem. Balbo: tak mógłby się nazywać jakiś legendarny czy baśniowy potwór. Ringelblum pisze jeszcze o Szmerlingu, że był to „zbrodniczy olbrzym” oraz „olbrzym o spiczastej bródce i twarzy zbójcy”. O bródce Szmerlinga wspomina też Henryk Makower w „Pamiętniku z getta warszawskiego”: „Jego impertynencka twarz z wypiełgnowaną bródką, długa, nieco przygarbiona postać doprowadzała mnie do pasji”. Na zdjęciu, które może przedstawia fragment Umschlagplatzu, spiczastej, wypiełgnowanej bródki nie widać. Co jednak nie znaczy, że ten ktoś, kto przekracza ryszczok, nie jest Szmerlingiem: zdjęcie, jak powiedziałem, jest niewyraźne i bródka mogła się rozmazać na kliszy. Jeszcze jedno określenie Szmerlinga: Henryk Rudnicki w książce „Martyrologia i zagłada Żydów warszawskich” nazywa go „bardzo przystojnym sadystą”. Jeśli obok olbrzymiego zbójcy postawimy Lejkina, który po aresztowaniu Szeryńskiego został komendantem żydowskiej policji, to będziemy mieli zbrodnicze wcielenie Pata i Patasona. Lejkin był bowiem — informacja z „Notatek z getta” Ringelbluma — „małym człowieczkiem o małym cielem i małej głowce”. Henryk Makower pisał o nim tak: „Mały, prawie karzełkowaty, ale krępy, silny, człowiek o żelaznej ręce. Drżeli przed nim wszyscy, za byle jakie przewinienie walił szpicrutą po twarzy. (...) Lejkin podobał się Niemcom, zamieścili nawet jego

fotografię w 'Völkischer Beobachter' pod pochlebnym tytułem 'Der kleine jüdische General' ". Dobrze byłoby — jeśli to prawdziwa informacja, bo brzmi ona jednak dość dziwnie — odnaleźć tę fotografię. O małym żydowskim generale wiadomo bowiem mniej więcej tyle, ile o Szmerlingu: czyli bardzo mało. Co wiadomo o nich wszystkich — to znaczy o tych sławnych bandytach z warszawskiego getta: Lejkinie, Szeryńskim, Szmerlingu, Gancwajchu — dobrze pokazują te cytaty, które przytoczyłem. Zbrodniczy olbrzym, przystojny sadysta, twarz zbójcy, żelazna ręka. Kto na nich patrzył, od razu dostrzegał, że to są sadyści, bandyci, zbrodniarze, mordercy. Ale jak ci zbrodniarze, mordercy wyglądali? Właśnie tak jak wyglądają zbrodniarze, mordercy? Chciałbym jednak wiedzieć coś więcej.

— Szeryński — powiedział pan Michał — był średniego wzrostu. Rozmawiałem z nim kilka razy, więc dość dobrze go pamiętam. Ostatni raz widziałem go już po tym zamachu, kiedy został ranny w głowę. A może w rękę. Chodził wtedy z obstawą. Minął mnie na ulicy i powiedział, wskazując na kogoś, kto szedł za nim: — To mój *tietochranitel*.

— Chodzi mi o jego twarz — powiedziałem. — Czy pamięta pan twarz?

— Był średniego wzrostu — powiedział pan Michał. — Dobrze się ubierał. Twarzy, niestety, nie zapamiętałem.

Dlaczego zacząłem się nagle interesować wyglądem morderców? Stało się to dopiero w trakcie pisania tej książki. Chciałem wiedzieć, jakie mieli twarze, jak byli umundurowani, jakie nosili dystynkcje. Grubość palców, wykrój oczu, kształt podbródka. Powód lub powody tej mojej ciekawości — wreszcie dość dziwnej — początkowo były dla mnie całkiem niezrozumiałe. Morderców z warszawskiego getta — przynajmniej jeśli mowa o mordercach narodowości niemieckiej — można oglądać na licznych wykonanych tam zdjęciach, więc taką ciekawość właściwie dość łatwo można zaspokoić. Ale mnie nie chodziło o anonimowych morderców, a ci na zdjęciach są — niemal wszyscy — anonimowi. Interesowało mnie wygląd tych, którzy byli mi znani z nazwiska. A więc tych, którym mogłem przypisać jakieś konkretne i znane mi czyny. A więc wygląd powiązany z czynami. Nie interesowało mnie zatem to, jak wyglądał jakiś tam niemiecki żołnierz czy niemiecki żandarm, który przypadkiem znalazł się w jednostce skierowanej na teren getta, ale to, jak wyglądali Brandt, Mende, Hoefle i Globocnik. A także Szeryński, Szmerling, Lejkin. Zainteresowanie Szmerlingiem i Lejkinem przyszło jednak później i przypuszczam, że było to zainteresowanie jakby zastępcze: ponie-

waż nie mogłem się przyjrzeć Brandtowi, zastąpiłem go sobie Szmerlingiem licząc, że do tego drugiego może łatwiej dotrę. Nim zacząłem wypytywać pana Michała o wygląd Szeryńskiego i Szmerlinga, odbyłem z nim rozmowę na temat Karla Brandta. A nawet dwie rozmowy, bowiem po tej pierwszej, w czasie której niczego się nie dowiedziałem, postanowiłem — co nie było grzeczne — przycisnąć pana Michała powtórnie mając nadzieję, że przyciśnięty może sobie coś jednak przypomni.

— Niech mi pan wybaczy — to była moja pierwsza rozmowa z panem Michałem — ale ja naprawdę nic nie pamiętam. Choć on, ten Brandt, stał tuż obok mnie, nie dalej niż pan teraz, a może nawet bliżej. W pewnej chwili na pewno był bliżej. Niemal mnie dotykał. To było tak. Przepisywałem na maszynie listę piekarzy, którzy mieli dostać numerki. Wie pan, co to były numerki? Kto w czasie wrześnieowej selekcji dostał numerki, ten mógł liczyć, że jeszcze trochę pożyje. Dogadałem się z piekarzami, że do tej listy dopiszę nazwisko mojego ojca. Na to oni się godzili i ja pisząc miałem w głowie tylko jedną myśl: że muszę uratować ich oboje, nie tylko mojego ojca, także moją matkę. Zaraz po nazwisku ojca wpisałem na listę nazwisko matki i to wywołało okropną awanturę. Piekarze zaczęli krzyczeć, że to nie było uzgodnione i że to jest świństwo. Mieli oczywiście rację, bo numerków była określona ilość i z tej listy, na którą wpisałem nazwisko matki, musiało wypaść nazwisko kogoś innego. I właśnie wtedy zjawił się Brandt. Pewnie czekał na tę listę piekarzy — dlaczego właśnie na nią, tego nie potrafię teraz odtworzyć — bo podszedł do mnie i wyrwał mi ją z ręki. Lub może — tego też dokładnie nie pamiętam — wyrwał ją z maszyny. Proszę pana. To wydaje się nieprawdopodobne, ale ja nie mam pojęcia, jak on wyglądał.

— No trudno — powiedziałem. — Ja pana rozumiem. Kto znalazł się w tej odległości od Brandta co pan, ten miał pewnie jakieś pięćdziesiąt procent szans, że przeżyje.

— Nic pan nie rozumie — powiedział pan Michał. — Tu wcale nie o to chodzi. Ja go nie zapamiętałem, ponieważ on mnie w ogóle nie interesował. Brandt, wszystko jedno kto. Myślałem tylko o ojcu i matce. Co zrobić, żeby ich uratować.

— Ja wiem, że nie powinienem pana przysmuszać — to była moja druga rozmowa z panem Michałem — ale jest we mnie coś takiego, no nie wiem, co to jest, że ja go muszę zobaczyć: jakby na własne oczy. Może pan sobie jednak coś przypomni.

Ta scena z piekarzami — powiedział wtedy pan Michał — rozgrywa się w jakiejś hali. Ale nie potrafię panu nawet powiedzieć, czy to jest hala targowa czy fabryczna. Hala mniej więcej

w tym miejscu, gdzie teraz stoi Pomnik. Na pewno w pobliżu ówczesnej siedziby Gminy czyli gdzieś na Zamenhofa. 6-go albo 7-go września, w czasie tej ostatniej selekcji, kiedy Niemcy kazali stawić się między Lubeckiego a Zamenhofa tym wszystkim, którzy jeszcze wtedy żyli.

— Wszyscy ci Niemcy — powiedziałem — z Vernichtungskommando i z referatu IV B 4 też tam pewnie byli.

— Oni byli — powiedział pan Michał — niezwykle wytworni. Wyglansowane buty, białe rękawiczki. Zachowywali się jak arystokraci, którym jest naprawdę bardzo przykro, że muszą się zadawać z jakimiś zawszonymi nędzarzami.

— Mam w notatkach — powiedziałem — takie zdanie, które przepisałem sobie z „Dziennika” Abrahama Lewina. Niech pan posłucha. Gdzieś na ulicy, wśród Żydów, pojawia się jakiś młody oficer, który bije ich, nie wiem czym, pałką albo pejcem, i krzyczy: — Przez was, przeklętych, parszywych Żydów straciłem trzy lata mego życia, już trzy lata nas męczycie, wy psy. — On to krzyczał oczywiście po niemiecku, więc poprosiłem kogoś, kto zna dobrze język, żeby mi to zdanie przełożył. Po niemiecku brzmi to tak: — *Euretwegen, ihr verdammten räudigen Juden, hab ich drei Jahre meines Lebens verloren, schon drei Jahre lang quält ihr uns, ihr Hunde.* — Młody oficer. Ale to chyba nie był Brandt. Czy Brandt był młody?

— Nie wiem — powiedział pan Michał. — Bardzo elegancy, wypiełgnowani panowie. Mówię o oficerach, a nie o jakichś podrzędnych żandarmach.

— A te białe rękawiczki? — zapytałem jeszcze. — Czy Brandt też nosił białe rękawiczki?

Coś mam do tego Brandta. Jakąś sprawę. Dobrze byłoby wiedzieć, dlaczego Brandt, Hoefle, Mende tak mnie interesują. Na pewno nie z powodów literackich. Nie zamierzam sporządzić literackiego portretu Karla Brandta. Brzydzę się Brandtem, ale gdybym wpakował go do literatury, to pewnie brzydziłbym się i sam sobą. Nie jestem też zainteresowany Brandtem z powodów, które dałoby się nazwać dokumentarnymi. Nie pracuję dla jakiejś komisji ścigającej oprawców, więc nie jest moim celem sporządzenie dokumentacji zbrodni. A zresztą wygląd Brandta czy kogoś w tym rodzaju — dzisiaj, kiedy Brandt niemal na pewno już nie żyje — nie jest koniecznym elementem takiej dokumentacji. Nie liczę też na to — więc i to nie jest powodem mojego zainteresowania wyglądem morderców — że z twarzy, z opisu twarzy Brandta czy Szeryńskiego dałoby się odczytać motywy ich działań. Twarze morderców zwykle niewiele mówią — albo i nic nie mówią — o ich intencjach. Motywy są zresztą dość dobrze znane,

ponieważ najwięksi bandyci tego wieku — Hitler i Stalin — zajmowali się także pisaniem książek, w których wykładali swoje bandyckie idee. Sprawy motywów nie należy zresztą zbyt komplikować — wciągając na przykład do rozważań Naphtę, tego z „Czarodziejskiej góry” — co się często zdarza ludziom o umysłach liberalnych, a szczególnie tym, którzy nie doświadczyli na własnej skórze efektów bandyckiej ideologii. To było dość proste: motywy bandytów są na poziomie bandytów.

Więc dlaczego chcę wiedzieć, jak wyglądał Brandt? Jego oczy, usta, włosy, palce. Także jego mundur: baretki orderowe, dysfunkcje. Także jego czapka: Niemcy wyginali czapki na kilka łatwych do odróżnienia sposobów. Jak powiedziałem: powód, dla którego mnie to interesuje, nie jest dla mnie całkiem jasny. Ale odpowiedź mogłaby być mniej więcej taka. Brandt czy Mende są — mogliby być — upostaciowaniem czy skonkretyzowaniem tej potworności, która pojawiła się między ludźmi w pierwszej połowie naszego wieku. Nie wiem, czy to jest dobre słowo: potworność. Ale nie znajduję innego, które mogłoby lepiej opisać to, o co mi chodzi. Kiedy próbuję sobie to coś — właśnie tę potworność — jakoś wyobrazić czyli jakoś ucieleśnić, widzę rodzaj plazmy, która rozprzestrzenia się i zatapia, pochłania, połyka. To jest plazma — natura jej jednak duchowa, nie cielesna — która wdarła się do umysłów, opanowała je i spowodowała ich sekretną mutację, żywiąc się tym, kancerując to, co niegdyś było współczuciem, litością, miłością. Plazma — w stanie mniej więcej skonkretyzowanym — zastężyła w książkach wielkich bandytów tego wieku. Ale miała ona też swoje ludzkie — jeśli to jeszcze było ludzkie — upostaciowania. Pewnie dlatego chciałbym wiedzieć, jak wyglądał Untersturmführer Karl Georg Brandt, szef referatu IV B 4 (sprawy żydowskie) w urzędzie dowódcy Sicherheitspolizei i SD dystryktu warszawskiego: cielesna forma duchowej plazmy tego wieku.

Ta plazma to było coś olśniewająco nowego. Ci, którzy się z tym spotykali w roku 1942 czy 1943, chyba nie byli tego w stanie pojąć, a jeśli nawet to już pojmowali, to nie znali słów, przy pomocy których dałoby się to nowe opisać. Używali wobec tego takich słów, które od wieków były stosowane do opisu łotrów, zbójców i zbrodniarzy. Wracam na chwilę do Szmerlinga. „Twarz zbójcy”. „Zbrodnicy olbrzym”. „Przystojny sadysta”. Banalne epitety poświadczające, że tym, którzy na to patrzyli, brakowało słów, żeby uchwycić tę olśniewającą nowość. Można by wysunąć tu jeszcze taki domysł: ci patrzący widzą, że to jest coś, z czym ludzie jeszcze nigdy się nie zetknęli, ale ta myśl wydaje im się tak nieprawdopodobna, że nie chcą jej przyjąć i

odsuwają ją od siebie. A odsuwają lokując to, z czym się zetknęli — lokując właśnie przy pomocy tego banalnego języka — wśród dających się łatwo zrozumieć bowiem dobrze im znanych z doświadczenia fenomenów przeszłości. Brandt opisywany jest w relacjach z warszawskiego getta zazwyczaj mniej więcej w ten sam sposób co Szmerling. Ten sam język, który przemienia Untersturmführera w tradycyjnego zbójcę czy zbrodniarza. Noemi Szac-Wajnkrantz — „Przemineło z ogniem”, Warszawa 1947 — zobaczyła go, gdy podjechał samochodem do kolumny, w której szła na Umschlagplatz: „jego wyłupiaste oczy rzucają błyskawice”. W reportażu Władysława Szlengla — „Co czytałem umarłym” — Brandt jest „siny i wściekły”. Henryk Nowogródzki natknął się na Brandta w czasie wielkiej likwidacji w pobliżu budynku na Zamenhofs 19, gdzie mieściła się Gmina: „Twarz przekrzywiona sadystycznym uśmiechem”, „wątrobiane worki pod złymi oczami”, „grająca żyła na skroni”. Chyba nieco wierniej — można by rzec: z nieco większym realizmem — przedstawił wygląd esesmanów w krótkich, jednozdaniowych charakterystykach Henryk Makower. Brandt: „otyły człowiek o twarzy rzeźnika”. Mende: „ładny mężczyzna o łagodnej twarzy”. I jeszcze raz Brandt: „Opasła, ordynarna morda Brandta, świdrującego przechodzących małymi oczkami”. Ale i w relacji Makowera Untersturmführer przeprowadza kontrolę czy selekcję „bawiąc się pejcem”: czyli zachowuje się akurat tak, jak powinien się zachowywać taki cyniczny zbrodniarz. Wiarygodność tych opisów jest zresztą, jak widać, dość wątpliwa: miał małe oczka czy wyłupiaste oczy?

To, że Brandt jest w relacjach siny z wściekłości i że sadystycznie się uśmiecha — czyli że w istocie go nie ma, bowiem zostaje przemieniony w postać konwencjonalną — można by wytłumaczyć jeszcze tak: ta potworność, która pojawiła się w pierwszej połowie naszego wieku, ucieleśniając się nie powodowała żadnych zmian zewnętrznych. Przemianie ulegało tylko wewnątrz człowieka, ale ta przemiana nie odbijała się na jego wyglądzie. I w tym wyglądzie nie można było wobec tego dostrzec niczego, co świadczyłoby o takiej właśnie przemianie. W zewnętrznym wyglądzie Brandta, który był wewnątrz przemieniony — plazma — mogło więc nie być niczego szczególnego. Wyłupiaste oczy i wątrobiane worki pod oczyma miewają także zwykli, przyzwoici ludzie. Kimś przyzwoitym może być także taki, co ma twarz rzeźnika. Czesław Miłosz, kiedy pisał „Traktat moralny” — rok 1947 — był w tej kwestii innego zdania. Uważał, że to, co nazywał „skutkiem naciskania lawin” na systemy etyczne, powoduje zmiany w wyglądzie zewnętrznym: „Wykrój powiek — pisał — Mają nie ten, co zwykły człowiek”. I wspominał jeszcze o „męt-

nym owadnim błysku” w oczach gestapowców. Przenikliwa obserwacja, bowiem tych, którzy byli ucieleśnieniem plazmy, najłatwiej było chyba rozpoznać — przynajmniej w czasie tamtej wojny, bo potem to się trochę zmieniło — po oczach. W relacji Adiny Błady Szwejger — „Krótka historia Szpitala im. Bersonów i Baumanów” — czytamy: „wszedł taki gestapowiec, jak z obrazka, bo między nimi byli tacy piękni chłopcy, tylko oczy mieli z kawałka lodu”. Potem ten z oczyma z kawałków lodu przystawia pistolet do głowy autorki tej relacji i mówi „że on wcale nie chce, ale *Befehl ist Befehl*”. Co po chwili okazuje się tylko żartem: strzał nie pada. Jestem w tej sprawie tego samego zdania co Miłosz: to znaczy uważam, że plazma jest — może być — rozpoznawalna, ponieważ ma swoją szczególną zewnętrzną. Sprawa może się wydawać dość błaha: czy to wreszcie ważne, co kto ma na twarzy? Pytanie sformułowane trzydzieści lat temu przez Miłosza — „Jak ich rozpoznać?” — nie wydaje mi się jednak błahę. Plazma ucieleśnia się nadal i prawdopodobnie będzie się ucieleśniać w przyszłości: ten obrzydliwy wiek jeszcze się nie skończył. Dobrze jest wiedzieć, z kim się obcuje: z normalnym człowiekiem czy z kimś, kto jest ucieleśnieniem plazmy. Nauka rozpoznawania nie jest łatwa, ponieważ często bywa to zamazane, rozmazane. Jak na tym zdjęciu, które może przedstawia fragment Umschlagplatzu: twarz tego, który właśnie robi krok na środku jezdni, nad rynsztokiem. Ale nie wiadomo, czy to Szmerling, ponieważ ta twarz jest zamazana.

Napisałem — opierając się na informacji, którą uzyskałem w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego — że pamiętnik Calela Perechodnika jest prawdopodobnie jedynym znanym zapisem mówiącym o tym, co wydarzyło się w getcie otwockim. Okazało się, że jest inaczej. Perechodnik był zapewne — i właśnie tak powinienem był to ująć — jedynym pamiętnikarzem getta otwockiego. Ale ktoś, komu opowiadałem o wydarzeniach w Otwocku, zwrócił moją uwagę na to, że istnieje jeszcze jeden tekst, w którym wydarzenia te zostały opisane: z innej wszakże perspektywy, bowiem przez kogoś, kto znajdował się po drugiej stronie drutów. Tekst wydrukowany został w miesięczniku „Twórczość”: zeszyt 1, styczeń 1947. Autorem jego jest znany reżyser Edmund Wierciński, który w roku 1942 mieszkał w Otwocku i — jak przypuszczam — właśnie wtedy spisał swoją relację. Jej tytuł: „Gałązki akacji”. Godne uwagi — bo chyba znaczące — są losy relacji Wiercińskiego. Przeczytałem wiele polskich relacji mówiących o dziejach Żydów w latach wojny i

uważam, że ta Wiercińskiego jest jedną z najważniejszych: może nie tyle ze względu na to, o czym jest w niej mowa, ile ze względu na jej tonację. Wierciński opowiada o dziejach żydowskich akurat tak jak — moim zdaniem — wolno o nich opowiadać komuś, kto był tylko obserwatorem. Czyli tak jak powinni o nich opowiadać Polacy. Relacja jest wstrzemięźliwa, konkretna, spokojna. Jest w niej ból i gniew — zwrócony przeciw współrodakom korzystającym z żydowskiego nieszczęścia — i wyrażone są one tak, jak godzi się je wyrażać: żadnych wrzasków. Przypuszczam, że za pięćdziesiąt czy sto lat, kiedy działalność teatralna Wiercińskiego zostanie zapomniana, będzie on pamiętany jako autor tych kilkunastu stron. A jednak od czterdziestu lat „Gałązki akacji” spoczywają zagrzebane w starych rocznikach „Twórczości”. Przez te czterdzieści lat pewnie mało kto ten tekst przeczytał. Nazwiska Wiercińskiego nie ma nawet — choć „Gałązki akacji” mówią przecież o stosunku Polaków do Żydów — w indeksach i spisach słynnej książki Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny „Ten jest z ojczyzny mojej”. Świadcstwo tak ważne powinno być chyba przypomniane: choćby po to, żebyśmy mogli stwierdzić, czy przez czterdzieści lat coś się w nas zmieniło. Jeśli nie jest przypomniane, to chyba coś to znaczy. Może tak naprawdę to my wcale nie chcemy pamiętać? I nie o tym — nie to mam na myśli — co wydarzyło się tutaj naszym Żydom, ale o tym, co wydarzyło się nam, którzy patrzyliśmy. Może właśnie o tym — czyli o nas samych — wolelibyśmy zapomnieć?

Relacja Wiercińskiego pozwala rozstrzygnąć sprawę dwóch gett w Otwocku. „Wygoniono Żydów z sanatoriów i popędzono do właściwego getta”. Było więc getto właściwe — w innym miejscu Wierciński mówi o „wytoczonych kolczastym drutem granicach getta” — i był teren sanatoryjny, teren żydowskich sanatoriów, który jednak, w odczuciu Wiercińskiego, do getta nie należał. Ten teren nie był ogrodzony lub był ogrodzony tylko częściowo: „Znalazłem się nieoczekiwanie wśród ładnych domów i will na falistym leśnym terenie. Byłem zdumiony odkryciem takiego zakątka w brzydkim miasteczku”. Z „Gałązek wakacji” wynika, że nie tylko Żydzi mieszkający w sanatoriach, lecz także ci, którzy mieszkali w getcie właściwym, mogli się — do dnia likwidacji — dość swobodnie poruszać: getto było odrutowane i zamknięte, ale wyjście za druty nie było, jak się zdaje, połączone ze zbyt wielkim ryzykiem. Likwidacja — to już wiem — rozpoczęła się 19 sierpnia. Calel Perechodnik pierwszy samochód z Ukraińcami zobaczył przy szlabanie karczewskim o siódmej rano. Pokojówka, która przyniosła Wiercińskiemu śniadanie, poinformowała go, że Niemcy weszli do getta już w nocy: „O trzeciej gestapo zaczęło

opróżniać getto”. Na podstawie „Gałązek akacji” można dość dokładnie odtworzyć przebieg najważniejszych wydarzeń tego dnia. Dzień był niezwykle upalny: „Niebo bez jednej chmurki, słońce, nieruchome gałęzie drzew. Dzień wstawał duszny i upalny”. I w innym miejscu: „Upał wzrastał się z godziny na godzinę. Powietrze było parne, słońce leniwie pełzło po niebie, osłabione żarem, spocone, blade od gorąca”. Kiedy o drugiej po południu Wierciński szedł na dworzec, getto nie było jeszcze całkowicie opróżnione. Słychać tam było strzały, a w kierunku miejsca koncentracji — można je nazwać otwockim Umschlagplatzem — szły kolumny Żydów. Pociąg — pięćdziesiąt wagonów — nie był jeszcze podstawiony. Z okna żółto-niebieskiej kolejki Wierciński dostrzegł tylko jeden wysypany wapnem wagon stojący na bocznym torze. O tej porze koncentracja już się jednak zapewne kończyła, bowiem na plac w pobliżu dworca doprowadzano także pojedynczych Żydów, prawdopodobnie wyłapywanych w opróżnionych rejonach getta.

Oto opis otwockiego Umschlagplatzu widzianego z okna żółto-niebieskiej kolejki: „Nieduży placyk o paręset metrów od stacji zalegał tłum Żydów: Siedzieli na ziemi w ciasnym czworoboku, równo uszeregowani rzędami. Nieruchomo i w zupełnym milczeniu patrzyli na mijający ich pociąg. Przed pierwszym szeregiem stała w niedbałej dziecinnej pozie mała dziewczynka i wyciągała rączkę do pogrążonej w bezruchu matki. W drugiej trzymała lalkę. Słońce wylewało gęsty żar wprost na głowy siedzących. Na całym placu nie było ani jednego drzewa, które by dało upragniony cień. (...) Bliżej toru, w cieniu kilku sosen, stał drugi mahoniowy stół, przy którym wygodnie rozsiedli się żołnierze. Żywo gestykulowali, śmiali się głośno, obcierali pot z czerwonych opalonych twarzy i gasili pragnienie pieniącym się piwem. Butelki stały na stole, leżały w nieładzie na wyschniętej trawie”. Ładowanie, jak wynika z „Gałązek akacji”, trwało przez całe popołudnie i skończyło się późnym wieczorem. Wierciński wrócił do Otwocka koło siódmej. Między dworcem kolejowym a Umschlagplatzem stał wtedy pociąg złożony z pięćdziesięciu dwóch wagonów. Dwa — pierwszy i ostatni — były osobowe. Pozostałe wagony — towarowe — ponumerowane były kredą: od 1 do 50. „Połowa wagonów — czytamy w relacji — była jeszcze pusta”. Co pewien czas lokomotywa ruszała i pociąg przesuwiał się o kilka metrów. Oznaczało to, że załadowany został jeszcze jeden wagon i że zaczyna się ładowanie następnego. Późnym wieczorem wokół pociągu — prawdopodobnie już po jego załadowaniu — rozpalono ogniska i wystawiono posterunki. Ładowanie odbywało się w całkowitym milczeniu, ale kiedy zapadł mrok, ci

w wagonach zaczęli wprzód szeptać, a potem krzyżeć: — Wody. — Posterunki i ogniska były po to, żeby uniemożliwić podawanie wody przez odrutowane — drut kolczasty — okienka wagonów. Pociąg odjechał w nocy. Wierciński nie podaje godziny. Píše tylko, że wyszedł do ogrodu i siedząc na ławeczce — księżyc, cykanie świerszczy i zapach akacji — usłyszał gwizd lokomotywy i oddalający się turkot wagonów.

Dalszy ciąg „Gałązek akacji” opowiada o tym, co działo się w Otwocku przez kilka następnych dni. Wyłapywanie ukrywających się Żydów, egzekucje na terenie getta, grzebanie rozstrzelanych. Getto było strzeżone przez żydowskich policjantów, niezbyt jednak dokładnie, więc nie przeszkadzało to polskim sąsiadom w rabowaniu tego, co pozostawili im żydowscy sąsiedzi. „Ludzie przebiegali w pośpiechu i jakby ukradkiem. Na plecach dźwigali olbrzymie toboły. Uginali się pod ciężarem zawiniętych w prześcieradła lub kolorowe obrusy poduszek, kołder, materaców i odzieży. W rękach nieśli dziwne przedmioty: lampy, kryształowe wazony, gipsowe figurki, dziecinne zabawki, walizy — stare, obszarpane, i eleganckie, skórzane. Złani potem, z niespokojnie zerkającymi oczami wyglądali jak objuczone ponad miarę mrowki, które ratują skarby zburzonego mrowiska”. Wierciński opisał kilka takich scen. Rozmawiał też z tymi, którzy rabowali. Ich odpowiedzi na pytanie, dlaczego to robią: — A co ja tam ukradłem. — Może to i lepiej, że rzeczy się nie zmarnują. — To wszystko jest nasze. My pracowaliśmy na nich. — Ktoś jednak powiedział: — Oni po prostu rabują. — A ktoś inny: — Nie mają wstydu. — Ważniejsze od tego opisu okradania jadących na śmierć sąsiadów — ważniejsze w jakim sensie? chyba w takim, że jest to coś, co jest ważniejsze dla naszej pamięci czyli coś, co przede wszystkim powinniśmy zachować w pamięci — więc ważniejsze w relacji Wiercińskiego wydaje mi się kilka zdań dotyczących tego, co działo się w Otwocku w dniu likwidacji. Żółtoniebieska kolejka, do której wsiadł Wierciński, mija otwocki Umschlagplatz, Żydów siedzących rzędami i Niemców pijących piwo przy mahoniowym stole i przejeżdża przez most nad rzeczką, która nazywa się Świder. Dzień, przypominam, jest bardzo upalny. „Po paru minutach przejeżdżaliśmy przez most nad rzeczką. Setki kobiet, mężczyzn i dzieci brodziły w barwnych kąpielowych kostiumach po płytkiej wodzie, wylegiwały się na plażach lub w cieniu nadbrzeżnych drzew. Wokół sprzedawców lodów i kwasu stały gromadki zgrabnych, ładnie opalonych chłopców i dziewcząt. Twarze pasażerów, zmęczonych dusznym mimo otwartych okien powietrzem, zaczęły się powoli wypogadzać. Ktoś rzucił jakiś żart, odezwały się nieśmiało jeszcze śmiechy”. Wierciński

nie daje komentarza i oczywiście nie należy tego komentować. Może warto tu tylko przypomnieć — mowa jest o tym samym — tę karuzelę, która kręciła się na Placu Krasińskich w kwietniu 1943 roku i którą Czesław Miłosz opisał w wierszu „Campo di Fiori”. Wiele osób pamięta tę karuzelę, stojącą tuż pod murem warszawskiego getta. Została ona także sfotografowana, choć akurat w chwili, gdy była nieczynna. Plaża nad Świdrem jest nieco mniej znana. Ale i o niej dobrze jest pamiętać.

Z „Gałązek akacji” wyjmuję jeszcze informację, a właściwie kilka informacji dotyczących szefa otwockiego Gestapo, który nazywał się Schlicht. W relacji Wiercińskiego ten Schlicht występuje jako pan S.: „Wyłapywano też ukrywających się w okolicy. Szef miejscowego Gestapo, pan S., prowadził sam kolumny pochwyconych zbiegów”. Wierciński zostawił nam dość dokładny opis Schlichta. Tego otwockiego funkcjonariusza trudno oczywiście porównywać — z pewnością znacznie niższa ranga — z Brandtem czy Hoeflem. Przypadek — w tym wypadku przypadek nazywał się Wierciński — sprawił, że wiemy o nim znacznie więcej, niż o tamtych dwóch. Z czego wynika, że pamięci nie da się ująć jako sposobu czy narzędzia wymierzania sprawiedliwości: pamięć nie jest sprawiedliwa. Stukamy do jakichś drzwi, otwierają się jakieś inne. Dobrze, że w ogóle coś się otwiera. Wierciński określił Schlichta jako „figurkę w zielonkawym mundurze”: przypominał mu pająka. Bładoszara twarz, żółtawe zęby. „Był to człowiek niepozorny — czytamy w „Gałązkach akacji” — szczupły i niski. Nosił czapkę z czarnym otokiem, zielonkawy mundur z czarnymi patkami SS, wysokie czarne buty na krzywych nogach i grubą szpicrutę w obrośniętej rudawym meszkiem pięści”. Schlicht jeździł po Otwocku powozem na gumowych oponach. Powóz — na koźle furman w cywilnym ubraniu — zaprzężony był w parę białych koni. Na podstawie relacji Wiercińskiego można ustalić miejsca, w których Schlicht najczęściej był widywany. Te otwockie miejsca Schlichta to dworzec kolejowy — Schlicht stoi za plecami kontrolera odbierającego bilety i przygląda się przyjezdnym — restauracja znajdująca się w pobliżu bazaru — tam stoi na schodkach i zaprasza kogoś do środka — oraz ogródek nowoczesnej, żółtokremowej willi. Najlepiej wyobrazić go sobie w tym ogródku: karmi właśnie liśćmi kapusty białe króliki, które trzyma tam w klatkach. Według Wiercińskiego — tego nie można być jednak całkiem pewnym, bowiem wygląda to na powtarzaną w Otwocku plotkę — przed wstąpieniem do SS Schlicht był krawcem w jakimś miasteczku pod Berlinem.

— O tu się zatrzymaj — mówię i Hania zjeżdża na pobocze i zatrzymuje czerwone Renault przed nowoczesną — lata trzy-

dzieste naszego wieku — willą. Willa — oddzielona od ulicy siatką i żywopłotem — jest piętrowa, otynkowana żółtym terra-zytem. Żywopłot — krzaki akacji — chyba niedawno został bardzo porządnie przycięty na wysokości siatki. W ogrodzie przed willą — też bardzo porządnie utrzymanym — nie ma nikogo. Nikogo poza nim, bo widzę go tuż przy tym akacyjnym żywopłocie: stoi na stołku albo na drabince — żółtobrazowa koszula, zawinięte rękawy, czarny krawat z rozluźnionym węzłem — i wymachując sekatorem przycina żywopłot. — Mnie się wydaje, że to może być ta willa.

— Jaka willa? — pyta Hania.

— Ta willa, w której on mieszkał — mówię. — Nowoczesna, piętrowa, krzaki akacji. Wierciński opisał go stojącego w oknie takiej willi. Gdzieś w pobliżu powinna być figura Matki Boskiej z napisem: Grzesznych korono, smutnych obrono. Wejść i zapytam.

— Chyba oszalałeś — mówi Hania. — O co zapytasz? — Czy tutaj mieszkał gestapowiec Schlicht? — Albo: — Czy państwo pamiętają gestapowca Schlichta? — Wyrzucą cię za drzwi. Te krzaki akacji nie mają zresztą więcej niż kilka czy kilkanaście lat. Tynk też jest nowy. Tynkowali dwa albo trzy lata temu. A nawet jeśli on tu mieszkał, to co z tego? Czy to ważne, gdzie on mieszkał? W jakiejś willi, z której wygnali Polaków.

— Ale jeszcze nie odjeżdżaj — mówię. — Gdybym tam wszedł, to mógłbym go sobie wyobrazić. Jak schodzi po schodach albo jak siedzi w kuchni i pije herbatę. Łokcie na ceratowym obrusie w błękitną kratę. Jak przyjechalismy do Łodzi w 1945, to wprowadziliśmy się do takiego domu, w którym przed nami mieszkali łódzcy gestapowcy. W kuchni na stole był ceratowy obrus. Błękitna krata i błękitne kwiaty.

— Ja cię nie rozumiem — mówi Hania. — O co ci właściwie chodzi? Co ci z tego przyjdzie, że umiejscowisz sobie jakiegoś Schlichta?

— Ja też tego nie rozumiem — mówię. — To jest rodzaj nakazu, oczywiście wewnętrznego, ale sens tego nakazu jest dla mnie niejasny. Mam zobaczyć pewne miejsca i mam je opisać tak, żeby ci, którzy będą czytać, też je zobaczyli. Ale dlaczego te, a nie inne miejsca? I dlaczego te miejsca w ogóle mają być zobaczone, opisane? Co komu z tego przyjdzie, że zobaczy, że wyobrazi sobie — czytając, co ja napisałem — willę, w której mieszkał gestapowiec Schlicht? Tego nie wiem. I zauważ, że chodzi mi tu o takie miejsca, to znaczy ten dziwny nakaz dotyczy takich miejsc, które można by określić jako bardzo nieprzyjemne, a nawet jako zhańbione czy spódlone miejsca. Nie zależy

mi — i także nie wiem, dlaczego — na opisanie na przykład tego miejsca na Miłej, gdzie znajdował się bunkier Anielewicza. Albo tego miejsca — chyba róg Twardej i Prostej — gdzie był wylot kanału, którym w maju 1943 wyszli z getta ci, co ocalili. Marek Edelman i jego koledzy z ŻOB-u. Mógłbym te miejsca opisać, bowiem — kiedy patrzy się okiem historyka — wydaje się to bardzo ciekawe: jak to wyglądało wtedy i jak wygląda teraz, po czterdziestu kilku latach. Ale nakaz — gdy chodzi o takie miejsca, w których wydarzyło się coś, co może być określone jako heroiczne — nie działa: interesuje mnie to, ale niech ten opis wykona ewentualnie ktoś inny. Jest w tym coś — już nie w tych miejscach, lecz w tym nakazie, w samej istocie tego nakazu — nieprzyjemnego. Coś, co jakby mnie poniżało. Opisz, skonkretyzuj, pokaż innym — mówi ten nakaz — to miejsce w pobliżu otwockiego dworca, gdzie stały wysypane wapnem wagony. To miejsce, gdzie był otwocki Umschlagplatz, gdzie oni siedzieli rzędami, gdzie stał ten mahoniowy stół, przy którym Niemiecy żołnierze pili piwo. To miejsce, gdzie przechodzili przez parkan ci sąsiedzi Żydów wynoszący z getta kołdry, poduszki, lampy, cukiernice.

— To powiedz mi — mówi Hania i wyprowadza czerwone Renault na asfalt, żółta willa i ładnie przycięty żywopłot zostają za nami i jedziemy teraz w kierunku dworca czyli w kierunku mahoniowego stołu i pięćdziesięciu wysypanych wapnem wagonów — to powiedz mi, co jest dla ciebie ważniejsze i czy ty w ogóle masz to zhierarchizowane. To znaczy czy to jest w tobie zhierarchizowane. Ale powiedz uczciwie. Co jest ważniejsze: bunkier na Miłej 18 czy bocznicą na Stawkach? Jak ty to odczuwasz?

— Bocznicą — mówię. — Bocznicą jest znacznie ważniejsza. Ale dlaczego bocznicą jest ważniejsza?

— Ja też to tak odczuwam — mówi Hania. — Bocznicą jest ważniejsza, ponieważ to, co wydarzyło się w bunkrze Anielewicza, nie było czymś nowym: to wydarzyło się ludziom już wiele, wiele razy. To, co wydarzyło się na bocznicę, nie wydarzyło się przedtem nigdy i nikomu.

— Charakter tego nakazu — mówię — jest więc taki: chodzi tu o wystawienie takich pomników, które byłyby godnymi pomnikami naszej epoki. Rampa i tory pomiędzy Dziką a Stawkami. Ścieżka, którą szli z ukradzionymi z getta kołdrami, poduszkami. Polna droga, na której leżeli pilnowani przez konnego żandarma czekającego na chłopca z nabojami. Plaża nad Świdrem, gdzie opalali się, jedli lody, kiedy w niewielkiej odległości zabijano ich sąsiadów. Jedyne pomniki.

— Chcesz wracać do Warszawy? — pyta Hania. — Czy masz tu jeszcze coś do obejrzenia?

— Zatrzymaj się przed dworcem — mówię. — Chcę znaleźć miejsce tego chrześcijańskiego chłopca w białych skarpetkach. To miejsce na wysokim peronie. Gdzie stałem przed czterdziestu pięciu laty.

Z tekstu Edmunda Wiercińskiego przepisuję jeszcze jedną informację. Mówi ona o tym, co działo się po likwidacji getta w Otwocku. „W okolicznych laskach — pisał Wierciński — widziano przez kilka dni kryjówki dziecięce. Małe dołki, wykopane w ciepłym piasku i przykryte gałązkami akacji. Niektórzy przechodnie rzucali jedzenie na gałązki akacji, a w nocy mieszkańcy dołków skradali się do pobliskich studni”. Następnie Wierciński opisuje różowe plakaty, które rozlepiono wtedy na ulicach Otwocka. Różowe plakaty — podpisane: Der Kreishauptmann in Warschau — informowały, że udzielanie Żydom schronienia podlega karze i nakazywały zawiadamianie policji lub żandarmerii o miejscu pobytu tych, którym udało się zbiec z getta. Komentarz — właściwie tylko pytanie — Wiercińskiego: „Czy zawiadomił kto policję, żandarmerię i policję kryminalną, że miejscem pobytu dzieci, które oddaliły się bezprawnie z żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej, są małe dołki przykryte gałązkami akacji?”.

— Tutaj — mówi Jacek i parkuje żółtego Fiata combi na Dzikiej, między stacją benzynową a piętrowym pawilonem handlowym wykonanym z karbowanej niebieskiej blachy. W tym pawilonie są następujące sklepy: sklep z artykułami gospodarstwa domowego — talerze i proszki do prania — sklep z galanterią, sklep Ruchu — papierosy i gazety — sklep z ciastkami zwany Camargo i duży spożywczy Sam. Są jeszcze jakieś sklepy na pierwszym piętrze — wchodzi się po znajdujących się na zewnątrz schodach — ale tam nie byłem. Z daleka pawilon wygląda nawet dość korzystnie, z bliska akurat tak jak wszystkie inne pawilony handlowe w moim kraju: tu coś odpada, tam coś odłazi, tu coś pęka.

— Wpierw — mówię — pójdziemy od frontu, wzdłuż Stawek. A potem poszukamy tego miejsca, gdzie była rampa i gdzie podstawili wagony.

Idziemy wzdłuż Stawek to znaczy wzdłuż tego budynku, w którym wtedy był szpital dziecięcy, a teraz jest kilka szkół zawodowych i dyrekcja bazy PKS-u. Bardzo okazały budynek: wygląda na to, że został zbudowany w końcu lat dwudziestych lub na początku lat trzydziestych. Dwa wejścia od frontu. To, które można by nazwać głównym czy centralnym — wydaje się jednak, że jako wejście główne używane jest teraz to boczne, bowiem

tam umieszczone są tablice z nazwami szkół — więc dawne wejście główne wygląda tak: drzwi z deseczek pomalowanych brązoczerwoną farbą, w nich dwa podłużne okienka, a w jednym z okienek część szyby jest wybita. Ale drzwi są pewnie powojenne.

— To jest to wejście — mówię — przy którym stali żydowscy policjanci pilnujący, żeby ci z Umschlagplatzu nie przechodzili z budynku archiwum do budynku szpitala. Ale gdzie, twoim zdaniem, stał budynek archiwum i gdzie była ta żelazna brama wychodząca na Stawki? On powinien przylegać do budynku szpitala, ale jeśli przylegał, to od której strony? Od strony stacji benzynowej czy od strony bazy PKS-u?

Od strony bazy w szczytowej ścianie budynku szpitala są okna, które chyba zawsze tam były. Kto stanie w którymś z tych okien, będzie miał widok na teren zajmowany przez PKS. Dalej jest mur — cegły kryte pobielonym tynkiem — i wartownia bazy.

— Chodzi ci — pyta Jacek — o ten budynek, w którym ich trzymali? On musiał być mniej więcej tam, gdzie stacja benzynowa. Tam gdzie ta tablica pamiątkowa. A ten mur, za którym jest baza, mógł wtedy tutaj stać. Wygląda mi na to, że to jest stary mur. Przyjrzyj mu się. Otynkowano go po wojnie, ale to nie są powojenne cegły.

— Czterdziestoletni mur — mówię — ma prawo wyglądać jak mur stuletni. Mogli go postawić, kiedy ulokowali tutaj tę bazę.

— Te tory tramwajowe — mówi Jacek. — Myślisz, że te tory też są powojenne? W czasie wojny tramwaje na pewno przez Stawki nie jeździły. Ale może to jest jakaś przedwojenna linia.

— To łatwo sprawdzić — mówię — na przedwojennym planie linii tramwajowych. Mam taki plan w domu. Z 1938. Bardzo ładny plan. Linie tramwajów są czerwone, a autobusów granatowe. Ale wydaje mi się, że właśnie w tym miejscu, gdzie są te tory, stał wtedy mur oddzielający Umschlagplatz od getta. Mur wzdłuż Stawek, mniej więcej do tego miejsca, gdzie Dzika łączyła się w Zamenhofa czy przechodziła w Zamenhofa. Tam narożnik muru i dalej mur w kierunku północnym, wzdłuż Dzikiej.

— To znaczy, że granica — mówi Jacek — szła środkiem jezdni. A Umschlagplatz znajdował się już poza gettem.

— Mniej więcej tyle — mówię — wynikałoby z tego planu getta, który jest w książce Kermisza o powstaniu w 1943. Opis jest po hebrajsku, ale poznałem pewnego miłego hebraistę, który mi to przetłumaczył. To jest zresztą dość jasny plan i gdy go się porównuje z planami Warszawy, to widać wyraźnie, jak to wy-

glądało. Ale może mur był trochę dalej, a tam gdzie są tory, siedział wtedy Szmerling.

Jakoś trudno idzie mi ta rozmowa z Jackiem, bo cały czas — dość dziwne, jak na pięćdziesięciodwuletniego mężczyznę, uczucie — chce mi się płakać i najchętniej usiadłbym na środku jezdni i ukrył twarz w dłoniach. Tam gdzie siedział Szmerling. Opanuj się, kretynie. Masz pięćdziesiąt dwa lata i jesteś tu po to, żeby dać świadectwo czyli opisać, jak to teraz wygląda.

— Pani nas wpuści — mówi Jacek do małej siwowłosej kobiety — bardzo blada twarz — siedzącej w wartowni bazy PKS-u. — Tu gdzieś powinny być tory. Może jeszcze są. Wie pani, ta bocznicza i rampa, na której oni ładowali Żydów. Chcielibyśmy zobaczyć, czy coś tam zostało.

— Jak ja panów wpuszczę — mówi siwowłosa kobieta — to mnie polecą po premii. Niech panowie idą do dyrektora technicznego. W tym baraku i z korytarza na lewo.

Ale dyrektora technicznego nie ma w baraku, który stoi między wartownią a budynkiem szpitala i nie udaje się nam wejść na teren bazy, aby sprawdzić, czy coś tam zostało. Kiedy wychodzimy, wkładam głowę w okienko, za którym siedzi siwowłosa kobieta:

— Ładowali tu Żydów — mówię. — Wie pani.

— Wiem — mówi kobieta. — Poleciliby mi po premii. Ale mnie się zdaje, że to było tam, gdzie stacja benzynowa. Albo trochę dalej, tam gdzie te domy.

— Te baraki — mówi Jacek, kiedy wzdłuż budynku szpitala idziemy w kierunku stacji benzynowej — wyglądają mi na jakieś składy, które już wtedy tu stały. Mogły tutaj stać.

— Taka bocznicza — mówię — to było pewnie kilka albo i kilkanaście par torów. Kilka albo kilkanaście ramp czy peronów. Mogło być tak, że tu, gdzie jest ta baza i te baraki, była placówka Transferstelle i ładowano tu jakieś towary, mundury dla Wehrmachtu czy coś w tym rodzaju, no w każdym razie coś, co produkowano w getcie, a tam, gdzie stoją te szare bloki, odbywało się właśnie to, co się odbywało.

— Zrobię zdjęcie — mówi Jacek — stacji benzynowej i tej tablicy. Stań tak, żebyś na nim wyszedł. Wydaje mi się, że to podwórze, na którym ich trzymano, było właśnie tutaj.

— Raczej trochę dalej — mówię — za budynkiem szpitala. Tam są jakieś wejścia od tyłu, kilka wejść. W jednym z nich stała ta pielęgniarka, której Leokadia Schmidt oddała dziecko. Patrz, są kraty w oknach i ona o tych kratkach wspomina.

— Kraty — mówi Jacek — na pewno są przedwojenne. Teraz montuje się w oknach inne kraty.

Jacek staje na jezdni — róg Stawek i Dzikiej — a ja na tle stacji benzynowej. Zdejmuję kapelusz, ponieważ jakoś niezręcznie jest stać tutaj w kapeluszu. Ale zaraz przychodzi mi do głowy, że może — ze względu na Żydów — powinienem włożyć kapelusz: jesteśmy w Największej Synagodze na kuli ziemskiej. Moja następna wtedy myśl: ta Synagoga, należąca do Żydów, należy nie tylko do nich. To jest nasza wspólna Synagoga: Żydów, chrześcijan, wszystkich. Umowa, która została w niej zawarta w lipcu 1942 roku i która anulowała tę poprzednią, zawartą kilka tysięcy lat temu, dotyczy nas wszystkich. Zawarto ją z nami wszystkimi. Kopuła tej Synagogi: szare obłoki ciągnące ze Śródmieścia na Żoliborz.

— Przejdźmy tędy — mówi Jacek. — To właśnie tu stały dwa betonowe słupki. Byłem tu z Marysią w sześćdziesiątym którymś i wtedy można jeszcze było te słupki oglądać.

— To znaczy — mówię — że właśnie tutaj była brama, zasieki z drutu kolczastego, wacha. Tędy ich pędzono. Gdzieś tutaj stał przez sześć tygodni Marek Edelman. Właśnie tutaj. Gdzie ty teraz stoisz.

Gdzie były słupki, brama, wacha i zasieki, jest niezbyt szerokie przejście między terenem stacji benzynowej a niebieskim pawilonem handlowym. Raczej przejazd niż przejście, bowiem jesteśmy na tyłach pawilonu i ta droga, którą ich pędzono, przeznaczona jest teraz dla półciężarówek dowożących do sklepów — półciężarówka mija wachę i zasieki, wjeżdża między słupki — pudła z makaronem, tace z ciastkami, plastikowe opakowania z proszkiem E lub z proszkiem Pollena. Ci, którzy zgłosili się sami, otrzymywali trzy kilo chleba i kilo marmolady. Lola Kapelusz, żona łódzkiego adwokata — wiem to z „Dziennika z warszawskiego getta” Abrahama Lewina — zgłosiła się z córeczką dwukrotnie, ponieważ dziewczynka od dwóch dni nic nie jadła. Odpędzono je, bowiem w wagonach nie było już miejsca. Był podobno taki dzień, kiedy Niemcy musieli postać żydowskich policjantów, żeby rozpedzili pałkami tłum napierający na bramę. Trwało to kilka dni, potem nie dawano już ani chleba, ani marmolady i znów zaczęły się łapanki. Idąc wzdłuż pawilonu handlowego — od tyłu — wychodzi się na plac zabaw. Plac zamknięty jest od południa siatką, za którą jest dziedziniec czy raczej boisko należące do zespołu szkół zawodowych. Od zachodu jest niebieski pawilon, od wschodu zaś tylna ściana baraku, który należy do bazy PKS-u. Plac zabaw. Jakieś metalowe słupki, na których latem wiszą pewnie huśtawki. Jakieś zbite z desek konstrukcje, coś w rodzaju namiotów czy szałasów: dzieci mogą się tu bawić w policjantów i złodziei, w Indian i białych, w Niemców i Pola-

ków. Jeszcze w coś innego. Jeśli zechcą, to mogą się bawić. Ale nie sądzę, żeby się w to bawiły.

— To mogło być tutaj — mówi Jacek, kiedy idziemy przez ten plac zabaw w kierunku domów stojących między Dziką a Inflancką. — Tory i rampa. Ładowanie do wagonów.

— Z książki tego Rudnickiego — mówię — no dosyć mętnej, ale jednak był tu trzy razy, wynika, że tą drogą, którą on nazywa piaszczystą ścieżką, szło się dosyć długo.

— Do budynku szpitala — mówi Jacek — będzie stąd jakieś dwieście metrów. Może trochę więcej. Więc chyba to tutaj.

— Mnie się wydaje — mówię — że tutaj odbywała się ostatnia selekcja. Tu proponują Korczakowi, żeby wrócił do Gminy, bo może uda się jeszcze spowodować jakąś interwencję w sprawie dzieci.

— To mu zaproponowali — mówi Jacek — jeszcze na podwórku. Kiedy siedział z dziećmi pod murem.

— Gdzieś w pobliżu — mówię — powinna być ta wielka brama, o której wspomina Leokadia Schmidt. Może przy tej huśtawce. Wiesz, ta na której była tablica z napisem: „Przejdźcie pod karą śmierci wzbronione”. Ale może brama była tam, gdzie teraz jest pawilon. Mniej więcej na wysokości tego samoobsługowego sklepu. Gdzie pewnie przed wolną sobotą stoi długa kolejka po koszyki.

— Ja tego — mówi Jacek — nie rozumiem. Dlaczego postawiono tutaj te bloki. Dlaczego wybudowano tutaj ten pawilon. Dlaczego dzieci huśtają się tutaj na huśtawkach. Przecież to jest jedno z tych kilku czy kilkunastu miejsc na świecie, które zawsze będą pamiętane. Termopile albo Verdun. Coś w tym rodzaju. Ale więcej niż Termopile, niż Verdun. Minie kilkaset lat i wszystko zostanie zapomniane, a Umschlagplatz nie zostanie zapomniany. Powstaną jakieś nowe narody, których powstania w ogóle nie jesteśmy w stanie przewidzieć i jakiś historyk jakiegoś narodu, którego powstania w ogóle nie jesteśmy w stanie przewidzieć, będzie się zastanawiał, gdzie była ta brama, na której pisało: „Przejdźcie pod karą śmierci wzbronione”. Dlaczego postawiono tutaj te okropne bloki?

— Jak mi się zdaje — mówię — Żydzi, kiedy stawiano te bloki, nie protestowali. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. A wcześniej zgodzili się — a może nawet sami to zaproponowali — żeby Pomnik stanął trochę dalej, między Zamenhofa a Gęsią czyli Anielewicza. Tam gdzie była ta ostatnia wrześniowa koncentracja. Choć Pomnik powinien chyba stanąć tutaj.

— Jeśli nie protestowali — mówi Jacek, kiedy wchodzimy na plac, placzyk, skwer — nie wiem, jak to nazwać — na teren

otoczony blokami, które stoją między Dziką a Inflancką — jeśli nie protestowali, to pewnie tego chcieli. Bo nie przypuszczam, żeby było im wszystko jedno. Chcieli, żeby stały tu jakieś domy, żeby toczyło się tu jakieś życie. Jakby trochę się bali Umschlagplatzu, to znaczy takiego pustego Umschlagplatzu, na którym byłyby tylko zrujnowane baraki, tory i wagony. Niech się coś tu dzieje, a wtedy Umschlagplatz trochę się oddali, trochę odejdzie w przeszłość. Tak by to można było wytłumaczyć.

— W tym — mówię — że mieszkają tu ludzie, nie ma wreszcie nic złego. To jest przecież też rodzaj pomnika. Tu jest zresztą, popatrz, całkiem ładnie.

I rzeczywiście ten międzyblokowy teren między blokami jest — jak na międzyblokowe tereny w moim kraju, zwykle dość ponure — całkiem ładny, całkiem przyzwoicie zadbane. Tuje otoczone płótkami z bejcowanych deseczek mają się nieźle, bowiem parking — czyli smród spalin — jest po drugiej stronie, za domami. Przejścia są wysprzątane. Nie widać pojemników na śmieci: tych blaszanych wozów na kółkach. Kilka drzew — trzy lub cztery z nich, jeśli drzewa mogą pamiętać, pamiętają — niebawem miło się zazieleni, co niewątpliwie ucieszy tych, którzy mieszkają w szarych blokach. Te drzewa to chyba topole, o których Marek Edelman mówił w rozmowie z Hanną Krall: „lokomotywa była tam, gdzie topole”.

— Jak się pokażą liście — mówi Jacek — to wtedy ci powiem. Po korze nie poznam. Ale chyba topole.

Dziewczyna w dzinsach wyszła na spacer z cocker-spanielem, który obwąchuje moje nogi. Kobieta w czerwonym szaliku nachyla się nad wysokim dzieciennym wózkiem. Dwaj chłopcy, dziewięcio- lub dziesięcioletni, bawią się na wzniesieniu między topolami.

— Wiecie — pytam ich — co tutaj było?

— Nie wiemy — mówi jeden.

— Wiemy — mówi drugi. — Tu było getto, ale to tam trochę dalej. A tu były rozjazdy i wywozili stąd Żydów.

Gdyby jakiś socjolog postawił właśnie teraz, kiedy chodzimy po tym międzyblokowym terenie, to samo pytanie — co tutaj było? — tym, którzy stoją w kolejce po koszyki przed spożywczym Samem, kupując ciastka w Camargo i niosąc proszki do prania ze sklepu z artykułami gospodarstwa domowego, myjąc samochody i wyprowadzając psy na spacer, to pewnie okazałoby się, że odpowiedzi dwóch chłopców reprezentują coś w rodzaju średniej, którą dałoby się wyciągnąć z wszystkich odpowiedzi. Ale lepiej pytać o takie rzeczy poprzestać na dzieciach, bo jeśli chodzi o dorosłych, to nie wiadomo, na kogo się trafi.

— Chodźmy jeszcze — mówi Jacek — na Dziką. To znaczy na tę dawną Dziką. Został z niej jeden dom, który stał chyba po stronie aryjskiej. Ale tuż przy murze. Wtedy, kiedy byłem tu z Marysią, nie był jeszcze otynkowany. Teraz, kiedy go otynkowali, wygląda inaczej, ale powinienś go obejrzeć.

Dom jak dom. Dwupiętrowy, dosyć przyzwoity. Otynkowano go pewnie kilkanaście lat temu, gdyż żółtawy tynk jest trochę podniszczony. Przerdzewiała rynna, którą należałoby już wymienić. Nic więcej nie da się o tym ostatnim domu na ulicy Dzikiej — tamtej ulicy Dzikiej — powiedzieć.

— Teraz sobie wyobraź — mówi Jacek — kogoś, kto wtedy mieszkał w tym domu. Powiedzmy, jakąś kobietę. Otwiera okno, kładzie na parapecie poduszkę. Opiera się łokciami, nieco wychylona. Patrzy. Dzień po dniu. Ile dni trwała wielka likwidacja?

— Pięćdziesiąt kilka — mówię. — Chyba pięćdziesiąt cztery. Ale nie wiem, czy wolno było patrzeć. Może strzelali do okien.

— Może — mówi Jacek. — Ale może nie strzelali. Opiera się łokciami, patrzy. Niżej jest mur, na szczycie muru potłuczone szkło. Dalej, za murem, rampa i wagony.

— A my? — mówię. — Co my robimy? Też patrzymy. Chodzimy i patrzymy. Tu rampa, tam wagony. Tu słupki, tam brama.

— To jednak nie jest to samo — mówi Jacek. — Patrzymy na to, co jest dzisiaj. A tamto widzimy jakby przez zasłonę tego, co jest dzisiaj.

— Starego Hillela Cajtlina — mówię, kiedy żółty Fiat combi jedzie Karmelicką w kierunku Pomnika — podobno zastrzelili przy wagonach. Oni ubierali się przed śmiercią w jakiś taki specjalny strój liturgiczny i on tak się ubrał, zanim tam poszedł. Wiesz, kto to był?

— Nie — mówi Jacek. — Nigdy o nim nie słyszałem.

— Taki tutejszy dziennikarz i pisarz — mówię. — Zdaje się, że bardzo znacząca postać i że bardzo się z nim liczone. Miał dwóch synów, Arona i Elchanana. O Aronie mówił bardzo czule Singer, kiedy odbierał nagrodę Nobla. Oni chyba się przyjaźnili. Czytałem jego wiersze po polsku, bo go trochę przekładano. Wygląda na to, że to był dobry poeta, ten Aron.

— Singer też jest dobry pisarz — mówi Jacek i skręca z Anielewicza w Marchlewskiego. — Nawet bardzo dobry.

— Sofer — mówię.

— Co to znaczy — pyta Jacek — sofer?

— To jest jedyne hebrajskie słowo — mówię — które znam. No oczywiście poza takimi słowami, które wszyscy znają, jak cadyk, cheder, jesziwa czy mezusa. Sofer to znaczy pisarz. Ale

także kopista, taki, który przepisuje Torę. Nim zacznie przepisywać, musi się rytualnie oczyścić. A potem nie wolno mu się pomylić, bo jak zrobi choćby jeden błąd, to wszystko, co przepisał, nadaje się do wyrzucenia.

— To jest oczywiście niewykonalne — mówi Jacek. — Zwłaszcza kiedy pracuje się metodą błędów i poprawek. Ale można to uznać za coś w rodzaju ideału, do którego należy dążyć.

— Albo za rodzaj zobowiązania — mówię. — Zobowiązujesz się, że zrobisz wszystko, co możesz, żeby się nie pomylić. Zajedź do mnie, to sprawdzimy na tym moim planie, jak to było z tramwajami na Stawkach. Czy tam przed wojną były tory tramwajowe.

Do mojego krótkiego przewodnika po warszawskim getcie lub raczej, gdyż chyba tak trzeba by to nazwać, do tych materiałów, które kiedyś będą mi mogły posłużyć do ułożenia takiego przewodnika — to, czym potąd dysponuję, to są tylko właśnie jakieś materiały i jeszcze daleko im do takiego kształtu, który można by nazwać przewodnikiem — więc do tych materiałów należałoby dołączyć rejestr domów, które znajdowały się na terenie Dzielnicy Północnej i nie zostały zburzone przez Niemców. Chodzę po getcie i spisuję ocalałe domy.

Stoimy teraz na Siennej, między ulicą Marchlewskiego a Pałacem Kultury. Po jednej stronie Siennej — północnej — nie ma nic, a po drugiej — południowej — są cztery bardzo przyzwoicie wyglądające, przedwojenne domy, które całkiem niedawno, dwa lub trzy lata temu, odnowiono. Co do tych domów, to nie mam jednak pewności: czy one należały czy nie należały do getta? Sienną w czasie wojny porównywano — mówi się o tym w kilku relacjach — do Champs Elysées. Pola Elizejskie warszawskiego getta. Porównanie wzięło się stąd, że była to najładniejsza ulica w getcie. Co ważniejsze: jedna z niewielu ulic, na których rosły drzewa. Może nawet jedyna taka ulica. Jeśli chodzi o drzewa, to były one w getcie wielką rzadkością. Kto chciał przespacerować się pod drzewami, szedł na Sienną albo na cmentarz, ten przy Okopowej. Cmentarz — jedyny ogród czy park getta — także był miejscem spacerów: wiosną czy latem chodzono tam — wiem to od pana Michała — z krzeselkami. Tu siedzą na krzeselkach pod drzewami, tam przerzucają przez mur worki z kartoflami, a tam przejeżdża czarny wózek, w nim nagie ciała. Ciekawe, o czym rozmawiali ci Żydzi siedzący na krzeselkach pomiędzy grobami? Zapewne o tym, o czym rozmawia się w parku lub w ogrodzie. Jeśli na Siennej spacerowano pod drzewami, to chyba cała Sienna — tak jej północna, jak i południowa strona — była

w getcie. Ale wiem, że Sienna była przegrodzona — nie wiem, czym: murem, zasiekami, płotem? — a jeśli była przegrodzona, to jej południowa strona nie mogła należeć do getta. Czyli te cztery domy znajdowały się wtedy — ale kiedy? — po stronie aryjskiej. Może Sienną przegrodzono dopiero w czasie wielkiej likwidacji? Tuż przed nią, tuż po niej? Stoję na środku Siennej i zadarłszy głowę oglądam cztery domy, które — z niejasnego powodu — nie zostały zburzone przed czterdziestu pięciu laty.

— Chciałbym wiedzieć — mówię — czy te domy zostały już przez kogoś spisane? Bo jeśli tak, to ta moja robota jest bez sensu. Nie jest przecież wykluczone, że już istnieje jakiś rejestr tych domów.

— Jakich domów? — pyta Hania.

— Tych, które nie zostały zburzone — mówię. — Które jeszcze stoją. Wszystko zburzyli, ale kilku czy kilkunastu domów nie zburzyli. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Mieli pomysły. Ciekawe, ile ich jest, tych domów. Ile my mamy domów w naszym getcie.

— Pewnie kilkadziesiąt — mówi Hania.

— Tyle to nie będzie. Ja będę mówił, a ty licz. Te cztery tutaj. Ten dom, w którym była Femina. Ten na Marchlewskiego, obok Feminy, który właśnie remontują. I ten na Lesznie czyli Świerczewskiego, gdzie była Trzynastka.

— To siedem — mówi Hania. — Jeszcze te trzy na Krochmalnej przy Żelaznej. I ten na Chłodnej koło mostu, gdzie teraz jest apteka. To jednaście.

— Dwa domy na Karmelickiej — mówię — za Nowolipkami. Trzy na Żelaznej, tam gdzie Befehlsstelle SS. Dom Wolność 2^A. Dom na Żelaznej, numer 90, tam gdzie jest szpital położniczy. I ten na Ciepłej przy rondzie Prosta — Świętokrzyska. Ale to są chyba dwa domy.

— Dwadzieścia — mówi Hania. — To dość dużo. Jeszcze ten dom na Miłej, w pobliżu bunkra Anielewicza. I jeszcze dwa albo trzy domy na Lesznie, za Sądami, nie dochodząc do Żelaznej.

— Trzeba by jeszcze pójść Nalewkami — mówię — w kierunku Placu Muranowskiego i Gęsią w kierunku Bonifraterskiej. Ale tam nie ocalał chyba żaden dom. To ile już mamy tych domów?

— Dwadzieścia trzy albo dwadzieścia cztery — mówi Hania. — Ale dolicz jeszcze szpital między Sienną a Śliską. To są chyba dwa budynki. I jeszcze trzy domy na Śliskiej, *vis-à-vis* szpitala. I ten dom tuż przy „Feniksie”, na Siennej.

— Należałoby również doliczyć — mówię — zabudowania

fabryczne na Okopowej. A także domy na Próżnej i na Placu Grzybowskim, bo to jest największe skupisko. Próżna do lipca 1942 była w getcie. Razem to będzie czterdzieści do pięćdziesięciu domów. Może pięćdziesiąt kilka. Tyle pozostało. Ale te pięćdziesiąt kilka domów należałoby jeszcze podzielić na dwie kategorie. Czyli na takie, które zostały częściowo wypalone, a potem odbudowane i na takie, które przetrwały w całości. Tych, które przetrwały, to będzie pewnie tylko kilkanaście. Do dwudziestu.

— Całe to getto — mówi Hania — zmieściłoby się teraz na jednej niewielkiej ulicy.

— Ono się kurczyło już wtedy — mówię — bo przecież jego granice ciągle przesuвано. I będzie się kurczyć nadal, ponieważ tych domów wciąż będzie ubywać. Większość z nich jest w lichym stanie, więc będą wyburzane, rozbierane. Jest taka książka tego, który napisał „Papierosiarzy z Placu Trzech Krzyży”. Ziemia. Nazywa się „Ruchome granice warszawskiego getta”. Albo „Zmienne granice warszawskiego getta”. Ale to jest po żydowsku czy po hebrajsku. Więc te granice nadal są zmienne, ruchome. Przyjdzie taka chwila, kiedy gettem będzie jeden dom. A potem nie będzie już ani jednego domu.

— Wtedy całe getto — mówi Hania — wszystko, co z niego zostało, znajdzie się pod ziemią. Ale nas już wtedy nie będzie, bo to się stanie dopiero za kilkadziesiąt lat.

— No i całe szczęście — mówię. — Nie chciałbym dożyć tej chwili, kiedy ostatni z tych domów znajdzie się pod ziemią. Chodźmy jeszcze na Śliską. To dwa kroki stąd.

— Przecież widzisz stąd Śliską — mówi Hania. — Nic tam nie ma. Poza tymi trzema domami, których oficyny wychodzą na Proszą. Albo na Pańską.

— Na Śliskiej — mówię — mieszkał Hillel Cajtlin. Nie jest dla mnie jasne, czy on sam poszedł na Umschlagplatz czy go zabrali. Tak czy inaczej, idąc tam, nic ze sobą nie wziął. Wszystkie rękopisy zostały w mieszkaniu. Zdaje się, że potem Ringelblum czy ktoś inny z Oneg Szabat, komu Ringelblum to zlecił, poszedł do mieszkania Cajtlina i szukał tych rękopisów. Ale niczego nie znalazł. Pewnie Cajtlin ukrył rękopisy w jakimś schowku. Albo zakopał je w piwnicy.

— Wiesz — pyta Hania — gdzie stał ten dom, w którym on mieszkał?

— Nie — mówię. — Przejdziemy obok tego miejsca nie wiedząc, że obok niego przechodzimy. Ale może jest tak, że to miejsce będzie wiedziało o nas. Może będzie wiedziało, że my przechodzimy i że myślimy o nim.

— Słyszałeś — pyta Hania, kiedy mijamy to miejsce na Słiskiej, gdzie w schowku za zwęglonymi cegłami ukryte są zwęglone rękopisy Hillela Cajtlina — o tej kobiecie, która uklękła na chodniku?

— Kiedy uklękła? — pytam. — Teraz?

— Latem w 1942 — mówi Hania. — Ale nie tutaj, bo to nie jest scena z getta. Uklękła na Nowym Świecie. Przeczytałam o tym w „Dzienniku” Abrahama Lewina. Nie wiem, skąd on to wiedział. Pewnie opowiedział mu to ktoś, kto znalazł się po stronie aryjskiej, a potem wrócił do getta. Jakiś żandarm zastrzelił na Nowym Świecie żydowskie dziecko. I wtedy kobieta, chrześcijanka, która to widziała, uklękła na chodniku i zaczęła się głośno modlić. Pamiętam to zdanie Lewina. „Modliła się do Boga, żeby skierował swój miecz przeciwko oprawcom”. Widzisz tę scenę? Gdzieś na rogu Wareckiej, blisko Delikatesów. Albo pod tą przechodnią bramą, którądy chodzimy do Alinki. Koło sklepu z serami. Klęczy i modli się, żeby Bóg coś z tym wreszcie zrobił.

— Proszenie Boga o interwencję — mówię — wydaje się w takich wypadkach zupełnie bez sensu. Bóg, jeśli coś takiego widzi, powinien sam wiedzieć, co ma z tym zrobić. I nawet nie należy, nawet nie wolno używać w stosunku do Niego takich wyrażeń jak to nasze: powinien albo nie powinien, ponieważ nasze pojęcie powinności w ogóle Go nie dotyczy i nie może dotyczyć. Bóg nie ma wobec nas żadnych powinności. Jeśli jest i widzi, to robi, co chce, a nie to, co według nas powinien zrobić. Co to byłby za Bóg, który by nas słuchał. To byłby jakiś bardzo lichy Bóg.

— A jednak modlisz się do Niego — mówi Hania. — I nawet w tej chwili się modlisz. Żeby skierował twoje kroki w to miejsce, gdzie leżą rękopisy Cajtlina. Żeby pozwolił ci stanąć tuż obok.

— Modlę się — mówię. — Jak ta kobieta na Nowym Świecie. Żeby obrócił swój miecz przeciwko oprawcom. Żeby pozwolił mi dotknąć tych rękopisów. Żeby miał w opiece te domy, których rejestr zamierzam Mu przedstawić. Ale sens tej modlitwy nie jest dla mnie jasny. Modlę się, co nie znaczy, że wiem, dlaczego się modlę.

— Ale uważasz, że to coś pomoże. Że zostaniesz wysłuchany.

— Wysłuchany przez modlitwę. Może tak należałoby to ujmować. Modlę się, ponieważ uważam, że istnieje jakaś suwerenna siła modlitwy. Ale uważam to za złe słowo, bo nie chodzi tu o to, że ja coś uważam. Czuję, wierzę. Że modlitwa to jest rodzaj nasłuchu. Że modlitwa zostanie usłyszana i wysłuchana przez modlitwę.

— To znaczy, że ten Bóg, do którego się modlisz — mówi Hania — jest modlitwą. Albo jest w modlitwie. Pamiętajsz, co powiedział rabbi Pinchas z Korca? Boga, który trwa w ukryciu, każdy znajduje tam, gdzie może: „jeden w płaczu, inny w modlitwie, a znów inny w pieśni pochwalnej”.

— Modlitwa jest modlitwą — mówię. — Nic więcej pewnie nie wolno nam wiedzieć.

— No to ja się naprawdę bardzo cieszę — mówię — że pan zdecydował się przyjechać. I Hania też się bardzo ucieszy, ale jej teraz nie ma w domu, bo pojechała do Supersamu po zakupy.

— Stałem w Victorii — mówi Icyk i to jego: — Stałem — trochę mnie zaskakuje, bo właściwie dlaczego Icyk miałby używać takiej dziwnej polszczyzny, ale zaraz dochodzę do wniosku, że nie ma w tym nic szczególnie dziwnego: Icyk prawdopodobnie wymyślił sobie to: — Stałem w Victorii — jeszcze nim nakręcił numer naszego telefonu i teraz daje mi w ten sposób do zrozumienia, że przyjeżdżając tutaj przebył odległość nie tyle siedmiu tysięcy kilometrów, ile kilkudziesięciu lat i że jest przybyszem z innego czasu, gościem z innej epoki, a może nawet z innego eonu, jeśli przyjmiemy, że gdzieś między rokiem 1939 a 1945 skończył się jeden eon i zaczął następny, co nie tylko Icykowi, lecz również i mnie wydaje się bardzo prawdopodobne. Pytanie, czy człowiek może spędzić pierwszą połowę życia — jeśli chodzi o mnie: początek życia — w jednym eonie, a drugą połowę, koniec życia w jakimś innym, następnym eonie. — Stałem w Victorii i stąd mam bardzo niedaleko. Przejdę sobie przez Ogród Saski i przez Tłomackie, a po drodze obejrzę naszą Synagogę.

— Tłomackiego nie ma — mówię. — Jak pan wyjdzie, panie Izaaku, z Ogrodu Saskiego, to musi pan skrócić w stronę Placu Dzierżyńskiego.

— Wiem, że nie ma — przerywa mi Icyk. — Ty mnie, kochaneczku, nie musisz uczyć. Więc ja przejdę sobie przez Tłomackie, a ty możesz wsiąść w autobus D na Placu Kazimierza Wielkiego i dojechać do krańcówki na rogu Zamenhofa i Gęsiej. Ale od ciebie z Filtrowej to wygodniej ci będzie, choć to dłuższa trasa, pojechać ósemką z roku Alei Niepodległości i 6-go Sierpnia. Przez Graniczną i Plac Żelaznej Bramy. Ale wtedy musisz wsiąść na rogu Zamenhofa i Muranowskiej.

— Pan to ma pamięć — mówię.

— A co ja mogę mieć — mówi Icyk. — We mnie to teraz jest tylko ta pamięć i już nic poza nią. No więc wsiądź sobie

w co tam możesz, w coś co teraz od ciebie tam jedzie i spotkamy się, powiedzmy, za godzinę u zbiegu Niskiej i Stawek.

— Teraz tam jeździ — mówię — autobus 157. Albo można pojechać piętnastką i wysiąść przy Stawkach.

— Piętnastka — mówi Icyk — jeździła do Placu Wilsona. W 38 albo może w 39 pani Lilka wynajmowała kawalerkę na Krasińskiego. Ale co ja ci będę opowiadał. Więc za godzinę u zbiegu Niskiej i Stawek. A potem pójdziemy sobie Gęsią albo Miłą na cmentarz i ja ci pokażę, kochaneczku, jak to wtedy wyglądało, a ty mi pokażesz, jak to teraz wygląda. Co wyście tam wybudowali.

— Stoją tam takie bloki z szarej cegły — mówię. — Nic nadzwyczajnego.

— Przypuszczam, że nic nadzwyczajnego — mówi Icyk. — Sądząc po tym hotelu, w którym mieszkam, to Corbusierów raczej u was nie ma. Może trzeba było zostawić tam te ruiny.

— To jest środek miasta — mówię. — Wyobraża pan sobie, panie Izaaku, takie góry pokruszonej cegły w środku miasta? Lawina spalonych cegieł. No owszem, byłoby to coś w rodzaju pomnika.

— Co ty wygadujesz, kochaneczku — mówi Icyk, a w jego głosie pojawia się teraz coś, z czego wnioskuję, że używając tego słowa — pomnik — chyba go dotknąłem lub może nawet obraziłem. — Co to znaczy: coś w rodzaju pomnika? Czy coś takiego może być upamiętnione jakimś pomnikiem? Albo wszystko jest pomnikiem albo nic nie jest pomnikiem. To za godzinę. Tylko się nie spóźnij, bo nie wypada, żeby stary Żyd czekał na młodego goja.

— Wie pan — pytam — ile ja mam lat? Pięćdziesiąt dwa.

— A wiesz — pyta Icyk — ile ja mam lat?

— Wiem — mówię. — Tyle co wszyscy.

— Dobra odpowiedź — mówi Icyk. — Tylko że to ja ją wymyśliłem. To do zobaczenia.

— Tam jest teraz — mówię — taka stacja benzynowa. Tuż przy rogu Dzikiej. Jak pan wyjdzie z Karmelickiej, to nie może pan jej nie zobaczyć.

— To przy tej stacji — mówi Icyk.

— Dobrze — mówię. — Spotkamy się na Umschlagplatzu.

Ale czegoś takiego — myślę o tym ostatnim zdaniu — w czasie tej telefonicznej rozmowy z Icykiem nie powiedziałbym i nie powiedziałem, bowiem jest w tym zdaniu coś, co odczuwam — choć trudno byłoby mi wyjaśnić, z jakiego powodu — jako niestosowne, a nawet niedopuszczalne. Właśnie dlatego zresztą zdecydowałem się zapisać tutaj to zdanie, którego nie użyłem w roz-

mowie: uważam, że jeśli już takie niestosowne i niedopuszczalne zdanie przyjdzie mi do głowy, to powinienem je zanotować, ponieważ — właśnie ze względu na tę jego niestosowność — jest w nim zapewne coś, co musi zostać przemyślane. Pytanie, dlaczego to ostatnie zdanie odczuwam — odczułem, gdy przyszło mi do głowy — jako niestosowne? Nasuwa mi się tu kilka odpowiedzi. Po pierwsze, to zdanie może zostać odczytane lub wypowiedziane — pozwala na to jego kształt fonetyczny albo gramatyczny — dość lekkim tonem, a taki lekki ton jest w tym wypadku oczywiście niedopuszczalny, bowiem mógłby zostać odebrany jako obrażający pamięć tych, którzy przeszli przez bramę u zbiegu Stawek, Niskiej i Dzikiej. Po drugie, to zdanie — wypowiedziane przeze mnie — włącza mnie jakby, choćby tylko symbolicznie, w krąg tych, którzy przez to przeszli, a ktoś, kto przez to nie przeszedł, nie ma oczywiście prawa tak się sytuować, ponieważ popełniłby tym samym coś w rodzaju moralnego nadużycia. Te dwa powody, dla których to zdanie — spotkamy się na Umschlagplatzu — odczuwam jako niestosowne, wydają mi się jednak mniej istotne niż powód trzeci, który jest taki: jest w tym zdaniu jakby zapowiedź, że to się powtórzy — właśnie tutaj — i że ludzie znów coś takiego z siebie wydobędą. Coś takiego jak to, co wydobyli z siebie ci esesmani i żydowscy policjanci z Umschlagplatzu. Brandt, Szeryński, Szmerling. I chyba właśnie to przypuszczenie — znowu to nas czeka — wydaje mi się niestosowne i niedopuszczalne. Czy to znaczy, że takich niestosownych przypuszczeń nie należy artykułować? Tego nie wiem. Jeśli chodzi o tę kwestię — artykulacji — to raz myślę tak, a raz inaczej. Jak ktoś żyje w bliskim sąsiedztwie Umschlagplatzu, to wie, że wszystko może się wydarzyć.

Zdanie, którym skończyła się — mogłaby się skończyć — rozmowa telefoniczna między hotelem Victoria a ulicą Filtrową czyli ta moja rozmowa z Icykiem, który po niemal pięćdziesięciu latach zjawił się w Warszawie, nie zostało wypowiedziane nie tylko jednak dlatego, że takim sformułowaniem dotknąłbym, mógłbym dotknąć Icyka: — Co ty sobie wyobrażasz, kochaneczku — i Icyk rzuca słuchawkę, a potem, kiedy telefonujemy do niego, ja i Hania, oświadczą, że jest bardzo zajęty i nie może się z nami spotkać. Czego Hania nigdy by mi nie wybaczyła, a i ja sam też bym sobie nigdy nie wybaczył. Nie wiem, czy po wypowiedzeniu przeze mnie tego zdania Icyk tak by się właśnie zachował, ale niewątpliwie mógłby wobec nas coś takiego wykonać. Był bowiem w takich wypadkach niezwykle konsekwentny i kiedy ktoś go obraził — to znaczy: kiedy Icyk uznał, że ktoś go obraził — ten ktoś mógł co najwyżej liczyć na to, że przez lata będzie trak-

towany jak powietrze i to nieco śmierzzące. Co najwyżej, bowiem bywało i tak, że Icyk — przez kogoś naprawdę lub rzekomo obrażony — wpadał w furję. Pamiętam takie zajście, do którego doszło właśnie w czasie tej ostatniej wizyty Icyka w Warszawie. Siedzieliśmy przy stoliku w kawiarni Ujazdowskiej — tej, co jest w Alejach Ujazdowskich, nieopodal tych budynków, w których było Kripo — i ktoś, wszystko jedno kto, w trakcie rozmowy, która dotyczyła oczywiście, bo czegoż mogłaby dotyczyć, żydowskich, polsko-żydowskich, żydowsko-polskich tu w Warszawie losów, powiedział: — Żydzi zrobili tutaj dużo złego. — Icyk niemal w ogóle na to zdanie, co trochę mnie zdziwiło, nie zareagował. Zdjął tylko okulary — te w cienkiej, drucianej oprawie — i przytrzymując te okulary gdzieś na wysokości nosa, popatrzył sponad nich, trochę przy tym przekrzywiając głowę, na tego kogoś. Ten ktoś nie był Żydem. W zdaniu, wypowiedzianym może nieco zbyt agresywnym tonem, nie było właściwie nic nagannego, bowiem ten kto je wypowiedział — i wynikało to dość jasno z przebiegu rozmowy — miał na myśli nie wszystkich Żydów, lecz tylko tych, którzy przystali do komunistów i na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych pracowali w gmachu na Koszykowej, trudniąc się tam wrywaniem paznokci i przytrząskiwaniem palców szufladami. Ale Icyk jakby nie zrozumiał, kogo dotyczyło to zdanie: — Żydzi zrobili tutaj dużo złego. — Albo może zrozumiał i poczuł się dotknięty uogólnieniem, które było zawarte w tym zdaniu: uważał przecież, że taki Żyd, który staje się komunistą, przestaje być Żydem. Rozmowa potoczyła się dalej, od losów polsko-żydowskich tu w Warszawie przeszliśmy do losów żydowsko-polskich tam w Jerozolimie. — Gdybym ja — powiedziałem — był polskim Żydem, który urodził się w Warszawie, nawet Żydem syjonistą, nawet Żydem rewizjonistą, takim od Żabotyńskiego, to chyba nie czułbym się tam jednak dobrze i po nocach śniłoby mi się, że lewituję nad Ogrodem Saskim, a może nawet wyżej, nad drapaczem chmur na Placu Napoleona. — Co ty możesz o tym wiedzieć, kochaneczku — powiedział na to Icyk wstając od stolika. — To ja przyniosę sobie jeszcze jedną kawę. — Nie zapytałem wtedy Icyka — teraz tego żałuję — o czym, jego zdaniem, ja nie mogę nic wiedzieć i czy chodziło mu, kiedy to powiedział, o jerozolimskie sny urodzonego w Warszawie Żyda syjonisty czy o lewitowanie nad Ogrodem Saskim. Dowiedziawszy się, że Icyk chce wypić jeszcze jedną kawę, ten ktoś, kto uprzednio wypowiedział zdanie dotyczące w jego, ale chyba nie w Icyka przekonaniu Żydów, którzy pracowali w gmachu na Koszykowej, zerwał się od stolika: — Niech pan się nie fatyguje, panie Izaaku, ja panu przyniosę. — I po chwili wrócił

od bufetu niosąc filiżankę z kawą, którą postawił przed Icykiem: — Śmietanki już nie mają, bo się im skwasiła. — Icyk wyjął z portmonetki pięć metalowych dwudziestozłotówek i bez słowa położył je — mały stosik — przed tym, który przyniósł mu kawę. Ten ktoś zareagował oczywiście tak, jak powinien zareagować, to znaczy przesunął dwudziestozłotówki w kierunku Icyka i powiedział: — Niech pan pozwoli, panie Izaaku, że ja panu tę kawę postawię. — Wtedy Icyk wziął dwudziestozłotówki, grzecznie się do tego kogoś uśmiechnął i powiedział: — Żydzi, kochaneczku, zrobili tutaj dużo złego. — Po czym rzucił pięcioma metalowymi dwudziestozłotówkami w tego kogoś. Można to chyba nazwać, mimo tego grzecznego uśmiechu, atakiem furii.

Wracam do tego zdania, którego nie powiedziałem, kończąc moją telefoniczną rozmowę z Icykiem stojącym w hotelu Victoria: — Spotkamy się na Umschlagplatzu. — Nie powiedziałem tego zdania, ponieważ nie mogłem go powiedzieć. Icyk — chyba już o tym wspominałem — nie zdecydował się na przyjazd do Warszawy, a ta moja z nim rozmowa nigdy się nie odbyła i została przeze mnie zmyślona. Mam do siebie pretensje, pisząc tę książkę, że pewne rzeczy są w niej zmyślone i staram się, jak mogę, żeby tego zmyślonego było jak najmniej. Najchętniej napisałbym taką książkę, w której ani jedno zdanie nie byłoby zmyślone i w której opisane byłoby tylko to, co wydarzyło się naprawdę. Czyli tylko to, co myśmy tu naprawdę, Polacy i Żydzi, razem przeżyli. Tylko taka książka byłaby bowiem, w moim przekonaniu, godnym świadectwem tego, co wydarzyło się między Polakami a Żydami, godnym zadośćuczynieniem, które my, Polacy, jesteśmy winni naszym polskim Żydom. Ale takiej książki — ograniczony moim doświadczeniem, które, jeśli tak można powiedzieć, jest w tych sprawach raczej doświadczeniem duchowym niż doświadczeniem rzeczywistym czyli doświadczeniem rzeczywistości, która była niegdyś rzeczywistością życia Żydów i Polaków — więc takiej książki, która byłaby niezmyśloną świadectwem tamtej rzeczywistości, napisać nie mogłem. Może ta powieść, w której to co zmyślone jest przemieszane z tym co niezmyślone, też zresztą będzie jakimś — na moją miarę — zadośćuczynieniem. Przynajmniej tak ją sobie pomyślałem. A jeśli chodzi o tę moją zmyśloną telefoniczną rozmowę z Icykiem, to akurat w tym wypadku czuję się usprawiedliwiony. To znaczy uważam za usprawiedliwione to moje zmyślenie. Oboje — ja i Hania — bardzo chcieliśmy, żeby Icyk przyjechał do Warszawy i oczekując na ten jego przyjazd często wyobrażałem sobie pierwsze nasze spotkanie na Okęciu, przejazd czerwonym Renault z lotniska do hotelu, wizytę Icyka na Filtrowej: — Tego księcia Józefa skaczącego do Elstery —

mówi Icyk — którego masz nad tapczanem, to ja, Haniu, dobrze pamiętam, bo on pięćdziesiąt lat temu wisiał u twojej ciotki na Zoliborzu — a także tę telefoniczną rozmowę między kolonią Staszica a hotelem Victoria i przypominam sobie, że kiedyś, kiedy jechaliśmy z Hanią w czerwonym Renault do Otwocka, próbowałem nawet skonkretyzować te moje wyobrażenia i zacząłem, na użytek Hani, układać moją pierwszą telefoniczną rozmowę z Icykiem: on powie to, a ja mu na to powiem to, a on wtedy odpowie mi to, na co Hania puszczając, jak zwykle robi w takich wypadkach, kierownicę, co kiedyś skończy się jakimś okropnym zderzeniem, powiedziała: — On tu nigdy nie przyjedzie. — Ale dlaczego? — Ty tego nigdy nie zrozumiesz. — Więc mogę powiedzieć, że ta moja rozmowa z Icykiem, choć jest zmyślona, to nie jest zmyślona, ponieważ odbyła się — we mnie — kilka razy i kilka razy zostało w niej wypowiedziane to ostatnie zdanie, które przybierało zresztą różne kształty, pojawiało się w mojej głowie w różnych wersjach. Także i w takiej: — Spotkamy się przy stacji benzynowej na rogu Dzikiej. Właśnie tam.

Było to prawdopodobnie ostatnie zdanie, jakie pojawiło się w myślach Icyka, jakie zdołał w myślach uformować, kiedy stojąc na dwudziestym drugim piętrze i opierając się lewą dłonią o metalową futrynę okna szukał zdania nadającego się na pointę, ostatnie zdanie powieści, której maszynopis, pokreślony i zabazgrany na marginesach czerwonym i zielonym atramentem — Icyk używał wtedy przynajmniej trzech piór wiecznych — leżał tuż obok niego, po prawej ręce, na biurku i kiedy szukając tego zdania zrozumiał, że dzieje się z nim — lub raczej w nim — coś niedobrego. Ale można sobie wyobrazić, że po tym zdaniu w myślach Icyka pojawiło się jeszcze jakieś inne zdanie lub nawet jeszcze kilka innych zdań. — Albo ten rozrusznik — pomyślał Icyk — to jest zwykły amerykański szajs i powinni mi go natychmiast wymienić albo już czas na mnie i to drugie wydaje mi się znacznie prawdopodobniejsze. — Jego prawa ręka, gdzieś na wysokości łokcia, jakby się od niego odłączyła: — Dziwne — pomyślał jeszcze — że to prawa ręka odłączyła się ode mnie, a nie lewa, ta w której mnie boli i która osuwa się, nie wiem dlaczego, po metalowej futrynie — i odłączając się poleciała nad biurko zmiatając z niego kałamarz z czerwonym atramentem, maszynopis powieści i wieczne pióro ze złotą stalówką: tego samego Parkera, który pięćdziesiąt lat temu leżał na niebieskim kacie między komórką a krzakami białych i czerwonych porzeczek. — Ciekawe — pomyślał Icyk usiłując lewą ręką schwytać tę uciekającą mu prawą rękę, co okazało się niewykonalne, ponieważ lewitując poziomo tuż ponad podłogą nie można schwytać ręki, która

jest gdzieś wysoko, ponad blatem biurka — ciekawe, czy to jest, jak twierdził ten uczeń rabbiego Mendla z Warki, coś w rodzaju przejścia z pokoju do pokoju czy raczej raczej miał sam rabbi Mendel twierdzący, że przechodzi się przy tym tylko z jednego kąta pokoju w drugi. Ale gdzie, na której półce, stoi ta książka Bubera, w której ja to czytałem. Gdybym choć na chwilę przestał lewitować, to mógłbym to sprawdzić. — Prawa — ta odłączona — ręka Icyka znajdowała się właśnie w pobliżu książki Bubera stojącej na trzeciej półce od dołu i mogłaby z łatwością wyciągnąć tę książkę z regału. Ale właśnie wtedy, kiedy ręka znalazła się w pobliżu książki, mój przyjaciel Icyk Mandelbaum przestał lewitować.

Teraz podchodzą do Icyka, witają Icyka, dotykają ciepłymi palcami jego czoła, jego policzków, jego brody — czyżby nosił brodę? — Arie Wilner, Abrasza Blum, Zysze Frydman, Menachem Kirszenbaum, Władysław Szlengel, Anna Natanblut, Szachno Zagan, Tobcia Dawidowicz, Paulina Braun, Abraham Gepner, Icchak Giterman, Szmul Brasław, Niuta Tajtelbaum — jesionka Szmula jest rozdarta na szwie i wychodzi z niej watolina, a marynarska bluzka Niuty pobrudzona jest wapnem, ale to przecież nic nie szkodzi — a także nieco starsi, Włodzimierz Medem, Chaim i Lejb Dawidsohnowie, Józef Szpisman, Bronisław Mansperl i Jecheskel Portnoj. Biorą go pod łokcie i z gmachu Sądów — tędy najłatwiej dostać się do naszej Dzielnicy — wyprowadzają na ulicę Leszno. Przechodzą — wciąż prowadząc go pod łokcie — obok Befehlsstelle SS, Żelazna 103, a potem wracają na Leszno i idą Lesznem w stronę Karmelickiej. Mijają rewię Femina, Leszno 35, gdzie przy świetle karbidówek koncertuje orkiestra żydowskiej policji pod dykcją Szymona Kataszka albo śpiewa — tak będzie lepiej — słowik getta, osiemnastoletnia Marysia Ajzensztadt. Jaka śliczna jest Marysia Ajzensztadt, która już zawsze będzie miała osiemnaście lat. Skręcają z Leszna w Karmelicką, stąd niedaleko jest do tego domu, w którym mieściła się Trzynastka. Ale tam nie pójdą. Idą Karmelicką, wzdłuż tego drewnianego płotu, za którym jest szop Dużego Schultza. Na rogu Nowolipia jest brama do szopu, mijają tę bramę. Następna brama to ta, którą zamknięty jest wylot Karmelickiej i w tę wchodzi. Idą Nowolipiem, między domami, w których mieszkają pracownicy szopu Schultza. Są przy tej drodze — ale ona jest wyżej, nad nimi — którą przez strychy można przejść z Nowolipia na Nowolipki, a nawet na Smoczą, z szopów Hoffmana i Schultza do szopu Roericha. Skręcają w Smoczą, przechodzą obok posterunku policji, tego, który jest na rogu Nowolipek. Niedaleko jest ten dom — ale tamtędy nie idą — gdzie w roku 1950 odnaleziono pod gruzami bańki

i metalowe skrzynki, w których była druga część archiwum Emanuela Ringelbluma. Dzielną, Pawia, Gęsia. Kiedy mijają wachę, która jest u wylotu Gęsiej na Okopową, już tylko kilkanaście kroków dzieli ich od żelaznej bramy. Na cmentarzu między Okopową i Młynarską kwitną kasztany i bardzo miło będzie im iść pod tymi białymi stożkami. Albo stoją tam kikuty kasztanów, pokruszone pociskami, osmalone ogniem. Brama otwiera się i wchodzi na cmentarz. Tam gdzie pochowani są nasi rodzice.

— Ty się na mnie nie obraż, kochaneczku — mówi Icyk, kiedy wychodzimy z cmentarza i ulicą Mordechaja Anielewicza idziemy powoli, między szarymi blokami, w kierunku Pomnika — ale choć bardzo przyjemnie mi się z tobą spaceruje, to ja jednak nie po to tutaj przyjechałem, żeby z tobą spacerować. Chciałbym tutaj coś usłyszeć, a chodząc z tobą, raczej nie usłyszę.

— To pewnie — mówię — niedyskretne pytanie, ale właściwie co chciałby pan usłyszeć?

— Tak naprawdę — mówi Icyk — to chciałbym usłyszeć tę wielką arię kulawego Szlojmele, kiedy on, jęcząc i bełkocząc, rozmawia z Siłami. Pamiętasz kulawego Szlojmele?

— Pamiętam — mówię. — Myśli pan, panie Izaaku, że uda się to panu usłyszeć?

— Myślę — mówi Icyk — że mało co albo i nic nie można już tu usłyszeć, ale on, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, gdzieś nadal wyśpiewuje tę swoją arię. Albo tu albo w Otwocku. Może jutro tam pojedę. Jak się nazywa ta ulica?

— Mordechaja Anielewicza. A ta przecznica to jest Karmelicka.

— Coś podobnego — mówi Icyk. — Karmelicka. No to wracaj do domu i ucałuj ode mnie Hanię. Wieczorem może do was zadzwonię. A teraz jeszcze sobie tu trochę pochodzę.

Zdjęcie, które wszyscy znają: chłopiec w czapce z daszkiem i w podkolanówkach, z podniesionymi do góry rękami. Nie wiadomo, kiedy to zdjęcie zostało zrobione. W czasie wielkiej likwidacji, w lipcu lub w sierpniu 1942? W czasie powstania w getcie, w kwietniu 1943? Ale może kiedy indziej. Druga likwidacja — w styczniu 1943 — nie wchodzi w rachubę, bowiem ze zdjęcia wynika, że zrobiono je wiosną, latem, jesienią, ale na pewno nie zimą. Chłopiec stoi na podwórku lub na ulicy przed bramą. Nie da się tego ustalić, ponieważ widzimy tylko ciemne wnętrza bramy i jej jeden narożnik. Z wyglądu tego narożnika — odłupane płyty tynku — można wnioskować, że ka-

mienica, z której wyprowadzono chłopca, była stara i zniszczona. A więc jesteśmy gdzieś na Miłej, Gęśiej czy Wołyńskiej. Raczej tam niż na Siennej czy Grzybowskiej. Ale może jeszcze gdzie indziej. Za chłopcem z podniesionymi do góry rękami jest podłużny dół i w tym dole coś jest: coś białego. To chyba śmieci, więc to dół na śmieci. Czyli raczej podwórko niż ulica. Po prawej — od naszej, to jest patrzących na to, strony — stoją czterej Niemcy. Jeden z nich w bramie, trzej tuż obok bramy, obok uszkodzonego narożnika i żeliwnej rynny. Dwie twarze — na dobrych reprodukcjach nawet trzy — są wyraźnie widoczne. Oglądałem to zdjęcie tak długo i tyle razy, że gdybym teraz — po czterdziestu pięciu latach — spotkał któregoś z tych trzech Niemców na ulicy, z pewnością natychmiast bym go rozpoznał. Jeden z Niemców trzyma pod pachą pistolet automatyczny: pistolet wycelowany jest jakby w plecy chłopca w czapce i w podkolanówkach. Niemcy są w hełmach, ten z automatem ma na hełmie okulary motocyklisty. Po lewej widzimy na zdjęciu kilka kobiet, kilku mężczyzn, kilkoro — chyba troje — dzieci. Wszyscy z podniesionymi rękami. Mężczyźni są w czapkach. Całkiem po lewej stoi mała — mniejsza od chłopca w podkolanówkach — pięć lub sześćioletnia dziewczynka w chustce na głowie. Też z podniesionymi rękami, ale ponieważ to jest skraj zdjęcia, widzimy tylko jedną dłoń nad głową w chustce. Obliczyłem, że na tym zdjęciu — postaci po lewej stoją jedna tuż obok drugiej, więc mogłem się omylić — widać dwadzieścia trzy osoby: dziewiętnaścioro Żydów i Żydówek oraz czterech Niemców. Zwracam uwagę tych, którzy będą oglądać to zdjęcie, na bardzo ładną twarz kobiety po lewej. To pewnie matka dziewczynki w chustce. Włosy szczesane na bok, wystające kości policzkowe, duże oczy i duże usta. Można się domyślać rumieńców na bardzo bladych policzkach. Biała opaska na podniesionej ręce. Gwiazdy Dawida nie widać. Również i tę kobietę — po czterdziestu pięciu latach — rozpoznałbym na ulicy. Ale jest oczywiste, że nigdy jej nie spotkam.

Chłopiec stojący w centrum zdjęcia ubrany jest w krótki, kończący się ponad kolanami płaszcz. Pod płaszczem ma chyba sweter, ale to nie jest pewne, gdyż płaszcz jest zapięty. Czapka — trochę przekrzywiona lub raczej przesunięta na bok — jest na niego jakby nieco za duża. Może to czapka ojca? Lub starszego brata? Znane są personalia chłopca: Artur Siemiątek, syn Leona i Sary z domu Dąb, urodzony w Łowiczu. Artur jest moim rówieśnikiem: obaj urodziliśmy się w roku 1935. Stoimy obok siebie, on na tym zdjęciu zrobionym w warszawskim getcie, a ja na zdjęciu zrobionym na wysokim peronie w Otwocku. Można

przyjąć, że zdjęcia zrobiono w tym samym miesiącu: to moje kilka albo kilkanaście dni wcześniej. Zdaje się, że nawet nasze czapki są podobne. Moja — trochę jaśniejsza — jest też jakby na mnie za duża. On w podkolanówkach, ja w białych skarpetkach. Ja — na peronie w Otwocku — ładnie się uśmiecham. Z jego twarzy — jakiś sierżant SS, który robił to zdjęcie — niczego nie da się odczytać.

— Zmęczyłeś się — mówię do Artura. — To przecież musi być bardzo niewygodne: takie stanie z podniesionymi do góry rękami. To zrobmy tak. Teraz ja podniosę ręce, a ty je opuścisz. I może oni tego nie zauważą. Albo wiesz, co. Zrobimy inaczej. Obaj będziemy stać z podniesionymi do góry rękami.

Zbyszek i Adaś — ten, któremu Antoni nie chciał powierzyć swojej tajemnicy, żeby go nie zdemoralizować — odebrali już swoje amerykańskie nagrody i teraz stoimy w tym salonie na ulicy Idzikowskiego, jakby gdzieś w Warszawie, a zarazem jakby gdzieś w Nowym Jorku czy innym Paryżu, i ku czci Zbyszka i Adasia pijemy wino, jemy salami, szynkę i ryż z jakimś sosem.

— Tu jest Marek Edelman — mówi Hania. — On o tam stoi. Możesz mu się przyjrzeć.

— Czy mógłbyś — pytam Wiktora — przedstawić mnie Markowi Edelmanowi? Bo ja napisałem taką książkę o warszawskim getcie i on w tej książce występuje. Więc chyba byłoby dobrze, żebyśmy go wreszcie poznał osobiście.

— I pan naprawdę — to jest pierwsze pytanie, które zadaje Markowi Edelmanowi, kiedy już zostałem mu przedstawiony przez Wiktora — i pan naprawdę powiedział w tym wywiadzie, że liczy się tylko siła? Chodzi mi o ten wywiad, wie pan, którego pan udzielił tym dzieciom z podziemia.

— Tak im powiedziałem — mówi Marek Edelman. — Liczy się tylko siła i nic więcej.

A potem, kiedy już zadałem mu te wszystkie pytania, które chciałem mu zadać — ale oczywiście jest jeszcze nieskończenie wiele pytań, które powinienem i chciałbym zadać Markowi Edelmanowi — Marek Edelman mówi:

— Na świecie nie ma już Żydów. Ten naród nie istnieje i nie będzie istniał.

— To ja — mówię — skończę tym pańskim zdaniem moją książkę. Jeśli pan się zgadza.

— Zgadzam się — mówi Marek Edelman. — Żydów już nie ma. I nigdy nie będzie.

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 23 DECEMBRE 1987
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1987.

N° d'imprimeur 8540.

